

Feeria
young

ALTHEA

Buntownicza opowieść o tożsamości, dorastaniu, przyjaźni i miłości

& OLIVER

Cristina Moracho

REAL LIFE

Cristina Moracho

**ALTHEA
& OLIVER**

**Przekład
Anna Dobrzańska**

Feeria
young

Przekład: Anna Dobrzańska
Redakcja: Wojciech Kądziela
Korekta: Grzegorz Krzymianowski
Projekt okładki i stron tytułowych: Joanna Wasilewska

Copyright © 2014 by Cristina Moracho Unsatisfied
Words and Music by Paul Westerberg © 1984 NAH MUSIC (ASCAP)/Administered by BUG MUSIC, INC.,
A BMG CHRYSALIS COMPANY

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with Viking Children's Books, a division of Penguin Young Readers Group,
a member of Penguin Group (USA) LLC, a Penguin Random House Company

Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-494-4

Wydawnictwo JK,
ul. Krokusowa 1-3 92-101 Łódź
tel. 42 676 49 69
fax 42 646 49 69 w. 44
www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

*Spójrz mi w oczy
I powiedz, że jestem zadowolony
Czy byłeś zadowolony?
– The Replacements*

Rozdział 1

Wolałbyś przejść milę bosą po klockach Lego czy zrobić sobie tatuaż na wewnętrznej stronie powieki?

– To chore. – Głos Olivera jest niewyraźny ze zmęczenia.

– Właśnie o to chodzi. Musisz wybrać. I nie zastanawiaj się za długo.

Althea robi co może, żeby nie zasnął przed powrotem do domu. Szyby są opuszczone i wnętrze samochodu wypełnia rześkie marcowe powietrze, w którym włosy dziewczyny łopoczą wściekle wokół jej twarzy niczym skrzydła. Z głośników syczy się skrzekliwy punkowy lament. Althea próbuje przekrzyczeć muzykę, podczas gdy Oliver, z głową opartą o zagłówek, walczy z opadającymi powiekami. Jej głos, zimowy chłód i metaliczny brzęk elektrycznych gitar zdają się odpływać, gdy zapada w sen.

Myśli o delikatnej skórze na podeszwach stóp i krzywi się. Mila to zdecydowanie za daleko.

– Tatuaż. Wolałbym tatuaż.

Szaleńczy powrót Althei do domu nie zmieni tego, co i tak się wydarzy, ale dziewczyna spieszy się, jakby miało to jakieś znaczenie i zaciskając usta w wąską kreskę, przejeżdża na żółtym świetle.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmia.

To bez znaczenia. Gdziekolwiek będą, za kilka minut Oliver i tak zaśnie. Wolałby być wtedy w swoim łóżku, a nie na siedzeniu pasażera w toyocie camry należącej do jego najlepszej przyjaciółki, ale nawet on musi przyznać, że mogło być gorzej. Nie dalej jak godzinę temu zemdlął na szóstej lekcji w pracowni chemicznej, niebezpiecznie blisko palnika Bunsena.

– Jestem taki zmęczony – mówi.

– Wiem.

– A ty? Co byś wybrała? – pyta Oliver, z trudem wymawiając słowa, jakby język odmawiał mu posłuszeństwa.

– To oczywiste. Tatuaż. – Jakby na potwierdzenie swoich słów Althea trąbi na jadącego przed nimi kierowcę, który jak zółw wlecze się College Road.

Oliver rozpiną dzinsy. Unosi biodra i wierci się, aż spodnie opadają mu do kostek. Ma na sobie ulubione wiśniowe bokserki, których widok na krótką chwilę poprawia mu humor.

– Co jest nie tak z twoimi spodniami? – pyta Althea.

– Próbuję wyeliminować przeszkody – tłumaczy.

– W takim razie powinieneś zacząć od butów.

– Niech to szlag. – Oliver spogląda na tenisówki zaplątane w nogawki spodni i wie, że nie będzie łatwo. Niemrawo potrząsa nogami, jeszcze bardziej zaplątując stopy w materiał spodni. Z jego gardła dobywa się pełen zdenerwowania, zduszony pomruk.

– Daj spokój – mówi Althea. – Zajmę się tym, kiedy dotrzemy na miejsce.

Na jej szczęście Oliver siedzi wyprostowany i podpira głowę ręką.

– Jeden z głowy – oznajmia.

– Dobra, zobaczmy, co masz do powiedzenia. – Althea ścisza muzykę, by nie musiał przekrzykiwać wokalisty Rocket from the Crypt.

– Wolałabyś... – Głowa opada mu bezwładnie, jednak natychmiast ją podnosi. – Wolałabyś...

Z chwilą, gdy Althea podjeżdża pod dom, Oliver daje za wygraną. Za minutę będzie na górze, schowa się pod kołdrą i nie będzie musiał walczyć.

– Oliver! – Dziewczyna szarpie go za ramię.

– Dobrze już, dobrze. – Wjeżdżają na podjazd. – Wolałabyś gołymi rękami zabić szczeniaka...

– Miałabym go udusić? – przerywa Althea, gasząc silnik i rozpinając pas bezpieczeństwa.

– Jak chcesz. Albo utopić w wiadrze z wodą. – Oliver siłuje się z kłamrą pasa.

– Już mi się to nie podoba.

Althea obchodzi samochód i kuca przy otwartych drzwiach pasażera. Sięga pod zmięte dzinsy, rozwiązuje sznurówki i pomaga mu zdjąć buty. Chwilę później ściąga mu spodnie.

– Gotowe – mówi, poklepując go po kostce.

Oliver wysiada z samochodu. Jest w samych skarpetkach, bieliźnie i czarnej termoaktywnej bluzie z kapturem. Wciąż ma na plecach plecak. Zatacza się i Althea pospiesznie obejmuje go w pasie.

– Zapamiętajmy ten strój – mówi. – Jest świetny. Może trochę za bardzo wiosenny.

Wchodząc na werandę, Oliver szuka kluczy. Po drugiej stronie ulicy starsza pani nazwiskiem Parker zamiata chodnik, ubrana w pikowaną granatową podomkę, i z nieskrywanym zainteresowaniem spogląda na Olivera. Jego ręka kołysze się nad zamkiem, wzrok traci ostrość, a klucz trze o drewno, zdzierając białą farbę.

– Gapi się na mnie?

– Nie zwracaj uwagi na tę wścibską sukę. – Althea bierze klucze i sama otwiera drzwi. – Co mam do wyboru? Oprócz szczeniaka?

Razem wchodzą po schodach; Oliver wlecze się uwieszony jej ramienia i pozwala zaprowadzić się do pokoju. Widzi, jak Althea odrzuca kołdrę i pokazuje mu, żeby się położył. Chwilę później czuje na nogach delikatny, miękki dotyk pościeli. Kiedy byli dziećmi w flanelowych piżamach, leżeli w ciemności pod kocami i tarli kolanami o materiał, aż dochodziło do zielonkawych wyładowań. Raz dotknął językiem baterii, żeby zaspokoić ciekawość Althei i zobaczyć, co się wydarzy. Rezultat był rozczarowujący. Przytula głowę do poduszki.

– Albo zastrzelić przypadkową osobę z broni snajperskiej z odległości mili? – kończy.

– To mam do wyboru? Utopić szczeniaka albo zastrzelić nieznajomego, którego nawet nie widzę?

Materac zapada się pod ciężarem jej ciała, a chłodna dłoń dotyka rozpalonej twarzy Olivera, gdy Althea rozmyśla nad jego propozycją. W jej dalekim głosie słychać rozbawienie.

– Mmmhmm. Co byś... – Oliver nie jest w stanie dokończyć zdania. Kiedy się obudzi, bez względu na to, kiedy to nastąpi, będzie miał wrażenie, jakby przeskoczył z tej chwili do tamtej. Przerazony pomyśli, że przespał coś ważnego – egzamin końcowy, przyjęcie urodzinowe, mecz piłki nożnej, w którym miał grać jako napastnik – jednak najważniejsze będzie to, dlaczego tak się stało. Coś jest z nim nie tak, coś musi być nie tak, bo taka sytuacja miała się więcej nie powtórzyć, a powtórzyła się

i Oliver rozważa, czy nie powinien walczyć z ogarniającą go sennością, ale czuje się taki zmęczony. I tak cudownie jest leżeć we własnym łóżku. Czasami nie ma nic lepszego niż dać za wygraną, poczuć pełną wyrzutów sumienia ulgę, zmieszaną z solidną dawką obojętności, ale chce powiedzieć Althei, żeby się nie martwiła; człowiek musi mieć jakąś słabość, a jego słabość wygląda właśnie tak.

– Powiem ci, kiedy się obudzisz. Tylko mi przypomnij – szepcze Althea i Oliver zasypia.

* * *

Althea zostaje. Leży na plecach wpatrzona w przyklejoną do sufitu konstelację plastikowych gwiazd, które zaczynają świecić w miarę, jak ostatnie promienie słońca wycofują się z pokoju, a znajome przedmioty w sypialni Olivera pogrążają się w mroku. Na odrapanej drewnianej komodzie stoi niewielki telewizor z anteną przywodzącą na myśl królicze uszy i odtwarzacz wideo, którego czerwona dioda zdaje się błyszczeć upiornym światłem. Prowizoryczne biurko było prezentem, który podarowała mu na urodziny – kawałkiem sklejki ozdobionym kolażem okładek jego ulubionych płyt, wspartym na dwóch kozłach, które ukradła z placu budowy w centrum miasta. Do wielkiej tablicy informacyjnej przypięto fragmenty biletów kinowych i koncertowych, kartki ze szkicownika Althei i ich wspólne zdjęcia. Althea zna na pamięć układ zdjęć – oto oni w wieku sześciu lat siedzą pod choinką w jej domu, mały Oliver owinięty jest sznurem świątecznych lampek; na kolejnym mają lat dziewięć, Oliver z dumą prezentuje gips na złamanym nadgarstku, podczas gdy zazdrosna Althea stoi z boku z nadąsaną miną; na trzecim zdjęciu dwunastoletnia Althea ma na rękach różowe rękawice bokserskie, a Oliver kuli się ze strachu, zakrywając twarz; a oto oni w wieku lat czternastu, zdjęcie zrobiono rankiem na werandzie domu Althei, w dniu, kiedy rozpoczynali naukę w liceum – Althea wygląda jak sto nieszczęść, podczas gdy Oliver wydaje się dziwnie podekscytowany; na ostatnim zdjęciu, zrobionym na imprezie z okazji Halloween, mają szesnaście lat, są przebrani za Sida i Nancy i pijani krzyczą coś do obiektywu.

Gdyby zasnął kilka sekund później, odpowiedziałyby na jego pytanie, choć

przypuszcza, że on i tak wie – ocalałaby szczeniaka. Od dziesięciu lat są najlepszymi przyjaciółmi i niewiele jest rzeczy, którymi mogliby siebie zaskoczyć. Cyfrowy zegar na radiu z budzikiem przeskakuje o minutę do przodu. Althea liczy do sześćdziesięciu tak równo, jak to tylko możliwe – jeden banan, dwa banany – ale i tak jest szybsza i kilka ostatnich sekund wlecze się w nieskończoność, zanim zegar potwierdza, że upłynęła kolejna minuta. Ile ich upłynie, zanim znowu się obudzi? Ostatnim razem zasnął na dwa tygodnie. To cholernie dużo przeklętych bananów.

* * *

Mija dzień, a po nim kolejny i jeszcze jeden. Każdego ranka, gdy w drodze do szkoły Althea przejeżdża obok domu Olivera, zwalnia i choć nie spodziewa się go zobaczyć, wciąż ma nadzieję. Kiepsko sypia i chodzi nieprzytomna, mimo iż zawsze ma przy sobie termos z kawą. Nauczyciele dokuczają jej, bo przysypia na lekcjach, i żartują, że może złapała to samo co Oliver. Uczniowie chichoczą, a ona kuli się zawstydzona, że zwróciła na siebie uwagę. W przerwie na lunch wraca do samochodu, oparta o drzwi leży na tylnej kanapie, tak jak robi to na sofie w piwnicy swojego domu, tyle że zamiast oglądać telewizję – wygląda przez okno. Nikt jej nie szuka. Nie chodzi o to, że nie ma innych przyjaciół, ale to bardziej przyjaciele Olivera niż jej. Nikomu nie mówi, jakie to niesprawiedliwe, że ten, kto radzi sobie lepiej bez innych, nie musi tego robić.

Po szkole wraca do domu i piecze ciastka cytrynowe; krzątanie się w kuchni zaprzęta jej umysł, wymaga rozproszonego skupienia, dzięki czemu w końcu może się odprężyć. W nocy od niechcenia rozwiązuje zadania matematyczne i uczy się chemii, a choć wkłada w to minimum wysiłku, osiąga pożądany rezultat, co sprawia, że odkłada pracę na bok i sięga po szkicownik. Otoczona muzyką i zapachem świeżo zatemperowanych ołówków, wyłącza tę część mózgu, która podsyła jej obrazy śpiącego Olivera. Chcąc udowodnić sobie, że jednak potrafi umiłać sobie czas, szkicuje, aż nabiera przekonania, że straciła jego poczucie, i zapełnia kolejne strony dinozaurami, które tak często widuje w snach.

Już wcześniej byli rozdzielani, jednak tym razem to coś innego. Jest inaczej niż wtedy, gdy była zmuszona wyjechać do matki, do Filadelfii, Chicago, Denver czy

innego miasta, w którym akurat pomieszkiwała Alice po opuszczeniu Wilmington. Konsekwentnie zmierzała na zachód, niczym zaraza, która powoli rozprzestrzenia się na cały kraj. Althea tęskniła za Oliverem. Brakowało jej rutynowych zajęć, wspólnych zabaw i swojskości, zwłaszcza że w świecie Alice panował ciągły chaos. Za każdym razem musiała poznać nowego chłopaka matki, jej nowych przyjaciół i nowe hobby, którym kobieta za wszelką cenę chciała zarazić córkę.

Coś zmieniło się w październiku, gdy jej ojciec, Garth, wyjechał z miasta na konferencję, a Althea za namową Olivera pragnącego pobudzić życie towarzyskie urządziła imprezę, na której piwo lało się strumieniami. Oliver przez cały dzień owijał bibeloty Gartha folią bąbelkową i wynosił je na strych. Zwinęli perskie dywany i zawlekli je do głównej sypialni. Zdecydowali, że lepiej będzie zatrzymać gości w ogrodzie na tyłach domu niż pozwolić, by wałęsali się po pokojach, szukając rzeczy, które można by zniszczyć albo ukraść. Tak oto narodził się pomysł, by wypełnić dmuchany basen dla dzieci galaretką i przekształcić imprezę w turniej zapaśniczy. Mnóstwo dziewczyn aż się paliło, by zrzucić ubrania i w samej bieliźnie taplać się w wiśniowej brei. Althea trzymała się na uboczu, sączyła paskudne piwo i żałowała, że nie pobierali opłat. Żadna ilość alkoholu nie była w stanie jej przekonać, by wkroczyła na ring – do czasu, gdy Oliver zapytał, czy naprawdę boi się nawalonych debutantek. Tego było już za wiele. Althea zdjęła sandały, weszła do basenu i czując, jak galaretka przepływa jej między palcami u nóg, ogłosiła, że jest gotowa do walki. Godzinę później wciąż pozostała niezwyknięta. Na koniec Oliver wskoczył do basenu, zaczął ją łaskotać i oboje pluskali się w galaretkę pod rozgwieżdżonym niebem Południa. Ich przemoczone ubrania kleiły się do skóry, a lepkie od galaretki ciała pachniały słodkim syropem.

Chmury pojawiły się znikąd. Niebo przecięła błyskawica. Ktoś krzyknął „Jasna cho...”, ale głos utonął w gniewnym pomruku burzy. Chwilę później lunął deszcz i wszyscy pognali w stronę domu; w tym również dziewczyny, które nie miały na sobie nic z wyjątkiem bielizny i galaretki, dziewczyny, które pozostawiały na podłogach wiśniowe odciski stóp, siadały na meblach i wycierały się ręcznikami z monogramami Gartha. Po ich wyjściu rezydencja Carterów wyglądała jak miejsce masowego mordu. Althea i Oliver zostali w basenie, moknąc i drząc za każdym razem, gdy słyszeli

grzmot. Althea wypila zaledwie kilka piw, ale udawala bardziej pijana, niz byla w rzeczywistosci, bo patrzac na rozowe struzki wody sciekajace po skroniach i nadgarstkach Olivera, uświadomiła sobie coś przerażającego: chciała, żeby ją pocałował. On jednak tego nie zrobił.

Nazajutrz, przed powrotem Gartha, Oliver trzął się jak galareta, modląc się w duchu o szybką śmierć, podczas gdy Althea upierała się, żeby zagrali w makabryczną grę w „wolałbyś” – wolałbyś patrzeć na śmierć drugiej osoby czy wolałbyś umrzeć pierwszy, wiedząc, że ta osoba będzie musiała na to patrzeć? Przez kilka godzin próbowali doprowadzić dom do porządku. W końcu Althea odesłała go z gorączką do domu. Położył się spać i przespał prawie dwa tygodnie, a kiedy go nie było, Althea zauważyła, że w jej tęsknocie dokonała się jakaś zmiana. To była inna tęsknota, podszyta niecierpliwością i oczekiwaniem. Zupełnie jakby byli w trakcie rozmowy, podczas której zamierzał powiedzieć jej coś ważnego, a ona musiała poczekać na właściwy moment, by zapytać go: „Co chciałeś mi powiedzieć?”. Tęskniła za czymś, co się nie wydarzyło i co się nie wydarzy, dopóki Oliver się nie obudzi, nie wytłumaczy się i nie skupi na niej.

Spośród wszystkich ludzi to właśnie jej matka wyczuła ową zmianę, kiedy, rozmawiając z nią przez telefon, ni stąd, ni zowąd zapytała Altheę, czy ona i Oliver śpią ze sobą.

– Nie sądzę, żeby ojciec rozmawiał z tobą o antykoncepcji – zaczęła, lecz Althea przerwała jej, tłumacząc, że dowiedziała się wszystkiego na lekcjach wychowania seksualnego. Alice nie dawała jednak za wygraną.

– Nadal nocujecie u siebie? Jesteście na to za starzy, wiesz o tym. Nie możecie spać razem w jednym łóżku, jak wtedy, gdy byliście dziećmi.

– Do tego potrzeba prawdziwej burzy hormonów.

– Są miejsca, gdzie możesz dostać pigułki. Nie musisz nawet mieszać w to ojca.

– Przecież mówię, że z nikim nie śpiam. Po co miałabym brać pigułki? – pyta Althea.

– Mogą sprawić, że urosną ci piersi.

Althea nigdy nie mówiła matce, jak bardzo wstydzi się swoich małych piersi, więc zastanawia się, jak to możliwe, że choć nie rozmawiały ze sobą od miesiąca, Alice wie

o bolączkach, o których nigdy nikomu nie wspominała. Zawstydzona oddała telefon Garthowi, który dokończył rozmowę za zamkniętymi drzwiami gabinetu. Jakiś czas później wyszedł cały czerwony i nalał sobie szkockiej. Odtąd, gdy przychodził Oliver, drzwi na dół zostawały otwarte. Przekonanie rodziców, że ona i Oliver sypiają ze sobą, albo wkrótce zaczną ze sobą sypiać, sprawiało, że leżąc wieczorem w łóżku, czuła się jeszcze bardziej niepokieszona i zachodziła w głowę, dlaczego Oliver celowo nie zwracał uwagi na to, co wszyscy dookoła uważali za pewnik.

– Między mną a Oliverem nic się nie dzieje – tłumaczyła matce, jednak zdradzała ją gwałtowność tego zapewnienia.

– Och, Thea – powiedziała Alice. – Cierpliwości.

* * *

Oliver budzi się tydzień później. Althea słyszy, jak w ciemnościach schodzi po schodach, rozpoznaje znajome kroki. Garth ma mocny sen, a Oliver od lat posiada własne klucze do mieszkania Carterów. Jeśli wierzyć zegarowi na dekodерze kablówki, dochodzi trzecia. Oliver siada na skraju łóżka i obejmuje ją w talii.

– Jesteś tu – mruczy Althea, przewracając się na plecy. Kołdra zsuwa się, a podkoszulek, w którym śpi, jest mocno podwinięty. Chłopak delikatnie gryzie ją w ramię. – Kiedy się obudziłeś?

– Jestem głodny – mówi. – Zjadłbym coś z Waffle House.

– W Waffle House mają paskudne żarcie.

– Mam ochotę na coś z Waffle House. – Jego oczy są szkliste i opuchnięte, a powieki mają dziwny fioletowy połysk. Lodowate palce Olivera błędzą po jej nagim kolanie, sprawiając, że noga Althei pokrywa się gęsią skórką, a krótkie włoski stają na baczność.

– Ale ty nie cierpisz Waffle House – tłumaczy mu.

– Mam to gdzieś.

– Nie mogę zrobić ci zwykłej kanapki?

– Nie, to musi być Waffle House. – Oliver obejmuje kolana rękami i kołysze się w przód i w tył. – Gofry, gofry, gofry – nuci głosem małego chłopca, którego nie

słyszała od czasu, gdy uczyli się jeździć na rowerach. Wiedziała, że po przebudzeniu będzie zdenerwowany, ale nie spodziewała się, że zacznie zachowywać się jak dziecko.

– Dopiero się obudziłeś? Czy Nicky wie?

– Gofry, gofry, gofry. – Powtarza to słowo tak wiele razy, że lada chwila rozpadnie się na kawałki i straci znaczenie. Teraz i ramiona Althei pokrywają się gęsią skórką. Siła, z jaką Oliver się kołysze, sprawia, że sofa zaczyna drżeć. To do niego niepodobne i Althea robi wszystko, byle tylko przestał śpiewać tę upiorną piosenkę.

– Dobrze już – mówi powoli. – Skończ z tym, to skołujemy ci te cholerne gofry.

Ześlizguje się z sofy i zakłada spodnie w najciemniejszym kącie piwnicy.

– Jak jest na zewnątrz? – pyta.

– Zimno – odpowiada Oliver. – Przejdźmy się – prosi, widząc, że Althea sięga po kluczyki do samochodu.

Idąc do tylnego wejścia, Althea spina włosy w koński ogon. Kiedy jest gotowa, Oliver bierze ją za rękę i razem ze swoją wsuwa do kieszeni. Nie odpowie na żadne z jej pytań, ale tęsknota Althei była tak wielka, że na razie wystarczy jej spacer w świetle ulicznych latarni, obłoczki pary, które z każdym oddechem uciekają spomiędzy warg Olivera i dotyk jego dłoni w kieszeni czarnej bluzy. Noc jest bezchmurna i pachnie oceanem.

Oliver się nie odzywa. Dwukrotnie odśpiewuje *Welcome to the Jungle*, milknąc w miejscach, gdzie w oryginale słychać gitarę. Ściągną na jego szyi są napięte jak postronki.

– Dobrze się czujesz? – pyta Althea, kiedy bis dobiega końca. To głupie, prozaiczne pytanie, ale czuje, że powinna coś powiedzieć.

– Jestem głodny – odpowiada Oliver.

Logo Waffle House wygląda, jakby ułożono je z ogromnych płytek do gry w Scrabble. W środku pachnie syropem i papierosami. O tej porze klienci to głównie kierowcy ciężarówek i studenci college'u, pochłonięci nocnymi rozmowami. Althea i Oliver zajmują miejsca obok siebie – Oliver siada przy oknie – i kładą nogi na siedzeniu naprzeciwko. Tenisówki skrzypią na winylowej tapicerce. Mają tak samo długie nogi. Przez pierwszą połowę liceum Althea była wyższa, ale Oliver dogonił ją

w ciągu ostatniego roku. Dzinsy, które dziewczyna ma na sobie, tak naprawdę należą do niego.

Do stolika podchodzi kelnerka, drobna, rudowłosa kobieta z diastemą. Jej twarz i ramiona upstrzone są piegami. Przyjmuje zamówienie.

– Zaraz przyniosę kawę – oznajmia.

Oliver posyła Althei gorączkowe spojrzenie i szarpie ją za nogawkę.

– Umieram z głodu – mówi.

– Rozumiem.

W końcu na stole – jedno danie po drugim – pojawia się zamówienie Olivera – gofry z orzechami pekan, omlet z serem i bekonem i babeczki ziemniaczane z kaszą kukurydzianą. Althea popija kawę, podczas gdy Oliver je, otaczając talerze ramieniem, jakby się bał, że lada chwila zechce mu je zabrać. Je głośno i nie podnosząc wzroku znad talerza, w milczeniu pakuje do ust kolejne porcje. Kawałek przeżutego gofra spada z powrotem na talerz i ląduje w miejscu, gdzie syrop klonowy spływa na babeczki. Althei zbiera się na wymioty i pospiesznie spogląda ponad jego ramieniem na widoczną za oknem ruchliwą autostradę i własne upiorne odbicie.

Po wszystkim kelnerka sprząta ze stołu i zostawia rachunek. Oliver przeciąga się i ziewa.

– Chryste, ale jestem zmęczony.

– Właśnie przespałeś cały tydzień.

Słuchając jej, Oliver kładzie głowę na ramieniu Althei. Jego oddech staje się ciężki i Althea dopiero teraz uświadamia sobie – milę od domu, bez samochodu, w środku nocy – że się pomyliła. To wcale nie koniec, Oliver nie wrócił. Przyszedł do niej w środku jakiegoś dziwnego antraktu, który właśnie dobiega końca. Lada chwila światła zgasną i rozpocznie się akt drugi.

– Chodź. – Althea chwyta leżący na stole rachunek.

– Dobrze mi tu. – Oliver wyciąga się na siedzeniu, kładzie głowę na jej kolanach i wsuwa ręce pod brodę.

– Nie ma mowy. No już, wstawaj.

– Przecież mówię, że mi tu dobrze – powtarza poirytowany.

Z głową Olivera na kolanach Althea nie może dosięgnąć portfela.

– Wstawaj – mówi.

Stojąca za ladą kelnerka zaczyna się im przyglądać.

Oliver nie reaguje, więc Althea chwyta go za kołnierz, szarpnięciem podnosi do pozycji siedzącej i opiera o szybę.

– Powiedziałem, że jestem zmęczony! – krzyczy Oliver, odpychając jej ręce.

Althea ściąga łopatki i zawstydzona spogląda na widoczne w szybie rozmyte odbicia klientów. Uświadamia sobie, że wszelkie rozmowy ucichły jak nożem uciął. Studenci zapomnieli o papierosach, które powoli dogasają w popielniczkach, ubrani w czapeczki bejsbolowe bruchaci mężczyźni o silnych ramionach zaciskają palce na blatach stolików, szykując się do ewentualnej interwencji. Na stojącym za kontuarem grillu skwierczą frytki i ściekający z bekonu tłuszcz, tymczasem odziany w poplamiony fartuch kucharz stoi bez ruchu z łopatką w ręce, jakby zastanawiał się, czy – w razie potrzeby – posłuży mu ona za broń. Z szafy grającej sączy się senna piosenka country.

Kofeina sprawia, że Althea zaczyna drżeć. Jej ciało nie jest w stanie regulować temperatury. Wilgoć pod pachami moczy jej bluzę, ale ręce ma lodowato zimne i czuje się, jakby nie miała żołądka. Roztrzęsiona szuka materiałowego portfela ozdobionego haftowaną trupią czaszką, skrzyżowanymi piszczelami i kilkoma prującymi się czerwonymi różami. Nieznośną ciszę przerywa dźwięk rozpinanych rzepów. Ludzie zaczynają szeptać, gdy Althea przelicza sfatygowane banknoty. Głowa Olivera opada z powrotem na popękany czerwony winyl.

– Nie rób tego – ostrzega go, ale powieki chłopaka same się zamykają. Dopiero gdy kopie go w piszczel, Oliver reaguje.

– Co jest, do jasnej cholery?! – wrzeszczy. Wymachując rękami, przewraca butelki z ketchupem i pikantnym sosem; syrop klonowy ląduje na podłodze i słodką kałużą rozlewa się po imitującym drewno linoleum. Althea pospiesznie podnosi plastikowy dzbanek spod stołu, ale Oliver wyrywa go z jej lepkich palców i ciska w drugi koniec restauracji. Dziewczyna bezradnie patrzy, jak naczynie ląduje na grillu. Przypalony plastik skwierczy jak oszalały, a w górę strzelają obłoki pary o słodkim klonowym zapachu. Kucharz rzuca łopatkę, odskakuje w tył i zakrywa twarz ramieniem. W tej samej chwili znad grilla bucha kłęb fioletowoczarnego dymu, a powietrze wypełnia mdławy, słodkawy zapach. Althea klnie pod nosem, jej serce tłucze się jak oszalałe.

Zostawia na stole plik wilgotnych pieniędzy, chwytając Olivera za nadgarstek i ciągnie za sobą w stronę wyjścia, modląc się w duchu, by ludzie, których mijają po drodze, nie byli studentami jej ojca. Siedzący przy stolikach kierowcy ciężarówek płochliwie kulą ramiona.

Althea biegnie i tym razem Oliver próbuje dotrzymać jej kroku. Niebo po drugiej stronie autostrady zaczyna się rozjaśniać. Nie zwalniając uścisku na nadgarstku Olivera, ciągnie go za sobą w świetle reflektorów i w oparach spalin. Uliczny zgiełk zostaje w tyle, kiedy skręcają z głównej drogi i kłuczą wśród wąskich podmiejskich uliczek, gdzie jedynym dźwiękiem jest ich własny urywany oddech i gumowe mlaskanie butów na asfalcie. Dopiero nieopodal domu zwalnia i zaczyna iść.

Na podjeździe przed domem Olivera zgina się wpół i próbuje złapać oddech. Włosy wysunęły się z gumki i jasną grzywą spadają jej na twarz.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pyta zdyszany Oliver.

Althea spogląda na niego z niedowierzaniem zza kurtyny włosów.

– O czym ty mówisz?

– Wpakowałaś nas w kłopoty. Dlaczego to zrobiłaś? – krzyczy, wydymając wargi.

– Ciszej. – Althea prostuje się i rozgląda dookoła, jakby czekała, aż w oknach sypialni zapalą się światła, a sąsiedzi zaczną wyglądać zza zaciągniętych zasłon.

– Nie powinnaś była tego robić! – wrzeszczy Oliver.

– Nic nie zrobiłam. Po prostu wejdź do środka. Zachowujesz się jak wariat. – Kiedy się odwraca, Oliver chwytając ją za rękę i zmusza, by na niego spojrzała.

– Dlaczego to zrobiłaś? – powtarza. W jego spokojnym głosie czai się groźba. Lampa z czujnikiem ruchu włącza się i wyłącza.

– Wejdź do środka, Oliver. Ja idę do domu. – On jednak wzmacnia uścisk i przyciąga ją do siebie. Althea patrzy na niego tak, jak chwilę temu klienci Waffle House: jak na świra, dziwaka albo niebezpiecznego szaleńca.

– Dokąd idziesz? – pyta Oliver. Wsuwa rękę pod rękaw jej bluzy i boleśnie chwytając ją za łokieć.

– Już powiedziałam, McKinley. Idę w cholerę, do domu.

– Daj spokój, Carter. Wiesz, że nienawidzę spać sam.

W świetle wiszącej nad garażem lampy widać delikatny zarost na policzkach i szyi

Olivera. Dziewczynę przeraża jego lubieżny uśmiech. Nigdy tak na nią nie patrzył, bez względu na to, jak bardzo tego pragnęła. Pożądliwe spojrzenie wygląda groteskowo i Althea wstydzi się za swojego Olivera, nie za tego oszusta z jego twarzą i rękami, z których jedna nadal zaciska się na jej ramieniu. Ale kim jest ten człowiek, jeśli nie Oliverem? Kto jest w środku? Światło na podjeździe znowu się wyłącza, a Althea odwraca się, gotowa odejść. Jednak palce Olivera zwierają się jeszcze mocniej, sprawiając jej autentyczny ból.

– Puść mnie! – krzyczy Althea. Nie obchodzą jej sąsiedzi ani to, że niebo nad ich głowami zmienia barwę na coraz jaśniejszą. Ulicą obok toczy się śmieciarka. Oliver puszcza jej ramię, ale robi to zbyt gwałtownie. Althea zatacza się w tył, jak odepchnięta, i w ostatniej chwili łapie równowagę. Chłopak próbuje jej pomóc, ale odtrąca jego rękę. Robi to niezdarnie, jednak na tyle mocno, że czuje w dłoni nieprzyjemne pieczenie.

– Jestem taki zmęczony. – Mówiąc to, Oliver klęka na chodniku. – Jestem taki zmęczony.

– Wstań – szepcze Althea i szarpnięciem próbuje postawić go na nogi. Ale ciało Olivera jest bezwładne. Nie jest już agresywny i osuwa się na bok. Śpi. Althea podtrzymuje go, czekając, aż dotknie policzkiem ziemi, a strużka śliny ścieknie na upstrzony plamami cement. Siada przy nim, nie zwracając uwagi na chłód, który przenika przez spodnie.

Drzwi frontowe otwierają się i na ganek wychodzi Nicky, matka Olivera. Światło z przedpokoju podświetla jej długie brązowe włosy.

– Dlaczego wrzeszczycie na siebie przed moim domem jak jakaś biała hołota? – szepcze poirytowana. Patrzy na nieprzytomnego Olivera. – Zasnął?

– Tak.

Nicky schodzi po schodach jak do płytszej części basenu – ostrożnie, z gracją, jedną ręką trzymając się poręczy.

– Pomóż mi zabrać go do środka. Czuję na sobie wzrok sąsiadów.

– Jak go weźmiemy? Za nogi i ręce?

– To nie zwłoki, Althea. Zarzuć sobie na szyję jego ramię. – Wspólnymi siłami stawiają go na nogi. – No, dalej, Ol, pomóż nam trochę.

Oliver zatacza się, stęka i niemal wyślizguje się im z rąk.

– Niewiarygodne – mruczy Nicky.

Prowadzą śpiącego Olivera do domu i zostawiają go na kanapie. Choć Nicky ma na sobie piżamę – obcięte spodnie od dresu i termoaktywną koszulkę z długim rękawem – Althea odnosi wrażenie, że wcale nie spała. Patrzy, jak kobieta okrywa syna szenilową narzutą i czeka na jej reakcję, znak, że powinna już iść. Albo zostać.

– Przepraszam – mówi w końcu. – Przyszedł do mnie do piwnicy i powiedział, że chce pójść do Waffle House. Nie wiedziałam, że... że nadal jest chory, więc go tam zabrałam.

– Czasami się budzi, ale dziwnie się zachowuje. Nie jest sobą. Sama zresztą widziałaś. Może pójdziemy do kuchni? Zaparzę herbaty.

Kuchnia pachnie jak Nicky – jaśminem, wodą różaną i tytoniem. Kobieta robi przedramieniem miejsce na stole zawalonym starymi numerami „New York Timesa” i gumowymi piłeczkami, które służą jej do ćwiczenia dłoni. Na lodówce wciąż wiszą rysunki, które Oliver namalował w szkole podstawowej, pożółkłe i pozwijane na brzegach. Przedmioty, które zbyt długo leżały w jednym miejscu, przywodzą na myśl pokryte grubą warstwą pyłu artefakty z ery wulkanicznej. Rośliny doniczkowe i ceramiczne figurki gekonów i żab ryczących stoją na parapetach, pod wyblakłymi od słońca truskawkowymi firankami. Na skraju zlewu, oparta o stos brudnych naczyń, tkwi zardzewiała konewka. Pełen okruchów opiekacz do grzanek słygnie z tego, że od czasu do czasu staje w ogniu. Papieros Nicky dopala się w drewnianej rzeźbionej popielniczce. Nicky nie ma nawet czterdziestki i choć minęło dziesięć lat, odkąd zmarł ojciec Olivera, wdowieństwo jej nie postarzyło. Raczej uwięziło we wczesnej dorosłości, pełnej papierosów, huśtawek nastroju i zachowań aspołecznych. Mimo że nie brakuje jej adoratorów, Nicky niezwykle rzadko wychodzi z domu i choć skarży się na milczące osądy sąsiadów, czasami sprawia wrażenie, jakby rzucała im wyzwanie, zachęcając, żeby ją odwiedzili, uczesali jej włosy, skosili trawnik i opróżnili popielniczki. Dziecięce plany Althei i Olivera, żeby zeswatać rodziców, legły w gruzach w zderzeniu z niezgodnością charakterów tak wielką, że była oczywista nawet dla ośmiolatków. Jediną osobą, w której towarzystwie Nicky czuje się dobrze, jest Althea, uwielbiająca jej opowieści o zamierzonych czasach, kiedy Nicky

mieszkała na Manhattanie, w miejscu zwanym Alphabet City, zarabiała na życie wyprowadzaniem psów na spacer i kupowała ubrania na kilogramy w jednym z brooklińskich lumpeksów. Od czasu do czasu odwiedzają ją Sarah i Jimmy, przyjaciele z tamtych lat i tamtego życia. W tym życiu Nicky jest masażystką w ekskluzywnym spa i całymi dniami otwiera czakry najbogatszych mieszkańców Karoliny Północnej, a wieczorami przesiaduje na ganku i z telefonem przy uchu rozmawia z Sarah.

Althea popija herbatę. Pod cienkim materiałem koszulki widzi zarys brodawek Nicky i pospiesznie odwraca wzrok.

Nicky zaciąga się papierosem i wypuszcza dym.

– Jutro... to znaczy dziś po południu zabiorę go do lekarza. Problem w tym, że nie bardzo wiem do którego. Ale obiecuję, że więcej nie przyjdzie do ciebie w środku nocy.

Zdaniem Althei to wcale nie jest dobra wiadomość. Czy to możliwe, że woli takiego Olivera od żadnego? Odpowiedź jest tak oczywista, że nawet przez chwilę się nie zastanawia.

– Nie spodobałoby mu się to. Gdyby wiedział, jak się dziś zachowywał, wcale by mu się to nie spodobało. Byłoby mu wstyd.

– W dniu, kiedy wstyd będzie jego największym problemem, będę przeschęśliwa. Nie znam nikogo, kto umarłby z upokorzenia. Przysięgam.

Zapada cisza i Althea jest przekonana, że obie myślą o tym samym: wyliczają w duchu wszystkie niewidoczne rzeczy, które mogą przyczynić się do śmierci nastoletniego chłopaka albo namieszać mu w głowie. Po chwili Nicky kręci głową i gasi papierosa.

– Nie dramatyzujmy – rzuca. – To zdarzyło się tylko dwa razy. A tak w ogóle, nie powinnaś czasem szykować się do szkoły?

* * *

Tego popołudnia na bieżni Althea zajmuje miejsce na linii startu, poprawia sznurowadła i wiąże włosy w kucyk. Obok niej, na linii, stoją cztery koleżanki

z drużyny i choć nie ignoruje ich celowo, nie próbuje nawiązać rozmowy. Oliver proponował, żeby spróbowała lacrosse albo hokeja na trawie, twierdząc, że mogłaby polubić sport, gdzie ma do dyspozycji kij i może go użyć przeciwko innym, jej jednak nie interesują gry zespołowe czy strategie. Jej wysokie, smukłe ciało jest wręcz stworzone do szybkości, upiera się więc przy biegni.

Znad Atlantyku nadciągają brudnoszare deszczowe chmury, powietrze jest duszne i przesiąknięte wilgotnym chłodem, który przenika człowieka aż do kości. Althea kręci ramionami, żeby pobudzić krążenie i leniwym wzrokiem spogląda na rozstawione na całej długości bieżni płotki. Płotki i sprint to dwie najlepsze rzeczy; są trudne do pokonania i szybkie, i pozwalają się jej wyłączyć.

Pierwszy raz przeskoczyła przez przeszkodę na nocnym spacerze z Oliverem w centrum miasta, kiedy natknęli się na pomarańczowo-biały kozioł, porzucony po dawnej budowie na jednej z bocznych uliczek. Chodziło o wyzwanie, zakład albo jakąś nagrodę i chwilę później Althea gnała ulicą. Niczym lotkę, o której wiesz, że trafi w sam środek tarczy, zaraz po tym jak wypuścisz ją z ręki, Althea zobaczyła siebie, jak przeskakuje ponad kozłem i rzeczywiście to zrobiła, z włosami łopoczącymi za nią niczym sztandar, niemal nie słysząc radosnych okrzyków Olivera.

Dziś to tylko ćwiczenia – spotkanie inauguracyjne odbędzie się dopiero za dwa tygodnie – mimo to zerka na trybuny, skąd zwykle obserwuje ją Oliver. Oczywiście, dziś go tam nie ma, ale trenerka podnosi do ust gwizdek, więc Althea szykuje się do startu. Czuje się, jakby ktoś bez przerwy zrzucał jej żołądek ze schodów.

Trenerka gwizdzie i Althea zrywa się do biegu. Jej ramiona i nogi pracują niczym tłoki, kiedy zbliża się do pierwszego płotka i skacząc nad nim, czuje zdumiona, że zawadziła o przeszkodę czubkami palców. Zbliżając się do kolejnego płotka, nadal rozpamiętuje swój błąd i choć bez wahania pokonuje przeszkodę, traci równowagę i biegnie teraz na przedostatniej pozycji. Zamiast przyspieszyć, pokonuje kolejne przeszkody z coraz większą ostrożnością, jakby próbowała odzyskać panowanie nad sobą i pewność siebie. Zastanawia się nad czymś, co nie powinno zaprzętać jej myśli, i jako ostatnia wbiega na metę, z twarzą pąsową ze wstydu.

Poci się, nie dlatego, że biegła, ale z nerwów i ogarniającej ją paniki. Koleżanki z drużyny nie posyłają jej krzepiących uśmiechów i nie oferują słów pocieszenia.

Dopiero po chwili uświadamia sobie, że to brak zainteresowania z jej strony spowodował tę jawnie okazywaną jej niechęć. Żadna się nie śmieje i żadna nie uśmiecha się do niej z wyższością, ale Althea wie, że z matematycznego punktu widzenia są duże szanse, że przynajmniej jedna z czterech nowych dziewczyn cieszy się z tego publicznego pokazu nagłej i niespodziewanej niekompetencji. Próbuje odgadnąć, która to – skłania się ku Mary Beth, bo ta od lat podkochuje się w Oliverze – więc w pierwszej chwili nie słyszy, jak trenerka przywołuje ją do siebie.

– Carter! – krzyczy i każe jej podejść do linii bocznej.

Althea podbiega do niej posłusznie. Lubi trenerkę tak jak każdego, kto nie jest Garthem, Oliverem czy Nicky, czyli mniej więcej tak, jak całą resztę ludzkości. Ta kobieta w średnim wieku, z krótkimi siwymi włosami i tak wystającym obojczykiem, że od samego patrzenia robi się Althei niedobrze, pochodzi sprzed generacji nauczycieli, którzy chętnie przyjaźnią się ze swoimi uczniami. Nigdy nie powiedziała, jak ma na imię, nie zdradziła żadnego szczegółu z życia osobistego, nie bierze udziału w szatniowych ploteczkach i nie patrzy na dziewczyny ze słabo skrywaną rodzicielską czułością, jakże widoczną w innych drużynach sportowych. Obustronny brak zainteresowania bardziej sentymentalnymi aspektami licealnej drużyny lekkoatletycznej zaowocował nieskomplikowanym, szorstkim porozumieniem, które napawa Altheę dziwną dumą, że nawet od własnej trenerki wymaga tak niewiele.

– Tak, proszę pani – mówi.

– Co tam się stało?

– Nie widziałam.

– Płotków? – Zdumiona trenerka spogląda na tor, jakby chciała się upewnić, że kampus nie utonął w jakiejś tajemniczej mgle.

– Nie, proszę pani. Chodzi o to, że... tym razem nie potrafiłam wyobrazić sobie, jak skacze.

Trenerka skwapliwie kiwa głową.

– Spalasz się. Za bardzo się nad tym zastanawiasz. Przestań.

– Nie mogę się skupić.

– Za bardzo się skupiasz.

– Tak, proszę pani. Jak mam przestać?

Pozostałe płotkarki stoją w kole na linii startu, rozmawiają i czekają na dalsze instrukcje. Reszta drużyny rozłożyła się na trawie, rozciągają ścięgna podkolanowe i wewnętrzną stronę ud.

– Musisz wyzwolić umysł. Jak wtedy, gdy zamykasz oczy i szykujesz się do snu. Tak samo, tyle że na stojąco. I z otwartymi oczami.

Przerażona Althea myśli o wszystkich bezsennych nocach, kiedy leżała w łóżku i za żadne skarby nie potrafiła zrobić tego, o czym mówi trenerka.

– Dobrze, proszę pani – przytakuje.

Chwilę później wraca na swoje miejsce na linii startu. Gotowa do biegu, próbuje rozluźnić umysł. Przygląda się palcom rozcapierzonym na czerwonym jak glina torze i traci ostrość widzenia, jak wówczas, gdy z Oliverem patrzą sobie w oczy, czekając, kto pierwszy mrugnie, ale mózg odmawia jej posłuszeństwa. Coś jest nie tak. Ma wrażenie, że jej talent przepadł. Czuje go jak fantomowy ból po utracie kończyny, ma świadomość, że zniknął z krótkiej listy jej atutów, i jest przekonana, że straciła go na zawsze.

Trenerka gwizdże, jednak tym razem Althea ignoruje chęć wyrwania się do przodu i biegu z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Zamiast tego patrzy, jak pozostałe dziewczęta okrążają tor, aż w końcu odwraca się i nie zważając na okrzyki trenerki, opuszcza boisko.

Rozdział 2

Zła wiadomość, Oliverze, jest taka, że to się znów powtórzyło. Dobra jest taka, że lekarze nie wiedzą, co ci jest – mówi Nicky.

- To znaczy, że nie wiedzą, dlaczego ciągle zasypiam?
- Ich zdaniem jesteś okazem zdrowia.

Matka Olivera siedzi przy stoliku na werandzie i obsesyjnie zwija tytoń w cienkie bliźniacze papierosy, tworząc z nich piramidę obok opróżnionej w połowie butelki pinota noir. Słońce chyli się ku zachodowi, wciąż jednak prześwieca przez gałęzie magnolii, od których wzięła nazwę ulica. Popielniczka Nicky pełna jest białych papierosowych końcówek, które zdaniem Olivera są zbyt delikatne, by zasługiwać na miano „petów”. Jej kieliszek z winem stoi na pierwszej stronie „New York Timesa”. Kiedy go podnosi, jej oczom ukazuje się łańcuszek zachodzących na siebie czerwonych kółek, powstałych w miejscach, gdzie włókna chciwie wessały wilgoć. Nicky równie ochoczo wypija zawartość kieliszka.

– O co chodzi z tym systemem alarmowym? – Oliver zauważył go, wychodząc z domu: czysty elektroniczny panel, futurystyczny dodatek do pokoju gościnnego. – Wcześniej go nie mieliśmy. Kiedy go założyłaś?

– Kilka tygodni temu – przyznaje Nicky. – Żeby mieć pewność, że się nie oddalisz.

Zwrot „oddalić się” sprawia, że Oliver myśli o sześciolatkach prowadzanych na smyczy po centrach handlowych.

– Ale przecież spałem.

– Czasami muszę cię budzić, żebyś coś zjadł i poszedł do łazienki. Czasami budzisz się sam i znajduję cię w kuchni, jak robisz sobie kanapki albo zajadasz się lodami. Kiedy skończysz, znowu zasypiasz.

– Jak zabrałaś mnie do lekarza?

– Nie było łatwo – przyznaje Nicky.

– Jak to możliwe, że niczego nie pamiętam?

– Nie wiem. Ostatnim razem też tak było.

– A co z pracą? Chcesz powiedzieć, że przez trzy tygodnie nie chodziłaś do pracy?
– pyta Oliver.

– Wstawiłam do pustego pokoju stół do masażu i niektórych klientów przyjmowałam w domu.

Światło słoneczne sprawia, że Oliver czuje w ustach metaliczny posmak, jakby przeżuwał kawałek folii aluminiowej. Obudził się niespełna godzinę temu, a już ogarnia go niepokój graniczący ze zmęczeniem. Patrzy na swoją matkę, werandę i dzielnicę, i choć wszystko wydaje się takie samo, ma wrażenie, że coś jest nie tak, zupełnie jakby trafił na plan filmowy stworzony, by uwierzył, że znajduje się we właściwym miejscu. Jest początek kwietnia, oficjalnie nastąpiła już wiosna i choć rozumie, że minęły trzy tygodnie, odkąd zasnął w laboratorium chemicznym, czym innym jest widzieć datę w gazecie Nicky, a czym innym pogodzić się z faktem, że zgubił dwadzieścia jeden dni tak, jak gubi się klucze. Silniejszy podmuch wiatru przetacza się przez werandę niczym fala, wprawiając w ruch dzwoneczki wietrzne. Oliver nienawidzi ich cudacznego stukania, które tak dobrze naśladuje Althea, kiedy chce go zirytować. Zwykł mawiać, że dzwoneczki wietrzne powinny brzmieć jak dzwony kościelne, a nie jak upiorne mlaskanie, które kojarzy się człowiekowi z plastikowym szkieletem w pracowni biologicznej. Ból głowy pulsuje groteskowo tuż nad brwiami.

Za pierwszym razem było to bardziej dziwne niż przerażające. Przez dwa tygodnie spał i gorączkował, i nagle wszystko się skończyło. Obudził się z uczuciem niepokoju. Wiedział, że śnił całe mnóstwo niewartych zapamiętania, nieciekawych snów, co jeszcze bardziej utwierdziło go w przekonaniu, że spędził w łóżku więcej czasu, niż zwykle pozwalała Nicky. Jedyne, co zapamiętał, to obraz Nicky, która siedziała na łóżku odwrócona do niego plecami. „Bierzesz narkotyki? – pytała odwracając się gwałtownie. – Jeśli bierzesz narkotyki, zabiję cię”. Mówiła to tym samym poirytowanym głosem, jaki słyszał, kiedy zbyt długo wystawał przed otwartą lodówką. Następnie poddano go nakłuciu lędźwiowemu, rezonansowi magnetycznemu i tomografii komputerowej, a kiedy nic nie wykazały, lekarze uznali to za dobry znak. Opuścił egzaminy śródsemestralne i ostatnie dwa tygodnie sezonu piłkarskiego, ale nadrobienie zaległości nie było rzeczą niemożliwą i Oliver dokładał wszelkich starań, by żyć normalnie, jakby nic się nie stało.

Drugi raz jest trochę inny. Sam fakt, że coś zdarza się po raz drugi, ma w sobie pewną powagę i – z tego, co zdołał zauważyć – wystarczy, by wystraszyć Nicky. Odkąd Oliver wie, że nie jest to guz mózgu, tętniak ani nic, co sprawi, że jego komórki będą mnożyły się w zastraszającym tempie, bardziej niż testów boi się czekania na wyniki. Wie, że im więcej czasu będzie spędzał w szpitalu, tym bardziej oboje będą wierzyli, że jest chory. Będzie chorym dzieckiem swojej matki. A Nicky będzie matką chorego dziecka. To zbyt straszne, by o tym myśleć.

Oliver to dzieciak, którego wszyscy określają mianem „bystry”. Takim jak oni pokazuje się pracę domową z matmy, żeby tuż przed lekcją sprawdzili, czy dobrze rozwiązałeś zadanie. Dobre stopnie przychodzą mu łatwo; nawet dłuższa nieobecność nie zagraża stypendium na Akademii Cape Fear. Najbardziej lubi nauki ścisłe. To, co brzmi jak filozofia – teoria chaosu i teoria strun, bezustanne poszukiwanie jednolitej teorii pola, która stworzy szczęśliwy związek z teorią względności i fizyką kwantową, hiperprzestrzenią, ciemną materią i fundamentalnym, wielkim projektem wszechświata – jest szczegółowo poparte równaniami i wzorami. Nadal jest to matematyka. Każde udowodnione naukowo prawo ma swój początek w zagadce, która – wbrew wszelkim przewidywaniom – zostaje rozwiązana. Niestety, wiedza ta nie przynosi Oliverowi zbyt wiele pocieszenia, kiedy kolejny zdumiony lekarz bierze Nicky na stronę i pyta, czy jest pewna, że jej syn nie zażywa narkotyków, a w końcu przepisuje ritalin.

Dzwoni telefon. Oliver sprawdza, czyje nazwisko pojawia się na wyświetlaczu.

– To alternatywny wszechświat – mówi, wręczając telefon Nicky; oto jak określa tę część rodziny, która została na Manhattanie, kiedy McKinleyowie przeprowadzili się do Wilmington w Karolinie Północnej, część nietkniętą, gdy oni cierpieli po śmierci ojca Olivera. Dawno temu byli przyjaciółmi z północy – Sarah, Nicky, Jimmy i Mack – i Oliver zastanawia się czasami, jak wyglądałoby jego życie, gdyby dorastał w mieście liczącym osiem milionów mieszkańców, gdyby Nicky nie opuściła miejsca, które tak bardzo kochała, i gdyby nie owdowiała przed trzydziestką. Czy gdyby dorastał, jeżdżąc metrem i autobusami, a nie rowerem i na deskorolce, byłby tym samym Oliverem, którym jest dziś? I jaką część siebie straciła Nicky w dniu, gdy jego ojciec zginął w wypadku samochodowym?

– Idę do Althei.

Schodzenie z piętra sprawia, że bołą go łydki, i przypomina, że przez ostatnie trzy tygodnie jego mięśnie nie pracowały. Odwraca się w stronę matki, która patrzy na niego, ignorując dzwoniący telefon.

– Dlaczego się martwisz? Lekarze mówią, że nic mi nie jest.

* * *

Dom Althei pełen jest antyków i rozmaitych przedmiotów – przycupnięte na niskich mahoniowych stolikach kryształowe wazony rzucają pryzmaty zimnego światła na perskie dywany; na szklanych regałach leżą gliniane dzbanki, groty strzał i pradawne terakotowe płytki – które jej ojciec, Garth, przywoził jako pamiątki ze swoich licznych podróży. Althea nigdy mu nie towarzyszyła. Oliver porusza się wśród tych zabytków z obsesyjną ostrożnością, chwiejnym krokiem podążając za zapachem popcornu, który prowadzi go do drzwi piwnicy.

Althea siedzi na kanapie, trzymając na kolanach szkicownik. Na widok Olivera ze zdumienia otwiera szeroko oczy, a jej ręka zawisa nieruchomo nad kubkiem z ołówkami.

– Mam gdzieś, jak bardzo jesteś głodny. I tak nie pójdziemy do Waffle House. – Mówiąc to, wskazuje czerwoną ceramiczną miskę z popcornem. – Częstuj się, jeśli masz ochotę.

– Kto mówił coś o Waffle House? Mają tam paskudne żarcie – odzywa się Oliver.

– Chwała Bogu, znów jesteś sobą. – Althea wyciąga ręce, a on pada na kanapę, wprost w jej ramiona. Szkicownik i ołówki lądują na podłodze. – Dzięki ci, słodki Jezu, że oddałeś mi mojego Olivera. Dziękuję ci. Dziękuję. Jak się czujesz? Nic ci nie jest? Dopiero się obudziłeś?

Oliver bierze głęboki wdech, rozkoszując się zatechłą wonią ich nieformalnej siedziby głównej. Piwnica Althei jest miejscem, do którego trafiają meble, by dokonać żywota, gdzie można bezkarnie rozsypywać jedzenie i do woli chodzić po dywanie. Poduszki kanapy są wyschnięte i popękane, sztuczna czarna skóra odłazi płatami, odsłaniając szarą tkaninę, co nie przeszkadza Althei spędzać na niej większości nocy. Po obu stronach stoją sfatygowane wiekowe stoliki, a naprzeciw telewizor, który

nagrzewa się przez dobrą minutę i cały się przy tym trzęsie. W kątach, jedno na drugim, piętrzą się kartonowe pudła, do których co roku trafiają choinkowe ozdoby, kostiumy na święto Halloween i sprzęt turystyczny. Nawet taśma izolacyjna ratująca rozkładany fotel z podnóżkiem niszczyje, gubiąc lepkie srebrzyste nitki, które po powrocie do domu Oliver znajduje na ubraniach.

Zaciskając powieki, wtula twarz w szyję Althei, gdzie najmocniej czuć zapach szamponu kokosowego i niewyraźną woń mydła. W odpowiedzi Althea gładzi go po włosach i wydaje z siebie serię pocieszających odgłosów.

– Dlaczego pomyślałaś, że będę chciał pójść do Waffle House?

– Rozumiem, że Nicky nie powiedziała ci o naszym wypadzie?

– Nie, ale zainstalowała alarm, żeby coś takiego się więcej nie powtórzyło. O co właściwie chodzi?

– Obudziłeś mnie w środku nocy i oznajmiłeś, że jesteś głodny. Uparłeś się, żeby pójść do Waffle House. Chciałam wybrać coś mniej niezdrowego. Ale to było jak... Pamiętasz badania nad otyłością, o których uczyliśmy się na biologii? Te z grubymi myszami? Właśnie tak to wyglądało.

W trakcie badań naukowcy usunęli gen, który każe zwierzętom przestać jeść, kiedy są najedzone. Myszy w grupie kontrolnej z niezmienionym chromosomem pozostały szczupłe i pełne życia, podczas gdy te z grupy eksperymentalnej utyły tak bardzo, że przypominały futerkowe purée. Na zdjęciach nie było nawet widać ich łapek. Zbliżenie pyszczka tłustej myszy ukazywało udręczone spojrzenie, które zdawało się mówić „pomóż mi, proszę”, a zarazem błagało „nakarm mnie”.

– I tak się zachowywałem? – pyta Oliver. – Jak udręczony żarłoczny gryzoń?

– Gdybym miała wymienić wszystko, co zjadłeś tamtej nocy, porzygałbyś się. Ale nie chodzi o jedzenie. Zupełnie straciłeś nad sobą kontrolę – mówi, podając mu szkicownik. – Narysowałam to dla ciebie.

Oliver wyrywa jej go z rąk i przegląda stare rysunki, na których jadą samochodem Althei, leżą na plaży i tańczą razem w Lucky's. To uchwycone przez nią przypadkowe wydarzenia ubiegłego roku. Althea snuje opowieść, podczas gdy Oliver przygląda się rysunkom z tamtej nocy. Oto on, wchodzi do piwnicy w domu Althei; na drugim rysunku oboje idą autostradą w świetle ulicznych latarni; na kolejnym przerażona Althea patrzy,

jak Oliver ciska pojemnikiem z syropem w drugi koniec restauracji; a na ostatnim jego własna twarz, zmieniona nie do poznania. Dla porównania Althea dodała zbliżenie pyszczka tłustej myszy.

Oliver rozmyśla o bezdomnych, których czasami widzi w centrum miasta. Przed oczami stają mu przywiązane do wózków sklepowych worki na śmieci, pełne puszek i butelek, zadziwiające konstrukcje, które ludzie ci ciągną za sobą niczym cyrkowe słonie pogrążone w niespokojnej rozmowie z samym sobą. Nikt się taki nie rodzi; takie rzeczy zdarzają się później i Oliver zastanawia się, czy to samo dzieje się z nim.

– To znaczy, że miałem jakiś atak psychiatryczny, tak? Jestem szalony, jestem stuprocentowym, prawdziwym czubkiem. Skończę jak jeden z tych kolesi, którzy całymi dniami przesiadują w bibliotece, będą bujał się na krześle i opisywał w pamiętniku nieistniejących wrogów, aż pojawi się Nicky i poprosi, żebym wziął lekarstwa.

– Wstrzymaj się z robieniem hełmu z folii aluminiowej – prosi Althea. – Naprawdę nie sędzę, żeby ci odbijało.

– Skąd wiesz?

– Bo leżysz tu i martwisz się, że ci odbija.

– To wszystko? Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – pyta poirytowany.

– Posłuchaj, chciałabym wiedzieć więcej. Chciałabym znać odpowiedzi, ale ich nie znam. Jestem tak samo przerażona jak ty...

– Szczerze w to wątpię – mówi Oliver i natychmiast żałuje swoich słów.

Althea prostuje się i odpycha go od siebie tak mocno, że niemal zrzuca chłopaka z kanapy.

– Jedyne rzecz bardziej przerażająca od niepamiętania ostatnich trzech tygodni, to pamiętanie ich ze wszystkimi cholernymi szczegółami.

– Dobra, rozumiem. Przepraszam...

– Widziałam, jak przestajesz być sobą nad babeczkami ziemniaczanymi! – krzyczy dziewczyna. – To nie było fajne.

– Dobrze już, dobrze. Uspokój się, proszę. Przepraszam. – Bierze ją w ramiona i tuląc do siebie, czeka, aż się uspokoi. Jej gniew przypomina rozpedzony samochód, który zwalnia, by wtoczyć się na parking; ciało rozluźnia się, jakby chwilę temu wyłączyła silnik i zaciągnęła ręczny hamulec. On wie, że Althea ma rację. Wszystko,

co go spotkało – złamany nadgarstek w wieku dziewięciu lat, ospa wietrzna, która rok później przykuła go do łóżka na dziesięć dni, każde poparzenie słoneczne, katar i zamię naczyniowe na kolanie – przeżywała razem z nim, jeśli nie w rzeczywistości, to na pewno w głębi serca.

– Nicky chce zabrać mnie do kolejnego lekarza.

– Ale przecież czujesz się dobrze.

– Na razie – poprawia ją.

Althea żuje kosmyk włosów. To nerwowy nawyk, który wyparł dziecinne ssanie kciuka i niemal całkowicie zanikł, gdy dołączyła do drużyny. Powraca, gdy nie dosypia, kiedy przyjmie za dużo kofeiny albo gdy utknie w korku. Patrząc, jak w zamyśleniu przygryza włosy, Oliver myśli – nie po raz pierwszy – że to prawdziwy cud, iż nie zaczęła jeszcze palić. Po chwili Althea wyrywa mu szkicownik i kładzie sobie na kolanach.

– Nad czym teraz pracujesz?

– To martwa żaba – mówi, pokazując mu ostatni rysunek. – Niezła, co?

Ilustracja spreparowanej żaby nie jest jeszcze skończona, ale wykonano ją w upiornym wiktoriańskim stylu rysunków anatomicznych rodem ze starych medycznych ksiąg. Althea narysowała nawet cieniutkie srebrne szpilki, których zadaniem było utrzymać żabę w miejscu. Skóra na brzuchu płaza została rozcięta i rozchylona, by ukazać organy wewnętrzne, opatrzone rzymskimi cyframi. Oliver długo przygląda się rysunkowi.

Niczego się nie spodziewa, więc pierwsze ziarno prażonej kukurydzy trafia go w oko. Althea zaczepia go, najwyraźniej zbyt uradowana jego powrotem, by pozwolić Oliverowi skupić się na czymś innym niż ona sama. Dalej sprawy toczą się szybko i niebawem cała zawartość miski ląduje w jej włosach albo rozdeptana na dywanie. Chwilę później Oliver leży na kanapie, z twarzą wciśniętą w wilgotną tapicerkę. Wykręca rękę i unosi ją nad głowę niczym białą flagę, dając znać Althei, żeby przestała wbijać mu kolano w plecy. Jej ciężar sprawia, że za każdym razem, gdy próbuje się poruszyć, jego ramię eksploduje bólem. Drą się jak opętani – „Powiedz: poddaję się!” – „Pieprz się!” – więc żadne z nich nie słyszy szczęku otwieranych drzwi.

– Puść go, Altheo – mówi Garth.

Dysząc z wysiłku, Althea niechętnie wykonuje jego polecenie i zaczyna wybierać z włosów popcorn. Odgarnia z twarzy niesforne kosmyki i w milczeniu rzuca ojcu gniewne spojrzenie. Oliver wie, że to pojedynek na spojrzenia, którego ona nie ma szans wygrać. Kiedy Garth schodzi do piwnicy ze szklaneczką szkockiej, pochyła się, by nie uderzyć głową w belki.

Oliver wyrobił sobie zdanie na temat ojca swojej najlepszej przyjaciółki pewnej letniej nocy, kiedy oboje mieli osiem lat i Garth Carter uczył ich w ogrodzie za domem, jak rozbić namiot. Kiedy rozłożyli śpiwory, zza krzaków wyszedł skunks i leniwie spojrzał w ich stronę. Przerażone dzieci padły na ziemię, trzymając się za ręce, jakby osaczyło je stado dzikich psów. Chwilę później zza namiotu wyszedł Garth, który wbijał w ziemię ostatnie śledzie, i wyprostował się jak struna. Trzykrotnie klasnął w ręce i skunks odwrócił się i uciekł.

– Skunksy nienawidzą hałasu – oznajmił. – Musicie wiedzieć takie rzeczy.

– Przepraszamy za hałas – mówi Oliver, odrywając policzek od kanapy.

Garth macha ręką, jakby chciał pokazać, jak niewiele go to obchodzi.

– W gabinecie i tak nic nie słyszę. Tak tylko wpadłem. Przywitać się z Oliverem.

– Miło pana widzieć.

– Jak się czujesz?

– No, wie pan. Dobrze wrócić do świata żywych.

– Althea opowiada ci wszystkie ploteczki?

– Nic takiego się nie wydarzyło – odzywa się Althea.

– Powiedziałaś mu o drużynie? – pyta Garth.

– Tato, przyszedł tu jakieś dwie minuty temu.

– O co chodzi z drużyną? – dopytuje Oliver.

– O nic – fuka Althea. – Odeszłam.

– Odeszłaś? – powtarza, patrząc na nią z niedowierzaniem.

– Odeszła – potwierdza Garth.

– Wolałabym, żebyś się nie odzywał – mówi Althea.

– W końcu i tak musiałabyś mu powiedzieć.

– Jestem pewna, że moje osiągnięcia na bieżni są teraz najmniejszym z jego zmartwień.

Prawdę powiedziawszy, Oliver zdecydowanie bardziej woli myśleć o zawodach Althei niż o tym, co jest nie tak z jego głową, ale jak przystało na dobrego przyjaciela, potakuje, wyraźnie unikając wzroku Gartha.

– Założę się, że bieganie w kółko może się znudzić. Poza tym powinnaś dać szansę innym.

– Właśnie – przyznaje Althea.

Garth ignoruje ją, siada w fotelu i spogląda na Olivera.

– Mam coś, co na pewno ci się spodoba.

– Jestem gotowy – mówi Oliver i nagle zaczyna żałować, że nie ma już popcornu.

Garth wykłada historię na UNC Wilmington. Będąc dżentelmenem z Południa, a dokładnie z Savannah, gdzie do tej pory mieszka cała jego rodzina, Garth mimo zewnętrznych atrybutów świadczących o jego zamiłowaniu do literatury wysokich lotów – okularów do czytania, obowiązkowej szklaneczki szkockiej i mówienia poprawną angielszczyzną – pała żarliwą miłością do zwykłych czytadeł w miękkiej oprawie i pokera. Wraz z kolegami z wydziału organizuje cotygodniowe wieczory pokerowe i choć specjalizuje się w historii Ameryki Łacińskiej, traktuje grę w karty jako świetną okazję, by posłuchać najbardziej popaprzanych historycznych anegdot z całego świata. W tym semestrze jeden z kolegów Gartha prowadzi seminarium na temat starożytnych Chin, a Oliver uwielbia opowieści o braciach, którzy truli się nawzajem, i eunuchach, którzy sprawowali władzę dzięki marionetkowym cesarzom. Skruszona Althea masuje jego ramię, podczas gdy Garth raczy ich przerażającą historią o cesarzu z dynastii Tang, która zaczyna się płomienną miłością do konkubiny, a kończy leżącymi w rowie bezgłowymi ciałami.

Garth kończy opowieść, dramatycznie podzwaniając kostkami lodu. Oliver słucha go w nabożnym skupieniu. Althea wydaje się przestraszona.

– No, proszę, aż zaniemówiliście z wrażenia. To znaczy, że dobrze się spisałem. W takim razie idę na kolację. – Gdy pochyła się i całuje Altheę w czoło, dziewczyna marszczy nos w udawanym proteście. – Nikogo nie nabierzesz – mówi do niej. – Lubisz takie ckiwe historie.

– Prawdę mówiąc, nabieram wszystkich. Z kim idziesz na kolację?

– Z kim wybierasz się na kolację – poprawia ją. – Z artystką zatrudnioną

tymczasowo na uniwersytecie. Wybitną pisarką. Polubiłabyś ją.

– Mówisz tak co roku – wypomina mu Althea.

Popcorn chrzęści pod stopami Gartha. Mężczyzna spogląda na córkę i kręci głową.

– Mogłaś po prostu powiedzieć Oliverowi, że za nim tęskniłaś. Nie musiałybyś odkurzać.

– Nie pozwól jej czekać, tato, bo jeszcze zaczniesz rozmyślać o twoich wadach.

Garth posyła Oliverowi znużony uśmiech.

– Witaj z powrotem, Ol. Jest cała twoja.

Upewniwszy się, że Garth jest na tyle daleko, by go nie słyszeć, Oliver patrzy na Altheę.

– Dlaczego rzuciłaś bieganie? – pyta. – Co się stało?

– Tak po prostu. – Althea wzrusza ramionami, wyraźnie unikając jego wzroku.

Oliver jest pewien, że nie mówi mu wszystkiego, i choć wie, że mając wystarczającą ilość czasu, mógłby wyciągnąć z niej prawdę, myśląc o tym, nagle czuje się zmęczony. Gdyby chciała mu powiedzieć, zrobiłaby to. Tym bardziej go to niepokoi.

Nieco później, po tym, jak Althea, posiłkując się szkicownikami, opowiedziała mu, co wydarzyło się w ciągu ostatnich trzech tygodni, przygotowała burgery z indyka, kolejną porcję popcornu i gdy obejrzelili razem film, Oliver wstaje z kanapy i oznajmia, że idzie do domu.

– Mógłbyś zostać tu na noc – mówi Althea.

– Nic mi nie będzie. – Kawalek popcornu umościł się na jej obojczyku. Oliver sięga po niego i wkłada do ust. Czuje smak soli na języku. Rozważa jej propozycję, jednak ma w pamięci niepokój, który od kilku miesięcy utrudnia im spanie w jednym łóżku. Oliver słyszy, jak Althea wzdycha w środku nocy, czuje, jak przewraca się z boku na bok, by w końcu zasnąć z twarzą wtuloną w jego szyję i ręką drżącą na jego biodrze. Nie próbuje jej przytulić w obawie, że otrze się o niego, a on zareaguje tak, jak reagują nastoletni chłopcy. Zamiast tego ostentacyjnie zapina bluzę i naciąga kaptur.

– Do zobaczenia rano?

Althea spogląda na miejsce, gdzie chwilę temu spoczywała jego ręka.

– Myślałam, że powiesz to później – przyznaje.

Kiedy Oliver wraca do domu, Nicky śpi na kanapie, z książką na piersi i świecą aromaterapeutyczną płonąca na niskim stoliku – rumianek i mięta pieprzowa dla odmłodzenia. W spa takie świece kosztują coś około trzydziestu dolarów za sztukę, ale Nicky ma na nie rabat.

– Mamo?

Nicky mruczy coś przez sen i przewraca się na drugi bok. Książka zsuwa się jej z piersi i spada na podłogę. Oliver gasi światło i zdmuchuje świecę.

Nicky zmieniła pościel, mimo to myśl o powrocie do łóżka, w którym spędził ostatnie trzy tygodnie, wydaje się odpychająca. Oliver siada przy biurku, odchyła się na krześle i patrzy w sufit, na którym tanie fluorescencyjne gwiazdy tworzą przypadkową konstelację. Przykleiła je Althea, zimą, wiele lat temu. Stała na jego łóżku i niczym baletnica balansująca na palcach jednej stopy, jedną po drugiej przyczepiała je do sufitu, słuchając jego wskazówek i próbując stworzyć chaotyczną wersję gwiazdozbioru Bliźniąt, ich znaku zodiaku, zanim straciła cierpliwość i przykleiła resztę gwiazdek jak popadnie. Tamtej zimy Oliver narzekał na pogodę, mówił, że tęskni za biwakowaniem i pieszymi wędrówkami, że dość ma siedzenia w piwnicy i grania w gry planszowe.

– Będziesz mógł spać pod tymi gwiazdami aż do wiosny – oznajmiła.

Zainspirowany, chwytła śpiwór, teleskop – gwiazdkowy prezent od Gartha – i wymyka się tylnym wejściem do ogrodu. Kieruje obiektyw na skrawek nieba, którego nie przesłaniają drzewa ani talerze anten satelitarnych sąsiadów i oddycha z ulgą, widząc, że gwiazdy są dokładnie tam, gdzie powinny być. Hydra wciąż wije się na nieboskłonie, a Wielka Niedźwiedzica i jej galaktyki są tam, gdzie je zapamiętał. Próbuje odnaleźć Mgławicę Sowa, ale noc nie jest wystarczająco ciemna.

Kiedy mieli dziesięć lat, Oliver przypadkiem natknął się na informację, że za mniej więcej pięć miliardów lat słońce zgaśnie i tak oto zakończy się życie w Układzie Słonecznym. Był taki wkurzony; czuł, że to nie w porządku. Althea zapewniła go, że do tego czasu podróże kosmiczne nie będą niczym niezwykłym – każdy będzie mógł wsiąść na statek i odlecieć do innego układu słonecznego. Kiedy więc usłyszał od naukowców, że pewnego dnia cały wszechświat przestanie istnieć, rozpadnie się na kawałki albo zapadnie się w sobie – w tej kwestii ich teorie się różniły – był

niepocieszony, a Althea nie wiedziała co powiedzieć. Nocami leżał w łóżku i próbował to sobie wyobrazić. Koniec wszystkiego. Według jednego z naukowców, jeśli ludzkość zdoła przetrwać do tego czasu, być może zostanie odnalezione tajemne przejście do innego, równoległego wszechświata, który będzie trwał, nawet gdy nasz własny przestanie istnieć. Teoria ta została szybko odrzucona, jednak Oliver odnalazł w niej pocieszenie i wielokrotnie wyobrażał sobie ludzi przechodzących przez portal na niebie równie łatwo, jak dziś wsiadają na pokład samolotu, i wkraczających do innego wymiaru, gdzie mecze piłki nożnej, wypadki na plażę i kłótnie, czyja kolej koszenia trawnika, mogłyby trwać w najlepsze.

Od tamtej pory jego zamiłowanie do nauki, a zwłaszcza do astronomii dojrzało. Oliver uwielbia matematykę i równania stanowiące podstawę tych jakże ambitnych planów dotyczących wszechświata. Mimo to nadal odczuwa ten pierwotny lęk, strach, że chodzi o coś więcej niż celujące wyniki z egzaminów na studia i czy dostanie się na Instytut Technologiczny w Massachusetts – gdzieś tam musi być tajemne przejście, które ocali nas wszystkich.

Dwa miesiące później, pod koniec trzeciej klasy, Oliver namawia Altheę, żeby poszli na domówkę organizowaną przez kogoś, kogo prawie nie znają. Kiedy przyjeżdża po nią, Althea krąży po sypialni ubrana w kusy frotowy szlafrok. Podeszwy jej stóp, różowobiałe jak muszle, wzbijają kurz z podłogi. Szczotkuje włosy długimi nerwowymi pociągnięciami, próbując rozczesać splątane kosmyki.

– Czy mógłbyś choć przez chwilę udawać, że jesteś dziewczyną, i pomóc mi wybrać coś do ubrania? – krzyczy.

– Najpierw musiałbym udawać, że ty jesteś dziewczyną. – Mówiąc to, Oliver zerka na miejsce poniżej jej szyi, ciemną szczelinę, w której materiał zachodzi na materiał.

Althea milknie. W rzeczywistości decyzja sprowadza się do wyboru odpowiednich dzinsów i koszulki; niewiele więcej można znaleźć w jej szafie. Jednak w ostatniej chwili wyciąga kraciatą plisowaną spódniczkę i glany. Siada na skraju łóżka i sznurowuje buty, podczas gdy Oliver patrzy na jej smukłe nogi biegaczki. Gdy jej palce przekładają postrzępione sznurowadła przez kolejne dziurki, on w myślach rozbiera ją z ubrań, które włożyła na siebie, gdy nie patrzył.

– O co chodzi? – pyta Althea. – Czemu się tak gapisz?

Jej słowa wyrywają go z zamyślenia.

– Ta spódniczka i buty – mówi. – Sam nie wiem. Nie są zbyt wyzywające?

– Sam jesteś wyzywający. Straciłeś prawo głosu dziesięć minut temu. Zbierajmy się.

Impreza odbywa się w sąsiedztwie, więc idą pieszo. Althea splata ramiona na piersi i od czasu do czasu przygląda włosy albo spódniczkę. Wydaje się dziwnie zaniepokojona, że materiał kończy się kilka centymetrów nad jej kolanami.

Oliver wyczuwa, że Althea jest w kiepskim nastroju. Jeśli czegoś nie zrobi, będzie dąsać się w kącie przez czterdzieści pięć minut, po czym oznajmi, że chce wracać do domu.

Przechodząc pod drzewem, zrywa kilka liści z najniższej gałęzi i targa je na kawałki. Czuje, jak lepki sok skleja mu palce.

– Wiesz, co sobie myślałem? O dzisiejszej nocy?

– Mmm?

– Zagrajmy w grę. Potraktujmy tę imprezę jak grę.

– Chodzi ci o to, kto więcej wypije? – pyta Althea.

– Niezupełnie. To nowa gra; właśnie ją wymyśliłem. Spróbujmy odpowiadać „tak”.

Na wszystko.

– Nie rozumiem.

– Za każdym razem, gdy ktoś rzuci jakąś propozycję albo zapyta, czy chcemy coś zrobić, powiemy „tak”.

– Na tym ma polegać ta nowa gra? – Althea jest sceptyczna.

– Tak. Będziemy otwarci na wszystko, co ma nam do zaoferowania wszechświat. Nazwiemy ją „Impreza na całego”. – Oliver wyrzuca w górę strzępki liści, które rozsypują się nad ich głowami niczym zielone konfetti.

Pierwsza gra, w którą zegrali, nosiła nazwę „Cukierkowa kraina”. Pewnej nocy, dziesięć lat temu, opiekunka Olivera nawaliła i spanikowana Nicky zabrała go do domu profesora, który mieszkał na tej samej ulicy i miał córeczkę w wieku jej syna. Garth pozwolił się im bawić w piwnicy, poczęstował ich czerwonymi babeczkami i wyciągnął jedyną grę planszową Althei, którą dostała od kogoś z rodziny. Wygrała trzy razy, zanim Garth delikatnie zaproponował, żeby zegrali w coś innego. Kiedy Althea przypomniła mu, że nie ma innych gier, jej ojciec wyjął z szuflady talię kart

i kupkę żetonów do pokera i objaśnił im reguły gry w Texas Hold'em. Kiedy Nicky wróciła, Oliver i Althea spali w piwnicy na przeciwnych krańcach kanapy, tuląc do piersi karty.

Nigdy więcej nie zegrali w „Cukierkową krainę”, ale zimą po szkole zaszywali się w piwnicy, siedzieli przy grzejniku, popijali gorący sok jabłkowy i grając w Ryzyko, doskonalili strategię. Latem, kiedy było zbyt gorąco, żeby rzucać frisbee na plaży w Wrightsville albo spływać na dętce rzeką Cape Fear, siedzieli na ganku przed domem Althei i grali w remika, gin i kasyno. Na stole między nimi stał dzbanek mrożonej herbaty żurawinowej i kawałki limonkowego ciasta z bitą śmietaną, które z czasem zmieniało się w wodnistą papkę.

Były też gry, które wymyślali sami. Przechadzanie się po centrum Wilmington w okularach przeciwsłonecznych i czarnych ubraniach było zabawą w „Nowy Jork”. Kto pierwszy się uśmiechnął, ten przegrywał. Siedzenie w sierpniu w altanie, narzekanie na wilgotność, popijanie lemoniady ze srebrnych pucharków i mówienie z wyraźnym południowym akcentem było zabawą w „Nowy Orlean”. Wygrywał ten, kto miał bardziej wiarygodny akcent. Ubiegłej wiosny, po tym, jak późną nocą na kablówce obejrzeli film *Uwolnienie*, zaczęli spędzać popołudnia na brzegu rzeki Cape Fear. Śledzili się, gonili i urządzali na siebie zasadzki, choć żadne z nich nie chciało kwiczeć jak świnia. Ta zabawa zakończyła się remisem.

– „Impreza na całego” nie brzmi jak nazwa gry – mówi Althea, wyciągając z włosów resztki liści.

– Tym łatwiej będzie w nią grać – tłumaczy Oliver.

– Zaczekaj. – Podchodzi do niego i strzepuje mu z ramienia zielone okruchy. Jej bluza pachnie plażą.

Ludzie często biorą ich za bliźniaków, choć wcale nie są do siebie podobni. Oliver nie ma wysokich kości policzkowych Althei, a ona dołeczków w policzkach. Oboje są jednak szczupli i wąscy w ramionach, a gdy Althea założy na siebie jego ubrania, rzeczywiście wyglądają podobnie. Mają takie same jasne włosy, bladą skórę i niebieskie oczy. Althea odgarnia grzywkę spierzchniętą dłonią o obgryzionych paznokciach i posyła Oliverowi pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Dobra, wchodzę do gry – oznajmia, marszcząc nos.

Kiedy docierają na imprezę, Oliver zaczyna mieć wątpliwości. Wygląda to tak, jakby ktoś zgromadził w jednym miejscu wszystkich nastoletnich dziwaków z hrabstwa New Hanover i wlał w nich tyle alkoholu, że gdyby zapalić papierosa, cały budynek stanąłby w ogniu. Oliver ujmuje Altheę za łokieć i lawirując między imprezowiczami, przeciska się przez tłum. W dusznym, przesiąkniętym alkoholem powietrzu trudno oddychać. Z przeciwnej strony idzie ku nim Valerie, przyjaciółka Olivera. Zawieszony na jej szyi plastikowy lejek z rurką przypomina stetoskop. Chwilę później chwiejnym krokiem mija ich kolejny przyjaciel Olivera, Coby, z sześcioma puszkami Natural Ice wetkniętymi pod brodę, w zgięcia łokci i kieszenie spodni.

– Gdzie on idzie, do cholery? – pyta Oliver.

– Ukryć je – odpowiada Valerie. – Nigdy nie widzieliście, żeby tak robił?

– Raczej nie chodzimy na imprezy – tłumaczy Althea.

– Chowa je po całym domu. W skrzynce na listy, szufladach z bielizną. Najbardziej lubi spłuczki klozetowe, bo przy okazji piwo jest schłodzone. Ale upycha puszki wszędzie tam, gdzie wie, że nikt ich nie znajdzie. Dzięki temu ma co pić, kiedy wszyscy rozchodzą się do domów.

– Chryste – mruczy Oliver. – Ten koleś jest jak nawalony zając wielkanocny. –

Określenie to pasuje do Coby'ego, który czyta Bukowskiego i buduje nad garażem rodziców swoje własne mieszkanie, prawdopodobnie po to, żeby dalej podkraść im burbona jeszcze długo po tym, jak razem z resztą rocznika 1997 z trudem ukończy liceum w Cape Fear. To typ faceta, który na imprezie w twoim domu uprawia seks w pokoju twojej młodszej siostry, a wychodząc, kradnie beczkę piwa.

– Chodźmy na dół – proponuje Valerie. – Zaraz zacznie się koncert.

Althea i Oliver wymieniają spojrzenia.

– Tak – odpowiadają zgodnie.

Piwnica ma niski sufit i jest pozbawiona okien. W powietrzu unosi się woń przesiąkniętego alkoholem potu i dym papierosowy, który tworzy aureole wokół głów zgromadzonych. Stół do piw-ponga jest już gotowy, na obu krańcach stoją czerwone plastikowe kubki. W drugim końcu piwnicy grupka ludzi, których Oliver kojarzy z publicznego liceum Hoddarda, gra w dupniaka.

Nie ma sceny, jest tylko potargany dywan w kolorze rdzy, odgradzony taśmą

maskującą, na którym rozstawiono podniszczone instrumenty i rozwinięto kilometry czarnych kabli. Za taśmą stoi kumpel Olivera, Howard, który nerwowo próbuje nastroić gitarę. Oliver podnosi rękę, jakby chciał dodać mu otuchy. W odpowiedzi Howard uśmiecha się blado i muska palcami niebieskiego irokeza. Jego cienkie włosy są zbyt delikatne, by ustać na baczność, więc codziennie wciera w nie pastę do zębów i klej Elmer's, żeby sterczały jak należy. Bijący od niego zapach mięty pieprzowej zyskał mu przydomek „Miętus”.

– Jak się nazywają? – pyta Althea Olivera.

– Nie pamiętam.

– Zmienili nazwę – mówi Valerie. – Nazywali się The Great Expectations. Teraz to The Freddie Knuckles.

Popijają piwo i czekają. Perkusista skubie nerwowo szparę w talerzu, a basista bez końca wygrywa te same trzy nuty. W końcu Howard dyskretnie daje Valerie sygnał, który potrafią dostrzec wyłącznie najlepsi przyjaciele – może to być uniesiona brew albo subtelny ruch ręką, Oliver go nie widzi, ale wie, że tak jest, bo Valerie biegnie na drugi koniec piwnicy, wyłącza sprzęt stereo, przygasza światła i syczy do grających w dupniaka, żeby się zamknęli. Kiedy goście są wystarczająco cicho, wraca pod prowizoryczną scenę i daje Howardowi znak – nieznaczące, stanowcze skinienie głowy, które ma dodać mu odwagi. Chłopak bierze kostkę do gitary, podchodzi do mikrofonu i po krótkim wstępie atakuje struny niczym szop pracz rozgrzebujący zawartość wyjątkowo cuchnącego kubła na śmieci. Jego koledzy z zespołu radzą sobie równie kiepsko, ale wszyscy trzej są pełni zapału i chwilami pośród hałasu rzeczywiście słychać melodię. Howard jest również wokalistą i śpiewa z dziwną manierą, której Oliver nie potrafi nazwać, dopóki Althea nie krzyczy mu do ucha:

– Czemu on, do cholery, śpiewa z brytyjskim akcentem?

Oliver wzrusza ramionami. Muzyka wypełnia piwnicę jak powietrze balon, a setka nastolatków miota się jak szalona, ochlapując wszystko dookoła wodnistym piwem, które wylewa się z plastikowych kubków. Valerie patrzy z dumą na Howarda, jej krótkie warkoczyki podrygują przy każdym ruchu. Althea, która jeszcze niedawno nie miała ochoty wychodzić z domu, świetnie się bawi, potrącana przez przypadkowe osoby odwzajemnia się tym samym. Oliver nie potrafi powiedzieć, co sprawia jej

większą radość – muzyka, hałas czy popychanie, w każdym razie czuje ulgę. Patrzy, jak Althea odchyła głowę i wlewa w siebie resztkę piwa. Gdy pusta puszka ląduje na podłodze, dziewczyna otwiera oczy i napotyka jego wzrok. W tej samej chwili oszalały tłum niemal przewraca Olivera. dziewczyna chwyta go za rękę i nie pozwala mu upaść, podczas gdy tuż obok garstka dzieciaków próbuje przepchnąć się pod scenę. Ściśnięta wokół nich spocona masa pijanych ludzi jest tak gęsta, że praktycznie nie widzą zespołu. Przytłoczony tym Oliver odwraca się w stronę schodów, ale Althea szarpie go za rękaw.

– Zostań i zatańcz – woła, przekrzykując muzykę. – To twoje zasady. Nie możesz odmówić.

Jak zwykle ma rację, więc Oliver zostaje i znosi dalsze przepychanki. Wciśnięty w łopatki i koszulki imprezowiczów czuje zapach ich szamponów, wilgotną, piźmową woń potu, a nawet – jest o tym przekonany – orzeźwiający zapach pasty do zębów. Althea wyciąga rękę i nonszalancko wrywa stojącemu obok koleśowi puszkę z piwem. Wypija połowę, zanim ten zdąży zaprotestować, i podaje resztę Oliverowi. Howard oblewa piwem dzieciaki stojące najbliżej mikrofonu i ciska puszką w publiczność.

Koniec koncertu rozczarowuje. Nie ma kulis, za które mogliby wyjść muzycy, więc po odegraniu ostatniego utworu, przy wtórze dość powściągliwych oklasków, zaczynają pakować sprzęt. Chwilę później nikt już o nich nie pamięta. Ktoś włącza światła i muzykę. Ktoś inny przestawia kubki na stole do piw-ponga.

– Altheo, bądź w mojej drużynie – prosi Valerie, ciągnąc ją za rękaw.

Althea bezradnie patrzy na Olivera, który w milczeniu wzrusza ramionami. Nie może zmieniać ustalonych przez siebie zasad, choć wie, jak bardzo Althea nie lubi tej gry. Wolałaby zagrać w dupniaka. Po kilku kolejkach byłaby zwycięzcą i do końca imprezy mówiłaby ludziom, co mają robić. Ale Valerie ją poprosiła; kości zostały rzucone.

– No, chodź – ponagla Val. – Poznamy nowych ludzi. Poszerzymy pulę genów.

Pojawia się Coby z piwem dla Olivera.

– Chyba nie wyciągnąłeś go z kibla? – pyta Oliver, przecierając wierzch puszki koszulką.

– Zanim do tego dojdzie, będziesz już zdrowo nawalony. – Coby macha puszką w stronę Althei. – Co musiałeś zrobić, żeby wyciągnąć ją z domu?

– Przecież wychodzimy – mówi Oliver.

– Na imprezy? Z innymi ludźmi? – Coby pociąga łyk piwa. – Niemożliwe.

Cementowa podłoga jest mokra od rozlanego piwa. Z niewidocznego kąta za drzwiami pralni dobiegają odgłosy wymiotowania. Zwycięzca dupniaka żąda od jednej z dziewczyn, żeby zatańczyła taniec erotyczny, śpiewając *I'm A Little Teapot* z rosyjskim akcentem.

– Masz rację – przyznaje Oliver. – Powinniśmy to robić znacznie częściej.

– Nie bądź zgredem. – Coby posyła mu złośliwy uśmiech. – To nasi rówieśnicy.

Obaj wybuchają szyderczym śmiechem.

Tak jak podejrzewał, Althea kiepsko radzi sobie przy stole do piw-ponga; koordynacja wzrokowo-ruchowa nigdy nie była jej mocną stroną. Dlatego nigdy nie chodzą na kręgielnię ani nie grają w bilard. Coby zagrzewa ją do walki za każdym razem, gdy wyciąga piłeczkę z kolejnego kubka i wypija jego ciepłą, zwietrzałą zawartość.

– Masz jakieś plany na wakacje? – pyta Olivera.

– Zapisalem się na zajęcia z astronomii na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Chcę podrasować swoje podanie do college'u.

– Powinieneś pojechać na kosmiczny obóz. To zrobiłoby na nich wrażenie.

– A ty? Masz jakieś plany? Czy zamierzasz stawiać ścianki z kartongipsu w domku na drzewie, który budujesz nad garażem? Powinieneś powiesić lampki choinkowe, wiesz, te w kształcie papryczek chili. Dziewczyny waliłyby drzwiami i oknami.

– Nie przychodzą dla wystroju – mówi Coby. Kładzie rękę na sprzączce paska i skromnie wzrusza ramionami. – Tylko dla towarzystwa.

– Przychodzą pograć w gry wideo, a wychodzą z kiłą.

– To plotki.

Oliver krzywi się i dopija piwo. Althea na klęczkach szuka pod stołem piłki. Prostując się, uderza głową w rozchybotany stół. Piwo rozlewa się po blacie.

– Nic ci nie jest? – krzyczy Oliver.

– Wszystko w porządku, tylko moja duma ucierpiała – odpowiada.

– Stary, twoja laska jest pijana – zauważa Coby.

– Wiesz, że nie jest moją dziewczyną.

– Nawet się nie bzykacie?

– Nie.

– Czemu? Cały czas jesteście razem. – Mówiąc to, kręci głową, zdumiony, jakby sama bliskość i okazja były wystarczającym powodem, żeby pójść z kimś do łóżka.

– To moja najlepsza przyjaciółka.

– No to z kim sypia?

– Z nikim – odpiera Oliver.

– Jesteś pewien?

Przypomina sobie pamiętną imprezę z walkami w galaretkach i to, jak patrzyła na niego Althea.

– Tak, jestem pewien.

Althea znowu nie trafia i Coby oklaskuje ją, kiedy wychyla kolejny kubek. Valerie kręci głową, żałując, że wybrała ją na swoją partnerkę.

– Wiedziałem, że Al nie powinna była grać – mówi Oliver. – Jest do niczego w bilardzie, kręglach, wszystkim, co ma jakiś związek z...

– Kulkami? – chichocze Coby.

– ...zależnościami przestrzennymi – kończy Oliver.

– Zobaczmy, czy będę w stanie jej pomóc. – Coby aż się pali, żeby zostać instruktorem Althei. Staje tuż za nią i demonstruje delikatny ruch nadgarstkiem, potrzebny, by wrzucić piłeczkę do kubka przeciwnika. Althea nachyla się, żeby wysłuchać jego rad, zdecydowana poprawić swoją grę, jednak nawet trening indywidualny nie jest w stanie jej pomóc. Kiedy szósty raz z rzędu nie trafia do kubka, Oliver się odwraca. Nie może dłużej na to patrzeć.

– Dokąd idziesz? – krzyczy Althea z drugiej strony stołu.

– Sprawdzić pocztę – rzuca Oliver.

Rzeczywiście, w skrzynce na listy na końcu podjazdu stoją dwie puszki piwa owinięte w stare numery „Pennysaver”. Oliver otwiera jedną; drugą chowa do kieszeni bluzy. Dopiero wracając do domu, widzi, ile osób przyszło na imprezę. Dzieciaki rzucają się sobie w objęcia, dziewczyny skrzeczą jak harpie i spadają z werandy,

a faceci przewracają oczami i udają, że w ogóle ich to nie interesuje. Z trudem rozpoznaje Jasona, gospodarza imprezy, który od czasu do czasu sprzedaje Coby'emu trawkę, i pozdrawia go skinieniem głowy.

Wraca do środka, żeby znaleźć Altheę, ale partyjka piw-ponga dobiegła już końca. Wychodzi tylnymi drzwiami na dwór. Howard i dziewczyna w czarnych dżinsach z mnóstwem zbędnych pasków i zamków obmacują się na ukrytej wśród dereni ławce. Jego dłoń spoczywa na jej karku, jakby obawiał się, że dziewczyna da nura w zarośla. Agrafka w jej uchu lśni w świetle księżyca. Drzwi z siatką otwierają się i zamykają, wypływając ludzi albo wsysając ich do wnętrza domu. Howard szepcze coś, na co dziewczyna chichocze i delikatnie muska palcami jego irokeza. Rozochocony wsuwa rękę między jej kurtkę i koszulkę, zatrzymuje dłoń na plecach dziewczyny i przyciąga ją do siebie. Oliver dopija piwo, wyrzuca puszkę i wyciąga z kieszeni kolejną.

Dziewczyny są w kuchni. Valerie trzyma wysoko w górze lejek pełen piwa, a Althea klęczy u jej stóp, czekając, aż opadnie piana. Podłoga drży od dźwięków *Lust for Life*, które potężną falą wylewają się z głośników w pokoju gościnnym.

– Valerie uczy mnie pić piwo z lejka – oznajmia Althea. – Mówi, że jestem w tym naprawdę dobra, bo nie mam odruchu wymiotnego.

– Jej facet będzie miał z niej prawdziwą frajdę – mówi Valerie. – No już, mała. Pamiętaj, nie zaciskaj gardła.

Althea chwytą ustami plastikową rurkę, ściskając ją aż do ostatniej chwili. Odchyła głowę i jednym nieprawdopodobnie długim haustem wypija całą zawartość lejka. Po wszystkim dźwiga się z podłogi, ociera usta wewnętrzną stroną nadgarstka i wręcza lejek Valerie.

– Teraz kolej Olivera – oznajmia.

– Ktoś widział Miętusa? – W kuchni pojawia się Coby. – Potrzebuję partnera do piw-ponga.

– Jest w ogrodzie za domem, obmacuje jakąś panienkę – mówi Oliver.

– Pieprz się – warczy Coby.

– Przysięgam – ciągnie Oliver. – Jakąś laskę z mnóstwem zamków.

– Niewiarygodne. Facet wygląda jak clown, cuchnie jak pasta do zębów, a i tak ma większe branie niż ty czy ja. To cholernie godne pożałowania.

– Daj spokój, nie bądź zazdrosny – wtrąca Valerie.
– Błagam, nie mów, że byś się z nim nie zamieniła – ciągnie Coby.
– Bądźmy sprawiedliwi. On zobaczył ją pierwszy. Chodź tu, Oliverze.
– Ja to potrzynam – mówi Althea, wyjmując z rąk Valerie lejek z piwem. – Klękaj, Oliverze – rozkazuje.

– Cokolwiek tu robicie – mówi Coby – chcę być następny.

Oliver nie potrafi otworzyć gardła. Alkohol wlewa mu się do płuc, więc wyciąga z ust rurkę. Rozlane piwo tworzy na podłodze małą spienioną kałużę. Oddycha chrapliwie, ale przez kilka chwil nie może wciągnąć powietrza i zaczyna się dusić. W końcu część piwa wycieka mu nosem, a reszta, ku uciesze wszystkich, ląduje na gołych nogach Althei. Kiedy dziewczyna pochyła się, by wytrzeć kolana ścierką do naczyń, klęczący na podłodze Oliver ma okazję zajrzeć jej pod spódniczkę. Widzi przerwę między udami Althei i naprężoną bawełnę jej niebieskich majtek. Trwa to krótką chwilę, ale wystarcza, by pożałował swoich wcześniejszych słów. „Najpierw musiałbym udawać, że jesteś dziewczyną”. Althea jest dziewczyną, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Coby prosi go, żeby zamiast Miętusa zagrał z nim w jednej drużynie w piw-ponga, i Oliver nie może mu odmówić. Za każdym razem, gdy chce odejść od stołu, Coby upiera się, żeby został na jeszcze jedną kolejkę. Kiedy w końcu wraca na górę, nigdzie nie może znaleźć Althei. Lekko zamroczony snuje się po domu. Ma wrażenie, że widzi rzeczy z trzy-, czterosekundowym opóźnieniem. Nie przeszkadza mu to jednak. Nic mu nie przeszkadza. W końcu trafia do głównej sypialni. Spod drzwi przyległej łazienki wylewa się srebrzysta kałuża światła. Kiedy podnosi rękę, żeby zapukać, słyszy rumor i spektakularny, dekadenski dźwięk tłuczonego szkła.

– Hej – mówi, pukając do drzwi. Osoba za drzwiami wydaje stłumiony krzyk. – Althea, to ty grasz tak pięknie na potłuczonym szkłe?

– Ollie? – szepcze, zwracając się do niego tak, jak robiła to w dzieciństwie. Uchyła drzwi i spanikowana rozgląda się dookoła. Spokojniejsza, że nikt inny jej nie widzi, chwyta go za rękę, wciąga do łazienki i zatrzaskuje drzwi. – Zrobiłam coś złego.

Łazienka jest duża i elegancka. W jednym kącie znajduje się szklana kabina prysznicowa, w drugim wielkie jacuzzi, a leżący między nimi dywanik jest tak gruby

i miękki, jak dywan w pokoju gościnnym w domu Althei. Na ścianach wiszą suszone kwiaty, a na spłuczce klozetowej stoją gliniane miseczki pełne kwiatowego suszu. Ściana nad umywalką ziele czarna, kwadratową pustką otoczoną rzędem żarówek. Nieco niżej na porcelanie leży potrzaskane lustro, niczym błyszcząca galaktyka spadających gwiazd.

– Ty to zrobiłaś? – pyta Oliver.

– Myślałam, że to szafka z lekarstwami, więc próbowałam ją otworzyć, a ono spadło ze ściany – tłumaczy Althea.

– Czego szukałaś w szafce z lekarstwami?

– Wygląda niesamowicie, prawda?

Światło żarówek w zaścielających umywalkę odłamkach lustra wygląda bajecznie. Oliver nigdy nie widział czegoś podobnego. Przywodzi na myśl wszystkie antyki w domu Althei, wszystkie szklane figurki, które tak bardzo go denerwują, i wszystkie rzeczy, które ludzie kupują z taką radością, bo uważają, że są śliczne, a jednak żadna z tych rzeczy nie może się równać z pięknem, które prezentuje sobą ta katastrofa. Nie ma wątpliwości, że to najpiękniejsza chwila w żywocie tego lustra.

Althea zakrywa twarz rękami i spogląda na niego przez szpary między palcami.

– Widzisz... – zaczyna nieśmiało.

– Ćśśś.

– Nie uciszaj mnie.

– Uwielbiasz, kiedy cię uciszam.

Ktoś puka do drzwi.

– Jest tam kto?

Jak na złość w tym momencie Althea wybucha niekontrolowanym śmiechem.

– Halo? Mówię poważnie, nie powinno was tu być. – Brzmi to jak głos Jasona.

Althea nie umie się pohamować, oparta o parapet trzyma się za brzuch i trzęsie się od stóp do głów. Jason wali w drzwi łazienki.

– Coby? To ty. Przysięgam, jeśli się dowiem, że znowu pieprzyłeś się w łazience moich starych, rozwalę ci głowę.

Ta informacja sprawia, że Althea wybucha jeszcze bardziej histerycznym śmiechem. Jason dobija się do drzwi, a Althea odkręca kran.

– Coby, ty skurwielu! – wrzeszczy Jason.

Wygląda na to, że próbuje wyważyć drzwi. Nagle z głębi sypialni słychać inny głos.

– To nie on. Coby gra w piwnicy w piw-ponga. Właśnie skopał mi tyłek.

– Kto w takim razie jest w łazience moich starych? – ryczy wściekle Jason i po raz kolejny wali pięścią w drzwi.

Gdzieś przed domem rozlega się zawodzenie policyjnych syren. Nagle w całym domu słychać jedno słowo: „Gliny!” i wszyscy zaczynają biegać jak szaleni. Sypialnia pustoszeje w mgnieniu oka. Trzaskają drzwi z siatką. Muzyka cichnie i dom wydaje się dziwnie pusty. Jedyne hałas pochodzi teraz z zewnątrz i wygląda na to, że Althea i Oliver jako jedyni nie dali nogi. Na schodach słychać ciężkie kroki. W radiu rozlega się pełen trzasków głos dyspozytorki. Althea chichocze nerwowo i Oliver zakrywa jej usta ręką.

Okno łazienki otwiera się na pochyły daszek werandy na tyłach domu.

– Wygląda na to – szepcze Oliver – że nie mamy wyboru.

– Nie wyjdę przez okno – protestuje Althea.

Kolejny trzask radia, tym razem nieco bliżej, na korytarzu.

– Pamiętaj o regułach gry – przypomina Oliver. – Nie możesz odmówić. – Po tych słowach wychodzi przez okno. Althea niechętnie idzie jego śladem.

W ogrodzie dzieciaki gorączkowo chowają prochy pod doniczkami, żeby móc później po nie wrócić. Noc pulsuje czerwono-niebieskimi światłami policyjnych kogutów. Gliniarze wypadają przez tylne drzwi, nakazując wszystkim zostać tam, gdzie są. Oliver i Althea przewieszają nogi przez krawędź dachu i zeskakują na wilgotną trawę. Skuleni biegną między dereniami, przeskakują wąski strumyk wyznaczający granicę posesji, przecinają ogrody na tyłach sąsiednich domów i wdrapują się na płoty, włączając kolejne lampy z czujnikiem ruchu. W miarę jak czerwono-niebieska poświata zostaje z tyłu, uczucie zagrożenia maleje. Zwalniają, próbując złapać powietrze.

Ta późna pora zawsze była dla nich wspólnym miejscem, tymczasowy odpowiednik piwnicy w domu Althei, bez względu na to, czy czytali na głos w dwuosobowym namiocie, budowali twierdzę z koców i kartonowych pudeł w domu Carterów czy leżąc w łóżkach, rozmawiali przez walkie-talkie i na falach radiowych planowali

kolejne psoty.

Niebo wciąż jest ciemne, księżyc przywodzi na myśl zakrzywiony odłamek stłuczonego szkła, a pośród gałęzi klonu cukrowego śpiewa ptak. Spoglądają na siebie z zaskoczeniem. Althea podchodzi do drzewa i błądzi wzrokiem między gałęziami, ale gęste liście stanowią doskonałą kryjówkę. Ptak milknie, jednak chwilę później podejmuje przerwana piosenkę. Tym razem brzmi ona nieco inaczej, jak kolejna zwrotka pieśni o nieszczęśliwej miłości. Zauroczeni zadzierają głowy i mrużąc oczy, wypatrują ukrytego w koronie śpiewaka.

Po chwili Althea obejmuje ramionami pień drzewa, równie smukły jak jej talia, i potrząsa nim delikatnie. Ptak nie zrywa się do lotu.

– Chcę go zobaczyć – szepcze.

– Ale on chyba nie chce oglądać ciebie.

Po raz kolejny potrząsa drzewem, tym razem nieco mocniej. Mięśnie jej nadgarstka napinają się pod bladą skórą. Liście szeleszczą, gałęzie kołyszają się, ale ptak pozostaje w ukryciu i ciągnie swoją piosenkę.

Althea jest zdenerwowana, sfrustrowana zaciska zęby i jeszcze mocniej obejmuje pień drzewa, gotowa potrząsnąć nim jeszcze raz. Oliver zna to spojrzenie, wściekłą determinację, która jest tym, co w Althei najlepsze, a zarazem najgorsze. Zapomniała o imprezie, potrzaskanym lustrze, nawet o tym, że nie jest tu sama. Całą swoją uwagę skupia wyłącznie na ptaku. Oliver wie, że mniej więcej za trzydzieści sekund zacznie wykrzykiwać przekleństwa i będzie próbowała wspiąć się na drzewo. Kładzie rękę na jej szczupłym nadgarstku; jej kości wydają się kruche i drobne jak u ptaka.

– Zostaw go w spokoju – szepcze.

Althea ostatni raz zerka na koronę drzewa i daje za wygraną; jej mięśnie się rozluźniają. Uwalnia z objęć pień klonu i w tej samej chwili Oliver przywiera do niej całym ciałem, jakby nie chciał, żeby opuściła ramiona. Wyraz jej twarzy zmienia się i Althea przenosi uwagę na to, co dzieje się pod drzewem.

Oliver przyciąga ją do siebie i wodzi palcami po jej policzku. Drugą dłoń opiera na biodrze Althei, podczas gdy ona obejmuje go w pasie. Wyczuwalna przez bawełnę kość biodrowa wydaje się stworzona dla jego dłoni. Powietrze jest ciepłe, przesiąknięte zapachem soli. Rosnące po obu stronach ulicy drzewa tworzą nad ich

głowami dźwiękoszczelny baldachim, sprawiając, że jedynym słyszalnym dźwiękiem jest beztraska ptasia piosenka. Takiego lata pragnęli. Ocean jest zbyt daleko, by mogli go usłyszeć, a jednak Oliver mógłby przysiąc, że dudnienie, które słyszy w głowie, to odległy huk fal. W oknach domów nie pali się żadne światło; żaden samochód nie toczy się ulicą, by pochwycić ich w blask reflektorów. Na długo przed świtem miasto śpi. Oliver czuje, jak krew Althei pulsuje leniwie w jej żyłach. Uśmiecha się do niego nieśmiało i zagryza usta, żeby powstrzymać nerwowy chichot.

Oliver zamyka oczy, więc nie wie, kto nachyla się do kogo i kto pokonuje ostatnie dzielące ich centymetry. Wie tylko, że ich usta w końcu się spotykają. Althea smakuje miętą pieprzową i piwem, a w jej długich włosach czuć woń dymu papierosowego. Jej nagie kolana ocierają się o materiał jego spodni. Usta i język niepewnie naśladują jego własne. Pochylając się w jej stronę, Oliver zatacza się i wpycha ją na pień drzewa. Jego kłykcie ocierają się o korę. Pijani i oszołomieni śmieją się i całują. Oliver skubie zębami jej szyję, na co Althea chichocze i zachęcająco opiera głowę o pień klonu. Jej ciepła skóra ma lekko słonawy posmak. Chłopak czuje na wargach delikatne wibracje, które ustają, gdy Althea przestaje się śmiać.

– Myślę, że w końcu przestraszyliśmy tego ptaka – szepcze i znowu ją całuje.

To jego pierwszy pocałunek i słucha tego, co podpowiada mu instynkt. Odgarnia jej włosy z oczu i czoła. Początkowo ich pocałunki są delikatne i pełne powagi, jakby wstydzili się, że nie mają w tej materii żadnego doświadczenia. Jej ręka odnajduje jego dłoń, ich palce splatają się. Althea ujmuje go pod brodę, delikatnie kąsa jego dolną wargę i wypuszcza ją.

Wciąż przyciskając ją do drzewa, Oliver trzyma jedną rękę na biodrze Althei, drugą obejmując jej szyję. Ich niezdecydowanie mija wraz z nerwowym śmiechem; pocałunki stają się coraz bardziej zachłanne i gwałtowne. Palce Althei wbijają się w jego ramię, błędzą po piersi Olivera i szarpią materiał jego koszulki. Jest mu niemal smutno, że nie są na ulicy Magnoliowej. Ta wścibska starucha, pani Parker, dopiero miałaby na co patrzeć. Althea oddycha szybciej, gdy Oliver wodzi ręką po jej nagim udzie. To spełnienie fantazji, którą miał wcześniej, w jej pokoju. Obejmuje ją w talii i chwytą w dłoń jej pierś, na co Althea reaguje cichym westchnieniem. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby tak reagowała. Oboje dyszą, ich nogi splatają się niczym korzenie drzewa,

a jednakowy wzrost sprawia, że przez cały czas patrzą sobie w oczy.

– Oliver – szepcze Althea schrypniętym głosem. – Może powinniśmy wrócić do mojego domu. – Policzki ma zaróżowione, oczy szkliste.

Oliver kiwa głową.

Odrywiają się od siebie. Althea przygląda włosy i materiał spódniczki. Chwilę później Oliver chwyta ją za rękę i zaczynają biec, z początku niespiesznie, potem coraz szybciej, aż w końcu gnają jak szaleni. Co jakiś czas Althea zwalnia, jakby chciała dać mu fory, i zaraz potem pędzi, śmiejąc się, gdy zdyszany Oliver próbuje ją dogonić.

Droga powrotna zajmuje ledwie chwilę i sami nie wiedzą, kiedy stają przed domem Althei. Idąc ścieżką w stronę drzwi, Oliver czuje, że odzyskuje jasność widzenia i choć w głowie nadal ma mętlik, nagle dociera do niego, co właśnie zamierzają zrobić i co takiego proponuje mu Althea.

– Zaczekaj – mówi.

– O co chodzi? A, tak. Powinniśmy wejść tylnymi drzwiami.

– Nie... Po prostu zaczekaj.

– Co jest? – pyta poirytowana.

Oliver kręci głową.

– O co chodzi? – Jej słowa zlewają się jak topniejące w szklance kostki lodu. – Daj spokój.

Zdradza ją jej niecierpliwość. Wyczuwając niechęć Olivera, uświadamia sobie, że magiczna chwila pod klonem minęła bezpowrotnie. Zastanawia się, jakie są szanse, żeby mieli to za sobą, bo kiedy już to zrobią, nie będą mogli niczego odkręcić. Traktuje to w kategorii pierwszego kroku, jak katalizator, który uruchomi serię wydarzeń i odmieni charakter ich związku. Dla niego to jedynie eksperyment, test interesującej hipotezy. Dlatego nie może ruszyć się z chodnika, dlatego nie chce zejść z nią do piwnicy i zrobić należytego użytku ze starej kanapy. Jeśli z nią pójdzie, co wtedy? Czy obudzi się jako jej chłopak tylko dlatego, że się upił i obmacywał się z nią pod drzewem? Czy nie lepiej rozczarować ją tu i teraz niż zrobić to o poranku?

– Ja... – Waha się. – Nie jestem gotowy.

Althea cofa ręce w rękawy bluzy i wystawia kciuki przez dziury w mankietach. Chowa głowę w ramionach niczym żółw.

– Wiesz dobrze, że to nic nie znaczy. Czym ty jesteś? Babeczką w piekarniku, która czeka, aż minutnik zacznie dzwonić? Wydaje ci się, że stoimy na czerwonym świetle i czekamy, aż zmieni się na zielone?

– Przepraszam, Al...

– Po co w ogóle to zaczynałeś? – Jej podniesiony głos zwiastuje powrót wybuchowej Althei.

– Byłem pijany – mówi.

– Jaja sobie robisz?

– Nie tak miało być.

– Wiesz co? Idź sobie. Wsadź sobie swoją małą główkę jeszcze głębiej w dupę. Gdybyś miał z tym problemy, chętnie ci pomogę. – Odwraca się w stronę domu i wybucha śmiechem. – Boże.

– Co tym razem? – Oliver ma dość jej ciągłych zmian nastroju.

– Zostawiliśmy odkręconą wodę w łazience Jasona.

Rozdział 3

W poniedziałek rano, w drodze do szkoły, Althea zatrzymuje się przed domem Olivera. Nie widzi go, więc wali dłonią w klakson, wydobywając z niego głośny, skrzekliwy dźwięk. Zwykle w takich sytuacjach podchodzi do drzwi i naciska dzwonek tak długo, aż on staje w progu, zdyszany i zdenerwowany. Sięga do klamry pasa bezpieczeństwa, jednak po chwili namysłu podnosi rękę do ust i tłumi ziewnięcie. Przez całą noc prawie nie zmrugała oka. Rzucała się na łóżku, kuląc się na wspomnienie dłoni Olivera błędzącej pod jej spódniczką i zastanawiając się, czy mógłby to powtórzyć. Przez długi czas leżała rozbudzona i wyobrażała sobie, że wślizguje się do piwnicy i przeprasza za to, co powiedział, że pocałował ją tylko dlatego, że był pijany. Chciała usłyszeć, że się bał, że nie był gotowy, albo jakiegokolwiek inne wytłumaczenie. Raz za razem odgrywała w myślach tę scenę, aż w końcu zdecydowała, że najważniejsza jest chwila, gdy w końcu przestanie gadać, ujmie w dłonie jej twarz i ją pocałuje.

Ale Oliver nie przyszedł, a ona jest wykończona. Ma przed sobą cały dzień w szkole, a ból głowy sprawia, że czuje piasek pod powiekami. Skoro nie zadał sobie trudu, żeby zakraść się do jej domu i ją przeprosić, to niech spieprza. Pojedzie do szkoły autobusem.

* * *

W porze lunchu jest już nieźle podminowana. A co, jeśli się nie spóźnił, tylko celowo jej unika? Jeśli z jakiegoś powodu jest na nią zły? Zagląda do szkolnej stołówki, sprawdza boisko za szkołą, a nawet bibliotekę, ale nigdzie nie może go znaleźć. Trzeci raz przechodzi obok jego szafki, gdy wpada na Valerie z butelką Dr Peppera w jednej ręce i książką w drugiej. Ma na sobie koszulkę, która wygląda, jakby sama ją zrobiła; jest na niej czaszka z nożem i widelcem w miejscu, gdzie zwykle krzyżują się piszczele. Faliste litery tworzą napis: „Bon Vivant”.

– Jeśli szukasz Olivera, odpuść sobie. Nie ma go w szkole – mówi Valerie. – Przynajmniej nie było go na angielskim.

Idą razem korytarzem. Valerie małymi łykami sączy napój.

– Co czytasz? – pyta Althea.

Valerie pokazuje okładkę książki, która odbija fluorescencyjne światła.

– Mięćus powiedział, żebym to przeczytała. To o handlu diamentami. Ten biznes jest kompletnie popieprzony. Diamenty są zamknięte w skarbcu De Beers i nie mają żadnej wartości. Ale ludzie i tak je kupują, bo myślą, że tak trzeba. Ich wartość jest kompletnie wyssana z palca.

Przez jakiś czas opowiada o wojnach, które wybuchały lata temu między handlarzami diamentów, i o tym, jak zwycięskie De Beers zdobyło monopol tak niewzruszony, że otworzyli swoje biura za oceanem, w Londynie, gdzie ogłosili, że ich towary pochodzą ze źródeł wolnych od konfliktów militarnych, choć nikt nie wiedział, skąd naprawdę się wzięły. Niebawem zaczęli sprzedawać kamienie dystrybutorom. Althea wyobraża sobie ukryty przed światem podziemny skarbiec i wyściełane granatowym aksamitem metalowe szuflady, które otwierają się bezgłośnie, ukazując zamknięte w nich klejnoty. Oczami wyobraźni widzi wysokiego diamentowego potentata z zegarkiem kieszonkowym, który w samotne noce zakrada się do podziemi, by podziwiać i liczyć swoje skarby. Podczas gdy Valerie rozwodzi się nad błędną alokacją światowych zasobów i błędami systemu, które pozwalają na istnienie takich miejsc, Althea kiwa głową, choć w głębi duszy wie, że sama nigdy nie zrzekłaby się takiego bogactwa.

– Ktoś wpadł na pomysł, jak produkować diamenty – ciągnie Valerie. – Wyobrażasz to sobie? Na razie wszystko jest w powijakach, ale kto wie, może za dwadzieścia, trzydzieści lat uda się doprowadzić do upadku De Beers.

– Fajna koszulka – stwierdza Althea.

– Jak chcesz, zrobię ci taką. Wciąż mam szablon.

– Poważnie?

– Wpadnij do mnie w przyszłym tygodniu, kiedy nie będzie już lekcji. – Valerie zatrzymuje się na środku korytarza i wrzuca pustą butelkę do stojącego kilka metrów dalej kosza. – Tylko Oliver mówi do ciebie Al?

– Czasami mój tata. I jego mama. Nie chcę, żeby ludzie o tym wiedzieli. I tak już myślą, że jestem chłopczycą, bo przyjaźnię się z chłopakiem. Męskie imię nie ułatwia sprawy.

– Myślisz, że bycie chłopczycą to coś złego? – pyta Valerie.

Althea uświadamia sobie, że popełniła gafę, bo Valerie ma w sobie coś z chłopczycy.

– Chodzi o to, że to nieprawda. Gdybym była chłopczycą, prawdopodobnie zerwałabym się z zajęć, żeby budować nad rzeką domek na drzewie. Co zresztą byłoby świetne.

– Mmm – mruczy wymijająco Valerie.

– A więc ty też wołasz na niego Miętus. – Althea postanawia zmienić temat rozmowy.

– Poprosił mnie o to. Twierdzi, że woli Miętusa od Howarda. Zmienił nawet nazwę zespołu na Tartar Control – tłumaczy Valerie. – Myślisz, że Oliver znowu zachorował?

– Nie wiem. Nie rozmawiałam z nim od imprezy.

– Na pewno nic mu nie jest. Chyba się nie martwisz, co?

Althea zastanawia się, czy nie powiedzieć Valerie o tym, co się stało, gdy wracali do domu. Czy nie tak właśnie robią dziewczyny? Niestety, Althea nie ma doświadczenia w kwestii zwierzeń, a Valerie jest kiepskim doradcą, jeśli chodzi o chłopców.

– Nie bardzo – odpowiada. – Może trochę.

* * *

Mijają kolejne dwa dni i Oliver nie czeka na nią na werandzie; nie jeździ też autobusem. W ogóle nie pojawia się w szkole i opuszcza ostatnie dni zajęć; kiedy do sztywnego systemu wkrada się anarchia, uczniowie najstarszych klas odwiedzają ulubionych nauczycieli, żeby się pożegnać, a cała reszta opróżnia szafki i zwraca do biblioteki zaległe książki.

Świat bez Olivera to dla Althei zupełnie nowe miejsce, w którym czuje się zagubiona. Teraz, gdy poznała jego przyjaciół, nie jest już anonimowa w swojej

samotności i stojąc z boku, patrzy, jak przedostatni rok w liceum dobiega końca. Słucha, jak Miętus i Valerie rozmawiają tajemnym językiem najlepszych przyjaciół, podczas gdy Coby patrzy na nią z politowaniem. Umawiają się na picie piwa i planują wpaść na próbę zespołu Miętusa, ale zaraz po lekcjach Althea wymyka się w stronę samochodu.

– Nie idziesz, Carter? – woła za nią Coby.

Nie cierpi sposobu, w jaki wymawia jej nazwisko; tej jego poufałości.

– Nie mogę – mówi i bez dalszych wyjaśnień odwraca się do niego plecami.

Chwilę później zatrzymuje ją Valerie.

– Daj spokój, Althea. To ostatni dzień szkoły. Nie możesz tak po prostu wrócić do domu. – Nachyla się do niej i dodaje konspiracyjnym szeptem: – Wiesz, że go tam nie będzie, więc równie dobrze możesz pójść z nami.

Althea gorączkowo zastanawia się nad konsekwencjami przyjęcia zaproszenia. Gdzie odbywają się próby zespołu? Ile trwa taka próba? Ile czasu będzie musiała spędzić z tymi ludźmi, jeśli się zgodzi? Co ma robić, kiedy dotrą na miejsce? Siedzieć i słuchać zespołu? Jeśli tak, to w porządku. Mogłaby to zrobić. A jeśli nie? Co wtedy? Dwie, trzy, może cztery godziny picia piwa i rozmów z rówieśnikami. Czy to naprawdę taki zły pomysł? Oczywiście. Brzmi to co najmniej niezręcznie. Althea chce wrócić do domu, do szkicownika i czuwania.

Z drugiej strony, kiedy Oliver się obudzi, będzie miała mu o czym opowiadać. Zrobi na nim wrażenie, kiedy powie, że podjęła się samotnie takiego wyzwania. Oszło mi go swymi nowo odkrytymi umiejętnościami zachowania się w towarzystwie; stanie się dla niego nową, lepszą Altheą. Rozmyśla o pustej piwnicy i niezliczonych godzinach, które będzie zmuszona zabić przed powrotem Olivera. Przeżuwając kosmyk włosów, spogląda na Coby'ego, który wpatrzony w nią czeka na odpowiedź.

W końcu sięga do kieszeni jego koszuli i wyciąga paczkę papierosów.

– Jasne – mówi. – Mogę jednego?

* * *

Althea przynosi dwa solidne kawałki ciasta limonkowego do altany, gdzie Garth siedzi

nad dzbankiem mrożonej herbaty i książką, której tytuł wytłoczono czerwonymi literami. Sądząc po łodzi podwodnej i radzieckiej fladze na okładce, nie jest to kryminał, a powieść szpiegowska. Jest ubrany w białą koszulkę i spodnie khaki; długie wyprostowane nogi skrzyżował w kostkach. Jego lewe przedramię jest zdecydowanie bardziej opalone niż prawe. To dlatego, że kiedy prowadzi, opiera łokieć o opuszczoną szybę. Jego bicepsy są tak białe, że rażą w oczy.

– Zakazana przyjemność? – pyta Althea.

– Nie wierzę w takie przyjemności. Jeśli coś lubisz, po prostu to lubisz. Nie ma sensu się tym zadrećcać. Co to? – pyta, kiedy wręcza mu talerzyk.

– Ciasto. No wiesz. Takie coś do jedzenia. – Mówiąc to, gryzie kawałek, jakby chciała mu pokazać, co ma na myśli.

Garth idzie za jej przykładem i mruczy zadowolony.

– Pyszne.

– Mam nadzieję. Wyciskając limonki, nadwyrężyłam sobie nadgarstek.

– Skąd wytrzasnęłaś limonki?

– Mam swoje dojścia.

Jedzą. Altana wypełnia się brzękiem widelczyków drapiących talerze, choć okolica rozbrzmiewa odgłosami lata – gruchaniem gołębi, bzyczeniem owadów, gumowym echem piłki do kosza odbijanej na czyimś podjeździe. Kiedy ostatnie okruchy krakersów z grubo mielonej mąki pszennej znikają z talerzy, Althea kładzie się z głową na udzie ojca. Przewiesza nogę przez niską ściankę altany i uderza piętą o drewno.

– Co się stało z pisarką? – pyta.

– Była zatrudniona tymczasowo, pamiętasz?

– W przyszłym roku będzie następna.

– Pewnie tak. – Garth nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Jesteś bogaty, prawda?

– Słucham?

– Chodzi o to, że mamy pieniądze.

– Formalnie rzecz biorąc, ja mam pieniądze, a ty... – wskazuje ją widelcem – czerpiesz korzyści z mojej dobrej woli. I nie jesteśmy bogaci. Jesteśmy dobrze sytuowani.

Chmury rozstępują się i promienie słońca przeświecają przez zrobiony z listewek dach altany. Althea przesłania oczy dłonią.

– Dlaczego nigdzie mnie z sobą nie zabierasz?

– Masz na myśli wypadki na lody?

– Mam na myśli wyjazdy poza Wilmington. Wakacje zawsze spędzamy razem, ale nigdy nie wyjeżdżamy. To znaczy ty wyjeżdżasz, ale nigdy nie bierzesz mnie z sobą. Zostawiasz mnie tu i każesz Nicky się mną opiekować.

– Naoglądałaś się reklam Disneylandu i czujesz się pokrzywdzona, bo nigdy tam nie byłaś? – pyta Garth i przez chwilę wierci się na krześle.

Althea siada i patrzy na niego z wyrzutem.

– Jesteś profesorem historii. Nie odczuwasz pragnienia pokazania mi Pompejów? Nie chcesz, żebym wspięła się po schodach jakiejś azteckiej świątyni, żebyś mógł pokazać mi piktogramy i opowiedzieć o ofiarach z ludzi?

Garth tęsknym wzrokiem spogląda na książkę.

– Altheo, choć podróże ojca z córką po świecie brzmią bajecznie, jedyne, na co miałaś ochotę latem, nie licząc chodzenia na plażę z Oliverem, to biwakowanie w ogrodzie na tyłach domu.

– Moglibyśmy zabrać go ze sobą.

– Oliver to nie wypchane zwierzątko, które można spakować do walizki. Nicky nie stać na taką podróż, a wiem, że nie pozwoli nam zapłacić za Olivera. Potraktowałaby to jak jałmużnę. Pamiętasz, co się stało, kiedy na święta podarowaliśmy mu teleskop? Wyobrażasz sobie jej reakcję, gdybyśmy powiedzieli, że chcemy zabrać go do Europy?

Niestety, Althea pamięta aż za dobrze. Przerażony wizją końca świata Oliver zafascynował się nocnym niebem, zaczął biwakować w ogrodzie z mapą nieba i wysłuchiwał opowieści Gartha o gwiazdozbiorach – Kasjopei siedzącej na swym tronie głową do dołu, bohaterskim Orionie i ich ulubionych bliźniakach, Kastorze i Polluksie, najjaśniejszych gwiazdach w Gwiazdozbiornie Bliźniąt. Dołączył nawet do Towarzystwa Astronomicznego w Cape Fear i jedną niedzielę w miesiącu spędzał na spotkaniach w Kościele Unitarian i Uniwersalistów, żeby wysłuchać gości mówiących o teleskopie Hubble’a i sondzie kosmicznej Magellan. Zaczął też wyjeżdżać za miasto, gdzie światła ulicznych latarni nie przesłaniały widoku nieba. Tamtego ranka w Boże

Narodzenie Althea i Oliver zachwycili się teleskopem – Althea zapomniała nawet o nowiuieńkiej deskorolce, kiedy Oliver rozpakował prezent, który kosztował Gartha ładne kilkaset dolarów. Nicky starała się trzymać emocje na wodzy, dziękowała Garthowi i uśmiechała się, kiedy Althea rozpakowała prezent od niej – mozaikową ramkę na zdjęcie. Jednak w kolejnych miesiącach niechętnie przystawała na propozycje Gartha, żeby we czwórkę wyskoczyli na kolację, i jako pierwsza sięgała po rachunek, choć wszyscy wiedzieli, że pracuje ciężko, żeby opłacić kurs masażu. Na szczęście Althea i Oliver wchodzili w ten wiek, gdy pokazywanie się w towarzystwie rodziców traktowane jest jak największy obciach, tak więc wspólne kolacje przeszły do historii. Na kolejne święta Nicky zaprosiła swoich rodziców z New Jersey i stres związany z gotowaniem szynki niemal przyprawił ją o załamanie nerwowe. Spanikowany Oliver uciekł do Althei po tym, jak dziadkowie próbowali przekonać Nicky, żeby wróciła do domu, na co odpowiedziała, że jeśli opuści dom, w którym mieszkała razem z Mackiem, to będzie tak, jakby ojciec Olivera nigdy nie istniał. Althea obiecała mu wówczas, że uciekną, zanim Oliver zostanie wysłany do New Jersey, miejsca, którego Nicky nienawidziła z całego serca. Później, tego samego wieczoru, kiedy rodzice Nicky położyli się spać, ona również przyszła do domu Carterów, zmęczona rozmowami i gotowaniem szynki, i wszyscy czworo oglądali w piwnicy *Szklaną pułapkę* i jedli niedopieczone lazanie Althei. W następnych latach powróciły stare bożonarodzeniowe tradycje, z wyjątkiem prezentów od dorosłych.

– A ty nigdzie się bez niego nie ruszysz – kończy Garth. – Zostajesz tu, bo twierdzisz, że tego właśnie chcesz.

– On udał się gdzieś beze mnie. Zostawił mnie tu, zupełnie samą. Nie mógłbyś wysłać mnie na wakacje do Europy?

Garth łagodnieje, popija mrożoną herbatę i patrzy, jak Althea skubie skórę na pięcie.

– Dokąd chciałabyś pojechać? – pyta.

– Nie wiem. Jak myślisz, gdzie by mi się spodobało?

Spogląda na ogród i zastanawia się przez chwilę.

– W Grecji. Na jednej z wysp, żebyś była blisko morza i mogła codziennie pływać. W miejscu, które można zwiedzać i gdzie nie ma za dużo ludzi. Myślę, że spodobałaby ci się tamtejsza historia i mitologia. Błyskawicznie zapełniłabyś swój szkicownik.

– Świetnie. Jedźmy tam od razu.

– Nie zarezerwuję dwóch biletów na Krete, wiedząc, że przepadną, jeśli jutro Oliver się obudzi.

Althea nie zaprzecza i w milczeniu wpatruje się w swoje stopy.

– Dopóki nie będziesz w stanie wytrzymać bez niego, musisz umilać sobie czas tu, w Wilmington – dodaje Garth.

– Nie mogę bez przerwy siedzieć na myjni samochodowej.

– Jeśli naprawdę chcesz gdzieś wyjechać, możesz zawsze odwiedzić swoją matkę. Jestem pewien, że ucieszyłaby się z twojego przyjazdu.

Althea wzdryga się na samą myśl o tym.

– Nie pojedę do niej, dopóki nie przeprowadzi się na wybrzeże. Mieszkanie z nią bez dostępu do morza to katastrofa.

Garth pozostawia to bez komentarza; nie zamierza bronić swej byłej żony ani jej krytykować. Altheę zastanawia ta dziwna powściągliwość. Przez chwilę siedzą w ciszy.

– Jak myślisz, co mu jest? Oliverowi. Co jest z nim nie tak? – pyta w końcu.

– Nie wiem. To jak bajka albo coś mitologicznego.

– Jak na bajkę to wszystko jest zbyt popaprane.

– Daj spokój, czytałaś przecież braci Grimm. Bajki bywają koszmarnie popaprane. Wiesz, że istnieje wersja *Śpiącej Królowny*, gdzie królowna jest gwałcona w trakcie snu? Musisz pokazać, że masz charakter, Al.

– Czuję się jak frajerka – wyznaje Althea. – Mam wrażenie, że Oliver robi ze mnie frajerkę.

– On nic nie robi. Tylko śpi.

Ból po odrzuceniu przez Olivera jest równie świeży, jak tamtej nocy.

– Uwierz mi, wcale nie jest taki niewinny.

* * *

Althea nie ma ochoty odwiedzać Valerie. Jeżdżąc na rowerze, mija jej dom i widzi ją w towarzystwie Miętusa, jak myją ogromne garnki i patelnie wężem ogrodowym.

Machają do niej i wołają po imieniu, więc chcąc nie chcąc, zatrzymuje się i ostrożnie kładzie rower na mokrej trawie. Z głośników stojącego na poręczy starego magnetofonu płynie punkrockowy hymn pełen dud i brzęczących elektrycznych gitar. Valerie wyciera garnki i patelnie różowym plażowym ręcznikiem i układa je w zardzewiałym wózku sklepowym.

– O co chodzi z tym myciem garów? – pyta Althea.

– Właśnie skończyliśmy zmianę w Bread and Roses – wyjaśnia Miętus. Ma niewiarygodnie obcisłe dzinsy, które wyglądają jak legginsy naciągnięte na głany.

– Odkąd to dokarmiacie bezdomnych?

– Pomyśleliśmy, że to dobry sposób, żeby poznać jakieś dziewczyny – tłumaczy Valerie. – Ale teraz naprawdę to lubimy.

– Wybieramy żarcie z kontenerów na śmieci, przywozimy je tu, gotujemy i rozdajemy za darmo w parku – mówi Miętus. – Powinnaś z nami pojechać. Oliver mówi, że świetnie gotujesz.

– Przez kuchnię Nicky stał się mało wybredny – rzuca Althea. – Karmicie bezdomnych śmieciami?

– To nie są śmieci! – oburza się Valerie. – Nie masz pojęcia, ile dobrego jedzenia marnuje się tylko dlatego, że przestało wyglądać apetycznie na sklepowej półce. To niepojęte.

Z domu wychodzi Coby. Staje na ganku, zapala papierosa i zapalniczką otwiera butelkę Fat Tire. Nie zwraca uwagi na kapsel, który z brzękiem ląduje na podłodze. Na widok Althei uśmiecha się, pociąga łyk piwa i schodzi po schodach, żeby się przywitać.

– Hej, Carter – rzuca.

Althea nie spodziewa się czułości, jednak Coby obejmuje ją kościstymi ramionami i wcale nie jest to niemiłe. Pachnie dymem papierosowym, potem i świeżo skoszoną trawą – jak lato, jak zwyczajne lato – mimo to Althea cofa się o krok.

– Cześć – bąka. – Nie mów, że ty też zainteresowałeś się pracami społecznymi.

– Pieprzyć prace społeczne. Przyszedłem wyjeść co lepsze resztki.

– Do diabła, Coby! – krzyczy Valerie. – Mówiłam, żebyś nie pił piwa mojego ojca.

– Nawet nie zauważy, że go nie ma – odpowiada Coby.

– Lepiej, żeby nie znalazł pustej butelki, bo będę miała przechlapanie.

– Mam oddać ją do recyklingu czy zakopać na tyłach domu?

– A może wsadzisz ją sobie w tyłek?

– Boże, nienawidzę, kiedy moi starzy się kłócą – rzuca Miętus.

– Fajnie było was zobaczyć. – Althea podnosi rower.

Coby łapie ją za szlufkę.

– Hej, zaczekaj, dopiero przyjechałaś. – Rozbrojona niepokojem w jego głosie, Althea nie zwraca uwagi na sposób, w jaki palce Coby’ego muskają wąską szczelinę między jej koszulką a paskiem dżinsów.

Miętus kończy płukać ostatni garnek; resztki grochówki wsiąkają w trawnik przed domem. Po chwili wręcza garnek Valerie, wyciera ręce w nogawki spodni i ostrożnie sprawdza, czy z jego irokezem wszystko jest w porządku.

– I tak musimy lecieć. Pogrzebać w śmietnikach przy Food Lion.

– I jak, Carter? – Coby patrzy na Altheę. – Wskoczysz gdzieś? Wrzucę twój rower na pakę samochodu.

– Niby gdzie? – pyta podejrzliwie Althea.

Chłopak nie odpowiada od razu. Wygląda, jakby się zastanawiał, bo wie, że jeśli zaproponuje jej gry wideo albo coś równie przeciętnego, Althea parsknie śmiechem, wróci do domu i tyle ją będzie widział. Nagle w jego oczach pojawia się błysk.

– O co chodzi? – pyta Althea.

– Wiesz co? Niech to będzie niespodzianka.

Althea niechętnie daje się poprowadzić podjazdem do półciężarówki Coby’ego, wiekowego forda F-150, upstrzonego plamami rdzy, i krzywi się, gdy jej rower łąduje na pace obok skrzynki z narzędziami. Siada na fotelu pasażera pokrytym cienką warstwą czegoś, co przypomina szlam; szoferka cuchnie zwietrzałym dymem papierosowym i trawką.

W jednym z uchwytów na napoje stoi pusta puszka po piwie Pabst. Radio ustawione jest na stację rockową i podczas gdy REO Speedwagon grają *Take It On The Run*, Coby wywozi ich coraz dalej od względnie cywilizowanego miasteczka uniwersyteckiego Wilmington, w głąb Karoliny Północnej. Althea parska, kiedy mijają lombard ze stojącym przed wejściem krzykliwym, pomarańczowym banerem z napisem

„Mamy Broń”, sąsiadujący ze sklepem monopolowym.

– Jezu Chryste – mówi. – Popatrz, gdzie żyjemy. – Im większa odległość dzieli ją od wody, tym bardziej się denerwuje.

Parkują na końcu długiej drogi gruntowej. Coby wyciąga rękę i ze schowka na rękawiczki wyjmuje 0,75 litra whisky Old Crow. Pociąga łyk i podaje Althei, która robi to samo. Kiedy oddaje mu butelkę, Coby zatyka ją za pas spodni. W milczeniu idą drogą pod koronami starych wiązów. Na jej końcu stoi wysoki na cztery piętra wielki szkielet budynku z dziurami zamiast okien. Nawet w tak słoneczne popołudnie widok ten budzi niepokój potęgowany upiorną ciszą. Althea nigdy tu nie była, jednak zna to miejsce z licznych opowieści, zdjęć i artykułów, których autorzy pytają, kiedy ta waląca się śmiertelna pułapka zostanie w końcu wyburzona.

– To stare zakłady mięsne? – pyta.

– Taa.

Żeby dotrzeć na pierwsze piętro, muszą się wspinać. Coby splata palce w koszyczek i podsadza Altheę. Dziewczynę zdumiewa wnętrze opuszczonego budynku. Jest olbrzymie i ciche jak pusta katedra. Podłogę zaścielają kruszące się kawałki cegieł, grudy betonu i liczne pamiątki porzucone tu przez miejscową młodzież – puste puszkę po sprayu, butelki po piwie i odłamki szkła, pety i zużyte prezerwatywy. Ściany pokrywają kolejne warstwy graffiti, prawdziwa eksplozja neonowych barw, nieczytelne zakrętaszy, miłosne wyznania, tu i ówdzie pentagram. Wokół ziejącej w ścianie dziury ktoś namalował potworne rozdziawione usta z pożółkłymi zębami. Pośrodku pomieszczenia znajdują się kręte cementowe schody rodem z litografii M. C. Eschera.

– Fajne, co? – pyta Coby.

Althea kiwa głową.

– Znam kolesia, który odprawiał tu prawdziwe satanistyczne rytuały.

– Tak naprawdę nikt nie czci szatana – mówi Althea.

Zwiedzając pierwsze piętro, natrafiają na kolejne pomieszczenia i brakujące fragmenty podłogi, przez które mogą zaglądać do piwnic. Althea zastanawia się, do czego służyły, kiedy zakłady działały.

– Idziemy na górę? – pyta w końcu, chcąc zobaczyć więcej.

– W porządku, ale ja pierwszy – mówi Coby. – Trzeba uważać na dziury w podłodze i inne dziadostwo.

Idąc za nim po stromych schodach, stara się patrzeć na jego stopy. Czuje, jak wszechobecne drobiny cementu chrzęszczą pod gumowymi podeszwami trampek. Kiedy Coby wyciąga rękę, waha się, jednak przyjmuje jego pomoc.

– To miejsce stoi tu od wieków – tłumaczy Coby. – Facet, który sprzedaje mojemu ojcu prochy...

– Zaczekaj, twój stary ma dilerę?

– To przyjaciel rodziny, który sprzedaje ojcu trawkę. Ma na imię Zorro. W każdym razie koleś balował tu, kiedy był w liceum. Mówi, że znał dzieciaki, które tu zmarły. Podobno to miejsce jest nawiedzone.

– Miętus powiedziałby, że jest nawiedzone przez duchy zwierząt, które tu zarżnięto – mówi Althea.

– Miętus musi zaruchać.

Na najwyższym piętrze prawie nie ma ścian, są tylko słupy podtrzymujące dach. Coby staje nad krawędzią, spogląda na las i popija Old Crow. Althea pociąga łyk whisky, podchodzi do starego szybu windy i zagląda w dół, do piwnicy.

Kiedy mieli dziewięć lat, Oliver złamał nadgarstek. Był deszczowy dzień i Althea się nudziła, więc zaproponował, że zbudują tor przeszkód na schodach do piwnicy. Zastawili schody puszkami z zupą, garnkami i stosami gazet. Ustalili, że będą na zmianę zjeżdżać na spłaszczonym kartonowym pudle. Widząc strach w oczach Althei, Oliver zadeklarował się, że zjedzie pierwszy. Lawirując między przeszkodami, wspiał się na szczyt schodów, pomachał do niej radośnie, usiadł na pudle i odepchnął się od ściany. Pokonawszy jedną trzecią drogi, kartonowe pudło zahaczyło o stare prawidło, które znaleźli w szafie Gartha. Stojąc u podnóża schodów, Althea patrzyła, jak Oliver nabiera prędkości, odbija się od kolejnych stopni niczym zepsuta sprężynka slinky i zwinięty w kłębek ląduje u jej stóp.

Kiedy lekarze poskładali złamany nadgarstek, a Nicky i Garth ogłosili pouczające kazania, Althea postanowiła, że ona również złamie nadgarstek. Uderzała w rękę różnymi przedmiotami – srebrnym świecznikiem, butelką burbona, ciężką szklaną popielniczką – ale jedyne, czego się nabawiła, to siniaki. W końcu zebrała się na

odwagę i stanęła na szczycie schodów.

Człowiek może patrzeć, jak jego najlepszy przyjaciel spada ze schodów, ale nie ma pojęcia, jakie to uczucie. I nagle to ty lecisz na łeb, na szyję i myślisz sobie: „A więc tak to jest, kiedy spada się ze schodów”. Althea nie złamała ręki, ale Garth znalazł ją na podłodze piwnicy z głową rozciętą tuż poniżej linii włosów. Rana była na tyle głęboka, że trzeba było założyć szwy. W obecnej sytuacji nic nie może zrobić; nie ma niczego równie głupiego, dzięki czemu zrozumie, co dzieje się z Oliverem. Tęskni za nim, ale gdyby Oliver nie spał, nie byłoby jej tu i nie zobaczyłaby tego niesamowitego, przerażającego miejsca. Czy to znaczy, że musi żałować każdej przyjemnej rzeczy, która wydarza się w trakcie jego nieobecności?

– Nie stój tak blisko – ostrzega Coby. Dopiero słysząc jego głos, Althea uświadamia sobie, że stoi niebezpiecznie blisko nierównej krawędzi.

Coby trzyma w dłoniach cegłę i przez ułamek sekundy Althea wyobraża sobie, że rozwali jej nią głowę; może niektórzy ludzie rzeczywiście czczą szatana i to ona zostanie złożona w ofierze. Zamiast tego Coby wyrzuca cegłę w górę, nad pustym szybem windy. Przez krótką chwilę mają wrażenie, że cegła unosi się w powietrzu, zaraz jednak wpada do szybu i roztrzaskuje się o podłogę z głuchym, dziwnie przyjemnym odgłosem, który Althea czuje w całym ciele.

– Jest ich więcej – mówi Coby, wskazując leżącą w kącie stertę gruzu.

Przez chwilę wrzucają cegły do pustego szybu, aż w końcu wspinają się na dach i machając nogami, wygrzewają się w ciepłym letnim słońcu, podziwiając soczystą zielen drzew. Coby wyciąga butelkę whisky i paczkę papierosów; oboje piją i palą.

– Szkoda, że nie wzięłam aparatu – wzdycha Althea.

– Możemy tu jeszcze przyjechać. – Coby wyciera pot z czoła wewnętrzną stroną nadgarstka i podwija rękawki koszulki. – Nie jesteś taka sztywna, jak mogłoby się wydawać.

– Sprawiam wrażenie, jakbym była sztywna? – pyta poirytowana Althea. Paniarki z dobrego domu są sztywne; ona jest tylko wkurzona.

Coby wzrusza ramionami.

– Kiedyś tak. Kiedy usłyszałem, jak odeszłaś z drużyny, że tak po prostu zesłaś z toru, byłem pod wrażeniem.

– Skąd o tym wiesz?

– Krążą plotki. A tak w ogóle, czemu to zrobiłaś?

Althea nie wie, czy to przez whisky, ale dość ma już kłamstw.

– Po prostu nie mogłam dłużej tego robić. Dosłownie. Czułam to. Cokolwiek miałam, zniknęło. Tak po prostu. – Mówiąc to, strzela palcami. – Więc odeszłam. Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, o co chodzi.

– Wiesz, że to ma swoją nazwę.

Althea zaciąga się dymem.

– Przegrywanie?

– To syndrom Steve’a Blassa – mówi Coby. – Był miotaczem w Pittsburgh Pirates. Nagle, nie wiedzieć czemu, stracił formę. Przeszedł z pierwszej ligi do drugiej i zakończył karierę.

– Syndrom Steve’a Blassa?

– Czasami nazywany syndromem Steve’a Saxa. Sax był drugobazowym w Dodgersach. W pewnej chwili on też kompletnie stracił formę, ale w końcu ją odzyskał.

– Dużo wiesz o baseballu – zauważa Althea.

– Kiedy byłem dzieciakiem, zbierałem karty baseballowe.

– Cudownie.

– Nie wiem, dlaczego ludziom się wydaje, że baseball to zdrowy sport – mówi Coby, pstryknięciem zrzucając peta z dachu. – Słyszałaś kiedyś o Docku Ellisie? Koleś rozegrał mecz na kwasie i nie pozwolił pałkarzowi ani razu odbić piłki.

– Napisali to na karcie?

– Chciałbym mieć taką serię. Zamiast punktów i rund, informacje o przestępstwach, jakie popełnili gracze i ich pobytach na odwyku.

– To nie fair – mówi Althea – że istnieje określenie na to, co jest ze mną nie tak, a nikt nie potrafi nazwać tego, co dzieje się z Oliverem.

– Nic ci nie jest – uspokaja ją Coby, po raz kolejny sięgając po butelkę Old Crow. – Po prostu wszystko się zmienia.

* * *

– Naprawdę nie mam nic przeciwko – Althea po raz trzeci zapewnia Nicky. Siedząc na kanapie, patrzy, jak matka Olivera krząta się po pokoju w poszukiwaniu kluczyków do samochodu i portfela i wrzuca wszystko do ozdobionej frędzlami brązowej torby, która wisi jej niemal do kolan.

– Nie będzie mnie tylko przez kilka godzin – rzuca Nicky, mnąc w ręce listę zakupów (Althea dostrzega „wino”, „sos do makaronu” i „szparagi”, zapisane niedbale czerwonym pisakiem) i chowając ją do kieszeni spodni. – Odkąd to się zaczęło, nie zostawiałam go samego. Zamontowałam alarm, ale i tak się denerwuję.

– Na pewno nie chcesz, żebym to ja poszła?

– Dzięki, skarbie, ale tak będzie lepiej. To nie zajmie dużo czasu.

Bez względu na to, jak zdenerwowana wydaje się Nicky, Althea przypuszcza, że cieszy ją wyrwanie się choć na chwilę z domu; wypije mrożoną kawę i utnie sobie pogawędkę z sympatycznym kasjerem w sklepie monopolowym. Wszystkie okna są otwarte i firanki wydymają się na wietrze, jednak nawet ciągły napływ świeżego powietrza nie jest w stanie zabić smrodu dymu papierosowego i słodkawej woni, która unosi się nad stojącym w kuchni koszem, pełnym spleśniałych filtrów do kawy i gnijących skórek awokado. W takich warunkach nawet człowiek cierpiący na agorafobię miałby ochotę uciec z domu.

– Niewiele jest do jedzenia, ale nie krępuj się i zrób sobie herbaty, lemoniady czy co tam będziesz chciała – mówi Nicky. – Nie sędzę, żeby się obudził; budziłam go rano, żeby zjadł trochę płatków i... lepiej oszczędzę ci szczegółów. Powinien dalej spać. Gdyby coś się działo, wrócę najszybciej, jak się da.

Althea ściąga buty, układa się na sofie i sięga po najbliższy magazyn – „Duch Przemiany”, kwartalnik holistyczny – żeby pokazać, jak bardzo jest odprężona, i aby dać Nicky do zrozumienia, że może już iść.

– Wszystko będzie w porządku – uspokaja ją. – Proszę się nie martwić.

Nicky zatrzymuje się przy sofie i miętosi w palcach frędzle skórzanej torebki.

– Dziękuję, że to robisz – mówi.

– Nie ma sprawy.

Althea jest zaskoczona, jak pusty wydaje się dom po wyjściu Nicky. Choć nigdy

wcześniej nie pracowała jako opiekunka do dzieci, jest dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała: matka, która niechętnie rozstaje się z pociechą; kwestia spania; świadomość, że ma dla siebie cały dom i mnóstwo wolnego czasu. W filmach opiekunki potajemnie dzwonią do swoich chłopaków i zapraszają ich na pieszczoty na kanapie, ale jedyny chłopak, z którym całowała się Althea, to ten, za którego jest chwilowo odpowiedzialna.

Kiedy Nicky zadzwoniła, żeby poprosić ją o przysługę, nie powiedziała otwarcie, o co chodzi, więc Althea utknęła w domu McKinleyów bez szkiecownika, ołówków czy jakiegokolwiek innej rzeczy, która zapewniłaby jej rozrywkę. Podczas gdy przeciętna opiekunka z chęcią zaczęłaby przeczesywać sypialnię gospodarzy, w nadziei, że pozna ich skrzętnie skrywane tajemnice, Althea wie o Nicky wystarczająco dużo; pozostałą część domu poznawała przez ostatnie dziesięć lat. Zna tu każdy kąt, każdy metr kwadratowy – wciąż lekko sklejoną plamę na dywanie, która została po niefortunnym wypadku z glutem Silly Putty; rozdarcie na oprawionym w ramy kupionym w second handzie pejzażu morskim, powstałe, gdy Oliver rzucił w głowę Althei niedojrzałą pomarańczą i chybił; jasnobrązową plamę na spodzie siedziska kanapy, pierwszej ofiary jej cyklu miesięczkowego.

Tamtego dnia była potwornie zażenowana; nie potrafiła odpowiedzieć Oliverowi, dlaczego nie chce wyjść pojeździć z nim na desce, podczas gdy najzwyczajniej w świecie nie chciała ruszyć się z kanapy. Kiedy w końcu powiedziała mu, o co chodzi, zbladł – widziała odrazę, która przez moment malowała się na jego twarzy – ale natychmiast doszedł do siebie, pokazał jej szafkę w łazience, gdzie Nicky trzymała „te rzeczy”, upchnął jej spodnie na samym dnie kosza z brudną bielizną i pożyczył jej swoje spodenki. Zanim wyszła z łazienki, odwrócił poduchy na kanapie, ukrywając przed światem ostatni dowód.

– Możemy teraz wyjść? – spytał. Dopiero później, kiedy zamknięty w swoim pokoju ślęczał nad układem okresowym pierwiastków, Althea zaatakowała plamę mydłem, zimną wodą i papierowymi ręcznikami, aż wyglądała, jakby ktoś rozlał na kanapie wyjątkowo słabą herbatę.

W tym domu jest tylko jedna tajemnica, która nie daje jej spokoju, i niespełna kwadrans później Althea nie myśli o niczym innym. Sypialnia Olivera cuchnie; czuje to

na korytarzu, jeszcze przed otwarciem drzwi. Okno jest uchylone, ale powietrze zatechło, woda różana i świece zapachowe ledwie maskują mdławy odór, jaki roztacza wokół siebie kosz z brudną bielizną. Pożółkła skóra Olivera wydziela nieprzyjemną, gryzącą woń. On sam leży na łóżku w szarych bokserkach i brudnej białej koszulce, tuląc do siebie zaślinioną poduszkę. Jego prawa noga jest wyprostowana, a stopa wystaje poza ramę łóżka, podczas gdy lewym kolaniem praktycznie dosięga brody. Wygląda jak uchwycony w stopklatkę biegacz, naniesiony na celuloid bohater animacji.

I choć w tych krótkich chwilach, kiedy budzi się do życia, nie potrafi zachować się w towarzystwie, chociaż nie jest sobą, przynajmniej potrafi chodzić i mówić. A gdy tak śpi, nieświadomy jej obecności, oddychając płytko, z twarzą wtuloną w cuchnącą poduszkę, wygląda jeśli nie jak ktoś chory, to z pewnością jak ktoś, kto bardzo, bardzo źle się czuje. Chociaż żyje i oddycha – ma brud za paznokciami, wzdycha przez sen i przewraca się na plecy – jego sypialnia wydaje się wymarła i opuszczona. Abażur pokrywają kłębki kurzu, a taśma, którą przyklepiono plakaty z filmów *Wszystko tylko nie buty* i *Oni żyją* oraz plakat zespołu Weezer, odkleja się, tracąc przylepność w wilgotnym letnim powietrzu.

Althea zaciska powieki i próbuje siłą woli zmusić budzik, żeby zadzwonił. Chce, żeby Oliver wyciągnął rękę, wcisnął przycisk „drzemka” i mruknął coś o zastawianiu pułapek na piźmaki. Wyobraża sobie, że powie wtedy: „Obudź się, Ol. To tylko sen”. A on odmruczy: „W porządku”, otworzy oczy i doda: „Miałem przedziwny sen”. Na co ona odpowie: „Tak, opowiedz mi o nim”. Wtedy Oliver wróci do swojego ciała.

Szarpnięciem wyrywa mu poduszkę, zdejmuje brudną poszwę i zastępuje świeżą. Kiedy wsuwa mu ją pod głowę, Oliver trąca jej rękę i się uśmiecha. Althea siada na skraju łóżka i głaszcze jego tłuste żółte włosy.

Pochyliła się nad nim i dotyka dłonią jego policzka. Kiedy zamyka oczy, widzi jego twarz tak wyraźnie, jakby wciąż na niego patrzyła. Widzi ją wszędzie, każdego dnia.

Jak w bajce.

Za każdym razem, gdy Oliver szedł do kolejnego lekarza i opowiadał mu swoją historię, Althea z poczuciem winy myślała o tym, czego nie wiedział – że zachorował wtedy, gdy uświadomiła sobie, jak go pragnie, i że w dniu, gdy siłowali się w deszczu, a ona wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy przeżyje z nim swój pierwszy raz, jego

choroba została wprowadzona w ruch. I choć wiedziała, że obie te rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego, pojawiły się równocześnie – jej pożądanie i jego zmęczenie – równie tajemnicze i nieodwracalne, jak klątwa złej czarownicy.

Delikatnie muska wargami jego usta. Nie ma w tym żadnej magii. Tak jak nie ma w tym Olivera. Czując się jak idiotka, podnosi głowę, ale nie wstaje z łóżka. Gdyby poszła do pokoju gościnnego i spróbowała czytać „Ducha Przemiany” albo przeglądać należącą do Nicky kolekcję płyt, i tak by tu wróciła. Nawet w tej sytuacji, gdy Oliver pogrążony jest we śnie, to jedyne miejsce, w którym chce być.

Oliver otwiera oczy. Bez ostrzeżenia, łopotania rzęs czy cichego westchnienia, które by ją na to przygotowało. Jest jak zabójca na końcu filmu grozy – choć wszyscy są przekonani, że nie żyje, nagle wstaje i po raz ostatni przeraża widzów. Althea wydaje stłumiony krzyk.

„Jezu Chryste! To podziałało! – przemyka jej przez głowę. – Ale czy aby na pewno?”

– Jestem głodny – oznajmia Oliver.

Niezupełnie. Nie obudziła prawdziwego Olivera, tylko jego żarłocznego sobowtóra.

– Twoja mama wyszła kupić ci coś do jedzenia. Niedługo wróci.

– Ale ja jestem głodny – powtarza Oliver.

– Niedługo coś zjesz.

– Ładnie wyglądasz.

– Ty za to beznadziejnie – odpowiada Althea.

Oliver ma zaczerwienione oczy i twarz pogniecioną od poduszki. Jego biała pomięta koszulka śmierdzi. To nie jest prawdziwy Oliver, ale wydaje się w miarę rzeczywisty i nagle Althea czuje się szczęśliwa na widok dołeczków w jego policzkach, niebieskich oczu, miękkiego meszku w zagłębieniu szyi, tego fragmentu skóry i kości, który kocha tak bardzo, że najchętniej wtuliłaby się w niego i została tam na dobre. Gdyby tylko mogła. Wyciągając się obok niego, kładzie palec na tym właśnie miejscu i próbuje udawać, że wszystko jest w porządku.

Wyczuwa na sobie jego spojrzenie i nagle się czerwieni. Podnosi rękę i bezwiednie zaczyna bawić się włosami. Czuje się nieswojo, skupiając na sobie całą jego uwagę. Nie przekomarzają się i nie żartują, tym bardziej doskwiera jej intensywność jego

spojrzenia. Cisza między nimi jest tak głęboka, że zdaje się ogarniać całą dzielnicę. Althea nie słyszy żadnych odgłosów, które powinny dobiegać zza okna.

Oliver sadza ją na sobie okrakiem. Wsuwa rękę pod koszulkę i zimnym palcem wodzi po jej spoconych plecach. Twardnieje. Zatrzymuje się przy każdym kręgu, czubkiem palca kreśli zawijasy wokół kości Althei, jego pierś unosi się i opada pod brudną koszulką. Althea wstrzymuje oddech, niepewna, co się stanie, gdy dotknie jej karku i zakończy swą grę. Drży, ale nawet na chwilę nie odwraca wzroku.

Niczym mityczna Kasandra widzi, co wydarzy się w przyszłości, ale nie potrafi tego powstrzymać. Jej ciało już od dawna czeka na Olivera, a kiedy przyciąga ją do siebie, jej żądza pożera poczucie winy, nie zostawiając nic prócz okrucieństw.

Tym razem pocałunek jest gwałtowny, nie ma w nim miejsca na niezdecydowanie i delikatność, które pamięta z tamtej nocy pod drzewem. Jest zachłanny; oboje są. Kiedyś Althea zastanawiała się, czy gdyby nie widziała całujących się ludzi, przyszyłoby jej do głowy, żeby to zrobić. Nie rozumie instynktu, który każe człowiekowi wziąć za rękę drugą osobę i zbliżyć się do niej tak bardzo, jak to jest możliwe, a jednak pragnie znaleźć w ustach ten kwaśny, chropowaty język i poczuć na sobie ręce Olivera, które pną się po jej żebrach jak po drabinie, by dotknąć piersi.

Myślała, że zna jego ciało, jednak walki zapaśnicze i wspólne drzemki nie przygotowały jej na to, co jeszcze może odkryć i do czego w końcu ma dostęp. Zawsze była silniejsza, ale teraz zaczyna rozumieć, w jaki sposób jego chłopięcość zwycięża jej dziewczęcość i to, że Oliver nie musi być silniejszy, wystarczy, że będzie taki jak teraz – palce jak ze stali i łopatki, które niczym skrzydła poruszają się pod skórą – a pokona ją w każdej sytuacji. Zatapia palce w jej włosach i błądzi ustami po skórze, tak że Althea nie może się skupić, nie potrafi myśleć. W myślach nazywa kolejne kości, których dotykają jego dłonie – łopatka, obojczyk, kość gnykowa. Kość ramieniowa, kość krzyżowa i żuchwa. *To nie walka zapaśnicza, to nawet nie jest Oliver*, myśli Althea. To tylko jego czaszka, kość udowa i kość promieniowa. To nie on ściąga z niej czarną bawełnianą bieliznę i to nie Oliver wchodzi w nią palcami.

Althea próbuje ściągnąć jego bokserki, ale on odwraca ją na brzuch i sam je zdejmuje. Wsuwa rękę między jej talię i materac, chwyta ją za kość biodrową i szarpnięciem przyciąga do siebie. Kolanami rozkłada jej nogi, podczas gdy ona

wypina się, wychodząc mu na spotkanie.

Po wszystkim Oliver zdiera poszwę z poduszki i wyciera nią plecy Althei. Tym razem to ona będzie musiała ukryć dowody.

Althea nie krwawi. Z jakiegoś powodu była przekonana, że powinna krwawić.

Oliver przewraca się na plecy, a ona kuli się obok niego. Opiera głowę na jego ramieniu i leniwie gładzi go po brzuchu. Ma nadzieję, że on coś powie, ale tak się nie dzieje, więc zamyka oczy i próbuje ignorować jego powolny, głęboki oddech. Oliver zasypia.

– Ollie? – szepcze.

– Mmm?

– Nie możesz poczekać? Tylko troszkę.

Z chwilą, gdy wypowiada te słowa, wie, że mówi sama do siebie.

* * *

Kilka dni później Althea siedzi w doku i macha nogami, a Miętus i Valerie pływają w rzece. Obok niej siedzi Coby, jednak Althea ignoruje go najlepiej, jak potrafi. Bez koszulki wydaje się jeszcze bardziej wychudzony. Ma wklęsłą klatkę piersiową, wąskie przygarbione ramiona, kruche kostki i nadgarstki.

– Chodźcie do wody! – krzyczy Valerie.

– Jestem zajęta – odpowiada Althea i rzeczywiście tak jest. Pilnuje butelki Fighting Cock, papierosów, i obserwuje innych z takim samym zainteresowaniem, z jakim patrzyłaby na imprezie na grupę nieznajomych, zastanawiając się, czy powinna podejść i się przedstawić. Noc jest mglista, ale światło księżyca rozświetla wodę jak obleczona w prześcieradło żarówka. Wcześniej tego samego dnia, po tym, jak obejrzeli na kablówce *Rollerball*, Valerie znalazła w garażu dwie pary wrotek i zdecydowała, że chce odegrać swoje ulubione sceny. Przez resztę popołudnia razem z Altheą wpadały na siebie, przewracały się, zdierały kolana i łokcie, podczas gdy chłopcy rozsiedli się na krzesłach ogrodowych i popijając mrożoną herbatę, zagrzewali je do walki.

– Jak się czujesz? – pyta Coby.

– Jakbym dostała łomot – odpowiada.

– Co robisz jutro?

– Pewnie znowu wpadnę do Val. – Zanurza dłoń w wodzie i dwoma mokrymi palcami gasi papierosa. Woda obmywa nogi Coby’ego, prostuje włosy na jego nogach i przykleja je do skóry. Przez chwilę Althea ma ochotę ścisnąć jego udo, tylko po to, żeby zobaczyć, jak robi się twardy, zaciągnąć go do lasu, ujeżdżać niezgrabnie na tylnym siedzeniu samochodu albo splawić Miętusa i Valerie i zrobić to tu, w doku. Wówczas do końca życia w akademiku i na uroczystych kolacjach mogłaby kłamać i opowiadać, że taki właśnie był jej pierwszy raz, poprawny i podmiejski – butelka whisky, chłopak, który pragnął jej od dawna, wakacje przed ostatnim rokiem nauki w liceum. Mogłaby mówić, że straciła dziewictwo pod rozgwieżdżonym niebem, z kimś, kto zapamięta to na zawsze. „Dlaczego nie mogę tego powtórzyć? – zastanawia się. – Dlaczego nie mogę opowiedzieć tak głupiej historyjki?” Odganiając komara, patrzy, jak Val i Miętus pluskają się w wodzie.

– Wiem – mówi nagle Coby. – Czasami wydają się tacy cnotliwi.

– Kiedy nie patrzę, Miętus zostawia mi za wycieraczką ulotki z Bread and Roses. Próbuje mnie zwerbować, chce, żebym przez resztę wakacji grzebała w kubłach na śmieci i dokarmiała bezdomnych. Chociaż kto wie, może powinnam.

– Nie rób tego – jęczy Coby. – Po co miałabyś to robić?

– Nie wiem. Może w ramach pokuty?

– Za co?

Nie mając ochoty opowiadać mu o swoich grzechach, Althea szuka odpowiedzi, która go zadowoli.

– Za to, że nie jestem taka cnotliwa jak oni.

– Cnota jest dla mięczaków. Mam nadzieję, że nie spędza ci snu z powiek.

– A tobie? Czy ty w ogóle się czymś zajmujesz?

– No wiesz, tym, co każdy. Polityką. Martwi mnie globalne ocieplenie. Przejmuję się losem lasów równikowych. Małymi delfinami, które zaplątują się w plastik z sześciopaków. Czuję się winny, bo wspieram przemysł tytoniowy. Cholernie daje mi się to we znaki – chichocze.

– Chodź. Zagramy w grę.

– Jaką? – pyta Coby, nachylając się w jej stronę. – Co to za gra?

Althea przyciska lewe przedramię do prawego przedramienia Coby'ego, tak że nie ma między nimi żadnej przerwy. Jego skóra jest szorstka w dotyku, pokryta ciemnymi szczeciniastymi włoskami.

– Jeśli pierwszy się ruszysz, przegrywasz. – Mówiąc to, zapala zapałkę. Kołysze ją w palcach i patrzy na niego, jakby chciała, żeby wymyślił jakąś wymówkę. Ale w oczach Coby'ego nie ma niepewności, jego harde spojrzenie mówi, że przyjął wyzwanie. – Gotowy?

– Dawaj.

Althea upuszcza zapałkę w wąską szczelinę, gdzie spotkają się ich przedramiona. Reagują instynktownie i oboje cofają ręce.

– To było żałosne – stwierdza Althea.

– Aż mi głupio.

Czując woń przypalonych włosów, marszczą nosy.

– Spróbujmy jeszcze raz – proponuje Althea i zapala kolejną zapałkę. Coby kiwa głową i wyciąga rękę.

Tym razem dziewczyna jest gotowa na gorące pieczenie, kiedy zapałka spada na rękę, i na eksplozję bólu, kiedy płomień dotyka skóry. Bierze gwałtowny wdech, klnie pod nosem, zaciska drugą rękę w pięść i wali nią w udo. Nierówne paznokcie wbijają się w skórę dłoni, kiedy zaciska powieki i napina mięśnie tak bardzo, że boi się połamać kości. I nagle jest po wszystkim – Coby cofnął rękę i przygląda się miejscu, w którym ogień opalił włosy, pozostawiając czerwoną bolesną pręgę.

Althea dotyka czołem kolan i wybucha śmiechem. Ból w ramieniu nasila się, kiedy do nerwów dociera, co się stało, ale jest skupiony w jednym miejscu, więc reszta ciała rozluźnia się, jakby nagle zrobiło się w nim więcej miejsca. Uczucie ulgi jest intensywniejsze niż pieczenie. Adrenalina i alkohol mieszają się w jej krwi, śpiewając bojową pieśń. Cieknie jej z nosa i Althea w roztargnieniu wyciera go wierzchem dłoni.

Oddychając ciężko, Coby kładzie jej rękę na ramieniu w niemal braterskim geście.

– Lepiej się już czujesz?

– Zróbmy to samo z drugim ramieniem – proponuje Althea.

Podpływa do nich Miętus.

– Właźcie do wody – mówi. – Ochrcimy was. Obmyjemy was z grzechów.

– Raz już zostałem ochrzczony – rzuca Coby. – Nic to nie dało.

– Jak to? – pyta Althea. – Nie wierzysz w Boga?

– Wierzę, ale nie jestem pewien, czy on wierzy we mnie.

– To najsmutniejsza pieprzona rzecz, jaką w życiu słyszałam – krzyczy, śmiejąc się, Valerie. Rozgarnia wodę rękami i ochlapuje ich, przy okazji mocząc pudełko zapalek. Coby odstawia butelkę i wskakuje do rzeki, pozostawiając Altheę samą na nabrzeżu. Miętus ogląda się przez ramię i rzuca jej porozumiewawcze spojrzenie; w jego oczach jest smutek. Patrząc na niego, Althea żałuje, że nie w jego mocy jest udzielić jej rozgrzeszenia.

Alkohol Coby’ego nie przytępił jej zmysłów. Las jest wyjątkowo hałaśliwy i nie chodzi o pokrzykiwania przyjaciół, ale odgłosy świerszczy i cykad, rezonujące kumkanie żab i szept liści nad głową. W dole, pod jej stopami migocze woda, a po drugiej stronie rzeki czai się mrok tak ciemny, że zdaje się pulsować. Zamroczone kładzie się na plecach i zasłania oczy poparzonym przedramieniem.

– Wszystko w porządku? – pyta Valerie, delikatnie kładąc rękę na jej kostce.

Althea zrywa się na równe nogi i zbiega z doku wprost do lasu. Wołają ją – „Co się stało?“, „Niedobrze jej?“, „Dokąd ona pobiegła?“ – krzyczą jej imię, proszą, żeby wróciła.

Wiatr kąsa obtartą, zakrwawioną skórę na jej kolanach i łokciach i świeże oparzenie na przedramieniu. Tętniący życiem świat znika, jakby nigdy nie istniał i Althea zostaje sama w głębi lasu, z uczuciem klaustrofobii i przeświadczeniem, że już na zawsze pozostanie więźniem własnego umysłu.

Zdejmuje koszulkę i ściga szorty. Niemal nie słyszy nawoływań, kiedy wybiega spomiędzy drzew i pędzi nabrzeżem, jakby to był pas startowy, a ona lada chwila miała wzbić się w powietrze. Jej stopy dudnią o drewniane deski doku; chwilę później odbija się od krawędzi i przy wtórce radosnych okrzyków na krótką chwilę zawisa w powietrzu, by zaraz potem runąć do rzeki. Siła, z jaką uderza w taflę wody, niemal ściga jej majtki; wodorosty płaczą jej nogi. Rzeka Cape Fear owija się wokół jej ciała. Pod wodą wszystko jest stłumione i odległe i Althea marzy, by takie pozostało. Prosi wszechświat, by ta spokojna pustka trwała dalej, żeby nie zniknęła, gdy wynurzy się z wody i wyjdzie na brzeg, z powrotem do świata.

Rozdział 4

Oliver nie może znaleźć okularów przeciwsłonecznych. Ulica wydaje się wymarła, prześwietlona, kołpaki i zderzaki połyskują złośliwie. Jednak nie tylko jaskrawe światło sprawia mu ból, ale też sam fakt, że ma otwarte oczy i że w ogóle widzi. Kilkakrotnie zaciska palce dłoni w słabą pięść, próbując przyzwyczaić się do bycia we własnym ciele. Jak długo nie było go tym razem? Dwa miesiące? Czy jest głodny? Kiedy ostatni raz coś jadł? Chcąc jak najszybciej wyjść z domu i uciec od pytań Nicky – pragnęła wiedzieć, jak się czuje, kiedy on sam jeszcze tego nie wiedział – nie wziął prysznic ani nawet nie umył zębów i teraz wstydzi się własnego kwaśnego zapachu i nieprzyjemnego posmaku w ustach. Jego włosy, zwykle zadbane, urosły, tworząc na głowie kudłaty nieład. Dotyka dłonią policzka pokrytego jasną szczeciną; przynajmniej paznokcie ma obcięte, choć krępuje go świadomość, że Nicky obcinała je, kiedy on spał. Wślizguje się do ogrodu Althei i mruży oczy. Coś porusza się w altanie, kostki lodu grzechoczą w szklance, słychać szelest kartek.

– Oliver? To ty? – Zaskoczony Garth podnosi wzrok.

– Tak.

Wygląda na to, że Garth postanowił spędzić miło dzień. Na ławce obok leży stos książek o Aztekach, między nimi zabłąkany kryminał, stoi pełen plasterków cytryny dzbanek mrożonej herbaty w kolorze miodu, a w zasięgu ręki talerz aksamitnych babeczek.

– Nieźle się pan tu urządził – mówi Oliver.

– Witaj. – Garth sięga po babeczkę, układa pozostałe w starannym kręgu i wyciąga talerz w stronę Olivera.

– Nad czym pan pracuje? – pyta Oliver, wskazując książki. – To na zajęcia?

– Nad kolejną książką.

– O czym?

– O dwóch Hiszpanach, Gerónimie Aguilarze i Gonzalu Guerrerze – odpowiada Garth tonem wykładowcy. – Rozbitkach z katastrofy morskiej, którzy na początku

szesnastego wieku dotarli na terytorium dzisiejszego Meksyku. Zostali schwytani przez Majów i mało brakowało, a zostaliby złożeni w ofierze, ale zamiast tego uczyniono z nich niewolników. Guerrero ożenił się i spłodził pierwszych Metysów. Kiedy Cortés dowiedział się, że wśród tubylców mieszka dwóch Hiszpanów, posłał po nich. Aguilar został jego tłumaczem i współpracował z La Malinche, ale Guerrero nie zostawił rodziny. Oczywiście, żaden z nich nie znał intencji Cortésa, przynajmniej na początku, ale niebawem je odkryli.

– I co się stało? – pyta Oliver.

– Teraz jest tam Meksyk, prawda? – śmieje się Garth.

– Chodzi mi o Hiszpanów.

– Nie powiem ci. Będziesz musiał przeczytać książkę.

Oliver myśli o ofiarach składanych z ludzi i próbuje wyobrazić to sobie jako coś normalnego, jak pokazy fajerwerków na święto czwartego lipca. Teraz jest sierpień. W tym roku przespał Święto Niepodległości. Zastanawia się, kto wygrał konkurs jedzenia hot-dogów.

– Gdzie jest Althea? – pyta w końcu schrypniętym głosem, który wcale nie brzmi jak jego własny.

– Pewnie u Coby’ego.

Oliver nerwowo gryzie bułeczkę. Skąd Garth w ogóle zna Coby’ego? Jakim cudem Coby pojawił się w życiu Carterów? Babeczki są dziełem Althei – intensywne w smaku i wilgotne, z minimalną ilością lukru, nie za słodkie i nie za czerwone. Althea nienawidzi używać barwników spożywczych i od lat szuka dobrego przepisu bez nich.

– Ty też go nie lubisz – mówi Garth.

– To aż tak oczywiste?

– Twoja pokerowa twarz nie zmieniła się zbytnio, odkąd skończyłeś sześć lat.

– A więc poznał go pan? – pyta zaskoczony Oliver.

– Widziałem go tylko raz, przez krótką chwilę.

– No i? Był niemiły?

Garth kręci głową.

– Był nadmiernie troskliwy. Wydawał się, jakby to określić... Czasami dostrzegam to u moich studentów. Sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co powiedzieć, jakby

starał się za bardzo albo niewystarczająco. Po takim człowieku od razu widać, że nie jest sobą. Pytanie tylko: dlaczego?

– Bo jest przerażający.

– Myślałem, że jesteście przyjaciółmi.

– Niezupełnie. To koleś, który pojawia się przy każdej okazji, aż nikt nie pamięta, kto pierwszy się z nim zaprzyjaźnił, więc kiedy odkrywasz, że wcale go nie lubisz, wolisz się nie odzywać, żeby nie urazić tego, kto go przyprowadził.

Garth popija herbatę.

– Cóż, Althea ucieszy się na twój widok. Bez ciebie czuje się samotna. Myślę, że to obniżyło jej wymagania towarzyskie.

Oliver czuje ogarniający go głęboki niepokój. Coś poszło nie tak. Wszystko wygląda normalnie – krzewy azalii, rozdarcie w siatce tylnych drzwi, zwinięty luźno wąż ogrodowy ciśnięty niedbale na podjazd. Kolejny późnoletni dzień dobrnął do chwili, gdy ryk kosiarek spalinowych i radosne pokrzykiwania dzieciaków ustępują miejsca cykadom i rytmicznemu sykowi zraszaczy spryskujących trawniki sztucznym deszczem. Lecz tego popołudnia jest w tym miejscu coś złowieszczonego. Oliver wyobraża sobie, że obudził się w innym świecie, dziwniejszym i bardziej mrocznym niż ten, który opuścił pewnego czerwcowego dnia, i choć powtarza sobie, że to niedorzeczne, w głębi duszy ma pewność, że tak właśnie jest.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Spoglądają na siebie. Pokryty lukrem palec Gartha zamiera w połowie drogi do ust mężczyzny. Z najwyższych gałęzi pobliskiego drzewa rozlega się głos sierpówki. Odkąd Oliver pamięta, nigdy się tak nie zdarzyło, ale to Garth mruga pierwszy i szybko odwraca wzrok.

* * *

Nie widzą go, kiedy nadjeżdża, więc Oliver ma okazję przyjrzeć się im, jak siedzą na dachu garażu i popijają piwo. Coby ma na sobie koszulkę z nadrukiem „I ♥ Soccer Moms”; kosmyk tłustych włosów spada mu na oczy. Nogawki spodni Althei są podwinięte nad kolana, jej długie palce u stóp zaciskają się na krawędzi gonta, czarne

ramiączka stanika kontrastują z białą koszulki-bokserki (czy to możliwe, żeby należała do Coby'ego?) i jej opaloną skórą. Na nosie ma okulary przeciwsłoneczne Olivera. Ufarbowała włosy na czarno. Jest za chuda. Słucha Coby'ego i uśmiecha się.

Althea otwiera pudełko zapalek. Przyciska ramię do ramienia Coby'ego, zapala zapalkę i pozwala jej spaść. Zaciska pięść, zamyka oczy i przygryza palce drugiej ręki. Oliver otwiera usta, ale nie może dobyć głosu. Coby krzyczy bezgłośnie i wypływa z siebie potok naszpikowanych bólem samogłosek, cofa ramię i zapalka spada na dach. Althea bierze gwałtowny wdech, jak ktoś kto zbyt długo przebywał pod wodą i wynurza się na powierzchnię.

– Znowu wygrałaś – mówi Coby, sięgając po piwo.

Znowu?

Coby pierwszy zauważa Olivera; przygarbia się, choć stara się nie okazywać rozczarowania. Oliver ma ochotę zrzucić go z dachu garażu. Chce roztrzaskać butelkę, którą chłopak trzyma w dłoni i odłamkami szkła pociąć go na kawałki.

Podążając za wzrokiem Coby'ego, Althea odwraca głowę. Podnosi okulary i mrugając, spogląda w stronę Olivera, który zmusza się do uśmiechu. Chwilę później dochodzi do siebie, uświadamia sobie, że cieszy się na jego widok, i zrywa się na równe nogi tak gwałtownie, że Coby chwyta ją za spodnie, żeby nie spadła.

Kiedy jest już na ziemi, robi dokładnie to, czego się spodziewał, czyli obejmuje go za szyję i przyciąga do siebie. Jego czoło spoczywa na jej ramieniu. Jej ciało napręża się niczym struna. Stojący z tyłu Coby wydaje się rozmazany. Althea pachnie pomadką do ust ChapStick, siarką i przypalonymi włosami.

– Czekałam na ciebie – mówi.

Oliver zamyka oczy i obraz Coby'ego znika.

– Przyjechałem najszybciej, jak się dało.

Kiedy wypuszcza ją z objęć, zdumiony stwierdza, że po raz pierwszy patrzy na nią z góry. Jej oczy nie są na równi z jego i znajdują się o dobry cal niżej. Widzi, że Althea mruga i zmieszana spogląda na jego stopy, jakby chciała upewnić się, że na pewno założył tenisówki.

– Co jest, kurwa? – mruczy pod nosem. – Czyżbym zmalala?

Biegnie do domu po torbę, machnięciem ręki zegna się z Cobym, który nadąsany

tkwi na dachu garażu, i siada za kierownicą, gdy Oliver pakuje rower na tylne siedzenie toyoty camry.

– Gazu – rzuca Oliver, a ona posłusznie robi, co jej każe.

* * *

Siedzą w doku i popijają kawę. Ich bose stopy dyndają nad wodą. Althea kładzie się na plecach. Lato jeszcze się nie skończyło, rok szkolny jeszcze się nie zaczął, a ona już ma plany na Halloween, jej ulubiony dzień roku.

– Tak myślałam, że może tym razem przeberzemy się za Jacka i Sally – mówi. – Namaluję sobie na szyi sztuczne szwy, uszyję patchworkową sukienkę i znajdziemy ci w Goodwill prążkowany garnitur. Albo ciepły płaszcz.

– Nie mam ochoty paradować z białą twarzą. Nienawidzę makijażu. Jeśli przeberzemy się za Jackie O i JFK, będę musiał namalować sobie dziurę po kuli na czole.

– Tak, ale wtedy to ja będę musiała umazać się krwią. I włożyć perukę.

– Jak chcesz przebrać się za Sally i tak będziesz musiała włożyć perukę – mówi Oliver.

– Mogłabym zafarbować włosy na pomarańczowo. – W zamyśleniu szarpie szlufkę jego spodni, a on łapie ją za chudy nadgarstek. Muska kciukiem pokrytą pęcherzem świeżą ranę po oparzeniu. Inne zdążyły się już zagoić, ale na ręce Althei widać siniaki, stare i nowe. Nie wie dlaczego, ale podejrzewa, że to wina Coby’ego; wyobraża go sobie jako czerwonego diabła rodem z kreskówki, który przez całe lato siedział na ramieniu Althei, dźgając ją widelkami, rycząc jej do ucha i podpuszczając ją, podczas gdy Oliver spał zakopany pośród białych prześcieradeł.

Althea zdejmuje z kubka plastikowe wieczko i zaczyna przygryzać krawędzie. Czasami przebywanie z nią jest jak gra w „O rety, krety!”; choć zapanuje nad jednym tikiem, na jego miejscu natychmiast pojawia się następny.

– No, dalej. Zapal sobie – rzuca fatalistycznie Oliver.

Althea wyciąga paczkę Marlboro, niespiesznie wybiera papierosa, upewnia się, że nie jest uszkodzony i kilka razy stuka filtrem w pudełko zapalek. Oliver ze smutkiem

obserwuje sposób, w jaki chroni płomień od wiatru, łatwość, z jaką zaciąga się dymem i go wypuszcza; jakby wiedział, że tak właśnie będzie.

– Od kiedy przesiadujesz u Coby’ego? – pyta w końcu.

Althea wzrusza ramionami. Ściemnia się, ale wciąż ma na głowie jego okulary, których szukał tylko po to, żeby odkryć, że miała je przez cały czas i prawdopodobnie chodziła w nich na plażę i do Coby’ego, żeby razem z nim pić piwo na dachu garażu. Doprowadza go do szału, że te głupie okulary widziały lato, które on przespał. Wyobraża sobie, jak wzięła je z jego szafki, przekonana, że i tak nie będą mu potrzebne. Szarpnięciem zrywa je z głowy Althei, jakby dzięki temu był w stanie odzyskać maleńki kawałek lata. Miękki kosmyk włosów zahacza o zawias.

– Co jest? – pyta rozdrażniona.

– To moje.

– Wiem, że twoje. Miałam zamiar ci je oddać.

– Co się stało z twoimi rękami?

Althea wrzuca niedopałek do rzeki. Podciąga kolana pod brodę, obejmuje się w pasie i spuszcza głowę. Strach, który Oliver poczuł w altanie, powraca, tym razem silniejszy.

– Dlaczego nikt mi nie powie, o co chodzi? Ty jesteś skryta, Garth dziwnie się zachowuje...

– Widziałeś się z moim tatą? – Althea podnosi głowę.

– ...a ja nie rozumiem, dlaczego obudziłem się w tej pieprzonej strefie mroku i dlaczego nikt nie chce mi powiedzieć mi, co się stało! – krzyczy Oliver.

– Ol, wiem, że jesteś zdenerwowany...

– Nie rób tego. Nie zachowuj się, jakbym to wszystko sobie wymyślił – mówi zmęczonym głosem. – Nie rób mi tego.

– Spałeś przez dwa miesiące! – krzyczy Althea. – To oczywiste, że wszystko wydaje się popieprzone! Nic dziwnego, że kiedy zasypiasz w czerwcu i budzisz się w sierpniu, nic nie jest takie, jak było. Ale to nie znaczy, że całe Wilmington chce coś przed tobą zataić.

– Zgódź się ze mną. Chociaż raz.

– Obiecuję, dobrze? Za kilka dni poczujesz się lepiej i wszystko będzie tak, jak

kiedyś, jakby tamto w ogóle się nie wydarzyło. – Mówiąc to, sięga do tylnej kieszeni spodni, wyciąga paczkę papierosów i ciska ją do rzeki. – Widzisz?

Siedzą skuleni i słuchają plusku wody objijającej się o dok. Chwilę później Althea przysuwa się i obejmuje go za szyję.

– To musi być straszne – mówi.

Oliver otacza ją ramieniem i przytuleni siedzą w dogasającym purpurowym blasku.

– Przespałem swoje urodziny.

– Upiekę ci ciasto.

– Przespałem twoje urodziny.

– Tamtego dnia padał deszcz.

– To jak żart – mówi. – Jakiś pieprzony żart.

Obejmując ją, przypomina sobie powrót z imprezy; to jedno z ostatnich wspomnień – jej śmiech i dotyk rzęs na jego policzku. I ta głupota, którą palnął zaraz potem – zrobił to, bo był pijany. Dziś czuje to samo, tę samą palącą potrzebę, która sprawia, że wszystko wydaje się jeszcze bardziej pogmatwane.

– Czyli Coby jest teraz twoim chłopakiem? – pyta.

Althea wybucha śmiechem.

– Chryste, nie. Nie spałeś aż tak długo.

Oliver wie, że to nie jest normalne – że nigdy nie miał dziewczyny, że Althea nigdy nie miała chłopaka i że nigdy nie rozmawiali o tym, jak to będzie. Rozmowy o seksie z pewnością zwróciłyby ich uwagę na to, że, być może, kiedyś pójdą ze sobą do łóżka albo że pewnego dnia zwiążą się z kimś innym. Był to grząski, niebezpieczny grunt. A jednak słysząc odpowiedź Althei, czuje nieopisaną ulgę.

– Masz beznadziejne włosy – mówi.

– A ty powinieneś wziąć prysznic.

– Po prostu chcę, żeby wszystko było tak, jak dawniej.

– Wiem.

* * *

Tego wieczoru gotuje dla niego Nicky, a przynajmniej się stara. Obtacza piersi

z kurczaka w mące, kaparach i sosie z cytryny, przypala liście jarmużu i wyskrobuje z dna garnka przypalony ryż jaśminowy. Zwykle kiedy zakłada fartuch, Althea jest w pobliżu, żeby zapobiec tym drobnym katastrofom. Reguluje płomień, podczas gdy Nicky przeczesuje lodówkę w poszukiwaniu chardonnay albo dosypuje do garnka czarnego pieprzu i papryki, kiedy Nicky zmienia płytę na kolejny album *The Replacements*, jednak tym razem przezornie postanowiła się wycofać. Nicky krząta się po kuchni i tęsknym głosem opowiada o Nowym Jorku, o stosach ulotek reklamujących restauracje z jedzeniem na wynos, placuszkach z zieloną cebulką, kluseczkach z krewetkami z dostawą w środku nocy, kawałkach pizzy tak tanich, że można było zapłacić za nie drobnymi, które człowiek znalazł w kieszeni.

– Ludzie mówią, że Nowy Jork jest drogi – rzuca, kiedy idą z talerzami na werandę przed domem. – Ale człowiek może kupić dwa kawałki i piwo korzenne za pięć dolców. To raczej wszystko, co można dostać za pięć dolców, ale sam wiesz.

Oliver niesie talerze. Zwykle w takich sytuacjach wypytuje ją o życie w Nowym Jorku, słucha, jak z nostalgią opowiada o Alphabet City i początkach rock and rolla. Wiele razy słyszał te historie o przyjęciach organizowanych w ciasnych mieszkaniach i upalnych latach spędzanych na plaży w Coney Island. Potrafi to sobie wyobrazić –

Nicky w czerwonej sukience na ramiączkach, z przepasanymi bandaną włosami, serwującą wino w plastikowych kubkach albo drzemiącą na ręczniku z piwem Corona w dłoni i *Dumą i uprzedzeniem* na twarzy. W tle tych opowieści zawsze pojawia się jego ojciec, błękitnooka zjawa dzieląca się z Nicky papierosami na drabince pożarowej albo pijąca na plaży jej lemoniadę. W jego wyobraźni ich śmiech jest jak oddech – nigdy się nie kończy. Oliver spogląda na talerz. Gotowaniem musiał zajmować się jego ojciec.

– Drużyna piłkarska zaczęła już treningi – mówi Nicky – ale jak chcesz, zadzwonię do trenera.

Oliver kręci głową.

– Nie musisz.

– Jesteś pewien?

– Nie jestem w formie. Nie ma sensu, żebym przesiedział jesień na ławce.

– Znalazłeś Altheę? – pyta Nicky, krojąc kurczaka na coraz drobniejsze kawałki.

- Była u Coby’ego – odpowiada z niesmakiem.
- Dlaczego nie przyszła na kolację?
- Powiedziała, że nie chce się zatruć. – Nabiera widelcem solidną porcję ryżu.
- Co myślisz o jej włosach?
- Widziałaś je? – Zabiera się do kaparów, próbując nadziać je na widelec.
- Ja widzę wszystko.
- Często ją widywałeś? – pyta.
- Tu i tam. – Nicky przenosi uwagę z jedzenia na wino.
- Nie wydaje ci się jakaś taka inna?
- Nie jestem pewna, czy te czarne włosy do niej pasują.
- Jeśli coś wiesz, mogłabyś mi powiedzieć. Odkąd się obudziłem, mam fatalne przeczucie, że nikt nie jest ze mną szczerzy. Kiedy poszedłem jej szukać, Garth dziwnie się zachowywał; chcę mieć pewność, że wszystko z nią w porządku.

Nicky nie odpowiada od razu.

- Dlaczego tak się o nią martwisz?

Oliver przypomina sobie oparzenia na przedramionach Althei. I o Cobym.

- Nie powiedziałem, że się martwię.
- Jesteś zazdrosny? – pyta delikatnie Nicky.

Tym razem to on zwleka z odpowiedzią.

- A więc o to chodzi?
- Może. – Nicky uśmiecha się znacząco, nie odrywając ust od krawędzi kieliszka.
- Byłem nieplanowanym dzieckiem?

Słyszac to, Nicky niemal upuszcza kieliszek.

- Pytasz poważnie?
- Miałaś ile, dwadzieścia jeden lat, kiedy mnie urodziłaś?
- Miałam dwadzieścia dwa lata i nie, Ol, nie byłeś nieplanowany. Byłeś... byłeś bardzo miłą niespodzianką. – Uśmiecha się.
- Zastanawiasz się czasem...

– Nie. Nigdy się nie zastanawiam. Nad niczym. No może poza tym, dlaczego nie umiem gotować. Czasami zastanawiam się, dlaczego nie potrafię przygotować własnemu synowi porządnego posiłku. To wszystko.

- Dlaczego nie urodziłaś mnie w Nowym Jorku?
- Dlaczego nagle tak cię to interesuje?
- Tak po prostu.

Nicky spogląda na trawnik i obserwuje migoczące w mroku świetliki.

– Mogliśmy zostać w Nowym Jorku. Słyszałam mnóstwo opowieści o parach, które mieszkały w małych klitkach i przekształcały szuflady na łóżeczka dla dzieci. Byli tam wszyscy nasi przyjaciele. Sarah. I Jimmy – już wtedy był na miejscu. Nie chciał, żebyśmy wyjeżdżali. Ale my nie chcieliśmy zostać; nie chcieliśmy być młodym małżeństwem z dzieckiem, mieszkać przy Avenue B i udawać, że wszystko jest super. W naszym życiu najważniejsze były imprezy, przedstawienia i spotkania z przyjaciółmi; co noc wychodziliśmy z domu i obserwowaliśmy wschód słońca z drabinki pożarowej. Wiedzieliśmy, że jeśli spróbujemy wcisnąć w to dziecko, gorzko się rozczarujemy. Chciałam skupić się na tobie i Macku, zamiast myśleć o rzeczach, których nie mogliśmy już robić. Dlatego wyjechaliśmy. Byliśmy jak pionierzy. Szukaliśmy dla siebie nowego miejsca. – Nicky odgania komara.

– Dlaczego Wilmington? – Oliver sięga po pomarańczową zapalniczkę Bic i zapala świecę o zapachu cytryny.

– Kiedy człowiek mieszka w Nowym Jorku, wydaje mu się, że wszystkie inne miejsca wyglądają tak samo, jak wielki pospolity kawał ziemi, który nie jest Nowym Jorkiem. Byliśmy tu raz; przyjechaliśmy na weekend, żeby odwiedzić znajomych ze studiów, i polubiliśmy to miejsce. Było równie dobre, jak każde inne.

– Ludzie mieli was za wariatów?

– Uważali, że kompletnie nam odbiło. Też bym tak pomyślała, gdyby Sarah oznajmiła, że wyjeżdża na południe, żeby urodzić dziecko. Pewnej nocy Mack wrócił do domu po solidnej popijawie z Jimmym i pokazał mi chusteczkę zapisaną maczkiem. „Posłuchaj – oznajmił. – Dokonałem obliczeń. Kiedy nasz dzieciak skończy osiemnaście lat i wyniesie się z domu, my będziemy mieli raptem czterdzieści. Nadal będziemy młodzi. No i będziemy mieli go z głowy. Jeśli się nad tym zastanowić, to całkiem praktyczne rozwiązanie”. Był Kalifornijczykiem, więc miał wszystko gdzieś. Z pewnością masz to po nim. Pod pewnymi względami miał absolutną rację. Zebraliśmy wszystko do kupy na długo przed tym, zanim zrobili to nasi przyjaciele.

Mieliśmy dziecko, kupiliśmy dom i robiliśmy dorosłe rzeczy, podczas gdy inni sypiali z kim popadnie i przepuszczali pieniądze na płyty, kwas i tequilę. No i świetnie się przy tym bawiliśmy, to znaczy, dopóki nie umarł. Przez lata byliśmy szczęśliwi, a potem nagle wszystko się skończyło.

To był sprytny plan i w większości wypalił. Nicky była przed czterdziestką i nadal dobrze wyglądała. Wychowanie dziecka i posiadanie domu zostało skreślone z jej listy życiowych celów, a przed nią było wszystko to, o czym mówił Mack. Brakowało tylko jednej rzeczy.

Oliver wyciska nad jarmuzem kolejny plasterek cytryny, próbując zabić smak spalenizny.

– Nie przejmuj się. Wiem, że nie nadaje się do jedzenia – mówi Nicky.

Z uczuciem ulgi chłopak odkłada widelec. Ma ochotę na aksamitne babeczki Althei. Nicky wręcza mu stos listów. Ulotki z college'u.

– Przyszły, kiedy spałeś.

Oliver kartkuje katalogi ze zdjęciami soczystej zieleni i studentów odpoczywających na rozległych, idealnie przyciętych trawnikach.

– Gdzie są te z Uniwersytetu Północnej Karoliny?

– Daj spokój, Oliverze, stać cię na więcej niż szkoła państwowa.

– Nie stać nas.

– Pozwól, że ja się tym zajmę. Coś wymyślimy.

Oliver patrzy tęsknym wzrokiem na zdjęcia Instytutu Technologicznego w Massachusetts i Instytutu Politechnicznego Rensselaer, dobrze wyposażonych laboratoriów i wzorów zapisanych na kredowych tablicach. Rodzice Macka namawiają go na studia w Kalifornijskim Instytucie Technologicznym w nadziei, że zamieszka na wybrzeżu i w końcu będą mogli spędzić z nim trochę czasu, ale on obstaje przy Nowej Anglii, rześkich jesiennych bryzach i śnieżnych popołudniach w bibliotece. Wzdycha i odsuwa od siebie stertę ulotek.

– Nic z tego nie wyjdzie – mówi.

– Nie poddawaj się, Ol...

– Jak w tym stanie mam pójść do college'u? Wydamy tyle pieniędzy i co? Mam się modlić, żebym nie przespał semestru? Jeśli w ogóle pójdę na studia, to tutaj. Będę

mieszkał w domu i chodził do Wilmington. I kibicował North Carolina Tar Heels.

– W Wilmington nie ma nawet astronomii.

Oliver wzrusza ramionami.

– Może pojechałbyś do Nowego Jorku? – pyta Nicky.

– Po co?

– W tym tygodniu zadzwonił do mnie jeden z tamtejszych lekarzy.

– Nie chcę chodzić znowu po lekarzach. To nic nie daje.

– Ten jest inny. Twierdzi, że wie, co ci jest.

Zza otwartych drzwi syczą się dźwięki albumu The Zombies. Po przeciwnej stronie ulicy, za zaciągniętymi szczelnie zasłonami, telewizor pani Parker migocze jak niebieskawy płomień świecy.

– No więc, co mi jest? – pyta Oliver?

– Cierpisz na zespół Kleinego-Levina.

Oliver chce, żeby Valerie zrobiła mu koszulkę z takim nadrukiem, ma ochotę wygrawerować te słowa na identyfikatorze albo wydrukować je na plakietce, którą przypnie do plecaka. Potrzebuje artefaktu, czegoś namacalnego, na co będzie mógł wskazać następnym razem, gdy dostanie gorączki, gdy zaczną boleć go stawy i opadnie go to złowieszcze uczucie zmęczenia. Wówczas będzie mógł powiedzieć: „Niczego sobie nie wymyślam. Nie jestem na prochach. Nie jestem szalony. Nie udaję. To dzieje się naprawdę. Mam rezerwację w wagonie sypialnym, a jedyna trudność polega na tym, że nie mogę odmówić”.

– Myślisz, że ma rację? – pyta. – Myślisz, że o to właśnie chodzi?

– Pokażę ci – mówi Nicky i prowadzi go do pokoju gościnnego, gdzie wkłada do odtwarzacza kasetę wideo. – Kilka lat temu był program na CNN. Przesłali mi kopię.

Otacza go ramieniem i całuje w czubek głowy. Chwilę później kieruje pilota w stronę telewizora i wciska przycisk „odtwórz”.

Nastoletni chłopak mocuje się z psem w ogrodzie za domem, podczas gdy lektor okrasza scenę wyjątkowo tandetnym komentarzem – oto zwykły dzieciak, prowadził normalne życie, aż do pewnego dnia, kiedy wszystko się zmieniło.

– Po prostu poczułem się zmęczony – mówi chłopak, opisując dzień, w którym wszystko się zaczęło; dzień, kiedy uciął sobie drzemkę na podłodze obok szkolnej

szafki.

– Nauczyciele myśleli, że jest naćpany – wspomina zapłakana matka siedząca obok pełnego współczucia ojca. – Ale my znamy naszego syna; wiedzieliśmy, że nigdy by tego nie zrobił. Wiedzieliśmy, że chodzi o coś innego.

– Kłamie – mówi Nicky, zapalając papierosa. – Oczywiście, pomyśleli, że się naćpał.

– Zrobić ci popcorn? – pyta Oliver.

– Dasz wiarę, że pozwolili jej założyć te dzinsy?

– Cicho.

Rodzice rozwodzą się nad dziwnym zachowaniem, które zaobserwowali w ciągu dziesięciu dni, kiedy ich syn był prawie ciągle nieprzytomny; o jedzeniu, dezorientacji i dziecinnych zachowaniach. Oliver czuje dziwne uznanie, coś jak ekscytację, kiedy odkrywasz, że ktoś jeszcze uwielbia tę samą mało znaną kapelę co ty. To on, bez wątplenia; oto, co mu jest, i nie jest w tym osamotniony.

Rodzina recytuje litanię błędnych diagnoz i opowiada o rozpacz, jaka ich ogarniała, gdy ten sam scenariusz powtarzał się co kilka tygodni.

– Co kilka tygodni? – krzyczy Oliver.

Nagrywali syna z nadzieją, że dzięki temu lekarze zrozumieją, z czym mają do czynienia. Prezentowane w dokumencie filmy poklatkowe pokazują chłopca w łóżku, jak od czasu do czasu przewraca się we śnie. Podczas jednego z tych dziwnych przebudzeń, których w ogóle nie pamięta, siedzi na podłodze w pokoju gościnnym, kołysze się w przód i w tył, bełkocze coś niezrozumiale i niewidzącym wzrokiem spogląda na rodziców, którzy zadają mu serię niewinnych pytań – Gdzie chodzisz do szkoły? Jak ma na imię twój pies? – na które, rzecz jasna, nie potrafi odpowiedzieć. Później, kiedy leży w łóżku, matka próbuje go obudzić na kolację, a on uderza ją w twarz. Oliver, zażenowany swoim zachowaniem z Waffle House, gdzie nieliczni klienci widzieli jego napad złości, jest wściekły i pełen współczucia dla chłopaka, którego tłusta mysz została pokazana w publicznej telewizji. Mimo to nie może oderwać wzroku od telewizora. A więc tak się zachowuje.

– To on – mówi Nicky, kiedy na ekranie pojawia się młody latynoski lekarz z kręconymi nażelowanymi czarnymi włosami i ciepłym uśmiechem. – To ten facet

z Nowego Jorku.

– Nie żartuj.

Lekarz tłumaczy, czym jest zespół Kleinego-Levina; jak się okazuje – prawie niczym. Dotyka głównie nastolatków i przede wszystkim chłopców. Po raz kolejny opisuje symptomy, zastanawia się, czy jest to zaburzenie snu, czy schorzenie neurologiczne, i jakby od niechcienia stwierdza, że skoro nie istnieje lekarstwo, większość pacjentów „albo z tego wyrasta, albo z wiekiem cierpi na coraz radsze ataki”.

– Zaraz – mówi Oliver, stopując nagranie. – On nie potrafi tego powstrzymać?

– Nie chcesz obejrzeć do końca?

– Twój chłopak właśnie zdradził zakończenie. Nie ma lekarstwa? Nie może nic zrobić?

– Mówi, że jesienią rozpocznie badania na innych dzieciakach z tym samym schorzeniem. W nowojorskim szpitalu St. Victor's. Twierdzi, że byłbyś dobrym kandydatem. Nie potrafi tego wyleczyć, ale ma nadzieję, że uda im się znaleźć lekarstwo, coś, co skróci te ataki i wydłuży czas między nimi. Będę musiała porozmawiać z firmą ubezpieczeniową i wypełnić trochę papierów, ale myślę, że załatwię ci przyjęcie.

– Jak długo miałbym tam być?

– Pewnie ze dwa miesiące.

– Dwa miesiące w szpitalu? – powtarza Oliver. – Nie ma mowy.

– Jeśli nie załatwimy ci pomocy, w ciągu następnego roku pewnie i tak stracisz kolejne dwa miesiące. Doktor Curls – mówiąc to, wskazuje na telewizor – to najlepsze, co mogło ci się przydarzyć.

– Mam to gdzieś. – Oliver kręci głową.

– Będziesz to powtarzał aż do następnego razu.

Nicky zrywa się z kanapy, wychodzi na werandę i zaczyna sprzątać ze stołu. Zgarnia na swój talerz resztki, które zostawił Oliver. Jest ich tyle, że wystarczyłoby na pełen posiłek. Oliver nienawidzi, gdy się tak zachowuje, kiedy nagle, bez ostrzeżenia traci cierpliwość.

– O co chodzi? – pyta, idąc za nią do kuchni.

Nicky wrzuca naczynia do zlewu.

– Cieszę się, że jesteś w tej kwestii małym mistrzem Zen. Cieszę się, że wciąż obchodzi cię kolor włosów Althei i to, z kim sypia. Sama jestem ostatnio jakaś niespokojna. Nie potrafię nic zrobić, myślę tylko, kiedy znowu zaśnie, a ja będę tygodniami siedziała w domu, czekając, aż się obudzisz. Dlatego nie obchodzi mnie, czy masz ochotę iść do kolejnego lekarza, czy też nie. Zobaczysz się z każdym cholernym lekarzem, do którego cię pošlę, i tak, Oliverze, pojedziesz do szpitala w Nowym Jorku, choćby po to, żebyśmy oboje mogli w końcu zacząć myśleć o innych rzeczach.

– Tak, wiem, przed końcem roku powinienem wynieść się z domu, żebyś mogła zająć się własnym życiem. Przepraszam za tę niedogodność. Nie chcę pokrzyżować ci planów.

– Nie bądź złośliwy – warczy Nicky.

– Musimy dopilnować, żebyś nadrobiła wszystko, co cię ominęło w życiu. Mam nadzieję, że Sarah wciąż wie, gdzie można znaleźć dobry kwas.

Twarz Nicky tężeje, ale kiedy się odzywa, głos jej drży.

– Myślałam, że to dobra wiadomość. Myślałam, że się ucieszysz.

– Bo lekarz, z którym mam się spotkać, mówi, że cierpię na chorobę, której nie potrafi wyleczyć? Co w tym ekscytującego? Skąd w ogóle wiesz, że ten facet jest lekarzem? Wygląda jak napastnik Realu Madryt – krzyczy Oliver w drodze do wyjścia.

– Jedyne, co zrobił, to powiedział, jak nazywa się ta choroba.

* * *

Althea nie wygląda na zaskoczoną, gdy Oliver puka w okno. Machnięciem ręki zaprasza go do środka, ale on pokazuje, żeby wyszła na dwór.

– Weź kluczyki do samochodu – mówi bezgłośnie, wolno poruszając ustami, żeby go zrozumiała.

Althea nie dyskutuje, nie pyta dlaczego. Pięć minut później spotyka go na podjeździe i wręcza mu bluzę.

– Po co to?

– Na wypadek, gdybyś zmarł. Dokąd jedziemy?

– Uciekamy.

– Super.

Gdyby Oliver mógł wybrać jedno miejsce najbardziej zbliżone do jego miejsca na świecie, byłby to fotel pasażera w samochodzie Althei. Kiedy wydostają się z dzielnicy i wjeżdżają na autostradę, czuje, że tu właśnie jest jego miejsce. Nienawidzi prowadzić, ale uwielbia być pasażerem. Kocha szept drogi pod kołami i niewyraźne, nieuchwytnie widoki, które znikają, zanim człowiek zdąży je zauważyć. Podobnie jak reszta świata, toyota camry jest narażona na kaprysy ich wyobraźni – może być statkiem pirackim, górską kolejką albo wagonikiem metra pędzącym na Coney Island – ale tego wieczoru jest tym, czym powinna być: białą hałaśliwą maszyną. Althea prowadzi w milczeniu, lecz w ciszy tej nie ma żadnego napięcia, niczego wskazującego, że czeka, aż on odezwie się pierwszy. Nocą, kiedy nie ma ruchu, jej niecierpliwość za kółkiem znika i Oliver ma wrażenie, że mogłaby jechać w nieskończoność, gdyby tylko siedział obok niej.

Zatrzymują się na postój przy potężnym ceglany budynku pełnym toalet i automatów sprzedających, z kilkoma stołami piknikowymi na poboczu. Oprócz nich nie ma tu nikogo.

– I jak? – pyta Althea, jakby to miejsce było celem ich podróży.

– Idealnie.

Oliver spodziewa się, że się rozmyśli i zawróci, ale ona gasi silnik, wysiada z samochodu i pokazuje mu, żeby zrobił to samo. Leżą na plecach na jednym ze stolików. Na zaciągniętym chmurami niebie nie widać gwiazd, ale powietrze jest czyste i nawet drewniane deski stołu wydają się wygodne, jakby dopasowały się kształtem do jego kręgosłupa. Są niecałe trzydzieści mil od domu, ale Oliver nie pamięta, kiedy ostatni raz był tak daleko. A jednak świat poza Wilmington nadal istnieje. Nie zniknął tylko dlatego, że przestali się nim interesować. Sięga ponad stołem i bierze ją za rękę.

– Dlaczego ufarbowałaś włosy? – pyta.

– Żeby ludzie mogli nas w końcu odróżnić.

Oliver śmieje się, a chwilę później dołącza do niego Althea. To najważniejsza

z możliwych odpowiedzi. Oboje wiedzą, że nie jest gotów usłyszeć prawdy.

Rozdział 5

Althea ma pomysł.

– Hej, Ol, masz więcej tych pigułek? – pyta.

– Których?

– Tych okrągłych. W kolorze lnu.

Valerie i Miętus nadstawiają uszy jak teriery.

– Pigułki? Chętnie. – Coby spogląda wyczekująco na Olivera.

Oliver wzrusza ramionami i zaczyna przetrząsać plecak w poszukiwaniu małej pomarańczowej buteleczki. Fakt, że nie można wyleczyć Olivera z KLS, nie przeszkadza dobrym lekarzom z Karoliny Północnej przepisywać mu amfetaminy i środków pobudzających. W liceum tabletki stanowią lepszą walutę niż pieniądze i Oliver chętnie dzieli się swoimi zapasami, wysypuje je na dłoń jak cukierki i patrzy, jak znikają w ustach kolegów. Althea popija swoją likierem Southern Comfort, który Coby nosi w butelce po ice tea.

W Lucky's Miętus i Valerie zorganizowali halloweenowy punk show ze zbiórką pieniędzy dla Bread and Roses. Ulotki zaprojektowane przez Altheę pojawiły się na każdym słupie telefonicznym w Wilmington. Althea i Oliver przebrali się za Jackie O i JFK, wychodząc z założenia, że na imprezie będzie całe mnóstwo gotów w przebraniu Jacka i Sally. Wybrali w Goodwill różowy kostium dla Althei i idealny krawat dla Olivera, które oblali sztuczną krwią. Włosy Althei są ukryte pod brązową peruką, a na czole Olivera widnieje ślad po kuli. Val i Miętus są przebrani za farmerów z obrazu *American Gothic*; irokez Miętusa jest cienki niczym brzytwa, wysoki na sześć cali i naprawdę robi wrażenie. Na parkingu roi się od dzieciaków w przebraniach zombie, szkieletów i, tak jak podejrzewali, bohaterów *Miasteczka Halloween*. Wiele dziewczyn odkryło właśnie, że halloweenowe kostiumy są sprytną wymówką, by pojawić się na imprezie półnago. Wśród nich jest mnóstwo Wonder Women w metalicznych topach bez ramiączek i Betty Boop, które zataczają się, chodząc po parkingu w czerwonych sukienkach mini i szpilkach.

– Spójrz tylko na to gówno – mówi Althea, kiedy francuska pokojówka w martensach pochyła się, żeby zawiązać sznurowadło, a przy okazji pokazuje bieliznę.

– Laska paraduje z gołym tyłkiem. Mój ojciec dostałby zawału.

– Ty za to prezentujesz się bez zarzutu – stwierdza Valerie.

– No nie wiem – mówi Althea, wyglądając przesiąkniętą krwią spódnicę. – Ale ja przynajmniej nie świecę gołą dupą.

Jest kolejna bezchmurna, ciepła noc; na granatowym niebie pojawiają się gwiazdy, a po parkingu hula delikatny wietrzyk. Zespoły instalują sprzęt, a dzieciaki rozdają domowej roboty naklejki i ulotki reklamujące nadchodzące wydarzenia; grupki przyjaciół umawiają się na ciąg dalszy imprezy w Seagate albo Silver Lake. Butelki z alkoholem i paczki papierosów krążą z rąk do rąk. Oparci o samochód Althei, pociągają kolejno z butelki Coby’ego, który po wszystkim ciska ją między drzewa.

– Co chcecie robić po koncercie? – pyta Miętus.

– Nie wiem jak wy – mówi Oliver – ale ja mam ochotę rozwiązać jakąś zagadkę.

W Lucky’s ktoś uderza w strunę elektrycznej gitary. Dźwięk sprawia, że dzieciaki stojące do tej pory na parkingu zaczynają tłoczyć się przed wejściem. To show zorganizowany przez Miętusa i kiedy idą za nim do środka, machają i wykrzykują jego ksywkę. Miętus wchodzi na scenę, aby zapowiedzieć pierwszy tego wieczoru zespół, i ciągnie za sobą Valerie, by wszyscy mogli podziwiać ich kostiumy. Zamiast wideł podnosi miotłę i dziękuje za wsparcie dla Bread and Roses. Tłum wiwatuje.

– Jasna cholera! – krzyczy Oliver do Althei. – Wiesz, że Miętus stał się dla nich kimś w rodzaju przywódcy?

– Poważnie?

Pierwsza kapela jest beznadziejna, ale pełna werwy. Nazywają się King Dorks. Wszyscy członkowie mają kieszonki na długopisy i korony Burger Kinga. Grają przez około dwadzieścia minut. Każdy kolejny zespół nieco lepiej radzi sobie z instrumentami, choć w większości przypadków wszystkie kawałki brzmią tak samo – są krótkie, szybkie i ogłuszająco głośne. W przerwach scena pogrąża się w chaosie, jedne kapele schodzą za kulisy, następne instalują sprzęt i nerwowo stroją instrumenty, podczas gdy ktoś inny próbuje uwolnić ich stopy z plątaniny kabli.

Kiedy na scenę wychodzi zespół Miętusa, Tartar Control, Miętus nie robi próby

mikrofonu i nie zerka nerwowo w stronę publiczności. „Miętus!” – krzyczy dziewczyna stojąca na tyłach klubu; sądząc po piskliwym głosie, nie jest to Valerie. Miętus chichocze pod nosem i nie odrywając wzroku od listy utworów, drepcze w miejscu w swoich trampkach Converse, jakby przypadkowe dziewczyny bez przerwy wykrzykiwały jego niedorzeczną ksywkę. Elektryzujący niebieski irokez, tak rzucający się w oczy na szkolnych korytarzach, pasuje jak ulał do tego miejsca. Członkowie Tartar Control nie są mistrzami gry na instrumentach, ale nowa pewność siebie ich lidera nadaje surowym dźwiękom wystarczającej ogłady, by podnieść ich na duchu i wyróżnić spośród dziesiątków przeciętnych muzyków, którzy tego wieczoru pojawili się na scenie.

Miętus nie tyle gra, ile robi przedstawienie – porzucił brytyjski akcent, ale wciąż trudno mu oderwać wzrok od gitary, więc czasami pozwala, by wisiała mu u szyi niczym kamień, chwyta mikrofon i pochylając się w stronę publiczności, oskarżycielsko wskazuje ją palcem albo gestykułuje – jak wtedy, gdy stojąc przy szkolnej szafce, opowiada jakąś historię. Tłum rusza pod scenę, sięgając po niego, tak jak on sięga po widzów.

Nie potrzeba dużo czasu, by tabletki i alkohol zaczęły działać, pozbawiając Altheę wszelkich zahamowań i odrzucając je na bok jak bluzkę. Althea tańczy z rękami nad głową, odbija się od przyjaciół, którzy zamykają wokół niej ciasny krąg. Kupione w lumpeksie szpilki uwierają ją w palce, łydki eksplodują bólem, kolejne utwory nakładają się na siebie, ale za to wszystkie zenujące chwile jej siedemnastoletniego życia, które nawiedzają ją niczym upiory – błędna odpowiedź, jakiej udzieliła w pierwszej klasie na lekcji matematyki, za co została wyśmiana przez całą klasę; cięta riposta, która okazała się niewypałem; odrobinę spóźniony wybuch śmiechu; pamiętny pocałunek pod klonem cukrowym, no i oczywiście tamto popołudnie w sypialni Olivera, straszny sekret, którego nie potrafi żałować – nagle przestają mieć znaczenie. Przyciśnięta do niego, ubrana jak jego żona, wie, że tej nocy nie wyglądają jak bliźnięta, ale jak para, jeśli może udawać, to właśnie dziś – przynajmniej przez chwilę będzie udawała, że wszystko to dzieje się naprawdę i że nie zrobiła nic złego. Dopóki nieszczęsne wspomnienia, które nie dają jej spokoju, będą ginąć pośród dzikiego pulsowania tłumu, w jej własnych frenetycznych ruchach i muzyce Tartar Control,

opartej na trzech akordach i odgrywanej w niezłomnym szalonym tempie.

I nagle jest po wszystkim. Miętus dziękuje publiczności, a muzycy zaczynają pakować sprzęt i związać kable. Brzęk talerzy brzmi jak echo gwaru, który chwilę temu panował na sali. Tłum rozprasza się i pozbawiona oparcia Althea chwieje się na nogach; nagły spadek temperatury sprawia, że jej ramiona pokrywają się gęsią skórką. Światła na widowni zapalają się i Althea dostrzega, że Oliver zniknął. Tuż obok, idąc pod prąd, przeciska się Valerie. Zaraz za nią podąża drobna dziewczyna z rozjaśnionymi włosami i kolczykiem w przegrodzie nosowej, ubrana w sukienkę z wyblakłej poszewki na poduszkę Rainbow Brite.

– Chodź – mówi Valerie, mijając Altheę. – Znajdziemy Miętusa na tyłach klubu.

Przechodząc, sięga za siebie ręką ciężką od czarnych gumowych bransoletek. Dopiero gdy dziewczyna w poszewce bierze ją za rękę, Althea uświadamia sobie, że Valerie nie mówiła do niej. Dziewczyny splatają palce; ich paznokcie pomalowane są tym samym lśniąącym lakierem. Trzymają się blisko, lawirując między ludźmi.

– Widziałaś Olivera? – krzyczy Althea, ale Valerie jej nie słyszy.

Coby klepie ją w ramię. Przykłada do ust dwa palce i wskazuje głową drzwi. Althea waha się, ostatni raz rozgląda się po klubie, próbując dostrzec jedyne go chłopaka w krawacie.

Kiedy idą do jej samochodu, Coby zapala dwa papierosy i podaje jej jednego. Strużki potu spływają mu po czole. Nie jest przebrany, choć wygląda zadziwiająco elegancko ze świeżo umyтыми ciemnymi włosami z przedziałkiem pośrodku, w czarnej koszuli z przypinanym kołnierzykiem i spodniach khaki.

– Za kogo się przebrałeś? – pyta Althea. – Randkowego gwałciciela?

– Za nikogo – odpowiada.

– Nie powinieneś zagadywać którejś z tych półnagich pańienek?

Coby wzrusza ramionami.

– Spałem już z połową z nich.

Althea patrzy na drzwi z nadzieją, że zauważy przyjaciół zbierających się do wyjścia. Jason, gospodarz feralnej imprezy, siedzi na otwartej pace pickupa i sący piwo w towarzystwie ludzi, których Althea jak przez mgłę pamięta z melanzu w jego domu. Kiedy w końcu dostrzega Olivera, odruchowo wyrzuca papierosa i wydycha

kłąb dymu. Na widok stojących przy samochodzie Althei i Coby'ego francuska pokojówka chwytą Olivera za ramię i zaczyna coś mówić.

– Kto to, kurwa, jest? – pyta Althea.

Coby cmoka wymownie.

– To cichodajka.

– Cichodajka?

– Łatwa panienka – tłumaczy. – Sama wiesz.

– Skoro jest łatwa, dlaczego Ol z nią rozmawia?

– Altheo, ty jesteś pierwszą damą. To tylko służąca. Nie stresuj się. Na twoim miejscu bardziej przejmowałbym się Jasonem.

– Niby czemu miałabym się przejmować Jasonem? To było wieki temu. Nawet nie wie, kto był wtedy w łazience.

– Słyszałem coś innego.

Althea nie może oderwać wzroku od Olivera i pokojówki i z satysfakcją zauważa, że on również zerka w ich stronę. Może tylko jej się zdaje, ale wygląda na to, że próbuje uwolnić się od swojej rozmówczynie.

– Co słyszałeś?

– Że trudno być dyskretnym, kiedy człowiek wyskakuje przez okno. Jak myślisz, skąd o tym wiem? Bo przecież nie od ciebie.

– Jeśli Jason wie, to wie – rzuca Althea. – Nie bardzo sobie wyobrażam, co mógłby teraz zrobić.

W końcu Oliver kończy rozmowę i rusza w ich stronę.

Coby kręci głową i zapala kolejnego papierosa.

– Czasami mam dość przyglądania się, jak na niego patrzysz – mówi. – Co się stanie, jeśli coś pójdzie nie po twojej myśli?

Althea czuje zbliżającego się Olivera całym swoim ciałem; jakby był magnesem, a ona żelaznymi opiłkami, które potrzebują go, żeby się nie rozproszyć. A może to wina tabletek. Nie mówi Coby'emu o swym podejrzeniu, że już przegrała. Minęły miesiące od pamiętnej nocy pod drzewem, miesiące, odkąd Oliver się obudził, a oni nadal o tym nie rozmawiali – przynajmniej otwarcie – tak więc marzenie Olivera o normalności mniej więcej się spełniło. Chodzą do szkoły. Przygotowują się do egzaminów. Bywają

na koncertach. W deszczowe wieczory zaszywają się u Althei i oglądają filmy, słuchają opowieści Gartha, siedzą w pokoju gościnnym i razem z Nicky jedzą pizzę, popijają napój o smaku waniliowym ze słoiczków po sosie salsa i słuchają muzyki. Althea nie jest głupia. Wie, co to Brzytwa Ockhama¹. Gdyby Oliver chciał znowu ją pocałować, zrobiłby to. A oto i ona: ubrana jak Jackie O dla swojego JFK, stawia wszystko na jedną marną szansę, że być może Oliver prześpi się z nią raz jeszcze, tym razem naprawdę – wystarczy raz – żeby w końcu przestała się czuć, jakby ukradła mu coś, czego nie będzie mogła oddać.

Coby wciąż czeka na odpowiedź.

– Zapanuje anarchia – rzuca Althea.

Słyszając to, Coby chowa paczkę papierosów do kieszeni jej kostiumu.

– Lepiej będzie, jeśli je weźmiesz – mówi, gdy podchodzi do nich Oliver.

– Myślę, że powinniśmy się zwijać – oznajmia Oliver. – Nie podoba mi się, jak Jason na mnie patrzy.

– A co z Miętusem i Val? – pyta Althea.

Jason odrywa się od grupy znajomych i przecinając parking, kieruje się w ich stronę.

– Po prostu chodźmy – ponagla Oliver. – Złapiemy ich później.

– Nie sądzę, żeby zrobił cokolwiek przy tych wszystkich ludziach – mówi Althea, szukając kluczyków.

Coby zerka na Jasona, który szybkim krokiem zmierza w ich stronę.

– Słyszałem, że był nieźle wkurzony – mówi. – Podobno stary dał mu popalić.

– Jakież to dickensowskie. – Althea dźga kluczykiem klamkę i zatacza się.

– Daj spokój, Carter. Ja poprowadzę. – Oliver wyrywa jej kluczyki.

– Ale ja nienawidzę, kiedy prowadzisz.

– Ja też. – Pochyliła się, żeby otworzyć drzwi, i jego ręka zawisa w powietrzu. – Co jest, kurwa? Al, widziałaś to?

Z chwilą, gdy Jason dociera na drugi koniec parkingu, Althea zauważa rysy na karoserii samochodu, głębokie, zrobione celowo zadrapania na srebrnym lakierze, które zaczynają się nad przednim błotnikiem, szpecą przednie i tylne drzwi i znikają pod bagażnikiem. Wodzi palcem po jednej z nich, zatacza się na widok tego aktu zemsty

i podnosi głowę, by spojrzeć w oczy temu, kto to zrobił.

– Chryste. Ale to pojebane. Kto mógłby zrobić coś takiego? – Dłonie Jasona są wetknięte w kieszenie dżinsów, jasne kręcone włosy wystają spod bejsbolówki. Jego twarz jest okrągła i szeroka jak talerz.

Najwyraźniej Jason przyszedł tu, żeby się z nią droczyć, ale popełnił błąd. Jeśli się zemścił, nie miał się czego bać. Lecz teraz, zamiast – jak się spodziewał – obudzić w Althei poczucie winy, tylko ją rozjuszył.

– Kto przyszedłby tu, kiedy tańczyłaś, i celowo zniszczył twój samochód? – ciągnie Jason. Plamy potu pod pachami odcinają się od spłowiałej pomarańczowej koszuli. Jego przyjaciele obserwują rozwój wydarzeń z paki pickupa.

– Dobre pytanie – mówi Althea, robiąc krok w jego stronę.

– Wsiadaj do samochodu, Altheo – rzuca Oliver, obracając kluczyk w zamku.

Ostrzeżenie przeznaczone jest dla Jasona, ale ten puszcza je mimo uszu. Althea robi kolejny krok.

Jason potrząsa kluczykami do samochodu i uśmiecha się.

– Po co ktokolwiek miałby zarysowywać twój pieprzony samochód?

Oliver staje między nimi. Coby trzyma się nieco z boku; na jego twarzy maluje się dziwne skupienie. Althea czuje, jak ogarnia ją coraz większa wściekłość, i ma ochotę dać upust swojej złości.

– Porysowałeś jej samochód – Oliver zwraca się do Jasona. – Jesteście kwita, więc odpuść sobie, dobrze? Nie pogarszaj sprawy.

– A co z tobą? – warczy Jason, odpychając rękę Olivera. – Twojego samochodu nie porysowałem.

– Obawiam się, że masz cholernego pecha, bo nie mam samochodu.

– Myślisz, że się ciebie boję, bo jesteś świrem? – pyta Jason. – Myślisz, że odwalisz numer w Waffle House, więc nie skopię ci tyłka? Ty też byłeś w łazience, ty walnięty...

Nie kończy, bo w tej samej chwili Althea niczym rozjuszony byk uderza go głową w pierś, chwytając za ramiona i razem z nim leci na ziemię. Jason pada na asfalt i oszołomiony leży pod nią. Wypuszcza kluczyki, ale czapeczka pozostaje na jego głowie, choć jest przekrzywiona pod dziwnym kątem. Althea przytrzymuje mu ręce

i wbija kolano w brzuch, podczas gdy on wpatruje się w nią niebieskimi oczami otoczonymi firankami długich jasnych rzęs. W kąciu ust pęcznieje bańka śliny.

– Złaż ze mnie, do cholery! – cedzi Jason przez zaciśnięte zęby.

– Ty sukinsynu! – krzyczy Althea. Pochyla się nad nim, niemal dotykając twarzą jego twarzy.

– Pieprz się, dziwko!

Ręka Althei odchyła się jak łopatką flippera, gotowa wprawić w ruch nieszczęsną metalową kulkę. Oliver chwytą ją za nadgarstek i szarpnięciem stawia na nogi.

– Daj spokój – szepcze.

Wokół nich zebrało się sporo ludzi, między którymi przeciskają się Miętus i Valerie. Althea odpycha Olivera. Czekając, aż Jason dźwignie się z ziemi, znajduje obok tylnego koła kluczyki do jego samochodu i macha mu nimi przed oczami. Gdy chłopak sięga po nie, Althea cofa rękę. Po raz kolejny bierze zamach i Jason wzdryga się – „jak suka”, powie później Althea, opowiadając tę historię – ale ona odwraca się i ciska kluczyki między drzewa, gdzie chwilę temu Coby wyrzucił pustą butelkę. Chce, żeby upadły jak najdalej, i dopina swego, klucze szybują po łuku i znikają w ciemności między drzewami. W panującej dookoła ciszy słychać cichutki brzęk, z którym lądują na ziemi. To jedyna wskazówka, która naprowadzi Jasona, gdzie ich szukać. Althea posyła mu uroczy uśmiech i wsiada do samochodu.

Oliver zajmuje miejsce za kierownicą i odjeżdża spod klubu, zostawiając Coby’ego na parkingu wśród gapiów. Kiedy tłum rzednie, na jego twarzy pojawia się kpiarski uśmiech. Althea czuje dziwne ciepło rozlewające się po jej piersi. Mięśnie nóg ma obolałe i drżące, jakby chwilę temu wbiegła na trzydzieste piętro. Zapala papierosa od Coby’ego i wydmuchuje dym przez opuszczoną szybę. Kiedy podnosi go do ust, ręka jej drży.

– Możemy od razu potraktować to jak komiczną anegdotę? – pyta Althea.

– Zapomnij o prochach! – krzyczy Oliver. – Nie było cię na zajęciach w przedszkolu, kiedy mówiliśmy o tym, dlaczego się nie bijemy?

– A rozmawialiśmy wtedy, co robić, kiedy ktoś porysuje twój samochód?

– Trzeba przyznać, że stłukłaś stylowe lustro i zalałaś łazienkę.

– Pieprzyć to. Pamiętasz galaretkową masakrę w moim domu? Ja jakoś nie szukałam

zemsty, prawda?

– Nie musiałaś pogarszać sytuacji – upiera się Oliver. – Nie mam zamiaru oglądać się za siebie za każdym razem, gdy pójdę na imprezę.

– Dlaczego go bronisz? Nie słyszałaś, co ci powiedział? Nie mogę się doczekać, aż znowu na niego wpadnę. Mam nadzieję, że będę wtedy tak samo nawalona. A na twoim miejscu chciałabym, żeby ktoś w końcu spuścił mu porządny łomot.

– Ale ja tego nie chcę!

– To czego chcesz? Jeśli nie chcesz, żebym rozprawiała się z naszymi wrogami, czego chcesz? Powiedz, a zajmę się tym.

Oliver milczy.

– No, mów! – krzyczy Althea.

– Powiedziałem ci wiele miesięcy temu. Chcę, żeby wszystko było normalne.

Po chwili zastanowienia Althea wyrzuca papierosa przez okno i podnosi szybę. Bez ulicznego zgiełku w samochodzie panuje pełna napięcia cisza. Althea opiera czoło o chłodne szkło. Wciąż rozpamiętuje swoją potyczkę z Jasonem, czuje opór jego ciała, wspólny upadek na ziemię, zaskakującą intymność, kiedy siedziała na nim okrakiem, a on patrzył na nią przerażonym, ale wyzywającym wzrokiem, jakby chciał zajrzeć w mroczną głębię jej złości i intencji.

– Nie chcę udawać, że wszystko jest takie jak dawniej – mówi.

– Nie pomagasz mi – stwierdza Oliver.

– Lepiej postaw sobie bardziej realne cele. Mówisz o tym, co jest normalne, a co nie, ale tak naprawdę masz na myśli to, co było, i to, co jest teraz. Nie obudziłeś się w równoległym wszechświecie. To trochę tak, jakbyś wsiadł do wehikułu czasu i przeniósł się do przyszłości, która ci się nie podoba.

– Może dlatego, że wszystko się popieprzyło, a ja nie wiem, dlaczego tak się stało.

– Nie rób tego! – wrzeszczy Althea. – Nie traktuj tego jak wymówki! Jesteś chory i to jest do dupy, ale nie traktuj tego jak wymówki i nie zwalaj wszystkiego na mnie.

Oliver milczy przez dłuższą chwilę i Althea zaczyna się zastanawiać, czy kiedy się odezwie, będzie udawał, że nie wie, o czym mówiła. Wjeżdża w ulicę, przy której mieszkają, i parkuje na podjeździe przed jej domem. Dopiero kiedy wyłącza silnik, odzywa się.

– Przepraszam. Wiem, że jesteś wkurzona. Ale chcę, żeby wszystko było jak dawniej. Wiem, że to nie w porządku, że tak się stało. Że po tym, jak po raz pierwszy, no wiesz... że tak po prostu zniknąłem. To naprawdę musiało być kiepskie.

Althea nie odpowiada od razu, a gdy się decyduje, starannie dobiera słowa.

– Jak myślisz, dlaczego jestem taka wkurzona?

– Tamtej nocy – mówi Oliver. – Po imprezie. Wszystko skończyło się tak nagle. Wiem, że byłaś rozczarowana. Myślałem, że nie będziesz chciała o tym rozmawiać, ale jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, możemy pogadać.

– Poczuję się lepiej? – powtarza Althea. Wyważony ton jego wypowiedzi doprowadza ją do szału. Nagłe elektryzujące uczucie, którego doznała na parkingu, znika, a wraz z nim znikają szanse na nieograniczone, bezprawne możliwości. Noc sięgnęła zenitu, kiedy wracali z Lucky's, i Althea ma wrażenie, że została uwięziona w samochodzie, który stacza się po równi pochyłej. Albo, uświadamia sobie, tabletki przestają działać. – Naprawdę myślałeś, że byłam załamana, bo odmówiłeś mi zaszczytu doświadczenia trzynastosekundowego seksu po pijaku?

– Nie to miałem na myśli – tłumaczy Oliver, wciąż zaciskając ręce na kierownicy.

To nedorzeczne, że bez przerwy rozmawiają o nocy, kiedy się nie kochali, podczas gdy Althea myśli wyłącznie o dniu, kiedy to zrobili.

– Nie dlatego jestem zła.

– Więc o co, kurwa, chodzi?! – krzyczy Oliver.

Althea czuje, że nie może prowadzić tej rozmowy, kiedy dzieli ich zaciągnięty hamulec ręczny. Wyskakuje z samochodu, podbiega do drzwi kierowcy, otwiera je i szarpnięciem zmusza Olivera do wyjścia. Oliver splata ramiona i w milczeniu czeka na jej odpowiedź, ona jednak patrzy, jakby szukała w jego twarzy tamtego chłopaka, który tak bardzo jej pragnął.

– Powiedz, że udajesz – mówi w końcu. – Powiedz, że pamiętasz, tylko się wstydzisz. Nie będę zła. Tylko powiedz, że pamiętasz.

– Mówisz zagadkami, których nie rozumiem.

– Nie jestem zła, bo się nie kochaliśmy, jestem zła, bo to zrobiliśmy. A ty nie pamiętasz; zupełnie jakby to się nie wydarzyło, ale zdarzyło się, a ty wciąż narzekasz, że wszystko się zmieniło, gdy tak naprawdę wszystko jest takie samo.

- Zaczekaj. Co? – Patrzy na nią zdumiony. – Jak to „zrobiliśmy to”?
- A co innego mogłabym mieć na myśli?
- Kiedy, Altheo? Kiedy? – wrzeszczy.
- Kiedy byłeś chory.
- Spałem? – krzyczy i zaraz potem zakrywa twarz rękami.
- Jezu, nie jestem pieprzoną gwałcicielką. Nie spałeś, ale wiesz. Jak gruba mysz.
- Niedobrze mi. Mówiłem ci, mówiłem, że nie chcę...
- Chciałeś – zapewnia Althea.

Oliver popycha ją, chwytając za ramiona i przyciska do samochodu, krzycząc jej prosto w twarz. Wściekłość wykrzywia mu rysy i utwierdza Altheę w przekonaniu, że Oliver ma drugie ja i że nie jest to wytwór jej wyobraźni.

– Ty głupia dziwko, to nie byłem ja! Wiedziałaś, że to nie ja, wiedziałaś, że nie będę pamiętał. Jak mogłaś na to pozwolić? Nie chciałem, mówiłem ci...

– Czyżby? Nie chciałeś? Więc co twoim zdaniem się wydarzyło? Myślisz, że cię zmusiłam, że przyszpiliłam cię do łóżka i kazałam ci to zrobić?

Zdradza go ich bliskość. Ciało Olivera reaguje, zanim on sam zdąży zaprotestować, reaguje na jej bliskość i napięcie między nimi. Althea wytrzymuje jego spojrzenie, czuje, jak drży, kiedy jego ciało przypomina sobie to, czego on sam nie pamięta. Kiedy tak patrzą na siebie, pożądanie, które wyczytała z jego twarzy, znika, zastąpione obrzydzeniem, pogardą dla niej, a może również dla niego.

– Wiedziałaś, że to dla mnie ważne – mówi Oliver. – Wiedziałaś, że nie chciałem, żeby tak to wyglądało. Jak mogłaś mi nie powiedzieć? Od miesiąca mnie okłamujesz.

– Powiedziałeś, że chcesz, żeby wszystko było jak dawnej.

Po raz kolejny popycha ją na samochód. Althea krzywi się, jednak on zdaje się tego nie zauważać.

– Powiedziałaś, że wymyślam sobie różne rzeczy. Wtedy, w doku, pytałem cię, dlaczego wszystko jest takie popaprane, a ty udawałaś, że nic się nie stało. Jak mogłaś to przede mną zataić? Kiedy stałaś się taką podłą, pieprzoną szumowiną?

– Dla twojej informacji, nie było tak, jak to sobie wyobrażałam! – krzyczy Althea. Nogi jej drżą. – Myślisz, że jak się czuję, wiedząc, że nie zrobiło to na tobie żadnego wrażenia? To tak, jakbym tylko ja brała w tym udział. Myślisz, że tego właśnie

chciałam?

– Myślę, że chciałaś tego, czego chcesz zawsze. Wygrać i postawić na swoim.

– A zachowuję się jak zwycięzca? Sprawiam wrażenie, jakbym triumfowała? – pyta Althea.

– Więc dlaczego to zrobiłaś?

Althea patrzy na niego, wiedząc, że skoro zadał jej to pytanie, to koniec, przepadła.

– Nie sądzę, żebym była w stanie to zatrzymać. Gdybyś pamiętał, wiedziałbyś, o czym mówię, i wiedziałbyś, że mam rację.

Oliver puszcza jej ramiona i kręcąc głową, robi krok w tył. W jego schrypniętym głosie słychać dziwną szorstkość.

– Powiem ci, co wiem – mówi. – To wszystko, ja i ty, to zwykła geografia. Gdyby w okolicy mieszkała inna mała dziewczynka, pewnie od dziesięciu lat bylibyśmy najlepszymi przyjaciółmi, aż pewnego dnia dotarłoby do mnie, że nie jestem nawet pewien, czy rzeczywiście ją lubię. Jesteś jak prezydent, którego nikt nie lubi, ale który i tak wygra kolejne wybory; masz przewagę, bo już raz cię wybrali, a kiedy ktoś dorwie się do koryta, trudno go od niego odciągnąć. To powinnaś być ty – ciągnie beznamyślnie. – To ty powinnaś zachorować. Gdybyś to ty rzuciła dzbankami w Waffle House i darła się bez powodu, nikt by się nie dziwił, bo to do ciebie podobne.

Po raz kolejny smętnie kręci głową, jakby nie był zaskoczony, jakby wiedział lepiej i nie oczekiwał niczego innego. Chwilę później odwraca się i biegnie do domu.

* * *

Coby słyszy, jak wchodzi po schodach, i czeka na nią w drzwiach.

Mieszkanie nad garażem wygląda tak, jak się tego spodziewała – kilka plakatów przypiętych do ścian, brązowa welwetowa kanapa, którą kupił na wyprzedaży w domu naprzeciwko, i mały telewizor. Nie zmieniło się od lata, kiedy wieczorami siadali na dachu, pili i słuchali klasyki rocka dobiegającej z garażu, w którym ojciec Coby'ego naprawiał swojego mustanga i palił skręta za skrętem. Cuchnie tu petami pływającymi w resztkach piwa, które wietrzeje na dnie butelki. Do ścian przybito wiersze Bukowskiego, wystukane na starej maszynie do pisania. W tym kopiowaniu jest coś

pocieszającego, Althea boi się dnia, kiedy Coby zacznie pisać własne ohydne wiersze. Przez drzwi głównego pokoju widzi jego łóżko, materac na gołej podłodze, obok skrzynki na mleko pełnej książek. Z głośników płynie meksykański rap.

– Masz coś do picia?

Coby wyciąga z minilodówki sześciopak piwa i stawia go na starym czarnym kufrze, który służy za niski stolik. Althea rozrywa plastik, wyjmuje dwie puszki i rzuca jedną Coby'emu.

– Myślałem, że już cię dziś nie zobaczę.

– Byłam znudzona. Masz karty? – pyta.

Coby przynosi z sypialni talię i rzuca na podłogę między kanapą a kufrem. Dzieli talię na pół, tasuje karty i zaczyna je rozdawać.

– Siedem razy – mówi Althea. – Musisz potasować siedem razy.

– To jakiś przesąd czy co? – pyta Coby, zbierając karty i po raz kolejny dzieląc talię na pół.

– To matematyka – odpowiada. – W co gramy?

– W wojnę?

– Jasne.

W miarę jak ubywa alkoholu, a leżąca przed nią kupka kart rośnie, Althea czuje, że opuszcza ją złość. Jest skupiona, choć piwo przytępia jej zmysły, sprawiając, że łatwiej jej siedzieć naprzeciw Coby'ego, śmiać się z jego głupawych dowcipów i gromić go raz za razem. Z każdym kolejnym rozdaniem czuje się coraz bardziej spokojna. Ma wrażenie, że zalewa ją fala apatii, która leniwie omywa granice jej świadomości.

Coby wyciąga dwie szklanki, zadziwiająco ciężkie i czyste, jak kryształowe kieliszki do koktajlu Gartha, i nalewa do każdej odrobinę tequili. Nachyla szklankę w jej stronę i mówi coś, czego Althea nie rozumie.

– Co powiedziałaś? – pyta.

– To polski toast. Sto lat.

Podnosząc szklankę do ust, Althea oczyma wyobraźni widzi, jak dalej potoczy się ten wieczór; to, co zaczęło się niewinnie od kilku piw, skończy się tak, że wyląduje skulona na podłodze w łazience Coby'ego. Oliver miał rację. To ona powinna była

zapaść na tę dziwną chorobę. Powinna była dorastać w tej dzielnicy i zaprzyjaźnić się z Cobym. Ona jest zupełnym przeciwieństwem Olivera. On był dobrym bliźniakiem, a ona tym złym; żeby to udowodnić, zafarbowała nawet włosy.

– Przepraszam, że nie wpadłam – mówi.

– Rozumiem. Byłaś zajęta. – Coby włącza telewizor i podnosi z podłogi gamepada.

Nie widziała siebie w Oliverze, oprócz tych chwil, kiedy był chory. Tylko wtedy zniżał się do jej poziomu. Coby był na nim cały czas. Patrząc na niego, nikt nigdy nie zastanawiałby się, co taki chłopak robi w towarzystwie Althei, tak jak Coby nigdy nie spytałby Althei, dlaczego jest taka, jaka jest. Gdyby nie była zaślepiona historią i okolicznościami, może wcześniej by to zrozumiała, ale tu, na kanapie, alkohol otwiera jej oczy na wiele różnych rzeczy. Mimo niedoskonałości jest w Cobym coś ujmującego. Jest coś krzepiąco chłopięcego w sposobie, w jaki mankiety džinsów kładą się na butach i w tym, jak ścięgnię jego kciuków napinają się, kiedy gra na konsoli.

Po raz kolejny wznoszą toast – „sto lat” – i tym razem Althea traktuje go dosłownie. Wyobraża sobie swoją przyszłość w tym dusznym mieszkaniu, jak gra w *Mortal Combat* i podkrada alkohol rodzicom Coby’ego, którzy w końcu wyrzucają ich na zбитy pysk, gdy okazuje się, że rozbili ojcowskiego mustanga o słup telefoniczny. Wynajmują kolejne mieszkanie i zamiast meblami wypełniają je pijackimi kłótniami i dymem papierosowym, a w końcu zapraszają w nim ogień i lądują w samochodzie Althei, z ukrytą w schowku na rękawiczki butelką whisky, pośród promujących weganizm ulotek Miętusa i map z miejscami, których nigdy nie odwiedzą. Pewnego dnia skończą w przyczepie kempingowej na osiedlu dla domów na kółkach, z wiszącymi na sznurze osiemnastoma białymi podkoszulkami.

Wkrótce znowu ogarnia ją apatia. Jest jak ciepły koc, którym się owija, grając bez przekonania w *Duke Nukem*. Kiedy butelka jest pusta, Coby bierze gamepada i rzuca go na podłogę. Bezceremonialnie chwyta ją za pierś, drugą rękę zanurzając w jej włosach. Jego twarz przywiera do twarzy Althei, która obojętnie odwzajemnia jego pieszczoty. Usta ma dziwnie zimne; ustawiona na tryb powtarzania płyta z meksykańskim rapem leci po raz trzeci lub czwarty. Mechanicznie poruszając językiem w ustach Coby’ego, Althea próbuje zrozumieć tekst piosenki, ale wyłapuje jedynie pojedyncze słowa, coś o smaku i motyłu. Beznamiętnie podnosi rękę,

pozwalając mu ściągnąć przesiąknięty sztuczną krwią zakiet i bezrękawnik. Coby przez dwadzieścia sekund mocuje się z zapięciem jej stanika – bez rezultatu. Odpycha go i sama rozpina haftki. Zsuwa spódnice. Im szybciej to się skończy, cóż, tym szybciej będzie po wszystkim. Zdejmuje przez głowę koszulkę Coby’ego, który całuje ją z jeszcze większym entuzjazmem, myląc jej niecierpliwość z podnieceniem. A nawet z pożądaniem. Bierze ją za rękę i prowadzi do sypialni, gdzie padają na materac. Chwilę później są już nadzy. Przeraza ją mina Coby’ego i triumf, który maluje się na jego twarzy. Althea nigdy nie była bardziej wdzięczna za znieczulające właściwości alkoholu; może jutro w ogóle nie będzie tego pamiętać. *Ludziom bez przerwy urywa się film po alkoholu, myśli. Może mnie też się urwał, tylko jeszcze o tym nie wiem.*

Myśli o Oliverze i o tym, jak wchodził w nią, gdy się kochali. Każda część jego ciała była tak znajoma, a jednak wszystko wydawało się zupełnie nowe. Wyraz jego twarzy, gdy przyciągnął ją do siebie. Była w nim potrzeba, nie triumf.

Coby szarpie się z kondomem i siada, kiedy jest gotowy.

– Odwróć się – mówi nagle. – I uklęknij.

Z każdym stęknięciem Coby’ego Althea trzeźwieje, niczym nurek, który przedwcześnie wynurza się na powierzchnię. Kiedy jest już po wszystkim, panika mija, zastąpiona czymś znacznie gorszym, gdy Coby wysuwa się z niej, patrzy w dół i mówi:

– A tak przy okazji, krwawisz.

– Słucham? – pyta Althea.

– Krwawisz.

– Krwawię? – powtarza głosem, który jej samej wydaje się dziwnie piskliwy. – Coś ty mi, kurwa, zrobił? – Przewraca się na plecy i wkłada rękę między nogi. Tak jak się spodziewa, palce ma czerwone od krwi.

– Mnóstwo dziewczyn krwawi przy pierwszym razie. Później jest już lepiej. No wiesz, nie boli aż tak bardzo.

Althea ma wrażenie, że nigdy w życiu nie doświadczy większego bólu.

– Bo to twój pierwszy raz? – pyta Coby.

Althea chwytą bieliznę i zakłada ją w pośpiechu. Reszta jej ubrań jest w pokoju gościnnym. Coby idzie za nią i z zadowoleniem patrzy, jak zakłada spódnice. Chwilę później wychodzi z mieszkania; nie czuje żwiru pod bosymi nogami i nie ogląda się za

siebie. Podchodzi do samochodu i opiera się o zderzak. Zgina się w pół, wkłada palec do gardła i zwraca tyle tequili i piwa, ile jest w stanie. Zwija się z bólu. Noc zakończyła się dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała.

Althea jest zmęczona tym, że zawsze ma rację.

Dudnienie w jej piersi przywodzi na myśl pociąg wjeżdżający na stację. I nagle zaczyna płakać. Nie pamięta, kiedy płakała z innego powodu niż na filmie, ale robi to teraz, tracąc resztki godności, czując w ustach kwaśnawy smak wymiocin i swędzenie we włosach łonowych, pozlepianych jej własną krwią. Nagle ostatnie cztery miesiące wydają jej się serią kolejnych taktycznych błędów. *Gdyby istniał odpowiedni moment, żeby się rozplakać, myśli, to właśnie byłby taki jak ten.* Dlatego siada na ziemi i pozwala łzom toczyć się po policzkach.

* * *

Oliver tak dobrze zna rozkład jej zajęć, że z łatwością jej unika; w poniedziałek w porze lunchu Althea nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Na dźwięk ostatniego dzwonka biegnie do jego klasy i czeka przy drzwiach, aż wszyscy wyjdą, jednak nie widzi Olivera. Zagląda do sali, ale tam też go nie ma.

– Hej, Al. – To Coby, bladożółty i chudy jak szczapa, ubrany w czarną prowegańską koszulkę, jedną z tych, które Valerie i Miętus sprzedają, żeby wspierać BAR. Biały napis na koszulce brzmi „Mleko jest dla dzieci” i Althea pamięta dzień, kiedy pomagała Valerie robić szablon. Rozłożyły stare gazety Nicky na podłodze w domu Olivera, podczas gdy Miętus siedział przy stole i grał na gitarze, a Oliver szukał w sieci nowych przepisów dla Bread and Roses. Koszulka Coby’ego jest poplamiona, a spodnie za długie; postrzępione mankiety niemal zupełnie zakrywają trampki. Rozciąga usta w tym potwornym uśmiechu i nawet teraz, kiedy już zwrócił na siebie jej uwagę, jego ręka spoczywa na ramieniu Althei.

– Jeśli szukasz Olivera, dziś chyba nie ma go w szkole – mówi.

Althea gapi się na niego bez słowa.

– Lepiej się czujesz? – pyta Coby.

Później, kiedy próbuje opowiedzieć swoją historię, jedyne, co potrafi powiedzieć

to: „I wtedy moja głowa eksplodowała”. Ale to coś więcej. Przypomina sen, który wszyscy czasem śnimy; sen, w którym próbujemy przed czymś uciec albo chcemy dokądś pobiec, ale nogi odmawiają nam posłuszeństwa i tracimy przyczepność. Kiedy Althea wyprowadza pierwszy cios, który trafia Coby’ego prosto w szczękę, czuje się tak, jakby nagle wszystkie te sny zlały się w jedną całość, a jej umysł, zamiast kontrolować ciało, nie nadąża za jego szybkością.

Coby niczego się nie spodziewa. Siła ciosu odrzuca jego głowę w bok. Rękę i nadgarstek Althei przeszywa szybki, elektryzujący ból. Coby odwraca się, żeby na nią spojrzeć, usta ma rozdziawione i najwyraźniej jest przekonany, że nic więcej się nie wydarzy, bo kolejny cios również spada na niego zniemacka. Tym razem Althea trafia go w nos i czuje pod palcami głucho chrupnięcie; z nosa Coby’ego bucha krew.

– Co jest, kurwa... – rzuca, wycierając krew i z niedowierzaniem patrząc na własną rękę.

Lewy sierpowy łąduje na kości policzkowej Coby’ego, odrzuca do tyłu jego głowę i sprawia, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

Korytarz zamiera, oczy wszystkich skierowane są na nich i Althea nie rozumie, dlaczego nikt nie próbuje jej powstrzymać. W głębi duszy ma nadzieję, że tuż za nią stoi Oliver i wszyscy czekają, aż on to zrobi.

Althea czeka na jego reakcję, a kiedy nic się nie dzieje, nachodzi ją ulotna myśl, że może Oliver wcale nie chce jej powstrzymać; może on też chce zobaczyć, jak rozrywa Coby’ego na strzępy, więc zanim Coby zdąży dźwignąć się z podłogi, Althea pada na kolana, siada na nim okrakiem i prawą ręką zadaje kolejne ciosy, mając w pamięci przyszłość, którą dla nich przewidziała, obraz ich żałosnego życia razem, który z taką łatwością podpowiedziała jej wyobraźnia, projekcję tak rzeczywistą, że niemal czuła smród jego brudnych skarpet. Z rozcięcia nad okiem Coby’ego i z jego rozbitej wargi sączy się krew; tłum ogarnia dziwne poruszenie, kiedy staje się jasne, że Althea nie przestanie, dopóki ktoś jej nie powstrzyma. I właśnie wtedy czuje na sobie czyjeś ręce, ktoś stawia ją na nogi, ale to nie Oliver, to ktoś inny, wrogo nastawiony dorosły, pewnie dyrektor Nelson. Jego zarost drapie ją w policzek, kiedy Miętus i Valerie przypadają do Coby’ego, żeby zabrać go gdzieś, gdzie będzie bezpieczny. On jednak odpycha się od podłogi i niczym krab odpełza w tył, patrząc na nią zdumionym

wzrokiem. Miętus i Valerie pomagają mu wstać, trwożliwie zerkając w stronę Althei.

Choć Althea się nie wyrywa, Nelson trzyma ją aż do czasu, gdy Coby znika za rogiem. Twarz Althei rozciąga się w pierwszym od wielu dni bolesnym uśmiechu.

1. Zasada, zgodnie z którą w tłumaczeniu zjawisk należy dążyć do prostoty, wybierając wyjaśnienia o jak najmniejszej liczbie założeń i pojęć. [\[wróć\]](#)

Rozdział 6

Oliver zapina kurtkę, zarzuca na ramię worek marynarski i patrzy na Nicky, która przedziera się przez panujący w kuchni bałagan, kiedy ktoś dzwoni do drzwi.

– To pewnie taksówka – mówi.

W stosie czasopism medycznych Nicky znajduje grubą książkę w miękkiej okładce. Jej tytuł zapisano czerwonymi wypukłymi literami.

– Co to ma być, do cholery? To twoje?

– Pewnie Gartha.

– Więc co robi w naszej kuchni? – pyta Nicky.

– Nie mam pojęcia, skąd się tu wzięła połowa tych rzeczy.

– Myślisz, że powinniśmy mu ją oddać? – Mniej więcej w dwóch trzecich książki tkwi zakładka. – Nawet jej nie skończył. Może powinniśmy ją odnieść, zanim...

– Nie. Daj mi ją. – Mówiąc to, Oliver wyrywa książkę z rąk matki. – Musimy iść.

– Althea powinna być już w domu. Nie chcesz się pożegnać?

– Już się pożegnaliśmy. Pospiesz się.

– Jestem już prawie gotowa.

Dzwonek rozbrzmiewa po raz kolejny.

– Powiedz mu, żeby chwilę zaczekał. Zaraz przyjdę. – Nicky wyszarpuje z gazety przypadkowe strony.

– Mamo, nigdy nie czytasz działu gospodarczego.

– Otwórz te pieprzone drzwi! – krzyczy Nicky, wymachując gazetą.

Oliver spodziewa się, że zastanie na werandzie wściekłego taksówkarza, ale przed drzwiami stoją Valerie i Miętus. Nie wiedzieć czemu, miny mają skwaszone i z rękami w kieszeniach nerwowo krążą w swoich ciężkich buciorach po gnijących deskach. Czyżby przejęli się jego nagłą nieobecnością w szkole? A może dowiedzieli się, że wyjeżdża do Nowego Jorku, i przyszli się pożegnać? Zamiast ucieszyć się z ich troski, Oliver czuje się rozdrażniony. Tak niewiele brakowało, by w spokoju opuścił to miejsce.

– Co jest?

– Coś się stało – oznajmia Miętus. Waha się i posyła Valerie jedno z tych spojrzeń, które wymieniają wyłącznie najlepsi przyjaciele. W tym przypadku oznacza ono: „Ty mu powiesz, czy ja mam to zrobić?”

– Właśnie wychodzę, więc może lepiej będzie, jak się pospieszycie – mówi Oliver.

– Chodzi o Altheę – tłumaczy Valerie. – Coś wydarzyło się dzisiaj w szkole. Kiedy wychodziliśmy, nadal siedziała w gabinecie Nelsona. Myślę, że próbowali skontaktować się z jej ojcem, ale jesteśmy pewni, że wywalą ją ze szkoły.

Oliver podnosi rękę, jakby bronił się przed atakiem.

– Nie chcę tego słuchać – oświadcza.

– Słyszałaś, co właśnie powiedziałam?

– Ani słowa więcej. Cokolwiek to jest i cokolwiek zrobiła, nie chcę wiedzieć.

– Prędzej czy później i tak będziesz musiał tego wysłuchać – ciągnie Valerie.

– Nie sądzę.

– Pokłóciliście się, czy jak?

– Jak – odpowiada beznamiętnie Oliver.

– Ma to coś wspólnego z Cobym? – pyta Miętus.

– A co mnie obchodzi Coby?

Valerie i Miętus po raz kolejny patrzą na siebie w milczeniu. Tymczasem mózg Olivera odruchowo zaczyna gromadzić i porządkować informacje – Althea, wydalenie ze szkoły, Coby – podpowiadając mu możliwe scenariusze, w których występują te trzy elementy. Rezultaty brzmią jak tytuły chorych opowieści dla dzieci. *Althea, Coby i udaremniona próba podpalenia. Althea, Coby i szafka pełna prochów. Althea i Coby oskarżeni o ciężkie przestępstwo.*

– Nieważne. Powiedziałem już, że nie chcę wiedzieć, i nie żartowałem.

– Naprawdę się o nią martwimy – tłumaczy Valerie. – Mógłbyś przynajmniej z nią porozmawiać, zobaczyć, czy wszystko z nią w porządku?

– Pieprzyć ją, skoro nie radzi sobie z okresem dojrzewania – wrzeszczy Oliver, uchylając się przed wyciągniętą ręką Valerie. – I przestańcie w końcu pieprzyć o Althei i Cobym; jak dla mnie są sobie warci. – Łzy napływają mu do oczu.

– Och, Oliverze – mówi Valerie i otacza go ramionami. – Tak mi przykro.

– Pieprz się. – Oliver pociąga nosem. – Ty i twoje warkoczyki.

– Co to za bagaż? – pyta Miętus, wskazując płócienny worek na ramieniu Olivera.

– Wyjeżdżam. – Oliver ściska materiałowy pasek worka i przypomina sobie własną historię: *Tajemniczy przypadek zdrowotnych problemów Olivera*. Tylko to go teraz interesuje.

– Dokąd? – dopytuje się Valerie.

Oliver wyobrażał sobie, że wymknie się stąd po cichu. Stopniowo wszyscy zauważą jego nieobecność i pomyślą – nie bez przyczyny – że pewnie znowu zapadł w sen. W końcu ktoś – tym kimś oczywiście będzie Althea – przyjdzie do niego i odkryje, że dom jest pusty. Że nie ma w nim Olivera ani Nicky. W szkole wiedzieli, dokąd się wybiera, mieli wysyłać mu zadania, ale żaden nauczyciel nie udzieli dobrowolnie takich informacji, więc całkiem możliwe, że miną tygodnie, zanim komuś przyjdzie do głowy zapytać, co się z nim dzieje. Tymczasem oni – to znaczy Althea – nie będzie miała pojęcia, gdzie się podział, i Oliver naiwnie wierzył, że zastanowi się nad złym traktowaniem i niedocenianiem Olivera McKinleya.

Jak się okazało, wszystko szło nie po jego myśli. Oliver nie powiedział nikomu o wyjeździe do Nowego Jorku, by nie zniweczyć trudu, jaki włożył w udawanie, że wszystko jest w porządku. Później, po koncercie w Lucky's, kiedy w końcu zbierał się na odwagę, by poinformować Altheę, że za dwa dni wyjeżdża, ona zrzuciła na niego prawdziwą bombę i dała jasno do zrozumienia, że statek normalności odpłynął kilka miesięcy temu. Zły na całą tę sytuację, wiedząc jak bardzo ona się wścieknie, że o niczym jej nie powiedział, nawrzeszczał na nią i, o dziwo, poczuł się dużo lepiej. Zostało to jednak przyćmione obrzydzeniem, jakie do niej czuł. A teraz, kiedy zamierza w iście melodramatycznym stylu opuścić Wilmington, Althea znowu okazuje się lepsza.

– Jeden lekarz z Nowego Jorku chce na jakiś czas zatrzymać mnie w szpitalu.

– Och – rzuca Valerie.

– Kiedy wrócisz? – pyta Miętus.

Przed dom zajeżdża taksówka i kierowca trąbi.

– Nie wiem. Nie mówcie Althei, dobra?

– Na pewno nie chcesz wiedzieć, co się dziś wydarzyło? – pyta Valerie.

– Oczywiście, że chcę wiedzieć. Ale to nie znaczy, że chcę, żebyście mi

powiedzieli.

* * *

Lotnisko LaGuardia nie wygląda na miejsce, z którego można wyruszyć w przepęloną emocjami, nostalgiczną podróż, mimo to Oliver patrzy ze zdumieniem na Nicky, która wychodząc z terminalu w mroźny listopadowy wieczór, nie wodzi dookoła pełnym sentymentu, rozmarzonym wzrokiem. On sam jest oszołomiony; suche samolotowe powietrze przyprawiło go o ból głowy. Ostatni – i pierwszy – raz siedział w samolocie, lecąc w odwiedziny do rodziców Macka w Kalifornii, jednak tamten lot był długi i Oliver miał czas, by „przestawić się” mentalnie ze wschodu na zachód. Ta podróż trwała zaledwie kilka godzin, więc nie zdążył się przygotować.

Tymczasem Nicky jest cała przejęta, czeka w kolejce na postojach taksówek, wpycha Olivera do samochodu i daje kierowcy wskazówki jak ktoś, kto bez przerwy ląduje na tym lotnisku. Wnętrze taksówki pachnie winylem i potem; na lusterku wstecznym, w oczekiwaniu na Święto Dziękczynienia, wisi miniaturowa kolba kukurydzy.

Sadowiąc się na siedzeniu, Oliver próbuje ukryć ekscytację i podobnie jak Nicky udaje obojętnego. Jednak gdy zbliżają się do Manhattanu, a linia dachów zamyka się nad ich głowami niczym tunel, nie jest w stanie dłużej ukrywać zachwyty. Wilmington wydawało się duże, dopóki Althea nie dostała samochodu i okazało się, że mogą przejechać z jednego końca na drugi w piętnaście–dwadzieścia minut. Nowy Jork napełnia Olivera nagłą, euforyczną nadzieją. Patrząc na to miasto, na jego rozmiary i możliwości, jakie daje, zaczyna wierzyć, że rzeczywiście jest tu ktoś, kto mu pomoże. Rozkoszuje się tą myślą, kiedy taksówka staje w korku, a budynki wznoszą się dookoła jak ogromne klify. Myśli o tym, że w końcu będzie mógł powiedzieć „Tak, przyjdę”, nie dodając przy tym „chyba że”.

Kierowca taksówki opiera się o kierownicę. Nicky wyciąga rękę i kładzie ją na szyi Olivera, przez cały czas patrząc na licznik.

Po zameldowaniu się w hotelu Nicky upiera się, że powinni zjeść coś na mieście. W domu rzadko jadają w restauracjach. Nawet gdyby było ich na to stać, Nicky woli ciasne okolice ulicy Magnoliowej, gdzie może napić się wina, herbaty i w spokoju

zapalić papierosa. Sterylna atmosfera hotelu doprowadza ją do szału – zapach odświeżacza powietrza, malowane pasy na desce klozetowej i poduszki, które szeleszczą, jakby do środka napchano gazet. Pyta go, czy ma ochotę na sushi, prawdziwe sushi, nie paczkowane jak to, które kupują czasem w supermarkecie. Oliver najchętniej zjadłby pizzę. Nicky całe życie opowiadała o słynnej nowojorskiej pizzy, kawałkach tak wielkich i opadających, że trzeba składać je na pół i jeść, nie zwracając uwagi na olej ściekający po nadgarstkach. Jednak pizzerie mijane w drodze do hotelu uświadomiły mu, że to rodzaj jedzenia, które pochłania się w ciągu pięciu minut, siedząc na plastikowym stołku. Tymczasem Nicky wygląda, jakby miała ochotę świętować.

W restauracji traktuje Olivera, jakby pierwszy raz widział na oczy kalifornijskie sushi. Pokazuje mu, jak przełamać drewniane pałeczki i potrząść je o siebie, by pozbyć się drzazg. Tłumaczy, że powinien zacząć od marynowanego imbiru, żeby oczyścić podniebienie, i nie dodawać go do każdej porcji ryby jak idiota przy stoliku obok. Kiedy zaczyna tłumaczyć, czym jest wasabi i ile powinien go brać – „Nie pakuj go do miseczki z sosem sojowym, bo narobisz nam wstydu” – Oliver traci cierpliwość.

– Mamo, wiem, co to wasabi. Widziałem je i jadłem. Ja i ono jesteśmy starymi kumplami. Wyluzuj.

Na stole w okopconym szklanym pojemniczku migocze świeczka, a wbudowany w ścianę miniaturowy wodospad szepcze za plecami Nicky, spadając kaskadami od sufitu aż po podłogę. To hipnotyzująca kombinacja. Nicky bawi się pałeczkami. Oliver musi przyznać, że w swoim ulubionym czerwonym swetrze, z rozpuszczonymi włosami i blaskiem świecy tańczącym na policzkach wciąż wygląda pięknie. Nagle żałuje, że jedyne, co czeka na nią w Karolinie Północnej, to zlew pełen brudnych naczyń i tłum klientów, którzy chcą, by uzdrawiającą mocą masażu otworzyła ich czakrę.

– Jak długo tu zostaniesz? – pyta ją.

– Kilka dni. Spędzę trochę czasu z Sarah i Jimmym. Minęło kilka lat, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Myślę, że skoczę do New Jersey i spotkam się z rodzicami. – Wzdycha, najwyraźniej niezbyt zachwycona tą perspektywą. – W każdym razie zaczekam, aż wszystko się uspokoi i wrócę do Wilmington.

– Ty i Sarah macie jakieś plany?

– Nie będziemy brać kwasu, jeśli o to ci chodzi.

– Dlaczego nie przeprowadzisz się tu z powrotem?

– Do Nowego Jorku?

– Tak.

– A ty gdzie będziesz mieszkał?

– No ale potem. – Chce powiedzieć „kiedy pójdę do college’u”, ale na chwilę obecną wszystko stoi pod znakiem zapytania. – Kiedy się w końcu wyprowadzę.

Nicky dmucha do filiżanki i obserwuje zmarszczki na powierzchni herbaty.

– Nie wiem.

– Myślę, że powinnaś pobyć trochę z ludźmi w twoim wieku.

– Nie pouczaj mnie, co mam robić.

– Nie sądzisz, że tata powiedziałaby to samo?

Nicky odstawia filiżankę i nalewa z karafki gorącej sake.

– Trochę trudno skonsultować się w tej sprawie z twoim ojcem, zważywszy na to, że nie żyje od dziesięciu lat.

– Właśnie o to mi chodzi. Nie żyje od dziesięciu lat.

– Martwisz się o mnie? – pyta z uśmiechem Nicky. – O to chodzi? Myślisz, że jestem samotna?

– Nieważne. – Grzechocząc kostkami lodu w szklance, Oliver myśli o Garcie.

– To oczywiste, że czasem czuję się samotna. Ale wiesz co? – Mówiąc to, wskazuje drewnianą pałeczką parę w jej wieku, która w milczeniu pochłania swoje porcje sushi. Mężczyzna upuszcza swój kawałek do miseczki z sosem sojowym, który ochlapuje jego niebieską koszulę. Kobieta kręci głową, patrząc, jak jej towarzysz trze plamy wilgotną serwetką. – Ci tam nie wyglądają na specjalnie szczęśliwych, co?

Oliver podąża wzrokiem za pałeczkami Nicky, która wskazuje kolejne osoby – następna para, tym razem młodsza, trzyma się za ręce pod stolikiem, a siedząca obok nich kobieta nerwowo zatyka za ucho kosmyk włosów, patrzy na drzwi i nieznacznie pochyla głowę, gdy kelner sprząta ze stołu nieużywane czwarte nakrycie.

– Co z nią? – pyta Oliver.

Mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna siedzi w kącie zupełnie sama; jedną ręką podtrzymuje otwartą książkę, a drugą podnosi do ust kieliszek wina. Odstawia go,

odwraca stronę, wkłada do ust kawałek sushi, przeżuwa powoli i opiera pałeczki o talerz. Po chwili upija kolejny łyk wina i uśmiecha się na myśl o czymś, co właśnie przeczytała.

Nicky napełnia filiżankę.

– Kiedy dziś wieczorem położę się do łóżka, nie będzie rozmyślała o tym, czy nie powiedziała czegoś niewłaściwego. Pod koniec dnia niewielu ludzi może powiedzieć to samo.

– Myślisz, że to ci wystarczy? Przez kolejne czterdzieści lat? – Nagle głos Olivera brzmi wyjątkowo nieuprzejmie.

– Dlaczego wciąż o tym gadasz? Myślisz, że kiedy się wyprowadzisz, zacznę przygarniać bezpańskie koty tylko po to, żeby mieć się do kogo odezwać? Boisz się, że z nudów zacznę szpiegować sąsiadów i podkradać ich śmieci?

– Chyba przyjąłem, że szaleństwo zawsze było częścią twojego planu.

– I uważasz, że tylko ty stoisz między mną a obłądem? Jestem wzruszona, Ol. Dziękuję, że przez tyle lat trzymałeś mrok z dala ode mnie. – Dopija drinka.

– Może powinnaś spasować z tym winem ryżowym – mówi Oliver.

– Może powinieneś spasować z pouczaniem swojej matki. – Nicky bawi się kosmykiem włosów. – Nie mówię, że nie wiem, o co ci chodzi. Dawno temu Sarah spytała mnie, jak wyobrażam sobie resztę życia. Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. Powiedziała: „Reszta naszego życia. Jak twoim zdaniem będzie wyglądała?”. A ja naprawdę nie wiedziałam. Kolejne czterdzieści lat w Wilmington to szmat czasu. Ale myśl o tym, że mogłabym znów tu zamieszkać, tym razem sama... Nie wiem.

Wspomnienia Olivera o ojcu – mówiła na niego Mack, skrót od McKinley, choć na imię miał Charles – zatarły się i ograniczyły do pachnącej tytoniem sztruksowej kurtki, huśtawki na placu zabaw i cebuli z czosnkiem skwierczących na patelni. W tamtym okresie mieli też psa, ogromnego psa pasterskiego imieniem Jeremiah, który uwielbiał przewracać Olivera i lizać go po twarzy. Mack i ten pies chodzili wszędzie razem.

Dla Nicky Mack jest wciąż rzeczywisty. Nawet po dziesięciu latach jej wspomnienia o nim są wystarczająco żywe, by w zależności od nastroju prześladować ją albo rozbawiać. Czasami Oliver czuje się winny. Pamiętając tak niewiele, nie ma za czym tęsknić, więc Nicky sama oplakuje męża i ojca, którego Oliver nie rozpoznałby,

nawet gdyby teraz przed nim stanął. Czasami jest na nią zły, że tłumi w sobie te wspomnienia i nie próbuje ich wskrzesić. W końcu jednak poczucie winy i złość mijają, bo nie ma sensu ich pielęgnować. Nicky to Nicky, a Mack nie żyje; pies uciekł po jego śmierci. Oliver wychowywał się bez ojca i nie zna innego życia.

– Jestem do niego choć trochę podobny? – pyta.

– Jesteś taki sam jak on – odpowiada cicho Nicky. Przechyliła karafkę nad czarką i zauważyła, że jest pusta.

Oliver gapi się na wodospad za jej plecami. Tuż po śmierci Macka, kiedy rodzina McKinleyów zmniejszyła się o połowę, kilka domów dalej, przy tej samej ulicy, matka Althei pakowała walizki, niszcząc własną rodzinę. Oto w wieku sześciu lat narodziły się bliźnięta. Pewnego dnia w barze kawowym kasjerka spojrzała ponad ramieniem Olivera i zaczęła z przyjęciem zamówienia na pojawienie się Althei. Nigdy nie widziała ich osobno. W płóciennym worku Olivera nie ma zdjęcia Althei; między kartkami notatników nie ma jej szkiców. Nikt w Nowym Jorku nie będzie wiedział o jej istnieniu.

– Po prostu nie chcę, żebyś skończyła jak pani Parker, zamiatając chodnik w jakiejś paskudnej podomce – mówi Oliver.

– A jeśli to będzie bardzo stylowa podomka? – odpowiada Nicky. Skinieniem dłoni przywołuje kelnera, podnosi pustą karafkę i pokazuje, że jest gotowa na kolejną. – Jeśli to będzie coś naprawdę odjazdowego?

* * *

Lekarz używa zbyt wielu kosmetyków do pielęgnacji włosów. Jest za wysoki, za młody i za przystojny, co sprawia, że Oliver staje się nieufny. Oliver woli lekarzy z siwymi włosami i okularami w rogowych oprawkach, po których od razu widać, że są lekarzami. Ten facet mniej przypomina lekarza niż aktor, który miałby go zagrać. Nicky czeka na zewnątrz, podczas gdy doktor Curls bada Olivera.

– A więc przyjechałeś aż z Karoliny Północnej?

– Zgadza się – mówi Oliver.

– Jak ci się tam podoba?

– Jest w porządku. Nie mam za bardzo porównania. – Mruży oczy, gdy lekarz świeci w nie latarką.

– Pierwszy raz w Nowym Jorku?

– Dla mnie tak.

– Twoja mama już tu była?

– Kiedyś tu mieszkała. W Alphabet City. – Pierwszy raz wspiera się przeszłością Nicky, żeby zabrzmieć bardziej wiarygodnie.

Doktor Curls cmoka z uznaniem.

– A więc jesteś w ostatniej klasie liceum?

– Tak.

Lekarz chucha na stetoskop, wkłada końcówkę pod papierowy fartuch, by posłuchać, jak bije serce Olivera, a chwilę później przykłada ją do jego pleców.

– Weź głęboki wdech.

Kiedy badanie dobiega końca, lekarz sadowi się na obrotowym krześle i zerka na Olivera, który siedzi na skraju stołu, machając gołymi nogami.

– A teraz powiedz mi, ile ataków snu miałeś do tej pory?

– Trzy.

– Pamiętasz wydarzenia poprzedzające pierwszy z nich?

– Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi.

– Większość pacjentów z KLS przed pierwszym atakiem snu doświadcza jakichś incydentów. Może to być kontuzja, uraz głowy albo trwająca całą noc popijawa. Pamiętasz coś takiego?

– Myślę, że było coś takiego – mówi Oliver, przypominając sobie imprezę z zapasami w galaretkę. – Piwo. Stres. Brak snu.

– W porządku – ciągnie lekarz. – Teraz się ubierz, a później usiądziemy w moim gabinecie i porozmawiamy z twoją mamą, co dalej.

* * *

Oliver dostaje własny pokój, odpowiednio przystosowany do długości jego pobytu w szpitalu. Jest w nim jednoosobowe łóżko, szafka nocna z regulowaną lampką do

czytania, mała drewniana komoda, której brakuje kilku uchwytów do szuflad, proste biurko z wydrapanymi na blacie wulgaryzmami oraz krzesło. Biurko przypomina Oliverowi pierwszy dzień w szkole podstawowej, kiedy usiadł na przydzielonym mu krześle i zobaczył dzieło tych, którzy siedzieli tam przed nim. Na początku był zszokowany przekleństwami, ale patrzeć na nie każdego dnia sprawiło, że po jakimś czasie przestały go denerwować. Ma swoją własną łazienkę z prysznicem zamiast wanny i plastikową zasłoną zamiast szklanych drzwi. Przy łóżku stoi szpitalna aparatura. Co wieczór, zanim Oliver położy się spać, w pokoju pojawia się pielęgniarka, która podłącza go do monitorów i urządzeń; rano inna pielęgniarka przychodzi i odłącza aparaturę. Niedługo potem pojawiają się lekarze.

W ciągu dnia Oliver może przesiadywać w towarzystwie innych pacjentów z KLS w świetlicy podobnej do tych na oddziałach psychiatrycznych – są tu kanapy z bliznami po papierosach i telewizor, a pod ścianami stoją schowki z przyborami dla pielęgniarek. Przedmiotem badań są wyłącznie nastoletni chłopcy, najczęstsze ofiary zespołu Kleinego-Levina. Popołudniami przychodzi nauczyciel, żeby pomóc im w lekcjach, ale poza tym dni na oddziale są pozbawione jakichkolwiek atrakcji. W rezultacie jest tu jak w siedzibie bractwa studenckiego, jak na imprezie bez alkoholu. Miesiącami, a nawet latami ci chłopcy byli jedynymi w swoich miasteczkach – „albo nawet w całym stanie”, chwali się chłopak z Alaski z lśniąco czarnymi włosami – którzy zapadli na tę dziwną chorobę. Teraz jest ich przeszło dwunastu, towarzyszy niedoli, bezustannie wylegujących się na kanapach, siedzących na fotelach z nogami przerzuconymi przez poręcze, robiących brzuszki i w pośpiechu tworzących więzi. Oliver, który większość swojego życia spędził w towarzystwie Nicky i Althei, czuje się niezręcznie w tym typowo męskim środowisku. Publiczne drapanie się po jajach, bezustanne rozmowy o czynnościach fizjologicznych i żartobliwe uwagi pod adresem pielęgniarek – Oliver nie zna się na tych męskich manewrach. Przez większość czasu przesiaduje w pokoju, przegląda testy z fizyki, czyta komiksy i *Krótką historię czasu* i słucha *Parklife* na discmanie.

Jednak gdy przychodzi salowy, żeby zmienić cienkie jak papier prześcieradła i przetrzeć ściany prysznicem, Oliver pozwala mu w spokoju wykonywać swoją pracę i wychodzi. Wówczas, chcąc nie chcąc, musi dołączyć do pozostałych pacjentów w ich

pro wizorycznym salonie, kręci się przy gabinecie pielęgniarek, co jest niespecjalnie mile widziane, albo siedzi na podłodze przed drzwiami pokoju i czeka, aż salowy skończy, przez co czuje się, jakby go poganiał.

Gdy więc pewnego popołudnia, ucząc się historii, słyszy pukanie do drzwi, Oliver zbiera książki i ołówki i idzie jasnym, białym korytarzem w stronę głosów nastoletnich chłopców, z których każdy próbuje przekrzywić telewizor.

Siada w niebieskim fotelu obok brudnego okna z widokiem na szumiącą w dole ruchliwą ulicę. Pozostali chłopcy siedzą rozwaleni na kanapach, w kłapkach, spodniach dresowych, dzinsach i szarych bluzach z nazwami drużyn futbolowych albo koszulkach znanych zespołów z wydrukowanymi na plecach terminami koncertów. Jak zwykle w takiej sytuacji szuka wzrokiem Miętusa albo nawet Coby'ego, kogoś z irokezem, w koszulce domowej roboty i spodniach z licznymi zamkami; kogoś z przekrwionymi oczami. Po prostu się rozgląda. W świetlicy panuje nieprzyjemna atmosfera, jak w szatni przed zajęciami WF-u. Oliver rozkłada książkę na kolanach i próbuje się skupić. Dwanaście pięter niżej dwie kobiety kulą się przed wiatrem; jedna z nich ma jaskraworóżowe włosy, a druga trzyma kurczowo stojak do kroplówki.

– Ktoś widział CT? – pyta jeden z dzieciaków. Niczym wędrowne wesole miasteczko, które zatrudnia odmieńców z całego kraju, pacjenci zwracają się do siebie skrótami nazw stanów, z których pochodzą. Niektórzy wychodzą na tym lepiej, inni gorzej. Chłopak z Alaski nazywany jest pieszczotliwie AK-47, a koleś z Kentucky stał się ofiarą niewybrednych żartów, bo jego ksywa brzmi tak samo jak nazwa popularnego lubrykantu.

– Gdzieś ty był, do cholery? CT zasnął wczoraj rano. – AK-47 uchodzi na oddziale za samca alfa. Zajmuje najlepsze miejsce na kanapie i do niego należy pilot do telewizora.

Ukradkiem rozglądając się po sali, Oliver stwierdza, że rzeczywiście ich szeregi się przerzedziły. Na świetlicy jest ich mniej więcej ośmiu; reszta padła ofiarą kolejnego ataku snu. Zamknięci w swoich pokojach, są pod stałą obserwacją, jednak wciąż pojawiają się nowe plotki, co kto zrobił w tak dobrze im znanym stanie psychotycznym. Jedyne chłopak z Nowego Jorku odpadł praktycznie zaraz po tym, jak zmierz yli mu ciśnienie, przez co zyskał przydomek „ciota”. Pozostała ósemka udowodniła, że są

twardsi, niż się tego spodziewali.

– Miał mi pożyczyć swoją sege – mówi pierwszy chłopak.

– Więc idź do niego i weź ją sobie – rzuca AK-47, wzruszając ramionami. – I tak nie jest mu teraz potrzebna.

Ktokolwiek zorganizował badania, zadbał o to, żeby na oddziale można było oglądać kanał ESPN. W telewizji leci transmisja wyścigów Winston Cup Series z Atlanty. NASCAR to sekretna miłość Gartha; Althea i Oliver nakryli go, jak stojąc na podjeździe sąsiada, dyskutował – z kimś, kogo ledwie znał – o braciach Bodine i kontrowersyjnym finale Banquet Frozen Foods 300 w 1991 roku. Althea podejrzewała, że w środowisku profesorskim nie było nikogo, kto ślubowałby wierność tej dumnej południowej tradycji, więc Garth postanowił przechadzać się ulicą Magnoliową i czyhać na sąsiadów, którzy – prędzej czy później – wyjdą z domu, żeby sprawdzić pocztę.

– Co to za gówno? – pyta NJ. – Chcę oglądać futbol.

– To NAPA 500 – tłumaczy Oliver. – Ostatni wyścig NASCAR w sezonie..

– Coś jak Super Bowl?

– Właśnie.

– Jesteś z Karoliny Północnej? – pyta z nadzieją w głosie Kentucky, jakby liczył, że znajdzie w Południowcu bratnią duszę. Nosi czapkę z logo Browning; jeśli połączą siły, nie miną dwie godziny, a New Jersey zacznie sypać kawałami o KY i NC polerujących wzajemnie swoje strzelby.

– Z Wilmington – mówi Oliver i wraca do lektury.

Na świetlicę wchodzi smukła pielęgniarka. Ma jasne kręcone włosy i szczupłe dłonie. Oliver uwielbia ją, bo jest jedyną pielęgniarką, która nie nosi butów ortopedycznych. Mierzy do chłopców cyfrowym termometrem jak bronią i każe im się ustawić pod ścianą.

– Znowu? – pyta New Jersey.

– Po prostu zróbcie to, o co was proszę.

Temperatura żadnego z nich nie podskoczyła na tyle wysoko, by sygnalizować kolejny atak snu. Pielęgniarka marszczy brwi z kiepsko skrywaną konsternacją.

– Może za słabo się staramy – mówi AK-47. – Może powinniśmy wrócić do pokoi

i zacząć liczyć owce.

Oliver uśmiecha się do pielęgniarki, kiedy ta wkłada mu do ucha plastikową pałeczkę. Nie zazdrości jej roboty; zerkając ponad jej ramieniem, widzi, jak pozostali chłopcy pożerają wzrokiem jej idealny tyłek.

– Powinna pani rozdawać zatrute jabłka. Podobno działają za każdym razem.

– Prędzej czy później zacznę – rzuca żartobliwie siostra. – Prędzej czy później.

Zgodnie z przewidywaniami Olivera chwilę po tym, jak pielęgniarka wychodzi z sali, chłopcy zaczynają opowiadać, co chcieliby z nią zrobić, gdyby mieli do dyspozycji dziesięć minut i dostęp do schowka na miotły.

– Mówię wam – oznajmia jeden z nich; sądząc po akcencie, pochodzi z Minnesoty – jeśli przyjdzie do mojego pokoju, kiedy będę spał, nie ręczę za siebie.

– Koleś, opowiadałeś, jak podczas ataku dobierałeś się do własnej siostry. Chcesz, żeby oskarżyli cię o coś takiego? – pyta AK-47.

– Mam to gdzieś. – Minnesota wydyma wargi.

– Ja wszedłem do domu sąsiadki i wyjadłem jej wszystko z lodówki – mówi Kentucky.

– A kto tego nie zrobił – rzuca lekceważąco New Jersey.

– Taa, tyle że przy Thunder Road, czy gdzie tam, kurwa, mieszkasz, ludzie nie śpią ze śrutówkami pod łóżkiem i nie mają wzrodu na myśl o zastrzeleniu intruza – odpowiada Kentucky. Historyjka zostaje nagrodzona salwą śmiechu, a on rozsiada się w fotelu, spokojny, że status samca beta należy chwilowo do niego.

– Tu przynajmniej nikt się nie wścieknie, kiedy narobię do łóżka – dodaje kolejny chłopak. – Wiadomo, że takie rzeczy się zdarzają.

Słyszając to, AK-47 zaczyna snuć opowieść, która zawiera elementy wszystkich poprzednich: dom sąsiada, kał i nieświadome próby uwiedzenia niewłaściwej osoby.

Sanitariusz, który sprzątał pokój Olivera, sumiennie myje podłogę na korytarzu. Na ten widok Oliver zbiera książki i wychodzi ze świetlicy.

– Dokąd idziesz, NC? – woła za nim Kentucky.

Oliver mruczy pod nosem, że musi się pouczyć.

* * *

Tej nocy Oliver kładzie się do łóżka i czeka, czytając *The Big Fat Kill* przy świetle lampki. Chwilę później słyszy nerwowe pukanie do drzwi i do pokoju wchodzi pielęgniarka. Nie smukła blondynka, ale starsza kobieta z zadziwiająco cienkimi brwiami i siwiejącymi blond włosami upiętymi w wąty kok.

– Gotowy? – pyta.

Oliverowi mogą nie podobać się jej buty, ale docenia jej rzeczowe podejście do sprawy.

– Możemy zaczynać – mówi. Jego słowa brzmią poważniej, niż by tego chciał.

Pielęgniarka zapina niebieską opaskę wokół jego klatki piersiowej i kolejną wokół brzucha; mają one monitorować oddech Olivera w trakcie snu. Kiedy kobieta pochyla się, żeby umocować elektrody na jego skroniach, czuć w jej oddechu lukrecje Twizzlers. Dopiero z tej perspektywy Oliver widzi, że kobieta wcale nie ma brwi, tylko cienkie kreski w miejscu, gdzie powinny się znajdować. Klej mocujący elektrody jest zimny i lepi się do włosów. Na palec wskazujący jego ręki pielęgniarka nakłada oksymetr, który wygląda jak plaster, a w rzeczywistości mierzy poziom tlenu we krwi.

Oliver próbuje sobie przypomnieć, czy w dzieciństwie Nicky utulała go do snu. Czy miał ulubioną bajkę na dobranoc? Czy istniała piosenka, którą kazał jej śpiewać? Większość wspomnień z dzieciństwa ma związek z Altheą, walkie-talkie i jej melodyjnym głosem szepczącym: „Bez odbioru, Ollie”. Na co on odpowiadał nieco bardziej krzepiąco: „Do usłyszenia jutro, Al”. Czasami zdumiewają go rzeczy, które wiedział jako dziecko i które z czasem zapomniał – alfabet Morse’a, esperanto, składniki potrzebne do zrobienia dobrej bomby cuchnącej. Co zastąpiło tę przydatną wiedzę? Rachunek różniczkowy? Althea na pewno zachowała przepis na cuchnącą bombę; Chryste, do tej pory zdobyła już pewnie egzemplarz **The Anarchist Cookbook*¹ i używa go, by zemścić się na swoich wrogach i każdym, kogo obwinia za niepomyślny kurs, jaki obrało jej życie – Cobym, Akademii Cape Fear, może nawet własnym ojcu.

– Gotowe – oznajmia pielęgniarka.

Rankiem Oliver ubiera się – nie zamierza całymi dniami chodzić w dresach czy pizamie, bo przez to trudniej mu udawać, że nie jest chory i nie przebywa w szpitalu –

kiedy ktoś puka do drzwi. Z początku nie reaguje. Przyzwyczyił się już do szpitalnej etykiety, w której pukający nie prosi o pozwolenie na wejście do pokoju, ale oznajmia jedynie, że lada chwila drzwi staną otworem. Po chwili znowu słyszy pukanie, tym razem nieco głośniejsze.

– Taa? – rzuca, pospiesznie zapinając dzinsy.

Do pokoju wchodzi smukła blondynka.

– Dzień dobry.

– Dobry.

– Masz chwilę? Doktor chciałby z tobą porozmawiać.

– Myślę, że jestem wolny. – Oliver rozgląda się dookoła, zmieszany podejrzeniem, że mógłby mieć inne plany.

– Świetnie. W takim razie chodź ze mną, przystojniaku.

Właśnie nazwała mnie przystojniakiem.

Pielęgniarka prowadzi go do gabinetu, gdzie razem z Nicky byli na konsultacji lekarskiej. Doktor już tam jest, wypełnia papiery, stetoskop dynda radośnie wokół kołnierza białego fartucha; gęste czarne włosy ma idealnie ułożone. Oliver siada ostrożnie na brzegu śliskiego skórzanego krzesła po drugiej stronie biurka. Pielęgniarka wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Oliver marzy, że kobieta robi to niechętnie. Lekarz podnosi wzrok i odsuwa dokumenty.

– Jak się masz, Oliverze? Zaaklimatyzowałeś się już? Rozgościłeś?

– Nie wyremontowałem pokoju ani nic w tym stylu, ale tak, rozgościłem się.

– Wiesz, gdybyś czegoś potrzebował, po prostu powiedz Stelli. Staramy się, jak możemy, żeby było wam tu dobrze.

– Stelli? – Oliver wskazuje głową drzwi. – To była Stella?

– Tak. Jest bardzo dobra.

Oliverowi nie podoba się jego poufały ton, jakby doktor wiedział o rzeczach, w których Stella jest naprawdę dobra.

– Tak zrobię – obiecuje.

– Świetnie. To dopiero musi być coś: przebywać w towarzystwie ludzi, którzy cierpią na tę samą przypadłość. Może czujesz się przez to mniej samotny i wyalienowany?

– Z całym szacunkiem, proszę pana, ale siedzenie w szpitalu zamiast w liceum jest dość alienujące.

Lekarz śmieje się.

– No dobrze, Oliverze, wiem, że jesteś z południa, i wiem, że jesteś dobrze wychowany, ale nie musisz mówić do mnie „proszę pana”. Wystarczy Manuel.

– Jasne. – Oliver mimowolnie przewraca oczami.

– Rozumiem, że pobyt w szpitalu to nic przyjemnego, ale przynajmniej jesteś wśród rówieśników.

Ja bym tak tego nie nazwał, myśli Oliver.

– Ci chłopcy rozumieją, przez co przechodzisz, lepiej niż ktokolwiek inny.

– Nie wątpię.

– Doceniamy to, że przez ostatnie tygodnie byłeś niezwykle chętny do współpracy. Ale tak jak mówiłem, wątpię, czy będziemy w stanie zapewnić ci jakąkolwiek realną pomoc. Jest wiele rzeczy, których nie wiemy o KLS, i liczymy, że dzięki temu programowi dowiemy się więcej. Jeśli będziemy w stanie wykorzystać te informacje w terapii eksperymentalnej, świetnie. Ale nie ma gwarancji, że wrócisz do domu w lepszym stanie niż ten, w którym tu trafiłeś. Musisz zweryfikować swoje oczekiwania.

Oliver wierci się na krześle, poirytowany całą tą rozmową.

– Jestem tego świadomy, Manuelu.

– Istnieją symptomy KLS, które nie mają nic wspólnego z napadami snu. Wiesz o tym, prawda?

– Możesz mówić jaśniej?

– Depresja. Złość i uczucie beznadziei. Czuleś kiedykolwiek coś takiego?

Oliver śmieje się gorzko.

– Uczucie beznadziei? A więc o to chodzi?

Manuel patrzy na niego ze współczuciem.

– Tak. O to chodzi. Mamy nadzieję, że poznanie innych chłopców z KLS i przebywanie w towarzystwie ludzi, którzy naprawdę cię rozumieją, sprawi, że poczujesz się lepiej. Może dzięki temu choć przez chwilę poczujesz się normalnie. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Nie jestem pewien.

– Oliverze, do tej pory trzymałeś się na uboczu. Nie ma w tym nic złego; wiem, że to nie luksusowy kurort, tylko szpital. Nie przyjechałeś tu, żeby zawierać nowe znajomości, i nie to jest dla ciebie najważniejsze. Ale chciałbym cię prosić, żebyś się trochę otworzył. Nie chodzi mi o to, żebyś się wywnętrzał przed obcymi ludźmi, ale może mógłbyś być odrobinę bardziej towarzyski. Jestem pewien, że zdziwisz się, jakie to oczyszczające.

Zamontowany pod oknem nawiewnik wypuszcza ciepłe, suche, przetworzone powietrze, które natychmiast wysysa wilgoć z zatok Olivera.

– Nie jestem za bardzo towarzyski.

– Rozumiem. Właśnie dlatego chciałbym, żebyś potraktował to jak wyzwanie...

– Jestem tu. To jest wyzwanie. Dla nas obu.

– Oliverze – wzdycha cicho doktor Curls – chcemy zatrudnić psychologa, który będzie prowadził grupowe terapie z wszystkimi pacjentami. Oczekuję, że przynajmniej weźmiesz w nich udział.

Oliver wzrusza ramionami.

– Skoro chcesz. Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej.

– Nie sądzisz, że dzięki temu ty możesz poczuć się lepiej?

– Tylko jedna rzecz może sprawić, że poczuję się lepiej – odpowiada Oliver.

– Przykro mi to mówić, ale jestem zaskoczony twoją postawą.

Oliver myśli o Althei i jej pięknych kościstych kłykciach.

– To nie postawa – mówi.

– Więc co? – Po raz pierwszy lekarz sprawia wrażenie zdenerwowanego.

Oliver wstaje i kieruje się w stronę drzwi.

– Sam pan powiedział. Złość. Uczucie beznadziei.

1. Książka napisana przez Williama Powella i opublikowana w 1970 roku, będąca protestem autora przeciwko działaniom rządu Stanów Zjednoczonych i wojnie w Wietnamie. Zawierała m.in. przepisy i instrukcje wyrobu materiałów wybuchowych. [\[wróć\]](#)

Rozdział 7

Althea siedzi na dole.

Ubrana w piżamę, wydalona z Akademii Cape Fear, czuje, że tu właśnie jest jej miejsce. Okryta starą kołdrą, którą ma od czasów dzieciństwa, a którą zrobiła dla niej Alice, ogląda w kółko te same filmy; filmy o genetycznie wyhodowanych potworach i anomaliach pogodowych zagrażających całemu światu. Znajduje w nich ukojenie; zwłaszcza w momentach, gdy zanosi się na kolejną burzę albo gdy w obozie zostaje przywrócony prąd, kiedy ocalenie wydaje się niemożliwe, a zagłada nieuchronna. Traci zainteresowanie, gdy lądujący helikopter zabiera ocalałych w bezpieczne miejsce albo gdy nowo zaprzysiężony prezydent wygłasza optymistyczne przemówienie na temat przyszłości. *Pieprzyć to gówno*, myśli i wraca do początku, gdzie wszystkie oznaki nadciągającego chaosu są widoczne jak na dłoni, ale wszyscy, poza głównym bohaterem, postanawiają je ignorować.

Potrzebuje czasu, żeby zrozumieć, co wydarzyło się tamtego popołudnia na szkolnym korytarzu, kiedy siedziała okrakiem na Cobym i okładała go pięściami. Tak jak twarz Coby'ego poddała się sile jej ciosów, tak coś w niej również się poddało; przypominało to rozbłysk spalonej żarówki. Teraz pozostał jedynie mały punkcik światła zamknięty we wnętrzu osmalonego szkła. Nie przeszkadza jej, że czuje się jak przepalony bezpiecznik. Od samego początku tego właśnie chciała. Ma tylko nadzieję, że uczucie to pozostanie z nią na długo.

Słyszając szcęk otwieranych drzwi, nakrywa głowę kołdrą. Drewniane schody skrzypią, najpierw jeden, tuż po nim kolejny, i chwilę później wyczuwa obecność Gartha. Czuje zapach czosnku, makaronu i sosu pomidorowego; znak, że przyniósł jej obiad. Odkąd przestała wychodzić na górę, obowiązek gotowania znów spadł na Gartha. Althea żuje kołnierz koszulki, więc bawełna przypomina wilgotną gąbkę. Ostrze srebrzystego światła przecina mrok kokonu, gdy Garth odchyła rąbek kołdry. Kiedy Althea nie protestuje, odchyła go jeszcze bardziej, odkrywając jej głowę i ramiona. W ręce trzyma talerz.

– Usiądź i zjedz.

Althea apatycznie grzebie widelcem w makaronie. Garth siada na rozkładanym fotelu.

– Dzwoniłem dziś do innych szkół. Jeśli podejdziesz do egzaminów końcowych i zdasz je, po feriach zimowych możesz przenieść się do Laney.

Althea wzrusza ramionami. Patrzy na klopsiki i odcisnięte w nich ślady jego palców.

– Nie musi ci się tam podobać. Musisz tylko skończyć liceum.

– Nie mógłbyś uczyć mnie w domu?

– To dopiero byłby ubaw – rzuca Garth z udawanym entuzjazmem.

– W takim razie niech będzie Laney.

Garth wzdycha.

– Wiesz, że twoje studia na Uniwersytecie Karoliny Północnej stanęły pod znakiem zapytania. Będziesz musiała bardziej się postarać. Zachowuj się, jakbyś naprawdę chciała dostać się do college'u.

– A jeśli mi nie zależy?

– Zaczynaj rozglądać się za szkołami plastycznymi. Bóg jeden wie, że masz na to mnóstwo czasu.

– Posłałbyś mnie do szkoły plastycznej?

– Jesteśmy bogaci, pamiętasz?

– Myślałam, że jesteśmy dobrze sytuowani.

– Byłbym znacznie lepiej sytuowany, gdybym pozbył się ciebie z domu. Jeśli szkoła plastyczna załatwi sprawę, z chęcią wydam na nią trochę pieniędzy. Pozostaje jeszcze pytanie, co zamierzasz robić do początku następnego semestru.

Althea omiata wzrokiem pomieszczenie.

Garth podnosi się z fotela, siada obok niej na kanapie i wślizguje się pod koc.

– Niezbyt tu przytulnie. Śmierdzi jak wilgotna gąbka.

– To chyba pleśń.

– Nie przeszkadza ci to?

– Przestałam zwracać uwagę.

Althea skubie nitki spaghetti. Nadziewa klopsika na widelec i przepoławia go,

a potem, dzieli połówki na jeszcze mniejsze części i tak dalej, aż zostaje z niego mięsna papka. W ubiegłym roku na matematyce uczyli się, że gdyby podzielić coś na pół, a każdą połówkę na kolejne połówki, i tak bez końca, każda kolejna połówka będzie coraz mniejsza, ale podzielona rzecz nigdy nie zniknie zupełnie. Nazywa się to chyba paradoksem Zenona z Elei.

Garth kładzie na szerokiej dłoni splątane pasmo włosów Althei, patrzy na rozdwojone końcówki i kręci głową.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego ufarbowałaś się na czarno.

Poirytowana tą uwagą, odsuwa się od niego.

– Przyszedłeś tu w jakimś konkretnym celu? – pyta.

– Jak na kogoś, kto uparcie twierdzi, że ma gdzieś wyłanie go ze szkoły, kiepsko to znosisz.

– To takie upokarzające. Wszyscy wiedzą, co się stało. Boże, to było takie publiczne. – Zakrywa twarz rękami na samą myśl o korytarzu pełnym ludzi gapiących się, jak okłada pięściami Coby’ego. Mogła przynajmniej poczekać, aż wyjdą ze szkoły, i dorwać go na parkingu.

– Zobaczysz, wstyd minie.

– Skąd wiesz?

– Czułem to samo, gdy odeszła twoja matka.

Althea patrzy na nogi ojca wciśnięte w wąską przestrzeń między sofą a stolikiem. Kiedyś musiał być świetnym tancerzem; widziała zdjęcia ze ślubu, wie, że miał na sobie trzyczęściowy garnitur. Musiał robić wiele rzeczy, zanim się ożenił, zanim się rozwiódł i zanim został ojcem samotnie wychowującym rozpieszczoną, kapryśną nastolatkę.

– Rozmawiałeś z nią? – pyta Althea.

– Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli sama poinformujesz ją o swoim ostatnim wybryku.

– Mam wrażenie, że w ogóle się tym nie przejmujesz.

Garth poważnieje, co nie wróży niczego dobrego.

– Wiesz, po rozmowie z dyrektorem i nauczycielami zauważyłem, że nikt nie był szczególnie zaskoczony, że to właśnie na Cobym wyładowałaś swoją złość. Gość

chyba nie jest szczególnie lubiany, co? Nawet Oliver go nie lubi, a on przecież lubi wszystkich.

Nie wszystkich, myśli Althea. Mnie też już nie lubi.

– Myślę, że Coby aspiruje do roli uroczego dupka, ale jak na razie jest tylko dupkiem. – Althea próbuje rozładować napięcie, ale Garth nie daje się nabrać.

– Posłuchaj, Al. To normalne, że jestem zły, że cię wylali. Martwi mnie, że straciłaś nad sobą kontrolę i pobiłaś człowieka. To przerażające. Myślę, że sama siebie przeraziłaś. Wszyscy, którzy to widzieli, mówią, że ty i Coby rozmawialiście i nagle... cóż. Jeśli coś się stało, jeśli Coby coś ci zrobił, może nie powinnaś była tak reagować, ale jeśli on...

– Tato, pytasz mnie, czy zasłużył sobie na to?

Garth opiera głowę na oparciu sofy.

– Nie wiem, o co właściwie pytam. Chyba o to, dlaczego to zrobiłaś. Kurczowo trzymam się nadziei, że przynajmniej miałaś jakiś powód. Chociaż myśl o tym, że mógł cię skrzywdzić...

Althea zrywa się z kanapy.

– Boże, tato, nie, on nie... to nie... nie. Coby jest przerażający, ale nie aż tak.

– A więc nie zasłużył sobie na to.

– Tego nie powiedziałam.

– Nie rozumiem.

– Sama próbuję to zrozumieć. – Althea kręci głową.

– Wyświadcz mi przysługę i zadzwoń jutro do mamy – prosi Garth.

Althea zgniata widelcem kawałek klopsika.

– Po co?

– Myślę, że powinna wiedzieć. Po prostu do niej zadzwoń. – Garth zdejmuje z talerza kilka nitek makaronu, wkłada je do ust i zlizuje sos z palców. – Nie przesadziłem z cukrem?

– Nie.

– Chcesz coś innego? Lody albo popcorn?

– Nie mam na nic ochoty. I tak nic mi nie pomoże.

Garth sadowi się na sofie, wyciąga spod uda pilota i kieruje go w stronę telewizora.

- Co tym razem? Potwory czy pogoda?
- Dinozaury.
- Świetnie.

* * *

Rankiem budzi się owinięta kołdrą jak burrito. Przyciska twarz do poduszki i po raz pierwszy uświadamia sobie, że kanapa pachnie jak szpitalna poczekalnia.

Na górze, przy ekspresie do kawy, Garth zostawił notes z adresami. To stary, miniaturowy notes kołowy pełen maleńkich pomiętych karteczek, spięty gumową opaską. Althea odnajduje najbardziej aktualny numer telefonu matki, zapisany pod literą „A” jak „Alice”. Dziesiątki innych zostały wykreślone.

Siada przy stole z kubkiem kawy i telefonem bezprzewodowym, wybiera kolejne cyfry i słucha głośnego pikania klawiszy. Chwilę później czeka, słuchając szumów w słuchawce, i wyobraża sobie gołębie przycupnięte na drutach telefonicznych przenoszących rozmowę do Nowego Meksyku.

Alice odbiera po drugim sygnale.

– Czemuż to zawdzięczam ten zaszczyt?

– Widzę, że dorobiłaś się telefonu z identyfikacją numeru – rzuca Althea.

– Nie jesteś w ciąży, prawda?

Nie rozmawiały od sześciu miesięcy.

– Po co miałabym do ciebie dzwonić, gdybym... nieważne. Nie jestem w ciąży. –
Niespokojna krąży po kuchni.

– Masz kłopoty?

Althea przystaje. Idzie na dół, znajduje teczkę i szuka w niej papierosów.

– Może zdefiniujesz, co znaczy „mieć kłopoty”, i zaczniemy od początku.

– Wylali cię ze szkoły?

– Skąd wiesz? Rozmawiałaś z tatą? – Nerwowo szuka zapalniczki, paczki zapalek, czegokolwiek.

– Oczywiście, że cię wylali. Ojciec powinien był posłać cię do publicznej szkoły. W publicznych szkołach nie wyrzucają uczniów. Chyba że zadźgasz nauczyciela. Nie

zadźgałaś nauczyciela, prawda?

– Czy jeśli użyłam noża, to nadal możemy mówić o dźganiu? Czy to już dziabnięcie? Nie pamiętam. Będę musiała sprawdzić. – Jedyne pudełko zapalek, jakie udaje jej się znaleźć na dnie teczki, pośród drobniaków i okruchów jedzenia, jest puste.

– Możesz dziabnąć kogoś widelcem. Zadźgać możesz wszystkim. – W głębi domu Alice słyszeć muzykę: niski głos i elektryczną gitarę.

– Skąd wiesz? – pyta Althea.

– Wiem to i owo. Mam kablówkę.

– Słuchasz Bruce’a Springsteena? – Althea wraca na górę. W kuchennej szufladzie znajduje pomarańczową zapalniczkę do grilla.

– Pytam serio, Thea. Co się dzieje?

Althea bierze papierosy i kawę i wychodzi do ogrodu. Kładzie się na ławce w altanie i patrzy na drewnianą konstrukcję, którą zbudował jej ojciec.

– Wywalili mnie.

– Ale za co?

– Wtedy myślałam, że to była zemsta.

– A teraz?

– Teraz nie jestem tego taka pewna.

Althea wyobraża sobie Alice w jej domu w Taos, obwieszoną turkusową biżuterią własnej roboty, w otoczeniu prostych glinianych dzbanków z kwiatami, które sama zerwała. Wychodziła za Gartha zachwycona myślą, że jest profesorem. Liczyła, że co dwa lata będą mieszkali w innym miejscu, przy innym uniwersytecie, wśród zupełnie nowych ludzi. Zamiast tego Garth dostał stały etat, kupił dom, a Alice wciąż się przeprowadzała, goniąc za czymś, co Althea wyobraża sobie jako życie polegające na wyplataniu koszy i tkaniu koców, na wakacyjnych rejsach dla singli, ośmioletnich warsztatach i spotkaniach klubów książkowych, na których kobiety dyskutują o samorealizacji i holistycznych metodach leczenia perimenopauzy.

– Do tego zaczęłaś palić? – pyta Alice.

– Sprawy nie mają się najlepiej.

– Pewnego dnia skończysz na terapii, płacąc komuś mnóstwo kasy, żeby powiedział ci, że to wszystko moja wina.

– Znajdę kogoś, kto powie mi to za darmo.

– Jestem pewna, że ojciec cały czas ci to powtarza.

Althea nie zaprzecza, choć nie jest to prawda. W przeciwieństwie do dzieciaków, które dałyby wszystko, żeby tylko ich rodzice znowu byli razem, dziwi się, jak mało wrogości Garth okazuje Alice.

– Co u ciebie?

– Szykuję się do zimy. Kupiłam nową parę raket śnieżnych. Thea, jesteś jakaś przybita. – Wygląda na to, że Alice szykuje śniadanie; stawia patelnię na palniku albo rozbełtuje widelcem żółtka. – Gdzie jest Oliver?

– On też mnie wywalił.

– Nie na długo – rzuca pospiesznie Alice.

– Nie wiem, mamo. Wygląda na to, że jest zdecydowany. – Althea zgniata obcasem niedopałek i zastanawia się, czy z twardej gumy można by zrobić trzonek noża.

– A w kwestii uczuciowej sprawy ruszyły do przodu?

– Bez komentarza.

– Skarbie, wiadomo było, że wszystko się skomplikuje. To nastolatek. Daj mu pięć minut, zobaczy coś, co przykuje jego uwagę i zapomni, dlaczego jest na ciebie zły.

– Jak to rozpoznać? – pyta Althea. – Kiedy ktoś mówi „koniec gry”, skąd wiesz, czy rzeczywiście tak myśli?

– Jeśli mówi tak po raz pierwszy, wcale tak nie myśli. Po czwartym, no, może trzecim razie, powinnaś zacząć traktować go poważnie. – Alice przeżuwa coś do słuchawki.

– Ile razy musiałaś powtarzać to tacie?

– Twój ojciec nie wszczął pościgu, Theo. Wystarczyło, że powiedziałam mu raz.

Miałam zaledwie pięć lat, myśli Althea. Ja też miałam za nią ganiać?

– Masz tam jakiegoś chłopaka? – pyta, popijając kawę.

– Kilku. Garth spotyka się z kimś?

– Całą paradą ponętnych studentek. – Rozglądając się po ogrodzie, Althea próbuje wyobrazić sobie Gartha w bonzurce, jak bryluje w tłumie studentek ubranych w obcisłe dzinsy i góry od bikini, choć w głębi duszy marzy tylko, żeby wrócić do domu i dokończyć ostatni kryminał. – Chcesz powiedzieć, że gdyby tata ruszył za tobą

w pościg, nadal byłibyście małżeństwem?

– Kto to wie? Może ten facet z góry. A może on też nie. – Kolejne westchnienie. – Posłuchaj, wiesz, że jeśli będziesz chciała, możesz przyjechać tu na trochę. Mam wolną sypialnię. I dodatkową parę rakiet śnieżnych.

Alice mogłaby być idealną matką, gdyby tylko Althea dała jej szansę. Ale Althea widzi łapacze snów, niedokończone drewniane fotele na biegunach, narzuty w indiańskie wzory. Dziwną leczniczą herbatę o smaku ziemi; zbyt wiele obrazów wilków i kojotów. Dziesięciominutowa rozmowa z Alice przez telefon to jedno; dziesięć dni w jej domu z cegły suszonej na słońcu to zupełnie inna sprawa i jeśli w życiu Althei jest dziura w kształcie Alice, znajduje się ona w martwej strefie. A jednak, jak zwykle podczas rzadkich rozmów z matką, Althea czuje, że mięknie.

– Chcę, żebyś wiedziała, że tata nigdy cię za nic nie obwinia – mówi. – Nie mówi o tobie w ten sposób.

– Chyba miło mi to słyszeć. Posłuchaj, Oliver cię kocha. Próbowалаś go przeprosić?

– Nie sądzę, żeby chciał mnie wysłuchać. Zrobiłam coś naprawdę złego. Na jego miejscu też nie chciałabym ze sobą rozmawiać.

– Spraw, żeby cię wysłuchał – mówi Alice, jakby naprawdę wierzyła, że to takie proste. – Zaufaj mi. Porozmawiaj z nim.

* * *

Pani Parker ma tego dnia pełne ręce roboty. Zmiata opadłe liście do rynsztoka, choć na jej głowę spadają wciąż kolejne. Stojąc przed domem Olivera, Althea słyszy strofujący odgłos włosa szorującego po betonie, tsss-tsss-tsss.

Dom wygląda inaczej. Zasłony są zaciągnięte, podjazd pusty. Ostatni, niedzielny numer „Timesa” tkwi między siatką przeciw owadom i drzwiami wejściowymi, zawinięty w wilgotny, zaparowany plastik. Althea nie wyobraża sobie bardziej oczywistego znaku, że coś jest nie tak. Zerkając przez ramię, widzi panią Parker, która przenosi małą kupkę liści z jednego końca chodnika w drugi. Usta ma zaciśnięte w wąską, ponurą kreskę. Nawet jeśli wie, gdzie się podziali McKinleyowie, i tak jej

nie powie. Althea będzie musiała zapytać gdzieś indziej.

* * *

Valerie otwiera drzwi i nie wygląda na specjalnie zdziwioną jej widokiem.

– Cześć – mówi wyraźnie zakłopotana Althea. Stojąc na progu domu, czuje ciepły, ostry zapach imbiru.

– Cześć.

– Jak leci?

– Chyba w porządku. – Valerie zerka w głąb domu. – Posłuchaj, zaprosiłabym cię, ale...

– To Althea? – z kuchni dobiega głos Miętusa.

– Tak – odpowiada Valerie.

Miętus wychodzi na korytarz, wyciera ręce w fartuch i kiwa na powitanie głową.

– Wiedziałem, że się pojawisz. Nie rozumiem tylko, czemu tak późno.

Nie są wobec niej chłodni. Niepokój, który okazali w szkole, w tej dziwnie euforycznej chwili, gdy pomagali Coby'emu podnieść się z podłogi, zniknął, zastąpiony brakiem zainteresowania. Nikt nie wie lepiej niż Althea, jak zbyteczni wydają się inni ludzie, gdy człowiek jest przekonany, że ma przy sobie tych, których najbardziej potrzebuje. Mimo to fatalnie jest być po drugiej stronie.

– Przechodziłam dziś obok domu Olivera i wygląda na to, że od jakiegoś czasu stoi pusty. Pomyślałam, że może wiecie, gdzie się podziewa Oliver. Chciałam się tylko upewnić, że nic mu nie jest.

– Nic mu nie jest – uspokaja ją Valerie.

– To dobrze. – Althea sili się na przyjacielski uśmiech. – Gdzie w takim razie jest?

Valerie i Miętus wymieniają jedno z tych tajemniczych spojrzeń.

– Nie możemy powiedzieć – odzywa się w końcu Miętus.

Uśmiech gaśnie na twarzy Althei.

– Jak to?

– Obiecaliśmy – tłumaczy Valerie. – Przykro mi.

– Obiecaliście? Komu obiecaliście? – pyta Althea.

– Oliverowi.

– Wyjechał z miasteczka i kazał wam obiecać, że nie powiecie nikomu, dokąd pojechał?

Miętus chowa ręce w kieszeniach fartucha, wbija wzrok w podłogę i trąca czubkiem buta futrynę drzwi. Patrząc na niego, Althea przypomina sobie, kim był kiedyś – niezdarnym, chudym jak szczapa kołesiem, który nauczył się trzech akordów na gitarze i marzył o założeniu kapeli. Patrzy na niego wściekłym wzrokiem. *Znałam cię wtedy, ty mały gnojku, myśli. Pamiętam cię z czasów, kiedy byłeś Howardem i nikt nie chciał się z tobą kumplować.*

– Niezupełnie – mówi Valerie. – Posłuchaj, wiemy, że ty i Oliver pokłóciliście się. Zanim wyjechał, prosił nas, żebyśmy ci nie mówili; po prostu nie chcemy mieszać się w wasze sprawy.

– Więc tylko ja jedna mam nie wiedzieć, dokąd pojechał? – pyta Althea z niedowierzaniem. Czuje się jak ostatnia idiotka. Stoi tu i błaga tych ludzi, żeby powiedzieli, gdzie jest jej jedyny przyjaciel, który przed wyjazdem najwyraźniej rozmawiał z nimi na jej temat. Gdzieś w głębi domu słuchać szum spłukiwanej wody i chwilę później pojawia się Coby. Śliwy pod oczami zmieniły się w żółte łaty; pękniętą górną wargę szpeci gruby strup. Na złamanym wcześniej, krzywym nosie rośnie kolejny guz.

– Uważajcie – zwraca się do Val i Miętusa. – Bo może spuścić wam łomot.

– Chryste – szepcze Althea.

– Właśnie dlatego nie zaprosiłam cię do środka – tłumaczy Valerie.

– Dzięki. – Althea nie może oderwać oczu od twarzy Coby’ego, który uśmiecha się do niej. Jak zwykle cieszy go zakłopotanie innych ludzi.

– Widzicie, że laska świruje – zwraca się do Valerie i Miętusa. – Naprawdę jej nie powiecie?

– Obiecaliśmy – mówią zgodnie.

– Ja nic mu nie obiecywałem – rzuca Coby. – Chodź, Carter. Zapalimy. – Mija ją w progu i wychodzi przed dom.

Althea idzie za nim do jego vana i zatrzymuje się, gdy Coby siada na fotelu kierowcy. Nie może uwierzyć, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, rzeczywiście

chce przebywać z nią sam na sam w zamkniętym pomieszczeniu. Tymczasem Coby otwiera drzwi od strony pasażera.

– Wsiadaj – mówi.

– Naprawdę powiesz mi, gdzie on jest?

– Nie bądź upierdliwa, Carter. Wsiądź, to ci powiem.

Althea wysłuchuje relacji Coby'ego, który mówi, co wie o badaniach prowadzonych w Nowym Jorku. Informuje ją, że Oliver wyjechał na kilka miesięcy i nikt nie wie, kiedy dokładnie wróci, i że prawdopodobnie planował ten wyjazd od jakiegoś czasu.

– Jak to? – pyta Althea.

– Kiedy wyjechał, Valerie i Miętuś poszli zapytać Nelsona, czy mają wysłać mu prace domowe, ale nauczyciel z St. Victor's załatwił wszystko z nauczycielami Olivera. Planował wyjechać, jeszcze zanim się pokłóciliście.

– Powiedział komuś, o co się pokłóciliśmy?

– Żeby była pełna jasność, Altheo. Nikogo nie obchodzi, o co się pozarliście. – Uruchamia silnik i zjeżdża z krawężnika.

– Zaczekaj – mówi Althea. – Nie powiedziałam, że z tobą pojedę.

– Dlaczego nawet nie spróbujesz? – pyta Coby.

W swojej przydużej bluzie wydaje się wątki. Od razu widać, że nie była to uczciwa walka. Że to w ogóle nie była walka. Mimo to Althea nie ma wyrzutów sumienia. W końcu to on jako pierwszy przelał krew.

– Bo ostatnim razem nie poszło nam najlepiej?

– Mogło być fajnie, wiesz o tym.

– Fajnie? Poważnie? Spuściłam ci łomot na oczach całej szkoły. Jeśli o nas chodzi, fajniej już nie będzie. – Siedzenie tu i rozmawianie z Cobym daje jej szczególne poczucie wolności. To typ koleś, który nie potrafi jej do siebie zrazić, ale Althea ma się na baczności, by nie pomylić tego z lojalnością albo miłością. Jakie to niesprawiedliwe, że Coby jest gotów zacząć tam, gdzie skończyli, podczas gdy Oliver unika jej jak zarazy.

– Możesz siedzieć na dole i czekać na niego, ale on nie wróci. On wyjechał – dodaje Coby. – I to ja powiedziałem ci dokąd. Jaki z tego wniosek?

– Że za wszelką cenę próbujesz udowodnić, jaki jesteś świetny.

– Nie miałbym nic przeciwko. Nie lubiłaś mnie, bo jestem fajnym facetem i nie muszę nikogo udawać. Jestem taki jak ty.

Przytulne odrętwienie, w którym trwała ostatnie dwa tygodnie, przestaje działać znieczulająco i oto Althea wraca do swojej głowy, najniebezpieczniejszego miejsca, w jakim mogła się znaleźć. Co się stanie, kiedy jutro się obudzi i będzie musiała stawić czoła pełnemu gniewu, długiemu dniu, gdzie każdą godzinę wypełnia nieznośne uczucie klaustrofobii? Niewypowiedziane zaproszenie Coby’ego – „Trzymaj się mnie, dzieciaku, a damy sobie to, na co oboje zasługujemy” – nie wygląda na najgorszy z możliwych scenariuszy; raczej jak jedyna opcja.

– Jesteś – mówi Althea, otwierając drzwi – jak wisząca w powietrzu zbrodnia nienawiści. Nigdy cię nie lubiłam.

* * *

Później tego samego dnia Althea wchodzi do sypialni po czyste ubrania. Siada na łóżku i przygląda się wiszącym na ścianie zdjęciom i rysunkom. W dzieciństwie, kiedy wyobrażała sobie wejście w dorosłość, widziała starszą wersję samej siebie, wynurzającą się ze stojącej w nogach łóżka skrzyni z zabawkami, by przejąć obowiązki bycia Altheą. Wierzyła, że młodsza Althea odejdzie do czegoś w rodzaju nieba z monitoringiem, by przeżyć resztę życia za pośrednictwem Dorosłej Althei, która przybędzie wyposażona w zdrowy rozsądek, świadectwo ukończenia szkoły średniej i duże piersi. Teraz zerka w dół na swoje małe piersi i wzdycha. Nie ma wątpliwości, że Dorosła Althea nie przyjdzie; nie jest poczwarką zamkniętą w migoczącym złotym kokonie, czekającą, aż zastępy pracowitych aniołków stworzą dla niej idealne ciało i wypuszczą na świat bystrą Amazonkę. Oto ona – płaska jak deska, rozdrażniona i smutna, wystarczająco mądra, by wiedzieć, kiedy zachowuje się jak idiotka, ale zbyt głupia, by być bardziej rozgarnięta. Oto, z czym przyjdzie jej żyć. Gapi się na swoje zdjęcia, myśli o rodzicach i zastanawia się, czy jakiegokolwiek udawanie ze strony Gartha mogło sprawić, że wszystko potoczyłoby się inaczej.

* * *

Tego wieczoru Garth podaje kolację w kuchni i oboje z Altheą siedzą na taboretach przy blacie. Widoczny za drzwiami jadalni duży mahoniowy stół świeci pustką.

– Widziałem, że przestawiłaś samochód. Byłaś gdzieś? – pyta Garth.

– Wyskoczyłam na godzinę. – Nadziewa na widelec cebulkę perłową. *A teraz to zjedz*, myśli. Gapiąc się na własną rękę, próbuje siłą woli podnieść ją do ust, ale nie potrafi. Zamiast tego opuszcza głowę i ustami zgarnia ugotowane warzywo. *Teraz pogryź*.

Garth pospiesznie rozprawia się ze swoim stekiem. Kroi mięso na równe kawałki, odcina chrząstki i składa je na krawędzi porcelanowego talerza. Dopiero wówczas wkłada do ust pierwszy kęs i zaczyna delektować się smakiem.

– Chyba smakuje mi ta marynata.

Althea czeka, aż skończy.

– Opowiedz mi jeszcze raz o Kastorze i Polluksie – prosi.

Ze wszystkich starożytnych mitów ten lubi najbardziej. Kastor miał dar osvajania koni; Polluks był wytrawnym pięściarzem. Bliźniacy byli nierozłączni. Lord Macaulay napisał o nich w *The Lays of Ancient Rome*: „Byli do siebie tak podobni, że żaden śmiertelnik nie był w stanie ich odróżnić”. Osławieni poszukiwacze przygód, walczyli u boku Jazona i Argonautów. „Zwycięski powraca dowódca, który w godzinie walki miał u swego boku bliźniaczych braci”. Ostatecznie Kastor zginął w bitwie, a zrozpaczony Polluks oddał za brata swoją nieśmiertelność. Dobił targu z Zeusem. Od tej pory bracia się wymieniali – spędzali jeden dzień w krainie cieni i jeden wśród bogów. Garth kończy opowieść i sięga po stojącą w szafce nad zlewem butelkę szkockiej.

– To jak ostateczna rozgrywka w „co byś wolał” – mówi Althea, obserwując rytuał nalewania whisky na wysokość dwóch palców do szklanki wypełnionej określoną liczbą kostek lodu.

– Teraz już chyba wiemy, którym z bliźniaków byłabyś. – Garth uśmiecha się blado.

– Myślałam o tym, co powiedziałaś. O tym, że mogłabym odwiedzić mamę – mówi Althea.

Garth w milczeniu zakręca butelkę, chowa ją do szafki i z drinkiem w ręce staje na drugim końcu blatu.

– Niewiele ma to wspólnego z Grekami. Co sprawiło, że postanowiłaś zmienić zdanie?

– Kiedy wychodzę z domu, czuję się jak w jednym z tych filmów science-fiction, gdzie coś doprowadziło do zagłady ludzkości i, mam wrażenie, że tylko ja ocalałam. – Altheę zaskakuje jej własna szczerość, ale wyraz twarzy Gartha się nie zmienia; patrzy na nią, jakby siedzieli w jego gabinecie i rozmawiali jak student z wykładowcą.

Pociąga łyk szkockiej.

– Na jak długo zamierzasz wyjechać?

– Kilka dni. Pomyślałam, że mogłabym spędzić z nią Święto Dziękczynienia.

– Rozmawiałaś z nią o tym?

– Najpierw chciałam porozmawiać z tobą.

– To ty nie chciałaś siedzieć zamknięta z matką na pustyni. Jeśli zmiana scenerii brzmi zachęcająco, nie wiem, czy mogę mieć do ciebie pretensje. – Znosi talerze do zlewu i płucze je odwrócony do niej plecami.

Althei nie podoba się to, że musi go okłamywać i przekonywać, że naprawdę potrzebuje matki, ale to jedyny sposób.

– Chyba nie będzie gorzej, niż gdybym została tutaj.

Garth wyciera ręce w ścierkę do naczyń i podnosi wzrok, ale jego twarz nie zdradza żadnych emocji.

– Masz prawie osiemnaście lat, Altheo. Sama zdecyduj. Wszystko zależy od ciebie.

Ona ma jednak dowody, które zbierała miesiącami. Ma ochotę powiedzieć mu o skrzyni z zabawkami i rozsądnej wersji samej siebie, która jeszcze nie przyszła. Zamiast tego odsuwa taboret, zdziwiona, że wciąż potrafi utrzymać się na nogach.

– Chyba zacznę się pakować.

– Zaczekaj. – Głos Gartha zatrzymuje ją w progu. – Myślałem, żeby w przerwie zimowej pojechać do Meksyku i porobić badania. Mówisz, że nigdzie cię nie zabieram. Może tym razem pojechałabyś ze mną?

– Poważnie?

– Myślę, że zainteresują cię rytuały, w których składano ofiary z ludzi.

Porozmawiamy, kiedy wrócisz.

Althea mruga zaskoczona. Wylano ją ze szkoły, a w nagrodę dostaje wycieczkę do Meksyku; w głębi duszy podejrzewa jednak, że Garth nie chce zostawić jej samej.

– W porządku – mówi. – Ofiary z ludzi. Umowa stoi.

Rozdział 8

Oliver przeżywa trudne chwile.

Uczenie się w pokoju okazuje się niełatwe. Odsuwa na bok książki i wodzi palcami po zniszczonym blacie, szukając śladów wandalą, który myślał o czymś innym niż seks i czynności fizjologiczne. Na drewnianej powierzchni nie wydrapano ani jednego serca z zamkniętymi w środku inicjałami, ani jednego napisanego z błędem wyznania miłości. Nic, tylko opatrzone rysunkami deklaracje typu: „Pierdol się”, „Obciągnij mi” i inne, równie niewyszukane oświadczenia. Tęskni za swoim biurkiem, kołozem z okładek płyt polakierowanych przez Altheę na kawałku starej sklejki, i kozłem, którego ukradła z budowy.

Drzwi uchylają się i Kentucky zagląda do pokoju.

– Czas na terapię – oznajmia.

Oliver rzuca robotę i idzie do świetlicy, gdzie tradycyjne meble zsunięto pod ściany, a środek pomieszczenia zajął krąg plastikowych krzeseł.

Terapeuta się spóźnia. Chłopcy wiercą się na krzesłach. Kolejnych dwóch zapadło w sen. Zostało ich mniej więcej sześciu. Zniecierpliwieni gapią się na zegar, zerkają na siebie poirytowani, wszyscy poza Kentuckym, który przewidział sytuację i przyszedł z książką.

– Wygląda na to, że mamy tu tylko siedzieć i czekać – mruczy AK-47. – Mam dość czekania, aż zasnę, żeby mogli podłączyć mnie do aparatury i spróbować ustalić, co jest, kurwa, ze mną nie tak. Jak chcą nas uśpić, niech nam dadzą gorzały. To po niej miałem pierwszy atak. – Szuka wzrokiem kogoś, kto zachęci go do opowiedzenia swojej historii.

Tym kimś okazuje się New Jersey.

– Poważnie? – pyta.

– To był pierwszy raz, kiedy się nawaliłem. Naprawdę nawaliłem. Nie piwem. Wild Turkey. Starzy znaleźli mnie w łazience, owiniętego papierem toaletowym. Nie mogli mnie dobudzić. Myśleli, że to zatrucie alkoholowe. Zawieźli mnie do szpitala;

tam zrobili mi płukanie żołądka i takie tam. Tak przynajmniej mi powiedzieli. Nic, kurwa, nie pamiętam. Ale i tak się nie obudziłem.

– Kiedy zorientowali się, że to nie zatrucie alkoholowe? – pyta Kentucky.

– Tak naprawdę miałem zatrucie. To jeszcze bardziej skomplikowało sprawy. A później się obudziłem, tyle że tak naprawdę wcale się nie obudziłem – pozostali chłopcy kiwają ze zrozumieniem głowami – i wpadłem w szal. Zacząłem rzucać rzeczami, wyrwałem kroplówkę, wrzeszczałem na lekarzy. – AK-47 gryzie paznokcieć kciuka. – Była tam moja młodsza siostra. Naszczałem na podłogę i poszedłem z powrotem spać. W każdym razie uważam, że powinni nam dać kilka flaszek Wild Turkey. Zabawilibyśmy się i byłoby po sprawie.

W pokoju panuje cisza. Bez wątpienia każdy wyobraża sobie małą dziewczynkę, która przygląda się, jak jej starszy brat oddaje mocz na podłogę szpitalnego pokoju. Bez wątpienia każdy widzi to inaczej – ktoś myśli, że dziewczynka ma siedem lat, ktoś inny, że jedenaście, włosy ma zaplecione w warkoczyki albo rozpuszczone – ale efekt jest taki sam. Chociaż AK-47 ma czarne włosy, Oliver wyobraża sobie jego siostrę jako drobną blondyneczkę, która tuli do siebie pieska przytulankę i zaciska powieki, kiedy jej brat rozpina rozporek. Ich ojciec jest zbyt zdenerwowany, by wyprowadzić ją z pokoju.

– Często tak jest – mówi Kentucky. – Często pierwsze ataki snu wywołane są przez alkohol.

– I co z tego? Że to niby nasza wina? – rzuca AK-47. – Chcesz mi powiedzieć, że gdybym się nie urznął, tobym nie zachorował?

– Gówno prawda – komentuje inny chłopak. – Ja nic nie zrobiłem, a i tak zachorowałem. Na początku myślałem, że bierze mnie grypa.

– Ja w życiu się nie upiłem, a i tak tu jestem. Raz zwałem konia przy mojej matce – mówi Kentucky.

– Poważnie? – pyta Oliver.

– Nie żeby tak do końca. Ale na pewno go wyjąłem.

– Skąd wiesz? – pyta AK-47. – Chyba ci nie powiedziała?

– Lekarze poradzili jej, żeby prowadziła dziennik i zapisywała w nim wszystko, co się ze mną dzieje. Przeczytałem go, kiedy była w pracy.

– Pojebało cię? – krzyczy NJ. – Nie czyta się dzienników! Moja mama też taki prowadzi. Nigdy nie czytaj tego gówna!

– Myślisz, że teraz nie wiem? – wrzeszczy na niego Kentucky. – Po tym wszystkim nie mogę spojrzeć jej w oczy. Ale znalazłem go i nie mogłem przestać czytać.

– Przeczytałeś wszystko? – pyta Oliver. Nie ma pojęcia, czy Nicky prowadziła pamiętnik. Zresztą w domu jest taki bałagan, że i tak by go nie znalazł.

– Przeczytałem to gówno od deski do deski – mówi smętnie Kentucky. – Chryste, ale to było żenujące.

– Zrobiłeś coś gorszego niż walenie konia? – pyta AK-47.

– Nie wiem, zależy od tego, jak na to spojrzeć. Wolałbyś zwalić konia na oczach matki, czy nazwać ją grubą cipą?

– Grubą cipą – odpowiadają chórem pozostali.

– Wszedłem do domu sąsiadów, bo zjadłem czterolitrowe pudełko lodów i wciąż byłem głodny. Mało brakowało, a zarobiłbym kulkę. Po tym wszystkim starzy mieli mnie na oku. Za każdym razem, gdy lądowałem w szpitalu, – za każdym pieprzonym razem, – miałem problemy, bo obmacywałem pielęgniarki. – Kentucky kręci głową. – To takie, kurwa, upokarzające.

Terapia grupowa nawet się jeszcze nie zaczęła, a Oliver już czuje się jak zakładnik.

– Moja dziewczyna mnie rzuciła – podejmuje temat NJ. – Przyszła pewnego dnia, kiedy byłem chory, a kiedy się obudziłem, w ogóle nie chciała ze mną gadać. Nadal nie wiem, co takiego jej zrobiłem. Próbowalem też przelecieć żaluzje w pokoju gościnnym. Brat mi o tym powiedział.

Oliver się poci, serce wali mu jak oszalałe. Stopa mu drży, więc przyciąga ją do krzesła i przytrzymuje rękami.

– Niekontrolowane *id* – mruczy pod nosem.

– Co tam mamrocześ, NC? – pyta Kentucky.

– Coś, co powiedziała mi przyjaciółka. O tym, jak się zachowuję. Kiedy jestem chory. Tracę kontrolę nad swoim *id*.

– Co to znaczy? – pyta NJ.

– To znaczy, że puszczają ci wszelkie hamulce – tłumaczy mu Kentucky. – Tracisz nad sobą kontrolę. Bo o to chodzi, prawda? Jeśli wszystkie nastolatki chcą jedynie

jeść, spać i walić konia, to może kiedy śpimy, jesteśmy sobą, tyle że milion razy bardziej?

AK spogląda na Olivera.

– A ty, NC? Wszedłeś w środku nocy do domu sąsiadów i splądrowałeś im lodówkę?

Chłopak, który przyjął pseudonim AK-47, nie jest kimś, komu Oliver chciałby się zwierzać ze swoich uczuć i opowiadać o utraconej niewinności.

– Niezupełnie – odpowiada.

– Daj spokój, załóżę się, że tobie też przydarzyło się coś porąbanego. Wystarczy na ciebie spojrzeć.

Oliver wierci się na krześle.

– Był taki incydent w Waffle House, ale wolałbym nie zagłębiać się w szczegóły. – Przypomina sobie rozmowę z doktorem Curlsem. – Macie czasem uczucie takiej... beznadziei?

– Ja przestałem na cokolwiek czekać – odzywa się kolejny chłopak. – Bo nie wiem, czy przypadkiem tego nie prześpię. Święta, imprezy. Słyszę o filmie, który chciałbym zobaczyć, i od razu sprowadzam się na ziemię, bo jeśli zachoruję, na pewno go nie zobaczę. Wszystko teraz stoi pod znakiem zapytania. Nie mam na nic wpływu.

– Mój najlepszy przyjaciel mówi mi, żebym spojrział na to z innej strony. Jak ktoś, kto żyje chwilą – wtrąca AK-47. – Mówi, że powinienem się z tym pogodzić.

– Nie wiem, jak to ma pomóc mi dostać się do college'u – rzuca Oliver.

– Nie – oznajmia NJ. – Nie pogodzę się z tym gównem.

– Poważnie – dodaje Kentucky. – Nie jesteśmy na spotkaniu anonimowych alkoholików. Nie będę recytował modlitwy o spokój. Jestem tu, żeby to zakończyć.

W końcu pojawia się terapeuta, łysiejący mężczyzna w czarnych dżinsach i kowbojkach. Siada na krześle, kładzie ręce na kolanach i przygląda się grupie.

– Co słyhać? – pyta, jednak nikt się nie odzywa. – Kto chciałby zacząć?

Chłopcy patrzą jeden na drugiego i w milczeniu zwierają szeregi.

– Może ty, Oliverze?

Poirytowany, że go wybrano, Oliver krzyżuje ręce i wzrusza ramionami.

– Nie mam nic do powiedzenia – mówi.

* * *

Sesja kończy się po wyjątkowo niezręcznej godzinie. Chwilę po wyjściu terapeuty na świetlicę wkracza Stella ubrana w termoaktywną koszulkę z długim rękawem i czarny fartuch w różowe gitary; w dłoni trzyma notatnik. Zamiast ustawić swoich podopiecznych pod ścianą, podchodzi do każdego z nich i z godną podziwu wprawą wymienia plastikowe nakładki na cyfrowym termometrze. Na końcu podchodzi do Olivera. Sprężysty kosmyk włosów spada jej na czoło i Oliver z trudem powstrzymuje chęć, by wziąć go w palce, rozprostować i zobaczyć, jak się skręca.

– Cześć, przystojniaku – szepcze Stella. – Jak leci?

– W porządku.

– Dalej tęsknisz za domem?

– Nie bardzo.

Stella mierzy mu temperaturę.

– Założę się, że tęsknisz za swoją dziewczyną.

– Nie mam dziewczyny. – Z termometrem w uchu jego głos wydaje się dziwnie płytki i daleki.

Słyszając piknięcie, kobieta wyjmuje termometr. Jej uśmiech gaśnie, gdy odczytuje wynik.

– O co chodzi? – pyta Oliver.

– Trzydzieści siedem i osiem.

Do głowy by mu nie przyszło, że będzie się cieszył perspektywą kolejnego ataku, ale tak właśnie jest. Althea porównała jego chorobę do wehikułu czasu, który zabierze go w przyszłość, i pomysł ten podoba mu się jak nigdy dotąd. Niech KLS przeniesie go trzy tygodnie albo nawet miesiąc do przodu, ale jeśli dzięki temu wydostanie się z tego koszmarne go pokoju... cóż, nie będzie narzekał.

– Chyba powinienem się zbierać.

– Wyjdiesz tak po prostu i zostawisz mnie z nimi wszystkimi?

– Wybacz, Stello, ale po to tu jestem.

– Wygląda na to, że będę musiała wybrać nowego pupilka.

Oliver zastanawia się, czy tak właśnie zrobiła Althea.

– Raczej trudno będzie znaleźć kogoś takiego jak ja – mówi.

– Jestem pewna, że mi się uda. Pozwól, że cię o coś zapytam. Czy tam, skąd pochodzisz, wszyscy chłopcy są tacy słodcy i mili?

– Nie. Tylko ja. – Jest pewien, że jego uśmiech wygląda teraz głupkowato.

– W takim razie zaczekaj jeszcze dzień albo dwa.

– Postaram się – odpowiada Oliver i specjalnie dla niej czeka.

Rozdział 9

Althea miała rację. Okłamuje wszystkich dookoła. Plan był prosty. Powie Garthowi, że na Święto Dziękczynienia jedzie do Nowego Meksyku, a zamiast tego pojedzie na wybrzeże, do Nowego Jorku. Odnajdzie Olivera, przeprosi go i może pójdzie do muzeum zobaczyć dinozaury. Potem wróci do Wilmington, zda egzaminy, będzie unikała Coby'ego, przez tydzień albo dwa poszwenda się z Garthem po jakichś starożytnych świątyniach, a kiedy Oliver wróci ze szpitala, wszystko, mniej więcej, wróci do normy.

Wrzuca do starego plecaka szkicownik, ubrania, przybory toaletowe i kasety, które latem nagrali dla niej Valerie i Miętus – składanki Riot Grrrl od Val, fatalnie zmiksowaną kopię Tartar Control, własne zniszczone kopie *Enter: The Conquering Chicken* zespołu The Gits, *Still in Hollywood* Concrete Blonde, *Copper Blue* Sugar i kasetę *Doolittle*, którą pożyczyła od Olivera i nigdy mu nie oddała. Na koniec zwija starą kołdrę i mociuje ją do plecaka jak śpiwór. Zużywa pół bochenka chleba i wykorzystuje całą zawartość lodówki, żeby zrobić kanapki – serek śmietankowy i marmoladę, pieczonego kurczaka, suszone żurawiny i rukolę; nawet purée ziemniaczane z czosnkiem zostaje rozsmarowane na kromkach z ziarnami siedmiu zbóż i owinięte folią aluminiową. Z dna szuflady ze skarpetami wyjmuje stos starych kart urodzinowych od matki i pieniądze, które leżały nietknięte przez ostatnie dwanaście lat, choć raz wdzięczna sobie za to, że tak długo żywiła do Alice urazę. Chowa pieniądze, około dwustu dolarów, do prującego się płóciennego portfela, razem z kartą telefoniczną i pieniędzmi na paliwo, które Garth zostawił na kuchennym stole. Wjeżdża toyotą na myjnię i rusza w drogę.

Jest kolejny piękny jesienny dzień w Karolinie Północnej, na niebie nie ma ani jednej chmury, a w powietrzu wyczuwa się delikatny chłód. Wyjeżdżając na I-40, Althea słucha kojącego szumu opon na asfalcie; drzewa i słupy telefoniczne rozmazują się za oknem.

Podgłaśnia muzykę i śpiewa do wtóru The Gits, próbując wypełnić wnętrze

samochoodu swoim głosem i brzęczeniem elektrycznych gitar, spotęgowanym wspomnieniami o pigułkach Olivera. Mija godzina, a po niej następna i jeszcze jedna. Dopiero gdzieś na terenie Virginii zjeżdża na pobocze i siada przy stoliku piknikowym. Je czarną fasolę, kanapkę i zapija wszystko ciepłym napojem gazowanym. Zawartość puszki smakuje jak wnętrze samochodu. Kilka stóp od drewnianego stołu stoi metalowy kosz na śmieci i Althea celuje w niego, ale nie trafia. Puszka spada na ziemię i toczy się z powrotem; resztki napoju z cichym sykiem wylewają się na trawę.

Jeśli fenomen jazdy samochodem polega na tym, że – podobnie jak alkohol i koncerty punkowe – wyłącza mózg Althei, należy się spodziewać, że efekt ten minie po mniej więcej sześciu godzinach, a wówczas dopadnie ją nuda. Przegląda kanapki, robi z folii aluminiowej kwiaty i rzuca je na siedzenie obok – siedzenie Olivera, tak je nazywa – które powoli zapełnia się śmieciami. Nie spodziewała się tego, nie sądziła, że będzie się nudzić, bo z nawyku wyobrażała sobie, że w podróży będzie z nią Oliver, który zapewni jej rozrywkę. Jak zawsze, gdy jest znudzona, jej umysł zaczyna pracować jak diabelski młyn, pełen przygnębiających wspomnień i niechcianych myśli, które piętrzą się, mimo iż próbuje się ich pozbyć. Stojąc w korku na I-95, daje za wygraną i pozwala, by korowód wspomnień paradował przed jej oczami przy dźwiękach *100 Games of Solitaire* w zadymionym samochodzie.

W zimowy poranek zobaczyła stare walizki matki stojące na werandzie. Ktoś, kto przeprowadzał się równie często jak Alice, mógł się postarać o bardziej praktyczny bagaż, walizki na kółkach i pokrowce na ubrania, ale nie, ona obstawała przy kufrach i walizkach. W ciągu następnego tygodnia Althea pierwszy i ostatni raz widziała, jak Garth wychodzi z domu nieogolony i w niewypastowanych butach. Niedługo potem na tej samej werandzie pojawił się Oliver, rumiany dzieciak w ogrodniczkach, a zakłopotana Nicky poprosiła Gartha, którego ledwie знаła, żeby zaopiekował się nim przez kilka godzin.

Wspomnienia dotyczące Althei i Olivera, które – jedno po drugim – stają jej przed oczami, wcale nie są szczęśliwe. Pamięta dzień, w którym mimo protestów Olivera zamknęła go w szafie, Halloween, gdy podstępem nakłoniła go, żeby oddał jej swoje cukierki albo jak dręczyła go, żeby napisał za nią wypracowanie. No i tamto letnie popołudnie z Oliverem-Grubą Myszą, ich kłótnię po koncercie w Lucky's. I wtedy

pojawia się Coby – fatalna w skutkach noc przy tequili, gra w wojnę i seks; a chwilę później wydarzenia ze szkolnego korytarza, kiedy dała wszystkim – wszystkim – niezbity dowód, że do nich nie pasuje. Gdyby tylko chciała, mogłaby to odkręcić; przekonać ich, że po odejściu Alice coś w niej pękło, że obojętność Gartha wcale jej nie pomogła, a Coby zasłużył sobie na to, co go spotkało, wymawiając pięć słów, które będą prześladowały ją do końca życia – „A tak przy okazji, krwawisz”. Ale nie może tego zrobić; nie może spojrzeć na to w ten sposób.

Zastanawia się, co powie Oliverowi, kiedy dotrze na miejsce. Próbuje przygotować przemówienie, ale bez skutku. Tak naprawdę ma mu do powiedzenia wyłącznie jedno. Przepraszam.

* * *

– Czy kiedykolwiek cię zwyzywałem, kiedy spałem? – Oliver pyta Nicky, gdy tego wieczoru rozmawiają przez telefon.

– To znaczy? – Nicky głośno wydycha dym do słuchawki.

– No... czy powiedziałem coś naprawdę przykrego? Coś, co normalnie nie przeszłoby mi przez usta?

– Gdybyś miał się tego wstydzić, nie powiedziałabym ci. Zresztą, po co w ogóle się tym martwisz? – Oliver słyszy przejeżdżający samochód, a więc Nicky siedzi na werandzie.

– Tak tylko się zastanawiam. – Pustym korytarzem sanitariusz pcha wiadro na kółkach, w jego słuchawkach rozbrzmiewa salsa.

– Niech zgadnę – mówi Nicky. – Siedziałeś z chłopakami, a oni zaczęli opowiadać niestworzone historie, więc nie możesz przestać myśleć, co mogłeś albo czego nie mogłeś zrobić...

– Coś w tym stylu.

– Ol, nie chcę wyjść na pieprzonego zgreda, ale kiedy przestaniesz przejmować się tym, czego nie jesteś w stanie kontrolować, a zaczniesz myśleć o tym, nad czym masz kontrolę?

Oliver kilka razy uderza słuchawką w głowę i myśli: *A gdybym tak obluzował*

zepsutą część i wytrząsnął ją przez ucho?

– Co u ciebie? – pyta. – Zaprzyjaźniłaś się już z panią Parker?

– Mam randkę w ten weekend.

– Z panią Parker?

– Nie, głuptasie. Z koleśkiem ze spa.

– Powiedziałaś mu, że masz nastoletniego syna? Założę się, że facet będzie w szoku.

– To dziwne, kiedy ludzie mówią „mam nastoletniego syna” – stwierdza filozoficznie Nicky. – To tak jakby mówili „mam ferrari” albo „mam pierwsze wydanie *Wielkiego Gatsby’ego*”. Nie jesteś moją własnością, Ol. Urodziłam cię i mogę mieć nadzieję, że zaopiekujesz się mną na starość.

– Przy pierwszej lepszej okazji oddam cię do domu starców.

– Jakie to słodkie.

– Posłuchaj, coś się kroi. Temperatura podskoczyła mi do trzydziestu ośmiu stopni i kolana bolą mnie jak cholera. Chciałem, żebyś wiedziała, że chyba długo sobie nie pogadamy.

– Będiesz zły, jak się obudzisz i okaże się, że mam chłopaka?

– Tylko jeśli będzie pieprzonym instruktorem jogi. Albo jednym z tych świrów od reiki.

– To nie kolega z pracy, tylko klient.

– Nie cierpię, kiedy nazywasz ich klientami. Zupełnie jakbyś była dziewczyną do towarzystwa. – Oliver nie potrafi wyobrazić sobie Nicky na kolacji z kimś, kto regularnie odwiedza spa. Tak rzadko chodzi na randki, że w ogóle trudno wyobrazić ją sobie z mężczyzną. Może facet jest atletą, podstarzałym miotaczem z Minor League, który potrzebuje utalentowanej masażystki, żeby zajęła się jego ramionami, albo strażakiem, który po latach wynoszenia ludzi z płonących domów nabawił się bólu pleców. *Proszę, niech to będzie bohater*, myśli Oliver. *Niech to będzie ktoś, kto kocha to, co robi. Nie żaden pieprzony palant. Niech to nie będzie koleś, który regularnie odwiedza lekarza na płukanie okrzężnicy.*

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Kiedy zamierzasz...

– Kiedy nauczę się to rozróżniać.

* * *

Jest po północy, kiedy Althea w końcu przejeżdża przez most Jerzego Waszyngtona. Wyciąga szyję, żeby rzucić okiem na miasto, dla którego pokonała tak długą drogę, i oto jest: rozciąga się przed nią niczym pas do lądowania. Linia nieba, pamiętana z filmów i fotografii, jest tuż za oknem, a budynki znajdują się na wyciągnięcie ręki. Oto miasto, o którym opowiadała Nicky, miejsce, w którym zaczynały się wszystkie jej opowieści. Światła stopu jadących przed nią samochodów zlewają się w lśniąca czerwienią nić, rozpiętą na całej długości wschodniego Manhattanu. Otwierając okno, Althea wpuszcza do wnętrza samochodu delikatny listopadowy wiatr, który przegania zmęczenie i napełnia ją euforycznym optymizmem. To się musi udać; po prostu musi. Przeprosi Olivera, a on powie, że nie chciał, żeby tak wyszło. Zapomną o całej sprawie i wszystko wróci do normy, bo musi. Bo dłużej tak być nie może.

* * *

Rano, gdy Oliver wyskubuje z włosów klej do elektrod, ktoś puka do drzwi.

– Taa?

To Kentucky, żałosny w swojej bejsbolówce Browning i spodniach od pizamy koloru khaki.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiada Oliver.

– Myślałem, że miałeś atak, ale jedna z pielęgniarek powiedziała, że wciąż nie śpisz.

– Nie wiem jak długo. – Ramiona Olivera są ciężkie jak z ołowiu.

Kentucky wygląda na rozczarowanego.

– Poważnie?

– Tak.

– W takim razie mam nadzieję, że będę następny. Mam dość tych pieprzonych goryli, gadających bzdury i nalewających się z naszego akcentu.

– To oni gadają z dziwnym akcentem.

Kentucky się uśmiecha.

– New Jersey odpadł. Słyszałam, że śpiewa piosenkę z *Małej Syrenki* za każdym razem, gdy idzie się odlać.

Śmiejąc się, Oliver wciąż czuje ból w miejscu, gdzie opaska uciskała mu pierś.

– Żartujesz.

– Mówię poważnie.

– Którą piosenkę?

– Stella nie mówiła.

– Tak powinna wyglądać nasza rozrywka. Pieprzyć telewizję. Powinniśmy stać przed pokojem New Jersey i czekać, aż usłyszymy refren z *Na morza dnie* – mówi Oliver.

– Ja stawiam na *Naprawdę chcę*. – Kentucky wchodzi do pokoju i siada przy biurku.

Może tak właśnie jest w college’u – koleś przechodzą z pokoju do pokoju w klapkach i piżamach, szukając towarzystwa w istnym morzu kretynów.

– Szybko załapałeś, o co chodzi z „niekontrolowanym *id*”. Czytasz Freuda?

– Kiedy dowiadujesz się, że waliłeś konia w obecności matki, zaczynasz interesować się Freudem. – Kentucky obraca się na krześle.

Oliver odrywa ze skroni kolejny płatek kleju. Oto czego powinien używać Miętus, nie pasty do zębów.

– Po co tu przyszedłeś? – pyta.

– Nudziłem się. No i chciałem powiedzieć ci o *Małej Syrence*. Szkoda, że nie masz tu lotek czy czegoś takiego.

– Miałem na myśli Nowy Jork. I te badania.

Kentucky wrywa kartkę z kołnotatnika Olivera. Zagina nierówny koniec, dociska go paznokciem, rozkłada kartkę i oddziera go.

– Mówią, że jesteśmy chorzy, tak? Chorzy ludzie trafiają do szpitala. – Po raz kolejny składa papier. – Poza tym napędziłem swoim starym niezłego stracha. Tamtej nocy, w kuchni sąsiadów... moja mama miała dość. A ty? Myślałeś, że jak tu przyjedziesz, to cię naprawią? Zrobią z ciebie normalnego dzieciaka?

– Chyba tak – przyznaje Oliver.

– Do głowy mi to nie przyszło. Mam piętnaście lat. Istnieje porąbana wersja mnie

i druga, mniej porąbana. Uwierz mi, gdyby weszli tu jutro i powiedzieli, że zostałeś wyleczony, to i tak nie rozwiąże wszystkich twoich problemów.

– To, co powiedziałaś, że jesteśmy sobą, tyle że milion razy bardziej. Naprawdę tak myślisz? – pyta Oliver.

Patrząc na wydrapane w blacie wulgaryzmy, Kentucky zastanawia się nad odpowiedzią i poprawia daszek czapeczki.

– Freud pewnie powiedziałby „tak”. A ja? Nie jestem pewien. Ale czasami myślę, że nie pamiętamy z jakiegoś powodu. Że nasze popaprane mózgi okazują nam litość. Chociaż audycja nadal jest na antenie, my przestajemy nagrywać. Oszczędza się nam wspomnień, więc nie będziemy w stanie ich odtworzyć.

Kentucky stawia na biurku papierową żabę. Przyciska do blatu jej tylne nogi, a gdy puszcza, żaba skacze.

– Znasz jakichś alkoholików?

Oliver od razu myśli o Cobym.

– Jeszcze nie – odpowiada.

– Mówią, że łatwo jest wytrzeźwieć.

– Znasz wielu alkoholików? – pyta Oliver.

– Mieszkam w okręgu, gdzie sprzedaż alkoholu jest zakazana, ale tak.

– Mówią tak zanim czy po tym, jak wytrzeźwieją?

– Zwykle przed tym, zanim znowu zaczynają pić. – Kentucky mówi to znużonym głosem, jakby powtarzał coś, co wielokrotnie słyszał na własne uszy.

Oliver wygina lampkę to w jedną, to w drugą stronę.

– A co, jeśli wydarzy się coś, co chciałbyś zapamiętać? I wydarzy się to wtedy, kiedy nie nagrywasz?

– Na przykład co? – pyta Kentucky.

– Na przykład coś, co zdarza się tylko raz.

– Nie rozumiem.

– Nieważne. – Oliver wstaje. – Chodź do świetlicy.

– Coś, co zdarza się tylko raz? Jak ospa wietrzna? – Kentucky nie daje za wygraną.

– Nieważne – powtarza Oliver, unikając jego wzroku.

Nagle twarz Kentucky’ego oblewa się rumieńcem.

– Serio? – pyta.

– Serio – odpowiada Oliver, siadając na łóżku.

– Straciłeś...

– Taa.

– Jak?

Oliver przygryza wewnętrzną stronę policzka.

– Mam przyjaciółkę. Przyjaźnimy się, odkąd byliśmy dziećmi. Dorastała na tym samym osiedlu. – Waha się. – Sam właściwie nie wiem, jak to się stało.

– Chyba jej nie... – Kentucky nie potrafi nawet dokończyć myśli. – Prawda?

Oliver kręci głową.

– Nie, nie, nic w tym stylu. Chciała tego; chciała tego od dawna. A kiedy się obudziłem, o niczym mi nie powiedziała. Ukrywała to przede mną przez kilka miesięcy.

– Nie rozumiem. – Kentucky jest wyraźnie skonsternowany.

– Czego nie rozumiesz?

– Jest brzydka czy co?

– Pieprz się, jest piękna.

– Posłuchaj, wyciągnąłem fujarę w obecności swojej matki. Młodsza siostra Alaski latami będzie chodziła do psychoterapeuty. New Jersey stracił dziewczynę i sam nie wie dlaczego. Tego nie da się odkręcić. A ty narzekasz, że przespałeś się z dziewczyną.

– Ale to było tak, jakby mnie tam nie było.

Poirytowany Kentucky zrywa się na równe nogi i wskazuje na drzwi.

– New Jersey próbował wydymać żaluzje! Ty przeleciałeś swoją piękną przyjaciółkę! Co ty tu w ogóle robisz, człowieku? Znajdź tę dziewczynę i idź z nią do łóżka! Teraz wszystko zapamiętasz! – Kręci głową. – Chryste, NC, powinieneś opowiedzieć swoją historię zaraz, jak tu trafiłeś. Pilot byłby twój.

– Nie chcę opowiadać żadnych historii! – krzyczy Oliver. – Chcę odzyskać swoje pieprzone życie! Przespałem się z nią i nie mam pojęcia, jak było. Nie wiem nawet, jak się zachowywałem.

– Boisz się, że byłeś kiepski?

– Nie o tym mówię. Chodzi o to... Dlaczego nikt nie potrafi tego zrozumieć? Pierwszy raz powinien odmienić twoje życie, podzielić je na to „przed” i „po”. A ja

zamiast tego znalazłem się w jakimś dziwnym stanie zawieszenia. Kiedyś czułem się, jakbym nie nadążał za przyjaciółmi. Mam atak, czas się dla mnie zatrzymuje, a oni idą do przodu. Teraz mam wrażenie, że zostałem w tyle za samym sobą. I jak mam to nadrobić? To już nigdy nie będzie mój pierwszy raz. Nie z nią. – Kentucky jest wyraźnie zelektryzowany opowieścią, jednak Oliver wydaje się wykończony. Kładzie się na szpitalnym łóżku i zakrywa twarz przedramieniem. – Przystajemy nagrywać, ale nie włączamy pauzy i nie mamy możliwości przewijania.

Kentucky sprawia, że papierowa żaba skacze po blacie biurka.

– Co na to wszystko twoja dziewczyna?

– Nie jest moją dziewczyną. Nawet ze sobą nie rozmawiamy. Byłem tak wściekły, kiedy się o tym dowiedziałem, że dałem sobie z nią spokój.

– Wściekłeś się na nią? Za co?

– Sam już nie wiem – tłumaczy Oliver. Zmęczenie spada na niego niczym białe prześcieradło; czuje je na twarzy i kolanach, a chwilę później na całym ciele.

– Posłuchaj, rozumiem cię. Też bym się wkurzył, gdybym nie pamiętał swojego pierwszego razu. Nie to, żebym miał go już za sobą. Wiesz, o co mi chodzi. Ale słyszałeś historie chłopaków. Nie wydaje ci się, że mogłeś ją do tego zmusić? Skoro tak bardzo tego chciała i skoro w końcu zrobiłeś ten pierwszy ruch, może po prostu, sam nie wiem, nie mogła się powstrzymać.

– Ja mogę zwalić wszystko na KLS. Ona nie ma usprawiedliwienia dla swojego braku kontroli.

– Jak ma na imię?

– Althea.

Kentucky kręci głową.

– Masz piękną dziewczynę o imieniu Althea, która jest w tobie zakochana, a ty siedzisz tu i gadasz z kimś takim jak ja. Też bym się wkurzył.

Do pokoju wchodzi Stella, wymachując termometrem. Kiedy pochyła się, żeby zbadać węzły chłonne Olivera, jej usta i włosy pachną dymem papierosowym.

– Jak się czujesz?

– Chyba już czas.

– W takim razie przygotujmy cię. – Spogląda na Kentucky'ego. – Będziesz tak miły

i zostawisz nas samych?

– Mogę najpierw o coś zapytać?

– Jasne.

Kentucky spogląda z powagą na pielęgniarkę, a gdy ta odwzajemnia jego spojrzenie, Oliver uświadamia sobie dzielącą ich różnicę wieku. Ta kobieta młodsze lata ma już za sobą i znalazła się po drugiej stronie. Gdyby jakimś cudem przeskoczył dziesięć lat do przodu, zobaczyłby, że tak samo jest z nim; że przemierzył nieznane terytorium pomiędzy „teraz” i „wtedy”, tak jak rozstał się z przeszłością – w kiepskim stylu, chaotycznie, niezdarnie i z uporem. Być może KLS sprawia, że ma luki w pamięci, ale z najtrudniejszymi rzeczami będzie musiał uporać się sam. Ta świadomość sprawia, że czuje się jeszcze bardziej zmęczony.

– Mówią pani, jaki kolor fartucha ma pani nosić? – pyta Kentucky. – Czy sama pani wybiera?

* * *

Althea stoi przed szpitalem, paląc papierosa, i zastanawia się, co powie. Szyja boli ją od spania w samochodzie. W połowie papierosa ma już ochotę na kolejnego i wie, że nawet gdyby stała tak cały dzień, nie będzie gotowa wejść do szpitala. Gdzieś tam jest Oliver; wystarczy wsiąść do windy. Przejść przez obrotowe drzwi, wyłożony marmurem hol, znaleźć w tym ogromnym budynku jego pokój i rzucić jakąś dziwaczną uwagę na temat nowojorskiej pogody. To powinno wystarczyć. Ekstrawagancka uwaga na temat pogody i szeroki uśmiech. Tak. A może Oliver będzie tak zaskoczony jej poświęceniem – bo przejechała taki szmat drogi, żeby go przeprosić – że z miejsca jej wybaczy.

Dwie kobiety wychodzą przez obrotowe drzwi i chichocząc, oglądają się przez ramię. Jedna z nich ciągnie za sobą stojak do kroplówki; na nadgarstku ma szpitalną bransoletkę. Jej koleżanka ujmuje ją pod ramię i odciąga od wejścia. Pacjentka wygląda na kilka lat starszą od swojej towarzyszki, a ta na kilka lat starszą od Althei. Są wyraźnie rozbawione i podekscytowane ucieczką. Przyjaciółka ma różowe włosy i kolczyk w nosie; pacjentka obcięte na pazia, zadbane włosy.

Różowowłosa wyciąga papierosy i częstuje przyjaciółkę.

– Ty odpal – mówi pacjentka. – Zawsze smakują lepiej, kiedy ty je odpalasz.

Różowowłosa spełnia jej prośbę i chwilę później stoją w kłębach dymu, zaciągając się z lubością.

– Musimy pozbyć się mojej matki. – Pacjentka gestykuje wolną ręką. – Trzeba ją spławić.

– Napędza lekarzom niezłego stracha – mówi Różowowłosa. – Dziwne, bo mnie jej obecność uspokaja.

– Jak alarm samochodowy. Musisz coś z tym zrobić. Ona musi stąd iść.

– Trzeba znaleźć jej zajęcie. Przekonać ją, że musi coś zrobić. Że przyda się gdzieś indziej.

– Powiemy jej, że trzeba wyprowadzić psy? Damy jej klucze do mojego mieszkania?

Różowowłosa wzdraga się na samą myśl.

– Twoja matka ma na sobie garsonkę od Donny Karan, a ja stoję tu ubrana jak dziecko ulicy. Która z nas ma większe szanse na zbieranie psich kup w East Village?

Pacjentka otwiera szeroko oczy.

– Już wiem – mówi. – Wyślemy ją do mojego mieszkania po ubrania dla mnie. Poproszę, żeby przywiozła mi trochę ciuchów.

– Tak. – Różowowłosa kiwa ochoczo głową i wskazuje przyjaciółkę żarzącym się papierosem. – Ale musisz się uprzeć, żeby przywiozła ci coś, czego nie będzie mogła znaleźć. Coś, co jest u mnie w mieszkaniu.

Althea słucha z zazdrością, jak dziewczyny knują intrygę. Nie wyglądają na bratnie dusze. Zastanawia się, jak na siebie trafiły. Nicky opowiadała jej, jak wpadła na ojca Olivera – na dość kiepskiej imprezie u znajomego – ale Althea uwielbia opowieść o jej przyjaźni z Sarah, o tym, jak mieszkały na tym samym piętrze i tygodniami się sobie przyglądały. Uwielbia słuchać, jak się do siebie uśmiechały, jak mówiły sobie „cześć” i wymieniały uprzejmości przy skrzynkach na listy, jak ich rozmowy stawały się coraz dłuższe, aż w końcu Nicky zebrała się na odwagę i zaprosiła Sarah na kolację. Nazywała to „strzałem w ciemno”. Do późna w nocy siedziały na drabince pożarowej z butelką wina, słuchając miauczenia kotów na podwórzu

i pornograficznego duetu sąsiadów z góry. Według Nicky już przed wschodem słońca wiedziała, że to jest to. Wiedziała, że do końca życia będą przyjaciółkami.

– Jesteś pewna? – pyta Różowowłosa. – Na pewno nie chcesz, żeby tu została? Ona naprawdę chce tu być.

Jej przyjaciółka podnosi rękę z przypiętą kroplówką.

– Widzisz to? – odpowiada pytaniem. – To przebija twoje sumienie. Tak długo, jak długo wlokę za sobą to coś, masz robić, co chcę.

– A ty chcesz podstępem nakłonić matkę, żeby jechała do twojego mieszkania?

– Na kilka godzin. Tak. Tego właśnie chcę.

– Twoje życzenie jest dla mnie i tak dalej, i tak dalej – mówi Różowowłosa.

Mając gotowy plan, zaciska dłoń na stojaku kroplówki i prowadzi przyjaciółkę z powrotem do wejścia. Althea odprowadza je wzrokiem.

– Ta dziewczyna wyglądała na smutną, nie sądzisz? – Podmuch wiatru sprawia, że szept Różowowłosej dociera do uszu Althei.

Jej towarzyszka wzrusza ramionami, plastikowa bransoletka zsuwa się w dół jej nadgarstka.

– To szpital – mówi. – Czego się spodziewasz?

Przechodzą przez obrotowe drzwi i znikają w holu, do którego Althea próbuje wejść od dwóch godzin. Wyobrażając sobie, że podąża ich śladem, przeciska się przez drzwi, zanim się zatrzymają, i pod wpływem chwili wchodzi do szpitala.

* * *

Jeśli Oliver kiedykolwiek fantazjował o pójściu do łóżka ze Stellą, nie tak to sobie wyobrażał. Kobieta czeka na zewnątrz, podczas gdy on zakłada piżamę – stare spodnie dresowe, które przerobił na szorty, i ulubioną koszulkę z Johnnym Cashem. Wszystko go boli, kostki u nóg, nadgarstki, nawet kark; głowę ma ciepłą i ciężką. Kładąc się do łóżka, sądzi, że poczuje wdzięczność, ale niespodziewanie jego zmęczenie miesza się z niepokojem. Po raz pierwszy odkąd tu przyjechał, uświadamia sobie, że świat zewnętrzny nie zatrzyma się tylko dlatego, że on wylądował w szpitalu. Nicky żartowała, że kiedy się obudzi, ona będzie miała chłopaka i nagle dociera do niego, że

to całkiem prawdopodobne. Co jeszcze może się wydarzyć?

Stella puka do drzwi.

– Gotowy?

– Chyba tak.

Wchodzi i staje przy łóżku.

– Nie bądź taki smutny.

– Mam nadzieję, że to nie był zły pomysł.

– Ćśśś.

– Nie uciszaj mnie – rzuca odruchowo Oliver, ale Stella nie wie, co powinna powiedzieć w takiej sytuacji. Próbuje dać jej wskazówkę. – Powinnaś powiedzieć... –

Reszta jego słów to niezrozumiały, senny bełkot. On jednak słyszy je głośno i wyraźnie. *Uwielbiasz, kiedy cię uciszam.* – Kurwa.

– Mam powiedzieć „kurwa”? – pyta Stella.

Nagle Oliver przerażony zrywa się z łóżka.

– To był zły pomysł. Po co tu przyjechałem?

– Po to, żebyśmy mogli ci pomóc. Uspokój się, dobrze? Jestem tu po to, żeby ci pomóc.

– Nie wiem, dlaczego jestem taki zdenerwowany. – Głos mu się trzęsie.

– Już dobrze. – Stella poprawia poduszki i je ubija. – Połóż się.

Jeśli powie choćby jedno słowo, rozplacze się. Posłusznie kładzie głowę na poduszce.

W nagrodę Stella zaczyna śpiewać. Jej schrypnięty, drżący głos pełen jest ciepła i słodczy, w sam raz do smutnej piosenki, którą wybrała. Oliver zamyka oczy, kiedy po raz kolejny przyciska mu do skroni lepkie elektrody i podłącza go do aparatury. Smutek wypełnia mu pierś, która napina się pod gumową opaską.

Na wpół przytomny Oliver wyczuwa grację, z jaką Stella porusza się po pokoju. Jednak pod powiekami pojawia się obraz Althei, szczęśliwej, umazanej wiśniową galaretką, jadącej autostradą z łokciem opartym o opuszczoną szybę i drugą ręką na kierownicy. Pamięta czasy, gdy do szczęścia wystarczała jej przejażdżka samochodem albo dzień na plaży, i chciałby podarować jej kolejne dziesięć lat dni takich jak te, kiedy była szczęśliwa, mając go obok siebie na siedzeniu pasażera, a w perspektywie

dwanaście godzin, które mogli spędzić, jak tylko chcieli.

Nagle myśl, że Stella może zobaczyć go w trakcie kolejnego ataku snu, że nieświadomie zacznie ją obmacywać, powie coś obraźliwego albo na jej oczach załatwi się na podłogę, wydaje się nie do zniesienia. Wolałby wrócić do Wilmington niż ryzykować, że straci w jej oczach i kolejna osoba zmieni zdanie na jego temat. Kiedy piosenka dobiega końca, Oliver z trudem otwiera oko.

– Zaopiekujesz się Kentuckym, kiedy będę spał? – pyta. – Dopilnuj, żeby tamte goryle nie uprzykrzały mu życia.

– To nie goryle – mówi Stella. – To tylko garstka chłopców przerażonych tak samo jak ty.

– Mimo to.

– Dobrze.

– Nie będzie cię tu?

– Tu, czyli gdzie?

Kolejne słowa przychodzą mu z coraz większym trudem.

– Nie zobaczysz... mnie – dodaje szeptem.

Stella uśmiecha się ze zrozumieniem.

– Cokolwiek się wydarzy, ja tego nie zobaczę. – Pochyliła się nad nim i okrywa go kocem aż po samą brodę. Oliver czuje dym papierosowy, balsam do ust i ostry zapach szpitalnego uniformu i jego głupie serce po raz kolejny drży na wspomnienie Althei. Gdyby nie tracił przytomności, wybuchnąłby płaczem; zamiast tego po raz kolejny zamyka oczy i ostatnie słowa Stelli jakimś cudem przenikają do jego umysłu, który chwilę potem migocze i gaśnie jak zdmuchnięta świeca.

– Ale będę tu, kiedy się obudzisz.

* * *

Althea wychodzi z windy z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni, ramionami przygarbionymi pod puchową kamizelką i kapturem naciągniętym na oczy. Przed nią rozciąga się długi, jasny korytarz, który gwałtownie skręca w prawo. Gdzieś w telewizji słyhać transmisję sportową i głos komentatora, stłumiony przez panującą

na stadionie wrzawę. Widzi dwóch chłopców, którzy ślizgają się po podłodze i o mały włos unikają zderzenia ze ścianą. Biegną z powrotem i znikają za rogiem. Chwilę później słychać łomot, skrzywienie skóry o linoleum i salwę śmiechu, kiedy jeden z nich się przewraca.

Althea wsłuchuje się w gwar z nadzieją, że usłyszy znajomy głos Olivera. Na próżno. Mimo to jej oddech przyspiesza na samą myśl o jego bliskości i że już za chwilę wtuli twarz w jego szyję i poczuje znajomy zapach. Woń płynu do zmiękczenia tkanin, brylantyny o zapachu miodu i, jak zwykle, delikatną jabłkową nutę. Ale czy aby na pewno będzie pachniał tak samo? Jest obolała, nie od długiej podróży i spania w samochodzie, ale od wspomnień o Oliverze, owiniętym wokół jej ciała, leniwie szarpiącym szlufkę jej spodni, jego ustach przyciśniętych do jej szyi. Oliverze, który jak nikt inny potrafi uspokoić jej nerwy i sprawić, że panuje nad swoimi tikami.

Ale nie tylko tego jej brakuje. Tęskni za oszustem o twarzy Olivera, który brutalnie zatopił palce w jej włosach. Zastanawia się, czy kiedyś jeszcze go zobaczy i na myśl, że to się może więcej nie powtórzyć, ogarnia ją smutek. Jeśli lekarze rzeczywiście pomogą Oliverowi, tak jak tego chce, tamten Oliver zniknie, odzyska kontrolę nad swoim *Id* i wszyscy będą świętowali śmierć grubej myszy. Ona jedna będzie opłakiwała chłopca, który tak bardzo jej pragnął.

Robi krok do przodu i zamiera z ręką na stojącym w recepcji półokrągłym biurku. Ośmielona idzie dalej, trzymając się ściany, i wygląda zza rogu na grupkę chłopców, widoczną w pomieszczeniu na końcu korytarza. Niektórzy leżą na zdezelowanych kanapach, inni siedzą na szpitalnych krzesłach, oglądają mecz albo robią pompki. Althea rozpoznaje jednego z chłopców, którzy ślizgali się po korytarzu; utykając, wraca na swoje miejsce. Dwaj inni rozmawiają ściszymi głosami na kanapie, która wydaje się lepka od brudu.

Nigdzie nie widać Olivera. Myślała, że pobyt tutaj doda jej sił, a zamiast tego czuje, że ogarnia ją zmęczenie. Obcość tego miejsca wystarcza, by uświadomić jej, jak mała jest ich domowa galaktyka w Wilmington. Tam krążyli po tej samej orbicie, mijali to samo jezioro, bar kawowy i te same domy trójki tych samych przyjaciół. Tu, w tym szpitalu, znajduje się kawałek reszty wszechświata – chłopcy, których własne dramaty przywiodły do tego miejsca, przyprawiające o zawrót głowy miasto, różowowłosa

dziewczyna, którą widziała na dole, i jej bardziej wytworna przyjaciółka. Ogrom tego wszystkiego sprawia, że Althea się zatacza, jakby niewidzialna nić, która łączyła ją z ulicą Magnoliową, zerwała się, pozostawiając ją zagubioną i boleśnie świadomą odległości dzielącej Altheę od wszystkiego, co zna.

Siedzący na kanapie dwaj chłopcy milkną. Jeden z nich pochłonięty jest zapinaniem i rozpinaniem paska zegarka. Jego towarzysz wyciąga rękę i poklepuje go po plecach w niezdatnym, choć szczerym geście pocieszenia. Widok bólu Olivera na twarzy innego chłopca sprawia, że mimo panującej tu atmosfery obojętności rozpacz w pomieszczeniu staje się niemal namacalna; Althea rozpozna wszędzie tę udawaną apatię, którą sama pielęgnuje od lat. Powód, dla którego tu przyjechali, to nieuchwytnie lekarstwo. Pragną go z całych sił.

Słyszac szcęk otwieranych drzwi, Althea odskakuje w tył i przywiera do ściany. Chłopak w spodniach od piżamy koloru khaki podnosi wzrok znad czasopisma i patrzy na nią spod daszka bejsbolówki, podczas gdy z pokoju wychodzi jasnowłosa pielęgniarka, zamyka za sobą drzwi i wsuwa kartę choroby do plastikowej teczki. Althea nie musi widzieć imienia na segregatorze, by wiedzieć, że chodzi o Olivera; że to on jest za tymi drzwiami.

– Kim jesteś? – pyta ostro pielęgniarka. Ma długie palce i wąskie zielone oczy. Zazdrość sprawia, że Althea nie jest w stanie wykrztusić słowa. – Co tu robisz?

– Szukam kogoś.

– Kogo?

Althea z trudem wypowiada imię, które wymawiała częściej niż jakiegokolwiek inne.

– Olivera – szepcze.

Złość znika z twarzy pielęgniarki.

– Przyszłaś zobaczyć się z Oliverem? – pyta łagodnie.

Althea zagryza dolną wargę i skubie zębami spierzchnięty kawałek skóry, więc gdy łązy napływają jej do oczu, wmawia sobie, że to z bólu.

– Spóźniłam się, tak?

– Obawiam się, że tak. Ale to przecież może poczekać, prawda? Choć trochę? – dodaje pielęgniarka. – To nie wieczność, tylko kilka tygodni. Cokolwiek to jest, poczeka, prawda?

Althea ociera twarz rękawem bluzy i odwraca się w stronę drzwi.

– Tak, zaczeka.

Rozdział 10

Althea kupuje butelkę King Cobra.

Owija ją w papierową torbę i idzie na przystań. Patrząc na rzekę, popija whisky i pali papierosa. Przepływająca obok łódź tętni muzyką dance i skrzekliwym śmiechem pasażerów. Kiedy się oddala, jedynym słyszalnym dźwiękiem jest chlupot wody rozlewającej się po żwirowym nabrzeżu.

To instynkt zaprowadził ją nad wodę. Nie mogąc dokończyć swej misji i nie mając ochoty na powrót do domu, opuściła Manhattan i pojechała na Brooklyn, skąd od Olivera dzieli ją jedynie rzeka. Znalazła miejsce, o którym Nicky nigdy nie wspominała w swoich opowieściach, małe haczyk na mapie zwany Red Hook, postindustrialną nadmorską okolicę pełną nierzucających się w oczy miejsc, gdzie powietrze pachniało wodą i gdzie można spać w samochodzie. Z niewielkiej żwirowej plaży nieopodal przystani ma widok na Statuę Wolności.

Nowy Jork jest cholernie zimny. Słońce dawno już zaszło. Pusty żołądek Althei żarłocznie pochłania zawartość butelki. Nabrzeże, park, pobliskie doki i magazyny są puste. W Wilmington pod osłoną nocy zakrada się w różne miejsca, włóczy się brzegiem rzeki albo idzie do domu na skróty nieoświetloną drogą. Ale lasy nigdy nie są ciche, są w nich świerszcze, lisy i skunksy, a dookoła rozlega się szelest stworzeń, które czają się w mroku. Tu nic nie słychać – ani cichego świstu przejeżdżających samochodów, ani śpiewu ptaków ukrytych wśród najwyższych partii drzew. Tylko rytm wody, tak hipnotyzujący, że mogłaby zasnąć na tej ławce, gdyby nie ten przekłety chłód. Czuje się odrętwiała, a zarazem dziwnie zaspokojona; Oliver od dawna był jej jedyną troską, a teraz, kiedy wie, że nie będzie mogła go dotknąć ani z nim porozmawiać, czuje się obojętna, wyprana z wszelkich pragnień i chęci. Wstrząsana dreszczami, napełnia żołądek alkoholem i czeka, aż King Cobra powie jej, co ma robić; ona jednak niewiele ma do powiedzenia.

Kiedy wypija wystarczająco dużo, by przestać się trząść, sięga po papierosy i kluczyki do samochodu, i chwiejąc się na nogach, wstaje z ławki. Dopija łyk alkoholu

i wyrzuca pustą butelkę do kosza, zamroczona saltuje Statui Wolności i kieruje się w stronę samochodu. Jak się okazuje, wypięła o ten jeden łyk za dużo i wstrząsana torsjami pochyła się nad koszem na śmieci. W nozdrza uderza ją woń plastikowego worka i zgniłych bananów, sprawiając, że czuje w ustach gorzki smak żółci. Odgłosy wymiotów zagłuszają szum rzeki. Nawet gdy jest już po wszystkim, Althea nadal stoi oparta o kosz i z trudem łapie powietrze. Oczy jej łzawią, z nosa cieknie. Sплюwa kilka razy, prostuje się i wyciera twarz rękawem bluzy. *Dobra, nie było tak źle*, myśli. Chwilę później uświadamia sobie, że ręce, w których trzymała kluczyki i paczkę Marlboro, są puste i jest tylko jedno miejsce, do którego mogły wpaść oba te przedmioty.

– Niech to szlag – szepcze i podwija rękawy.

Jest zbyt ciemno, żeby mogła zobaczyć zawartość kosza, więc spogląda na Statuę Wolności i ostrożnie zanurza rękę w śliskich, wilgotnych odpadkach. Jej palce natrafiają na skórkę banana, chłodne szkło butelki i pomięte, mokre gazety. Smród jest nie do zniesienia – mieszanina wymiocin, octu i kwaśnego mleka – a wszystko, czego dotyka, przesiąknięte jest jej rzygowinami. Pierwsze znajduje papierosy, otwierane od góry pudełko, którego nie sposób pomylić z czymś innym; zdejmuje folię i wkłada paczkę do kieszeni. Wstrzymuje oddech i po raz kolejny zanurza rękę w odpadach, tym razem głębiej, aż po łokieć, krztusząc się ze smrodu i odwracając wzrok, przeszukuje dno plastikowego worka, do którego chwilę temu zwróciła słodową whisky. Samotna kaczka pod pływa do kamienistego brzegu.

W końcu, niemal przypadkiem, zaczepia palcem wskazującym o metalowe kółko breloczka. Chwyta kluczyki w garść i wyciąga rękę tak szybko, że prawie nie zauważa, gdy zawadza przedramieniem o coś ostrego i wyszczerbionego. Z początku przypomina to uszczyknięcie, a zaraz potem czuje piekący ból i wilgoć.

Krople krwi tworzą równą linię w rozcięciu na nadgarstku. Leniwe na początku, z każdą chwilą nabierają tempa i lepłą strużką spływają po przedramieniu. Uciskając ranę drugą ręką, Althea zatacza się do tyłu i upada na kolana. Pieczenie narasta i gorącą falą rozlewa się po ręce, choć nadal jest jej zimno. Bezskutecznie wyciera krew, która gromadzi się w zgięciu łokcia. Pojękuje i przyciska twarz do kolan. Wytarty dzins drapie ją w policzek, kiedy wdycha metaliczny zapach krwi, dym papierosowy, którym

przeszły jej włosy, i kwaśną woń wymiocin.

Niepewnie podnosi się na nogi i zataczając się, schodzi z nabrzeża w kierunku samochodu. Drze koszulkę na wąskie paski, polewa jeden z nich wodą z butelki i przykłada do rany; kolejnym owija nadgarstek, jak prowizorycznym bandażem. Wyciąga z bagażnika koce plażowe. Kładzie się na podłodze z tyłu samochodu, trzyma rękę nad głową, otula się kołdrą i kocami, które wciąż pachną Wilmington, i udaje, że jest na kempingu; wyobraża sobie, że siedzi w namiocie razem z ojcem, słucha jednej z jego starożytnych, mitologicznych opowieści i próbuje przypomnieć sobie choćby jedną ze szczęśliwym zakończeniem.

Tej nocy Althea śni o dinozaurach. To znajomy sen, nawiedza ją od lat, w rozmaitych wersjach. Czasami jest sama w prehistorycznym lesie i ukryta za kępą opalizujących jasnozielonych paproci obserwuje stado triceratopsów. Innym razem ucieka ulicami Wilmington przed niezdarnym tyranozaurom, którego z łatwością może wyprzedzić, albo kuli się na pokrytej trocinami podłodze magazynu wielkości boiska do piłki nożnej i próbuje stłumić kichnięcie, by nie zdradziło jej kryjówki trzem upierzonym welociraptorom, które jej szukają. Te sny nigdy jej nie przerażały. Zawsze miała przynajmniej mętną świadomość, że śpi, choć sny były na tyle realne, że aż ekscytujące. Z pewnością były ciekawsze od snów Olivera, zanim zachorował na KLS – dość oczywistych metafor lęku przed egzaminami z historii – albo od zgubienia się w lesie podczas biwaku. Kiedy o tym wspomniała, Oliver westchnął i zapytał, czy musi rywalizować z nim nawet w kwestii fazy REM.

Tej nocy sen jest inny. Althea śni, że śpi w swoim samochodzie, przykryta kocami. Lodowato zimne ręce grzeje między udami. Dwa deinonychy spoglądają na nią przez okno, palą papierosy i rozmawiają ściszonymi głosami. Jeden z nich stuka w szybę zakrzywionym onyksowym szponem i chichocze. Zniknął cudowny baśniowy posmak i poczucie, że tak naprawdę nic jej nie grozi. Althea może wdać się w bójkę z Cobym albo Oliverem, ale nie ma szans w starciu z dwoma teropodami z grzebieniami na głowach i zębami ostrymi jak rybie ości. Nie słyszy, co mówią, ale czuje, że przyglądają się jej i prowadzą dyskusję. Słyszy brzęk butelek z piwem. Schowane w kieszeni kamizelki kluczyki do samochodu uwierają ją w bok. Czy uda jej się wskoczyć na fotel kierowcy, uruchomić silnik i odjechać, zanim wybiją szybę i ją

pożrą? Pewnie nie. *Garth będzie wkurzony*, myśli.

Chmury wciąż są różowe, gdy budzi się poruszona pierwszym od lat koszmarem, nie wiedząc, co go wywołało. Przetrzęsa schowek na rękawiczki z nadzieją, że natrafi na zabłąkany batonik musli albo paczkę starych cukierków, ale znajduje wyłącznie zepsute okulary przeciwsłoneczne, ulotki Miętusa i stare losy, które leżą tam, odkąd odziedziczyła samochód po swojej babce. Dawno nie brała prysznic; wewnątrz samochodu cuchnie potem i śmieciami, lecz na zewnątrz jest zbyt zimno, żeby opuścić szyby. Althea związuje tłuste włosy i poślinionym kciukiem próbuje zetrzeć plamę ze spodni. Ręka nadal ją boli.

Ubiegłej nocy zaparkowała przy krawężniku jednej z ulic na osiedlu loftów, licząc, że budynki osłonią ją od wiatru. Potrzebowała dwudziestu minut, żeby wjechać samochodem na małe miejsce parkingowe, i przez krótką chwilę poczuła się dumna, że dokonała tego bez Olivera, który zwykle pomagał jej, stojąc na chodniku i gestykulując. Wysiada z samochodu, żeby rozprostować kości i rozgląda się po okolicy, czy wciąż jest na tyle wcześnie, by mogła ukucnąć i wysikać się przy zderzaku. Uznaje, że może. Kuca między toyotą camry a stojącym obok SUV-em i mruczy z zadowolenia. Niektóre drobne rzeczy sprawiają przyjemność niezależnie od miejsca. Ze wzrokiem na wysokości błotnika spogląda na chodnik, czy nikt nie nadchodzi, i dostrzega coś tak przerażającego, że gdyby właśnie nie opróżniała pęcherza, mogłaby zsikać się w majtki.

Niecałe pół metra od miejsca, w którym kuca, widzi kupkę niedopałków. Z białym filtrem. A takich papierosów nie pali. I dwie zielone butelki Rolling Rock.

W pośpiechu podciąga spodnie i drżącą ręką zapina zamek, czując, jak resztki moczu spływają w krok spodni. Boczna uliczka, która chwilę temu wydawała się taka spokojna, teraz wygląda złowrogo, niczym pułapka, której nie zauważyła na czas. Althea wskakuje do samochodu, mrużąc pod nosem „Szybciej, szybciej, szybciej!”, wystraszona i przeraźliwie samotna, i bliska paniki odjeżdża z miejsca, którego zajęcie napawało ją wczoraj taką dumą.

Na jednej z ulotek Miętusa znajduje listę wszystkich oddziałów Bread and Roses na Wschodnim Wybrzeżu; miejsca, w których gotują i wydają posiłki. Nadal ma trochę pieniędzy, ale nie wie, na jak długo jej wystarczą. Adresy brooklińskiego oddziału nic

jej nie mówią; znajduje je na mapie, wodząc palcem od Red Hook, wzdłuż Belt Parkway i Leif Ericson Drive, do małego parku na Coney Island, gdzie po południu Miętusy i Valerie z Brooklynu będą rozdawać darmowe jedzenie.

Klucząc wśród coraz węższych i coraz bardziej wyludnionych uliczek, wyjeżdża na pustą i przygnębiającą Surf Avenue, z obskurnym sklepem meblowym, zamkniętymi pasażami handlowymi i plażowymi sklepikami po przeciwnej stronie szerokiej ulicy. Tylko restauracja Nathan's wygląda tak, jak ją sobie wyobrażała, choć wydaje się mała w porównaniu z ogromnym szyldem, który reklamuje ją jako ORYGINALNĄ RESTAURACJĘ ZNANĄ NA CAŁYM ŚWIECIE OD 1916 ROKU. Pod nowszymi billboardami widać skromne, żółte tabliczki reklamujące Nathan's jako bar, w którym podaje się małże i owoce morza oraz hot dogi.

Althea parkuje pod cyfrowym zegarem, który odlicza czas do kolejnego konkursu w jedzeniu hot dogów. Co roku czwartego lipca Nicky ogląda je na ESPN, opowiadając o statystykach każdego zawodnika i krzycząc wściekle na telewizor, podczas gdy Garth blednie, a zażenowany jej zachowaniem Oliver kuli się w drugim końcu sofy. Po zawodach robią grilla w ogrodzie z tyłu domu, a Althea i Oliver prowadzą własną rywalizację, aż im niedobrze. Później odpoczywają w altanie, gdzie Nicky i Garth popijają napój miętowy i jedzą szarlotkę Althei prosto z blachy. W tym roku Oliver przespał lipiec i Althea spędziła Święto Niepodległości z Cobym, odpalając rakiety z plastikowych butelek i pijąc Southern Comfort.

Zapach oceanu przynosi pocieszenie i Althea podąża za nim aż na brzeg, przez rozpadającą się promenadę, której deski skrzypią pod jej stopami. Tutejsza plaża nie przypomina tej, którą zna z Wilmington. Szary piasek upstrzony jest potłuczonymi butelkami piwa Corona i petami, a za plecami Althei znajduje się opuszczone wesołe miasteczko, ale o brzeg chlupoczą wody tego samego oceanu. Zamyka oczy, pozwalając, by słony wiatr smagał jej włosy i twarz, i wsłuchuje się w pokrzykiwania mew, plusk fal rozbijających się o brzeg i niekończący się szum boskiego dzieła. Mogłaby zasnąć na stojąco, gdyby nie fakt, że musi odebrać darmowe jedzenie.

W parku nietrudno dostrzec grupkę skupioną wokół składanego stołu z banerem, na którym widnieje napis JEDZENIE ZA DARMO. Chłopak i dziewczyna za stołem są kilka lat starsi od Althei. Rozdają gorące posiłki z wielkich aluminiowych garnków,

ustawionych na palnikach, których widok przypomina Althei lekcje chemii. W kolejce czeka mniej więcej pół tuzina ludzi. Zmarznięta trawa chrzęści pod stopami Althei, kiedy z kapturem na głowie i w okularach przeciwsłonecznych idzie przez park, żeby dołączyć do pozostałych. Przypomina to grilla w ogrodzie za domem, tyle że gośćmi są bezdomni, w większości starsi mężczyźni z kilkuniedniowym zarostem, w podartych workowatych spodniach i płaszczach wciągniętych na kurtki założone na bluzy. Althea odruchowo zaciska palce na torbie.

Przyszła tu z powodu jedzenia – szpinaku z purée ziemniaczanym i czegoś, co wygląda jak klopsiki, choć prawdopodobnie jest z soczewicy, jeśli pracownicy tutejszego oddziału – podobnie jak Miętus – hołdują wegańskim zasadom. Miętus zadręczał ją i Olivera, żeby przeszli na weganizm, parskając drwiąco za każdym razem, gdy mówili, że za nic nie zrezygnują z sera. „Zjedlibyście ser, nawet gdybym położyła go na kawałku gówna” – skarżyła się Nicky, ale wszyscy wiedzieli, że zrobiłaby wszystko, by jej potrawy były jadalne. Odbierając swój talerz z rąk drobnej blondynki, której włosy wylewają się spod czarnej dzianinowej czapki i wpływają do kaptura kurtki, Althea ucieka wzrokiem od dziewczyny, towarzyszącego jej chłopaka i ludzi, którzy jedzą przycupnięci na ławkach. Początkowo planowała zjeść na plaży, ale teraz, kiedy trzyma w dłoniach talerz i widzi pokrojony w kostkę czosnek, szpinak i czerwone skórki pomidorów, marzy wyłącznie o tym, by usiąść na ławce i jak najszybciej zabrać się do jedzenia. Niektórzy ludzie podchodzą po drugą, a nawet trzecią dokładkę, ale Althea z trudem kończy pierwszą porcję. Zadowolona zapala papierosa – żaden nie smakuje tak dobrze, jak ten wypalony po dobrym, solidnym posiłku.

Ledwie zamyka paczkę, kiedy podchodzi do niej mężczyzna z soczewicą w brodzie.

– Przepraszam, panienko – zaczyna. – Może panienka poczęstować mnie papierosem?

Chwilę później paczka papierosów i zapalniczka Althei krążą z rąk do rąk.

W miarę jak słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, ludzie z sąsiednich ławek rozchodzą się w sobie tylko znanych kierunkach. Blondynka i jej towarzysz, chudy, rudy chłopak w okularach, rozmawiają ściszymi głosami za stołem. Nie takich ludzi spodziewała się Althea, choć sama nie wie, czego właściwie oczekiwała; prawdopodobnie kolejnych Miętusów, ludzi z wariackimi fryzurami, w bojówkach

z mnóstwem suwaków. Nie wiedzieć czemu, wydawało jej się, że brookliński oddział Bread and Roses będzie bardziej ekstremalny.

Wygląda na to, że tych dwoje się kłóci. Twarz chłopaka jest ściągnięta, dziewczyna opiera ręce na biodrach. Jej towarzysz zaczyna przykrywać garnki z jedzeniem i wyraźnie znudzony odpiesza kolejne ataki. Z pewnością nie chodzi o nic poważnego. Takich chwil brakuje Althei najbardziej, kiedy myśli o Oliverze i wszystkich, których zostawiła w Wilmington. Naładowanych emocjami, drobnych sprzeczek – jaką płytę nagrać, czy zatrzymać się i zapytać o drogę – które nie trwają długo i nie wymagają żadnych realnych rozwiązań. Ta wygląda, jakby właśnie dobiegała końca. Chłopak zbiera plastikowe noże i widelce, a dziewczyna spina włosy w koński ogon, odwraca się od stołu i idzie po trawie w stronę Althei, krzycząc coś do niej.

– Słucham? – pyta Althea, kuląc się i naciągając kaptur na oczy.

Dziewczyna podchodzi wystarczająco blisko, by nie krzyczeć.

– Pojadłaś? – mówi. – Pytałam, czy pojadłaś. Chciałam się upewnić, zanim spakujemy jedzenie i zawieziemy do domu.

– Tak. Dzięki. Było naprawdę dobre.

– Sama robiłam klopsiki – mówi z dumą dziewczyna. – Przyjdź jutro; organizujemy niezłą wyzerkę z okazji Święta Dziękczynienia. – Chowa ręce w tylnych kieszeniach spodni i spogląda na wiszące nad oceanem ciężkie chmury. – Możliwe, że spadnie śnieg.

Althea zdejmuje okulary. Nawet bez nich niebo wydaje się ciemne.

– Tak myślisz? – pyta.

Chłopak próbuje złożyć baner, którym wiatr szarpie na wszystkie strony.

– Matilda! – woła. – Chodź tu!

Matilda po raz kolejny spogląda na ołowiane chmury, które z każdą chwilą zdają się coraz bliższe.

– Coś się kroi. – Opuszcza wzrok i uśmiecha się do Althei. – Nie jesteś zbyt rozmowna, co?

– Przepraszam. – Althea wbija wzrok w ziemię.

– Nie przepraszaj. To tylko spostrzeżenie. Jesteś z Kalifornii?

– Kalifornii? – pyta zmieszana Althea.

Matilda pociąga ją za rozerwany rękaw bluzy.

– Jesteś zbyt lekko ubrana jak na Nowy Jork.

– Nie sądziłam, że będę tu na tyle długo, by potrzebować nowych ciuchów.

– Jasna cholera – rzuca Matilda, widząc bandaż na ręce Althei. – Co ci się stało?

– Skaleczyłam się. Nic mi nie...

– Wygląda paskudnie. Pozwól, że zobaczę. – Mówiąc to, znów chwyta ją za rękaw.

– Nie! – Althea cofa rękę. – Jeśli ruszysz, znowu zaczniesz krwawić. Proszę. Nie dotykaj.

Matilda ustępuje i zapala papierosa.

– Jestem z Karoliny Północnej – mówi w końcu Althea. – Z Wilmington w Północnej Karolinie.

– Poważnie? – Matilda unosi brwi. – Kilka tygodni temu rozmawiałam z dwojgiem dzieciaków z Wilmington. Ktoś dał im moje namiary i zadzwonili z prośbą o radę i jakieś przepisy. Cholera, nie pamiętam ich imion.

– Valerie i Miętuś?

– Znasz ich? – pyta zaskoczona Matilda.

– Taa, byliśmy przyjaciółmi.

– Sprawiali wrażenie miłych. Miętuś wydawał się trochę nadgorliwy.

– Nie masz pojęcia jak bardzo – mówi Althea.

Zamierza opowiedzieć Matildzie o ulotkach, które zostawiał jej za wycieraczką, i jak znalazła je w schowku na rękawiczki, dzięki czemu dotarła na Coney Island, kiedy nagły podmuch wiatru z głośnym brzękiem toczy ku nim zieloną butelkę po piwie. Althea staje jak wryta, zupełnie zapominając o miłej pogawędce.

– Wszystko w porządku?

– Ja tylko... Ta butelka. Przypomniała mi o koszmarze, który miałam w nocy.

– To musiał być naprawdę zły sen. – Matilda patrzy na nią zdumionym wzrokiem i kiwa głową.

– Właściwie to nie był sen. To znaczy częściowo tak, bo nie sądzę, żeby dinozaury patrzyły, jak śpię w samochodzie. – Trze oczy, próbując odzyskać ostrość widzenia.

– Ktoś podglądał cię, jak spałaś w samochodzie?

– Chyba tak. – Opowiada o śnie i o tym, jak rano znalazła na chodniku niedopałki

i puste butelki po piwie. Matilda słucha z uwagą i kuli się, gdy Althea opisuje, jak deinonych zapukał w szybę.

– Nie wiem, może to był tylko sen – dodaje.

– Masz szczęście – mówi z powagą Matilda.

Althea przytakuje.

– Nie masz gdzie się zatrzymać?

Tym razem Althea kręci głową.

– Gdzie spędzisz dzisiaj noc?

Wzruszenie ramion.

– W porządku, widzę, że znowu przestałaś mówić. – Chłopak przywołuje skinieniem Matildę. Dziewczyna podnosi dłoń odzianą w rękawiczkę, rozkłada palce i mówi bezgłośnie, żeby dał jej pięć minut. – Posłuchaj – zwraca się do Althei – mieszkamy w okolicy. Może pojedziesz z nami i zostaniesz na noc?

Chłopak przykłada dłoń do ust i woła Matildę po imieniu.

– Powinam już iść, przyjaciel cię potrzebuje. – Althea w pośpiechu zakłada okulary i zarzuca worek na ramię.

– Jesteś pewna? – Troska w głosie Matildy jest na tyle szczera, że wprawia Altheę w zdumienie.

– Tak. Nic mi nie będzie. Prześpię się w jakimś bezpiecznym miejscu – mówi i rusza w stronę wyjścia z parku.

– Bądź tu jutro, dobrze? – woła za nią Matilda.

Althea kiwa głową i nie zatrzymując się, naciąga głębiej kaptur.

* * *

Althea kupuje kawę i wraca na promenadę. Wyciąga z portfela kartę telefoniczną i znajduje automat. Miała zadzwonić do Gartha, kiedy dotrze bezpiecznie do domu Alice w Taos; czas na wyprzedzające posunięcie, żeby się nie martwił i nie zadzwonił do Alice. Na szczęście Garth wciąż nie uległ urokom współczesnej technologii, takim jak oczekująca rozmowa czy identyfikacja numeru dzwoniącego.

– Halo?

- Cześć, tato – mówi.
- Althea?
- Tak.
- Dojechałaś już?
- Dosłownie przed chwilą – kłamie, spoglądając na Atlantycką. – Szybko mi poszło.
- Na to wygląda. Wszystko w porządku? Dobrze ci tam?
- Co robisz? – Althea próbuje wyobrazić sobie ojca bez względu na to, w której części domu się znajduje.
- Robię notatki do książki.
- To znaczy drzemiesz.
- Nie bądź taka mądra.
- Nic na to nie poradzę. – Przyciska telefon do kamizelki i zaciąga się papierosem.
- Może to nie był taki dobry pomysł – dodaje.
- Altheo. – Słyszy, jak ojciec siada na kanapie w gabinecie, i widzi wszystko jak na dłoni: porozrzucone wokół książki, ślady poduszki na policzku, leżącą na podłodze, zjedzoną do połowy kanapkę. Wyobraża sobie, jak zdejmuje okulary, pociera piętą oczy i ściska palcami grzbiet nosa. Głos Gartha jest konturem, który Althea potrafi wypełnić. Zastanawia się, czy ojciec robi to samo; czy próbuje wyobrazić ją sobie w pokoju gościnnym Alice, w otoczeniu kryształów i marnej jakości południowo-zachodniej sztuki, gdy tak naprawdę stoi nad brzegiem oceanu, z nadzieją, że do słuchawki nie docierają odległe pokrzykiwania lwa morskiego.
- Może nie powinnam była tu przyjeżdżać – powtarza.
- Dopiero przyjechałaś – mówi Garth. – Naprawdę chcesz wracać taki szmat drogi?
- Nie wiem.
- Daj jej szansę. Wiem, że nie znasz jej za dobrze, ale skoro już tam jesteś... Równie dobrze możesz pozwolić jej kilka dni pobyć matką. Może ją polubisz.
- Althea wie, że chodzi mu o Alice, ale myśli o Matildzie.
- A jeśli ona nie polubi mnie? – pyta.
- Daj spokój, niby czemu miałyby cię nie polubić? – W głosie Gartha słychać, że się uśmiecha.
- Nie bądź taki mądry.

– Nic na to nie poradzę. Mam doktorat i takie tam.

– Jak tam książka? – Althea postanawia zmienić temat.

– Wiedziałaś, że Cortés miał wypłynąć z Hiszpanii do Nowego Świata rok wcześniej, niż to zrobił? Zranił się, uciekając z sypialni jakiejś męczatki z Medellín i musiał przełożyć podróż.

– Brzmi nieźle.

Garth jest wyraźnie podekscytowany swoim odkryciem. Brzmi to tak, jakby czytał fragment z książki, nad którą pracuje.

– Piętnaście lat później, kiedy mieszkał na Kubie, o mały włos znowu nie zmarnował okazji. Facet, który wyznaczył go do tej ekspedycji, postanowił przemyśleć swoją decyzję w obawie, że Cortés jest zbyt uparty, by pozostać lojalnym. Kiedy Cortés się o tym dowiedział, skrócił przygotowania i wraz z załogą opuścił Kubę, a gdy dopłynęli do lądu, zniszczył statki, żeby jego ludzie nie mieli innego wyboru, jak pójść razem z nim.

– Chryste.

– Spróbuj się dobrze bawić. I nie daj mamie przypalić indyka. Dobrze?

– Dobrze.

Żadnego „tęsknię za tobą” czy „kocham cię”, po prostu szczek odkładanej słuchawki i cisza. Althea stara się nie mieć mu tego za złe; jest przecież przekonany, że jego córka dotarła cała i zdrowa do Taos w Nowym Meksyku i siedzi otulona jednym z indiańskich koców matki. Przez ułamek sekundy żałuje, że rzeczywiście tak nie jest.

* * *

Miętus jako pierwszy zaczął pić kawę – nie dlatego, że mu smakowała, ale znalazł w Goodwill stary termos z Popeyem i szukał pretekstu, żeby się nim pochwalić. Później napełniali termos ginem albo whisky, w zależności od tego, co zwędzili rodzicom albo co ktoś im kupił w sklepie monopolowym. Lecz na początku była w nim tylko kawa, jakiś ciemno palony gatunek, który posmakował Miętusowi, a w końcu także Althei. Nigdy nie doceniła należycie tego aspektu jego osobowości. Pierwszy był termos i Miętus znalazł sposób, by go napełnić; zafundował sobie wielkiego

niebieskiego irokeza i zmienił swój image tak, by do niego pasował; nadali mu najgłupszą ksywkę, jaką byli w stanie wymyślić, a on ją zaakceptował.

Gdyby Miętus znalazł się sam w Nowym Jorku, z pewnością nie siedziałby beczynnie i nie rozważał, co zrobić. Wymyśliłby sobie z pół tuzina misji, które ukończyłby przed zachodem słońca, i zawarłby pół tuzina nowych znajomości. Wyobraź sobie Miętusa siedzącego na tej ławce i sznurującego glany. Wyobraź sobie Valerie pijącą dr Peppera i bawiącą się włosami. Wyobraź sobie dwoje ludzi, którzy sprawiają wrażenie, jakby wiedzieli, co robią. I zapytaj siebie, co by zrobili, gdyby byli na twoim miejscu.

* * *

Kolejny brookliński adres z ulotki jest niedaleko, zaledwie kilka ulic od parku i oceanu. Domy są tu duże, niektóre jak z epoki wiktoriańskiej, zupełnie niepodobne do tych z ulicy Magnoliowej. Kilka wydaje się opuszczonych; ich okna i drzwi pozabijano deskami, na których pojawiło się graffiti. Inne udekorowano na Święto Dziękczynienia; na poręczach nad równo przystrzyżonymi żywopłotami wiszą tekturowe indyki. Panuje tu dziwny impas, jakby miejsce utknęło gdzieś między osiedlem podmiejskim a postapokaliptyczną wizją.

Althea parkuje kilka domów dalej. Siedzi przygarbiona na fotelu kierowcy i obserwuje drzwi wejściowe. Chwilę później wyciąga szkicownik i rysuje deinonychy, o których śniła ubiegłej nocy; jednemu z nich wciska w łapę papierosa, drugiemu butelkę piwa. Robi się ciemno. I chłodno. Opuszcza delikatnie szybę i pali jednego papierosa za drugim, opatulona kołdrą, którą ma od dziecka.

Matilda wychodzi z domu z workiem na śmieci zarzuconym na ramię. Ciska go do przepełnionego kubła, równie wysokiego jak ona, i wlecze pojemnik na skraj chodnika, z charakterystycznym odgłosem plastiku trącego o beton. Po wszystkim staje z rękami na biodrach, a jej oddech zmienia się w obłoczki pary w późnolistopadowym chłodzie. Althea rozciera dłonie; nie ma pojęcia, czy nie zamarznie przez noc albo czy ktoś jej nie zamorduje. Matilda siada na schodkach i wyciąga woreczek z tytoniem. Patrząc na nią, Althea myśli o Nicky.

Ciało ma tak zeszywniałe, że wysiadając z samochodu, omal się nie przewraca. Naciąga rękawy bluzy na zaciśnięte w pięści zmarznięte dłonie. Nawet we śnie o dinozaurach nie była tak przerażona. Ostrożnie stawia kolejne kroki, powoli zbliżając się do dziewczyny.

– Cześć – mówi, siadając na schodach.

Matilda rozciąga usta w uśmiechu.

– Dobrze, że jesteś. Mogę przestać się martwić. – Otwiera zapalniczkę Zippo, zbliża płomień do papierosa i wprawnym ruchem zamyka zapalniczkę.

Na chodniku leży ćwierćdolarówka i Althea schyla się, by ją podnieść.

– Nie – mówi Matilda. – Jestem przesądna. Ta ćwierćdolarówka leży tu od ubiegłego tygodnia i od tamtej pory dopisuje mi szczęście. Boję się ją ruszyć. Przyjdę tu z pistoletem do klejenia i jeśli będę musiała, przykleję to cholerstwo do chodnika.

Althea patrzy na monetę z niemal nabożną czcią. Nagle dociera do niej, jak żałosna musi się wydawać – brudna, trzęsąca się z zimna, z wystającym spod rękawa przesiąkniętym krwią bandażem, w potrzebie tak oczywistej, że widać to gołym okiem. Gdzieś nad oceanem słychać dźwięk syreny. Althea dyskretnie masuje obolałe łydki. Drzwi wejściowe otwierają się i wygląda zza nich dziewczyna z ciemnymi kręconymi włosami i oliwkową cerą.

– Hej, kierowniczo, Kaleb mówi, że dziś twoja kolej.

Matilda odprawia ją machnięciem ręki.

– Powiedz swojemu chłopakowi dyletantowi, żeby się nie martwił.

Dziewczyna znika w głębi domu.

– Kierowniczo? – pyta Althea.

– Czasami tak mnie nazywają.

– To twoja współlokatorka?

– Jedna z nich. Wygląda na to, że pomyliłam się co do pogody – mówi Matilda, patrząc na chmury, zza których widać cienki sierp księżyca. – Dziwne. Nigdy nie myślę się w tej kwestii.

– Może twoja szczęśliwa ćwierćdolarówka sprawiła, że nie sypie.

– Śnieg mi nie przeszkadza. Wolę zachować szczęście na inne okazje. Wy w Wilmington pewnie nie macie za dużo śniegu.

Althea kręci głową.

– Na pewno nie jest u nas tak zimno.

– Jak długo tu jesteś?

– Dopiero dwa dni.

Drzwi znowu się otwierają, jednak tym razem staje w nich rudy okularnik z parku. Patrzy na nie wściekłym spojrzeniem, ale gdy się odzywa, mówi wyłącznie do Matildy.

– Zamierzasz...

– Mogę mieć dla siebie chociaż pieprzone pięć minut?! – krzyczy dziewczyna. Nagle nie jest już tak serdeczna i przyjacielska. – Chryste jedyny, coś się wykrwawił na pieprzonym krzyżu. I zamknij te cholerne drzwi, wpuszczasz zimno. – Czekaj, aż chłopak wróci do środka. – Przepraszam za to. Czasami doprowadzają mnie do szału.

Matilda i chłopak muszą być sobie bliscy, skoro tak się na niego wydziera. Dobrze znów być świadkiem takiej zażyłości.

– Jak długo pracujesz w Bread and Roses? – pyta Althea, chcąc podjąć przerwana rozmowę.

– Kilka lat. To... to dobra praca. I... i chyba łatwa. Łatwo pomagać głodnym ludziom. Po prostu pojawia się z jedzeniem, a oni je jedzą. Większość ludzi nienawidzi o cokolwiek prosić. Ale kiedy są głodni, chowają godność do kieszeni.

– Jeśli istnieje powód, dla którego warto poświęcić swoją godność, to jest nim coś do jedzenia.

– Wiesz, co jest najlepsze w godności? – pyta Matilda, patrząc na Altheę. Skręcił się między jej palcami, niebezpiecznie blisko włosów. Dym otacza aureolą jej głowę i Althea z uwagą wpatruje się w drobne usta dziewczyny. – Godność się regeneruje. Jest jak rozgwiazda. Można ją rozedrzeć, a jej drobne ramiona i tak odrosną.

– Ja chyba wolę godność solowca – mówi Althea. – Dolej trochę wody i patrz, jak moja godność rośnie.

Matilda chichocze.

* * *

– Mogłabyś postawić ją na stoliku obok dumy Zwierzaka Chia ¹. – Wstaje, strzepuje ze

spodni resztki tytoniu i chowa woreczek do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Muszę lecieć. Teraz moja kolej.

- Twoja kolej na co?
- Na szukanie jedzenia w śmietnikach.
- Podwieźć cię?
- Dzięki.

Zawstydzona stanem swojego samochodu, Althea próbuje ukryć wszelkie dowody mogące zdradzić powód jej wizyty w Nowym Jorku i kłopotliwe położenie, w jakim się znalazła. Rzuca na tylną kanapę kwiaty z folii aluminiowej, postrzępioną kołdrę i puste kubki po kawie i szarpie wiszącą na lusterku choinkę zapachową, jakby chciała wzmocnić jej działanie.

- Kontrolka paliwa ci się świeci – zauważa Matilda, kiedy odjeżdżają spod domu.
- To nic. Na rezerwie można przejechać jakieś sześćdziesiąt kilometrów.

Matilda czuje się wyjątkowo swobodnie na fotelu pasażera, mówi Althei, gdzie skręcić i gdzie się zatrzymać. Podnosi fotel o dobre piętnaście centymetrów i przesuwa go do przodu, zmniejszając przestrzeń, którą zwykle zajmują nogi Olivera. Wysiada przy zamkniętej piekarni na rogu ulicy, podchodzi do bocznych drzwi i naciska dzwonek. Chwilę później w drzwiach pojawia się wysoki czarnoskóry mężczyzna z twarzą umazaną mąką i wyciera ręce w roboczy fartuch. Nawet przez zamknięte szyby do wnętrza samochodu wlatuje zapach świeżego pieczywa i miesza się z wonią petów. Piekarz wręcza Matildzie worek chleba, który wciąż jest dobry, ale zbyt stary, by go sprzedać. Dziewczyna staje na palcach, całuje mężczyznę w policzek i ściera ślady mąki z jego twarzy.

Robią jeszcze kilka takich postojów, Matilda podbiega do bocznego wejścia restauracji i wraca z kolejnym workiem jedzenia.

– Nie jestem żadną księżniczką – mówi, kiedy jadą – ale wolę zabrać jedzenie, zanim trafi do śmieci, niż wygrzebywać je z kubłów. Nie mam nic przeciwko staniu po pas w odpadkach, ale dla innych to prawdziwy powód do dumy.

- Dumy w stylu Zwierzaka Chia?

Matilda się uśmiecha.

- Dokładnie. A więc, co właściwie robisz w Nowym Jorku? – Sięga na tylną

kanapę, rozwiązuje jeden z worków i wyciąga bułkę. – Chcesz?

– Przyjechałam na zwiad.

– Jesteś agentką rządową? – pyta Matilda, żując bułkę.

– Jestem pieprzonym jokerem. – Althea wali pięścią w deskę rozdzielczą i jęczy.

Podciąga rękaw i patrzy na świeżą plamę krwi przesiąkającą przez prowizoryczny bandaż. – Niech to szlag.

Matilda milczy, ale chwilę później mówi jej, gdzie ma jechać.

* * *

Kiedy wracają na ulicę, przy której mieszka Matilda, Althea parkuje i wzdycha głęboko. Matilda wręcza jej bułkę. Althea przygląda się jej i opiera głowę o kierownicę, wyczerpana myślą, że musi przyjąć cudzą pomoc.

– Potrzebujesz miejsca, żeby gdzieś przenocować?

Temperatura w samochodzie spada. Althea nie dba o to, czy będzie musiała spać pod tylną kanapą razem z roztoczami, byle było jej ciepło.

– Poważnie? – pyta.

– Cóż mogę powiedzieć, jestem pieprzoną frajerką. A poza tym fajnie jeździło mi się twoim samochodem.

– Jeśli chcesz, zawiozę cię do każdej piekarni w Brooklynie.

– Fantastycznie. A teraz rusz tyłek i pomóż mi to zanieść do domu.

Zataczają się i wchodzą na ganek, uginając się pod ciężarem darów. Matilda kładzie worki na podłodze i spogląda z powagą na Altheę.

– Jedna rzecz – mówi.

Althea szykuje się na jakąś straszną opowieść o mieszkańcach domu, choć w tej chwili ani ich seksualne preferencje, ani działalność przestępcza nie wpłyną na jej decyzję, by wejść i położyć się na pierwszej wolnej przestrzeni, jaką uda jej się znaleźć.

– Jasne.

– Jeśli okażesz się kłamczuchą, złodziejką albo ćpunką, przestanę być miłą. W tym domu obowiązuje jedna zasada, i to tylko dlatego, że tak nakazuje zwykła ludzka

pryzwoitość.

– Jaka to zasada?

Matilda spogląda z czułością na swój dom. Na drzwiach wisi kilka kolb kukurydzy w oczekiwaniu na jutrzejsze święto.

– Nie spal go, proszę – mówi Matilda.

– To warunek, na który mogę przystać – odpowiada Althea.

Dom cuchnie Krwawą Mary i niedopałkami. Farba płatami łuszczy się ze ścian i spada na dywan w przedpokoju; poręcz schodów na wyższe piętro pokrywają zadrapania i ślady po papierosach. Pod ścianą leży, sięgająca pasa sterta gazet – nie „Timesa”, lecz „New York Post”. Althea zerka na ostatni numer. Nad zdjęciem New York Yankees, świętujących na ulicznej paradzie zwycięstwo w meczu finałowym MLB, umieszczono prosty nagłówek: *Fantastycznie*. W przejściu walają się – dosłownie – dziesiątki par butów, głównie znoszone trampki marki Chuck Taylor i Vans, a także glany, tak zniszczone, że spod skóry na czubkach prześwituje blacha. Matilda zrzuca swoje zielone tenisówki i Althea robi to samo; ciska buty na stertę i zastanawia się, czy kiedykolwiek je znajdzie.

– Wojownicy, mamy towarzystwo – krzyczy Matilda.

– Wojownicy? – pyta Althea.

– Jak w filmie *Wojownicy*, o gangu z Coney Island. Podobał ci się?

Althea wzrusza ramionami.

– Chyba nie wiem, o co chodzi.

Matilda skręca w lewo za schodami i kieruje się w stronę pomieszczenia, które – sądząc po odgłosach gier wideo i przekleństwach graczy – musi być pokojem gościnnym. Althea nie pamięta, kiedy ostatnio wchodziła do pokoju pełnego zupełnie obcych osób, nie mając przy sobie Olivera, który żartuje, śpiewa piosenkę wymyśloną na poczekaniu albo otacza ją ramieniem i mówi, żeby trzymała się blisko niego. Gdyby zjawił się tu choć na chwilę, żeby szepnąć jej coś do ucha, zanim znowu zniknie, co by to było? Z jakiegoś powodu wyobraża go sobie w garniturze JFK, z włosami zaczesanymi do tyłu, opierającego się o schody. Widzi, jak rozgląda się dookoła i mówi coś bezgłośnie, podczas gdy ona skręca za róg i idzie za Matildą.

Impreza. Na. Całego.

Althea nie wierzy, że to wszystko, na co ją stać.

Okularnik skulony na fotelu przy oknie czyta komiks, który Althea rozpoznaje. Dziewczyna z kręconymi włosami siedzi na kanapie obok czarnoskórego koleśka w spodenkach gimnastycznych, prawdopodobnie wspomnianego już chłopaka-dyletanta; oboje pochylają się, ściskając w rękach pady. Na zielononiebieskim rozkładanym fotelu spoczywa kolejny chłopak, który z uwagą obserwuje grę, trzymając w ramionach wychudzonego szarego kota. Dziewczyna jako jedyna zauważa Altheę i Matildę; pozostali podnoszą wzrok, żeby zobaczyć, dlaczego wcisnęła pauzę. Okularnik zerka na Altheę znad książki, która chwilę później ląduje na podłodze. Chłopak warczy poirytowany i wbija wzrok w Matildę.

– Co z tobą, do cholery? – pyta.

Dziewczyna spogląda na niego i wyciągniętym palcem dźga gęste od dymu powietrze; jej wściekłość powraca ze zdwojoną siłą.

– Przestań! Mówię poważnie.

Matilda przedstawia ich sobie – para na kanapie to Leala i Kaleb, Okularnik to Ethan, a chłopak szepczący do kota to Gregory. Słyszając swoje imię, podnosi zwierzę nad głowę.

– To Pan Interes – oznajmia Gregory.

Pan Interes miauczy. Althea mruczy pod nosem „cześć”, do kota i wszystkich w pokoju.

– Althea się tu przekima – informuje Matilda.

– Jak ty to robisz, kierowniczo? – pyta Kaleb. – Idziesz wynieść śmieci i wracasz do domu z dziewczyną, która nie ma gdzie się zatrzymać.

– Mam wyjątkowy dar.

Salon może i jest duży, ale trudno to stwierdzić przy takiej liczbie ludzi i gratów. Są tu komiksy, stare kasety VHS, które walają się na podłodze między kanapą a telewizorem; kable do gier wideo i zestawu stereo leżą splątane. W oknie wiszą odwrócone bukiety suszonych kwiatów. Ogromny doniczkowy fikus góruje nad fotelem, w którym siedzi Ethan. Na stoliku tkwi pełna petów wielka jak talerz popielniczka i wszyscy tu mają puszki Natural Ice. W kącie pokoju stoi werbel i oparta o niego gitara akustyczna. Na ustawionym obok telewizora stole krawieckim znajduje się stara

maszyna marki Singer i pikowane pudełko, z którego wylewają się nici, guziki i skrawki materiału. Nad kanapą wisi gobelin i portret jakiegoś świętego. Althea zatrzymuje na nim wzrok.

– To święty Kajetan – tłumaczy Matilda. – Patron bezrobotnych.

– Nie miałam pojęcia, że bezrobotni mają swojego patrona.

– Wszyscy mają swojego patrona – mówi Leala. – Wiedziałaś, że święty Jerzy jest patronem chorych na syfilis?

– Taa – rzuca Gregory. – To dlatego Ethan co wieczór zapala mu świeczkę.

Kaleb kręci głową.

– Błagam cię, żeby złapać syfa, trzeba się z kimś przespać. Ethan może być spokojny, nigdy nie będzie musiał się modlić do świętego Jerzego.

– A ty do kogo się modliłeś, jak złapałeś wszy łonowe? – odgryza się Ethan.

Gregory zanosi się śmiechem, podczas gdy Leala mierzy swojego chłopaka wściekłym wzrokiem.

– Złapałem to cholerstwo w kiblu – oburza się Kaleb. – Skarbie, to było, zanim cię poznałem.

– Nie odzywaj się do mnie. I wyłącz pauzę, żebym mogła skopać ci tyłek.

– To było chamskie, Ethan – mówi Kaleb. – To było nie w porządku.

Ethan chichocze bez cienia skruchy.

– Wiesz, co możesz zrobić, jak ci się nie podoba.

Leala i Kaleb wracają do gry, Gregory kontynuuje swoją rozmowę z Panem Interesem – „Jesteś moim kiciusiem? Oczywiście, że tak” – a Ethan podnosi komiks. W przeciwieństwie do niego pozostali mieszkańcy prawie nie zwrócili uwagi na Altheę. Może się przyzwyczaili? Może Matilda bez przerwy kogoś przyprawdza?

– Zanieśmy twoje rzeczy na górę – mówi. – Pewnie jesteś wykończona. Z resztą spotkasz się jutro.

– Z resztą? – pyta Althea. Próbuje wyobrazić sobie jeszcze więcej osób stłoczonych w tym zagraconym, brudnym domu.

– Tworzymy tu coś w rodzaju trupy aktorskiej. Potrzebujemy tylu lokatorów, ilu uda nam się znaleźć, żebyśmy mogli opłacić czynsz. Ethan i Gregory dzielą pokój; z reguły śpią w nim na zmianę. Kaleb i Leala też mieszkają w jednym pokoju. Jest kilka osób,

które kimają w salonie albo gdzie popadnie. Masa ludzi przewija się przez ten dom. Masz dużą rodzinę?

– Jestem jedynaczką.

– Przyzwyczaisz się. Mam na myśli chaos. Na razie możesz spać w moim pokoju.

Althea nawet nie gasi światła. Pada twarzą na łóżko i obejmuje rękami poduszkę, która pachnie jak wypalone zapałki. Jej kołdra leży na tylnej kanapie samochodu, ale i tak zasypia, zbyt zmęczona, by się tym przejmować.

* * *

W Wilmington łatwo było zapomnieć, gdzie się zasnęło. Tak często nocowała u Olivera, a on u niej, że rozpoznawała miejsce dopiero po alarmie budzika. Oliver wolał rozdzierający uszy dźwięk dzwonka, ona lubiła przytomnieć przy kojących dźwiękach radia. Jednak gdy po raz pierwszy budzi się w domu Matildy, nie czuje się zagubiona. Na dole słyhać głosy; Althea rozpoznaje niektóre z nich. Leala i Kaleb zachowują się najgłośniejszy, pochłonięci burzliwą dyskusją, czy na Święto Dziękczynienia powinni rozdawać w parku tłuczone ziemniaki, czy pieczone bataty.

W porównaniu z panującym na dole bałaganem, pokój Matildy urządzone w stylu minimalistycznym. Nie ma tu stosów ubrań, książek czy stert płyt CD, które grożą rozsypaniem. Jedyne ściany – ściany to zupełnie inna historia. Wszystkie pomalowano zieloną farbą tablicową i pokryto nazwiskami i numerami telefonów, prowizorycznym kalendarzem, na którym zaznaczono dni gotowania, zbierania pieniędzy za czynsz i wydawania posiłków, notatkami, czyja kolej na kupowanie papieru toaletowego i kiedy Pan Interes ostatnio był szczepiony. Jest tu też seria list: „Zespoły, które mogą zagrać na zbiórce pieniędzy”, „Ludzie, do których powinnam zadzwonić”, „Ludzie, którym wiszę kasę”. Na ostatnich dwóch wiele nazwisk się powtarza. Wokół list zapisano teksty piosenek i cytaty z filmów; Althea rozpoznaje tylko nieliczne. Kilka notatek zapisano innym kolorem i pismem; są wśród nich zagadkowe wiadomości: „Powiedzieć Steve’owi, żeby nie spisywał mnie na straty”; „Non excidet”; „Gdzie jest knedel?”.

Althea próbuje je rozszyfrować, gdy słyszy ciche pukanie i do pokoju wślizguje się

Matilda z dwoma kubkami kawy. Jeden z nich wręcza Althei. Jest na nim cytat z Szekspira: „Nic nie jest dobre ani złe, to myśl czyni je takim”. Uchwyt ma wyszczerbiony. Althea pociąga solidny łyk i wzdryga się.

– Tak, wiem – mówi Matilda. – Stawia na nogi. Chodź, zapalimy.

Prowadzi Altheę do łazienki, gdzie odkręca prysznic i siada na podłodze, opierając się o wannę.

– To niezły patent. Wypełniasz pomieszczenie parą, która otwiera płuca, i dopiero wtedy zapalasz papierosa. To jak naszprycować się nikotyną. – Pospiesznie zwija skręta i liże bibułkę spiczastym różowym językiem. Chwilę później wyjmuje ze stojaka na gazety najnowszy numer „Post” i kartkuje go, aż znajduje stronę z horoskopem. – Spod jakiego jesteś znaku?

– Spod Bliźniąt. – Althea zapala marlboro.

Matilda ma drobne stopy o idealnych palcach, jak u lalki. Temperatura w łazience rośnie, lustro zasnuwa się parą.

– Zobaczmy. Co powiesz na to? Przebyłaś długą drogę, dziecinko, więc odpręż się i zrelaksuj. Z księżycem w Saturnie twoja sytuacja finansowa nie wygląda dobrze, ale na szczęście, spotkasz bandę obiboków, którzy nigdy nie płacą za jedzenie. Zapytaj kogoś, jak przedstawia się sprawa parkowania naprzemiennego.

– Tam jest napisane coś innego.

– Ale wymyślanie horoskopu jest dużo fajniejsze.

– Jak przedstawia się sprawa...

– Nie mam zielonego pojęcia. Zapytaj Kaleba. – Matilda stuka cienkim papierosem o deskę klozetową.

– Od jak dawna tu mieszkasz?

– W tym domu? Kilka lat. Odkąd rzuciłam college. To dzięki Ethanowi, jego mama była konsygnatariuszem, niech Bóg ją błogosławi. Sąsiedzi patrzą na nas krzywo, ale płacimy czynsz na czas i staramy się hałasować wyłącznie w weekendy. Chociaż pewnie nie odzyskamy kaucji.

– Dlaczego rzuciłaś college?

– College to bzdura – mówi Matilda. – Większość z nas nie ukończyła żadnego college’u. Mało tego, większość z nas nie ma nawet prawdziwej pracy, a jednak sobie

radzimy.

Althea patrzy na czarną pleśń rosnącą pod deską sedesową.

Ktoś puka do drzwi.

– Co wy tam robicie, do cholery? – To chyba Ethan.

– Odpieprz się, stary, jesteśmy zajęte! – krzyczy Matilda.

– Pospieszcie się, czeka nas gotowanie. Jest pieprzone Święto Dziękczynienia, pamiętacie? – Nawet przez drzwi słysząc, że jest poirytowany.

– Olej tego Pana Poważniaka – Matilda szepcze do Althei.

Ethan puka znowu, tym razem mocniej.

– Nie odleję się do zlewu tylko dlatego, że prowadzicie w łazience szczerą rozmowę. A jedzenie nie jest...

– Tak, tak, wiem. Chryste Panie! – Matilda dźwiga się z podłogi, wyciąga rękę i pomaga wstać Althei. – Idziesz dzisiaj na ten swój zwiad?

Ethan po raz kolejny wali do drzwi.

– Może zamiast tego znajdziesz mi jakąś robotę? – mówi Althea.

* * *

Althea siedzi w pokoju gościnnym i pochylona nad wiadrzem obiera ziemniaki. Do pokoju wchodzi Pan Interes i miauczy na nią, jego ogon wygina się w powietrzu jak ruchomy znak zapytania. Kot wskakuje na kanapę i ugniata pazurami jej udo.

– Gdzie śpisz, kocie? Masz swój kącik w wannie czy co? – pyta Althea.

– Śpi z Gregorym – oświadcza Ethan, który wchodzi do pokoju z nożykiem do obierania. Jest wyższy, niż wydawał się ubiegłego wieczora, kiedy siedział skulony na fotelu; wyglądająca spod puchowych włosów twarz upstrzona jest piegami, podobnie jak ramiona i szerokie w stawach palce, jak Olivera. Chłopak przegania kota, siada obok Althei i bierze ziemniaka.

– Pomyślałem, że razem pójdzie nam szybciej – mówi. Kiedy porusza palcami, ścięgna w jego rękach są widoczne do tego stopnia, że Althea wyobraża sobie, iż mogłaby je szarpnąć jak struny gitary.

– Każda pomoc się przyda.

Przez chwilę pracują w milczeniu. W świetle wpadającym do środka przez zaciągnięte zasłony widać, że ktoś na zakurzonej ekranie napisał palcem „Pieprzcie się”. Szare wypukłe szkło zniekształca ich odbicia. Z kuchni po drugiej stronie domu słychać muzykę, śmiech i od czasu do czasu krzyk, gdy ktoś oparzy się o gorący garnek. Ale Althea siedzi w salonie, jak zwykle dobrana w parę. Ethan wyciąga rękę i bierze następnego ziemniaka. Jego skóra pachnie cytryną.

– Chodzisz do liceum, tak? – Obiera ziemniaka z zawrotną prędkością; najwyraźniej ma w tym dużą wprawę.

– Chodziłam.

– Już nie chodzisz?

– Wyrzucili mnie – odpowiada Althea.

Do wiadra trafia długi jak wstążka obierek. Ethan podnosi wzrok.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście. A ty?

– Nie powinnaś kończyć szkoły? – Wrzuca ziemniaka do miski i sięga po następnego.

– A ty nie powinnaś mieć pracy?

Odpowiedź nadchodzi po chwili.

– Mam dwadzieścia lat.

– Skończyłaś liceum? – pyta Althea, wściekle operując nożem.

– Oczywiście.

– Cóż, ty masz dwadzieścia lat, a ja siedemnaście, ty ukończyłaś liceum, ja nie, a jednak oboje siedzimy tu i obieramy pieprzone ziemniaki.

– Taa – rzuca Ethan. – Chyba masz rację.

Drobiny kurzu tańczą w promieniach słońca. Nadgarstek Althei pulsuje bólem. Od samego trzymania wilgotnego ziemniaka robi się jej niedobrze. Tylko kawa Matildy trzyma ją na nogach.

– Zajmuję się wyprowadzaniem psów – oznajmia Ethan.

– Słucham?

– Wyprowadzam psy. Czasami za pieniądze wyprowadzam psy sąsiadów. Czasami pracuję jako ochotnik w schronisku dla zwierząt, wyprowadzam psy, które całymi

dniami siedzą w budach.

– Można tak? Tak po prostu wyprowadzać psy?

– Większość psów, które tam trafiają, to mieszańce pitbuli, uliczne kundle albo psy wystawiane do walk. Są zmalretowane, płochliwe i niedożywione. Gryzą i nikt ich nie chce, i w większości przypadków zostają uspione. Ale od czasu do czasu trafia się taki, po którym od razu widać, że nie jest bezpański. Nawet jeśli nie ma identyfikatora, wiadomo, że ktoś będzie go szukał. Jest zbyt przyjazny i zbyt dobrze wygląda. Patrzysz na niego i wiesz, że ktoś odchodzi od zmysłów, rozwiesza ulotki, chodzi po okolicy i woła go po imieniu. – Ethan wrzuca do miski kolejnego ziemniaka. Obraca w dłoniach nóż do obierania i patrzy na Altheę.

– Porównujesz mnie do psa? – pyta Althea.

Chłopak wskazuje ostrzem wiadro z obierkami.

– Widzimy to bez przerwy, kiedy rozdajemy jedzenie. Nazywamy ich „bezdolnymi z platynową kartą”. Latem zjeżdżają tu dzieciaki z Westchester, mieszkają na ulicach, żebrzą o drobne na alkohol, a kiedy robi się zimno, wracają do domu, do rodziców...

– Rozumiem. Bezdolni z platynową kartą, to naprawdę pomysłowe. Dzięki za zrozumienie i uroczą analogię do bezpańskich psów. – Althea chwytą wiadro i miskę i idzie do kuchni.

– Słyszałem, że masz samochód – mówi Ethan.

– I co z tego? – Althea zatrzymuje się w drzwiach.

– Kto płaci ubezpieczenie?

Cios ziemniakiem w głowę bolałby pewnie jak jasna cholera i Althea ma ochotę uderzyć go centralnie w grzbiet nosa, zrzucić mu okulary i podbić przynajmniej jedno oko. Jest Święto Dziękczynienia; prędzej czy później będzie musiała zadzwonić do ojca i znowu mu nakłamać, powiedzieć, że pomaga Alice przygotowywać nadzienie z chleba kukurydzianego i pilnuje, żeby indyk nie wyszedł za suchy. Pamięta bitwę na popcorn z Oliverem i jak Garth zszedł, żeby ją zakończyć. Garth ze swoimi niewyczerpanymi zapasami opowieści historycznych i idealnie wypastowanymi butami; stojący nad grillem z ogromnym metalowym widelcem, którym próbuje wyciągnąć hamburgera spomiędzy rozżarzonych węgielków; Garth, który bez skrępowania opowiada chichoczącym studentom o seksualnych praktykach starożytnych Greków,

a nie potrafi porozmawiać z własną córką o podobnych, choć znacznie ważniejszych sprawach. Kim jest ten koleś z haczykowanym nosem, by rozmawiać z nią o jej ukochanym, choć niedoskonałym ojcu, który opłaca ubezpieczenie jej samochodu, ale jest tak zakrecony, że miałby trudności z podaniem marki i modelu?

Pan Interes opiera łapki na jej udzie, zatapia pazury w dżinsie i się przeciąga.

– Twoja pieprzona matka płaci moje ubezpieczenie – rzuca Althea.

– Jesteś czarująca. – Ethan sięga po leżący na stoliku komiks i siada skulony w fotelu. – Nie zapomnij zapytać Kaleba o parkowanie naprzemienne.

W kuchni Gregory tańczy z Matildą, nucąc pod nosem Toma Waitsa, Kaleb sieka cukinię, a Leala płucze w zlewie marchew.

– Tańcząc z Matildą, ta-ańcząc z Matildą, ty również zatańcz z Matildą – śpiewa Gregory, wirując po całej kuchni.

Na podłodze stoi kilka ogromnych garnków do gotowania bulionu. Ściany pokryte są samoprzylepną okleiną w statki kosmiczne; na drzwiach lodówki wiszą zrobione polaroidem zdjęcia przyjaciół, opatrzone imionami i datami. Pod ścianą tkwi zniszczona kanapa w kwiecisty wzór. Na wciśniętej w kąt szafce ekspres do kawy i garnek do gotowania ryżu świecą czerwonymi diodami. Niższa półka zavalona jest kubkami, miskami i pałeczkami do jedzenia.

– Matilda jest oskarżoną, zabiła około setki ludzi i pójdzie wszędzie tam, gdzie ty. – Bosonoga Matilda wiruje w tańcu. Piosenka zwalnia, a chwilę później nabiera tempa i po raz ostatni słyhać refren.

– Kurwa! – krzyczy Kaleb. Rzuca nóż na deskę do krojenia i spogląda na swój kciuk.

– Nic ci nie jest? Daj, zobaczę. – Leala podciąga roletę, by wpuścić do kuchni trochę światła.

– Nie zapaprałeś krwią cukinii? – Matilda uwalnia się z uścisku partnera. Bierze miskę ziemniaków i zostawia zdenerwowaną Altheę z pustymi rękami.

– Twoja pieprzona cukinia jest cała. To ja...

– Nie zachowuj się jak dzieciak – mówi Leala. – Chryste, potrzebujesz plastra. To wszystko.

Kaleb trzyma rękę nad głową i razem wychodzą z kuchni. Porzucona cukinia leży na

stole. Althea podnosi nóż i opłukuje ostrze.

– Dokończę za niego – mówi.

* * *

Kilka dni później w drodze do Nathan's Althea znajduje za wycieraczką jaskrawopomarańczowy mandat za nieprawidłowe parkowanie.

– Co to za gównno?

– Mówiłam, żebyś zapytała o parkowanie – odpowiada Matilda. – Co to? – Wodzi palcem po rysie, którą klucz Jasona pozostawił na lakierze.

– To długa historia.

Mimo panującego chłodu jedzą, idąc promenadą.

– Myślałam, że jesteś wegetarianką – mówi Althea.

– Najlepsze w byciu wegetarianinem jest to, że od czasu do czasu zjesz trochę mięsa.

– Tamci są chyba innego zdania.

– Nie mów nikomu o naszym małym wypadzie. Ethan zrobi mi wykład o chowie przemysłowym, a Leala będzie gadała w kółko, że nie pozbędę się hot-doga z okrężnicy aż do trzydziestki, chyba że zapłacę komuś dwieście dolców za wypłukanie go ze mnie węzłem ogrodowym. – Matilda popija napój. – Trudno tak bardzo się czymś przejmować i wkładać w to tyle wysiłku. Za każdym razem, gdy rzucam palenie, jest tyle roboty i za każdym razem, gdy popełniam błąd, czuję dreszcz emocji, bo najzwyczajniej w świecie przestaje mi zależeć. Czasami dobrze jest mieć wszystko gdzieś. – Bierze kolejny kęs hot-doga. – Pamiętasz, kiedy jako dziecko wspinałaś się na zjeżdżalnię tylko po to, żeby odwrócić się i zjechać tyłem? Nie wiem, czy ma to jakiś sens.

– Ma – mówi Althea.

Matilda kończy hot-doga i skręca papierosa. Poza sezonem, gdy wszystko tu jest pozamykane, Coney Island przypomina plan zdjęciowy, pełen potencjalnej energii i pogrążony w bezruchu. Niebo nad ich głowami jest ciężkie i szare. Althea nie może uwierzyć, że Ocean Atlantycki zaledwie kilka kroków dalej to ten sam, w którym

pływała, będąc w domu – dawno, dawno temu.

– Zabawne – mówi Matilda. – Kot przyszedł do domu za Gregorym aż ze stacji metra. Gregory nie chciał go wpuścić, sama rozumiesz, był przybłądą, nie wiedzieliśmy, gdzie się wcześniej podziewał. Ale zwierzak siedział na ganku, miauczał i drapał w drzwi, wskakiwał na parapet, żeby zajrzeć do środka, aż w końcu Gregory powiedział: „Cóż, wygląda na to, że ma w tym jakiś interes”. Tak oto staliśmy się posiadaczami kota imieniem Pan Interes.

Althea wskazuje woreczek tytoniu w kieszeni Matildy.

– Mogę spróbować?

– Jasne.

Althea wyciąga z kartonowego pudełeczka cienką bibułę, trzyma ją między kciukiem i palcem wskazującym i kładzie na niej solidną porcję tytoniu.

– Nie tak dużo – upomina ją Matilda.

Althea chowa część tytoniu z powrotem do woreczka, resztę rozkłada równomiernie w zagięciu bibułki. Chwyta końce palcami, zwija papier w ciasny rulonik i paznokciem kciuka tworzy równe zagięcie.

– Rozmawiałam z Valerie – mówi Matilda.

– Och. – Spuszczając głowę, Althea przeciąga językiem po cienkim pasku kleju i dociska bibułę. Spogląda na swoje dzieło i kręci głową.

– Na początku lepiej używać dwóch bibulek. Wtedy jest bardziej ubity.

Althea wyciąga z paczki dwie kolejne bibułki, rozkleja pierwszego papierosa i zaczyna od nowa.

– Co ci powiedziała?

– Może zamiast tego ty powiesz mi, co się stało?

– Chcesz zobaczyć, czy historie się pokrywają?

– Tak.

Żeby opowiedzieć swoją wersję wydarzeń, Althea wraca wspomnieniami do nocy, gdy opiekunka, która miała zająć się Oliverem, nawaliła. Prawdę powiedziawszy, nie pamięta tego, ale zna tę historię z relacji Gartha. Jak Nicky stała na progu w dżinsowej kurtce z naszywkami nieznanymi hardcorowych zespołów, z paznokciami pomalowanymi czarnym odpryskującym lakierem i prosiła sąsiada, którego prawie nie

znała, żeby zaopiekował się jej synem, gdy ona będzie w pracy. Althea stała ukryta za odzianymi w sztruks nogami ojca, patrząc, jak Oliver wita się z Garthem i przedstawia się jak miniaturka dorosłego człowieka. Nie poświęca zbyt wiele uwagi kolejnej dekadzie i niemal od razu przechodzi do choroby Olivera i tego, jak wpłynęła na jej uczucia, a także serię niepowodzeń, która nastąpiła później. Nie pomija części związanej z Cobym, choć trudno jej przypomnieć sobie szczegóły wydarzeń na korytarzu; pamięta to jak przez mgłę, jakby robiła to pod wpływem alkoholu. Jedyne, co może powiedzieć, to: „I wtedy moja głowa eksplodowała”. Jest pewna, że relacja Valerie była bardziej dokładna. Wraz z końcem opowieści udaje jej się stworzyć coś, co przypomina papierosa, którego zapala z wielką ulgą.

– To chyba tyle. Wydaje mi się, że podałam więcej szczegółów niż Val.

– Mówią, że diabeł tkwi w szczegółach – odpowiada Matilda.

– W tym przypadku chyba tak.

– To był pomysł Ethana. Z początku byłam przeciwna, ale miał rację.

– Nie lubi mnie – stwierdza Althea.

– Polubi. Dlatego chciał to zrobić teraz. Zanim zapomnimy, że nie zawsze tu byłaś. Lubimy spontaniczność, nie niespodzianki. Musiałam mieć pewność, że to, co wydarzyło się w Karolinie Północnej, nie przywlecze się za tobą aż tutaj.

– Nie szuka mnie policja. To, że wyrzucili mnie ze szkoły za pobicie kolegi, nie jest powodem do dumy, ale nie jestem przestępczynią. Wiedziałam, że robię źle, ale nie mogłam przestać. – Wskazuje papierosem żółty kartonik z resztkami hot-doga Matildy.

– Wyobraź sobie, co czujesz, będąc wegetarianką i jedząc hot-doga. Pomnóż to uczucie przez milion. To jak wchodzenie na zjeżdżalnię tylko po to, żeby za chwilę ruszyć w dół tyłem. Chyba taka właśnie jestem. Jestem renegatką. Zjeżdżam tyłem.

Matilda drży i podciąga kolana pod brodę.

– Valerie powiedziała, że Coby sam się o to prosił. Powiedziała, że musiałas mieć powód, i wygląda na to, że faktycznie go miałaś. Dlatego nie wystawiłam twoich rzeczy przed dom. Ale chcę, żebyś wiedziała, że jeśli kiedykolwiek podniesiesz rękę na któregokolwiek z mieszkańców...

– Nie podniosę. Obiecuję...

– ...wyniesiesz się, zanim zdążysz powiedzieć „wegańskie curry”. A co z twoimi

rodzicami? Ostatnie, czego mi trzeba, to wkurzony dorosły na progu domu.

– Tym akurat nie musisz się martwić. Sama się tym zajmę.

– Podoba ci się tu?

– Tak – przyznaje Althea.

Zanim Matilda zrobi jakikolwiek ruch, Althea wie, że za chwilę zostanie przytulona. Szykuje się na fizyczny kontakt i pozwala Matildzie się objąć. Odwzajemnia uścisk i obejmuje drobną blondynkę.

– I co ty na to? – pyta Matilda. – Masz w tym jakiś interes?

1. Chia Pet – rzeźba z gliny (zwykle w kształcie głowy) posypana nasionami chia (szaławii hiszpańskiej), które rosnąc, przypominają włosy. [\[wróć\]](#)

Rozdział 11

Oliver nie może się poruszyć.

Ma otwarte oczy. Albo tak mu się wydaje. Ale to dziwne, bo choć leży na brzuchu, obejmując poduszkę, której cienka jak papier poszewka szeleści mu w dłoniach, widzi szpitalny pokój – biurko z second handu, niskie obrotowe krzesło i białe drzwi, które się uchylają, gdy na nie patrzy. Nie, coś tu jest nie tak. Próbuje odwrócić się na drugi bok, ale nie może.

No, dalej.

Daje za wygraną i zamiast tego skupia się na swoim lewym ramieniu. Próbuje wyciągnąć je spod poduszki, nawet na chwilę nie spuszczać wzroku z drzwi, choć wie, że twarz ma wciśniętą w materac. Ramię ani drgnie, ale drzwi otwierają się nieco szerzej. *Co jest, kurwa?* Dla odmiany koncentruje się na nodze – *To nic wielkiego, kiedyś robiłem to cały czas* – i znowu nic się nie dzieje.

Ratunku! Krzyczy, tyle że z jego gardła nie dobywa się żaden dźwięk. *Stello, jesteś tu?*

Logika podpowiada mu, że śni, ale Oliver wie, że tak nie jest. Nie może się ruszać ani mówić, ale nie ma wątpliwości, że leży obudzony w szpitalnym pokoju; oksymetr, który siostra Stella założyła mu na palec, wciąż jest na swoim miejscu, gumowa opaska uciska go w pierś, a elektrody kleją się do skroni. Drzwi uchylają się o kolejne kilka centymetrów i choć nie widzi, co się dzieje na korytarzu, słyszy krótką wymianę zdań między lekarzami i pielęgniarkami, i ich kroki, gdy mijają pokój nieświadomi jego cierpienia.

Wyduje z siebie niski gardłowy pomruk. To nie sen, ale Oliver wie, co powinien zrobić w takiej sytuacji; ma świadomość, że gdyby potrafił zmusić swoje struny głosowe do wydania choćby jednego dźwięku, czar pryśnie, a on odzyska kontrolę nad własnym ciałem. Dlatego sięga ręką do gardła i próbuje – wystarczy najmniejszy dźwięk. I choć robi wszystko, jak należy, nic się nie dzieje. Czuje, jak ogarnia go panika, myśli, że może został sparaliżowany albo że zapadł w śpiączkę – wciąż

przecież nie udowodniono, że ludzie w śpiączce są nieświadomi swojego otoczenia; być może słyszą wszystko, co dzieje się dookoła. Czy gdzieś o tym nie czytał? Bezgłośny jęk nasila się, Oliver po raz kolejny próbuje poruszyć rękami i nogami i teraz na dobre zaczyna panikować, bo skąd lekarze i pielęgniarki będą wiedzieli, że się obudził, jeśli nie zdoła im o tym powiedzieć? Jak długo będzie tu leżał, uwięziony we własnej głowie, odcięty od układu nerwowego, jak ten facet w teledysku Metalliki o żołnierzu, który stracił wszystkie kończyny i nos, i uszy, i...

I nagle jest już po wszystkim. Jego strach ulatuje przez usta wraz z jednym, samotnym krzykiem i Oliver siedzi i dyszy; serce wali mu tak mocno, że bawełna koszulki drży jak szalona. Drzwi do pokoju są zamknięte, tak jak zostawiła je Stella, kiedy otulała go do snu. Nie jest pewien, czy rzeczywiście śnił, ale to bez znaczenia, bo panika była prawdziwa. Zrywa elektrody i oksymetr, zdejmuje koszulkę i wyswobadza się z wielkiej gumowej opaski. Jest przekonany, że widzą go w kamerze i że ktoś z lekarzy lub pielęgniarek przyjdzie, żeby wysłuchać jego raportu, ale nie chce tu zostać choćby chwili dłużej. Ubiera się w pośpiechu i zataczając się, wychodzi z pokoju prosto do świetlicy.

Gdziekolwiek nie spojrzeć, widać świąteczne ozdoby – przyklejoną do ścian podniszczoną czerwoną lametę, stojącą na parapecie elektryczną menorę, zwisające z sufitu papierowe płatki śniegu. Telewizor jest wyłączony, pierwszy raz, odkąd Oliver pamięta. Powód jest oczywisty i wywołuje uśmiech na jego twarzy. Pokój jest pusty, jeśli nie liczyć Kentucky'ego, który leży wyciągnięty na kanapie i czyta książkę. Jest tak zaabsorbowany, że nie widzi Olivera, dopóki ten nie pochyliła się nad nim i nie szepnie: „Cześć”.

- Idź do diabła – warczy Kentucky, kładzie na piersi otwartą książkę.
- Taa, jak sobie chcesz.
- Witaj z powrotem.
- Jak długo...
- Jakies cztery tygodnie – mówi Kentucky.

Oliver wzdycha.

- To znaczy, że Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie...
- Skończyły się.

– A sylwester?

– Było blisko, ale zdążyłeś. Zostało ci nawet kilka dni.

– Gdzie wszyscy? – pyta Oliver.

– Niektórzy dalej śpią, pozostali poszli gdzieś z nauczycielem.

– A ty czemu nie poszedłeś?

– Postanowiłem poczytać. – Kentucky podnosi książkę Howarda Zinna *People's History of the United States*.

Oliver siada na swoim ulubionym krześle w kącie przy oknie. Jest dopiero późne popołudnie, ale słońce już stacza się za linię dachów New Jersey, zmieniając wody rzeki Hudson w płynny ogień.

– Kiedy się obudziłeś?

– W ogóle nie zasnąłem – mówi Kentucky. – Dasz wiarę? Nie miałem ataku. Przez kilka dni byłem jedyny. Miałem Stellę na wyłączność. Nie wiedzą, co ze mną będzie dalej. Nie mogą nic zrobić, a ja nie wiem, ile jeszcze mam czekać. Wiem tylko, że jak stąd wyjdę, zasnę, zanim mój samolot wyląduje w Louisville. Tak właśnie działa wszechświat.

– Może to koniec. Może nie będziesz miał już ataków.

Kentucky z żalem kręci głową.

– To wcale nie jest koniec. Wiem o tym. To cholerstwo drażni się ze mną wystarczająco długo, żeby to wszystko okazało się ogromną stratą czasu. Rodzice mówią, żebym wytrzymał, żebym jeszcze trochę tu posiedział i zobaczył, co się wydarzy. Dla nich tak jest lepiej. Na jakiś czas mają mnie z głowy.

Coś w jego głosie przypomina Oliverowi jego rozmowę z lekarzem i ostrzeżenie o innych skutkach ubocznych KLS, które zdarzają się między atakami – napadach złości, depresji. Doktor Curls nazwał to uczuciem beznadziei. Oliver widzi je teraz u swojego nowego przyjaciela.

Zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, w drzwiach staje Stella z kartą pacjenta w dłoni. Ma na sobie kraciaste tenisówki. Delikatny złoty łańcuszek okala jej długą, idealną szyję. Oliver nie sądzi, żeby kupiła go sama, więc do głowy przychodzą mu rozmaite scenariusze – odziedziczyła łańcuszek po ukochanej babci, która na łożu śmierci wcisnęła jej go w dłoń, gdy przez krótką chwilę były same, żeby jej siostry nie

były zazdrosne, i Stella przez wiele lat trzymała go w tajemnicy, zakładając jedynie do pracy, gdzie nikt się nie domyślał, jak bardzo jest ważny; albo to prezent od byłego chłopaka, który podarował go jej tuż przed tym, jak rozjechali się do college'ów, a potem nagle zmarł z powodu dziwnej choroby i choć i tak nic by z tego nie wyszło, Stella wciąż idealizuje chłopaka, który dla niej już zawsze pozostanie uroczym osiemnastolatkiem, dlatego nie potrafi pokochać nikogo innego i postanowiła zostać pielęgniarzką...

– Cześć, Oliverze – mówi i Oliver zapomina resztę historii, zanim jeszcze nabiorą kształtu w jego głowie. – Witamy z powrotem. Jak się czujesz?

– Chyba dobrze. Tęskniłaś za mną?

Stella się uśmiecha.

– Lekarz chce cię zobaczyć.

– Jasne. – Patrzy na Kentucky'ego, który wrócił do czytania książki. – Nigdzie nie idź.

– To raczej mało prawdopodobne.

Wychodząc ze świetlicy, zatrzymuje się przy sofie i szepcze tak cicho, że tylko Kentucky jest w stanie go usłyszeć: – Nie zrobiłem niczego głupiego, prawda?

– Jeśli zsiakałeś się na podłogę w czyjejś obecności, nic mi o tym nie wiadomo.

* * *

Sposób, w jaki lekarz siedzi za biurkiem, przypomina Oliverowi pilota w kokpicie, który spogląda na świat, jakby posiadał dar widzenia przez ściany, co dzieje się w pozostałej części szpitala, a nawet dalej, w mieście. Ostentacyjnie otwiera teczkę z nazwiskiem Olivera i przegląda kilka ostatnich kartek, choć zdaniem Olivera robi to dość pobieżnie. To oczywiste, że wie wszystko, co trzeba, by przeprowadzić tę rozmowę.

– A więc, Oliverze, jak się czujesz?

– Jestem trochę zeszywniały.

– Wiesz ile czasu minęło, odkąd rozmawialiśmy po raz ostatni?

– Mniej więcej miesiąc. Nie licząc tego, co być może mówiłem podczas... no, wie

pan.

– Nie liczyłbyś tego?

– Nie. I jeśli nie ma pan nic przeciwko, wolałbym nie wiedzieć, ile tego było.

– Oczywiście. To również zależy wyłącznie od ciebie. Jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć? Coś, co zauważyłeś? Coś niezwykłego? Wiem, że niewiele pamiętasz, jeśli w ogóle coś pamiętasz, ale pomyśl o nas jak o detektywach, których widzisz w telewizyjnych serialach. Najdrobniejszy szczegół może okazać się niezwykle ważny, nawet jeśli tobie wydaje się bez znaczenia.

– Nic nie przychodzi mi do głowy – mówi Oliver. Nagle jedyne, czego chce, to wrócić na świetlicę do Kentucky'ego.

– Jesteś pewien? Nic a nic?

– Przykro mi, doktorze. Nic a nic.

– Jest coś, co chciałbyś wiedzieć? Chcesz mnie o coś zapytać?

– Chcę tylko wiedzieć, co teraz. Zrobiłem, co miałem zrobić, żeby dostarczyć wam danych. Co teraz mam robić?

– Co tylko chcesz – mówi lekarz.

– A jeśli będę chciał wrócić do domu?

– Oczywiście, możesz wrócić do domu, Oliverze. Możesz wrócić do domu, kiedy tylko będziesz chciał. Udział w tym projekcie jest dobrowolny. Jesteś tu, ponieważ chcesz tu być. Kiedy zmienisz zdanie, będziesz mógł zadzwonić do mamy, a ona przyjedzie i zabierze cię do domu.

– Naprawdę?

Lekarz śmieje się, głośno i szczerze.

– Nie przetrzymujemy cię tu wbrew twojej woli.

Nagle Oliver czuje się jak głupek. To nie tak, że myślał, że mogliby go zatrzymać, gdyby chciał opuścić szpital. Gdy teraz o tym myśli, właściwie nie wie, w co tak naprawdę wierzył. Nie wie nawet, czy na pewno chce stąd odejść.

– Ale bardzo byś pomógł, gdybyś zechciał tu zostać jeszcze przez jakiś czas – ciągnie doktor Curls.

– Pomógł komu? – pyta ostro Oliver.

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

– Chodzi o to, że siedzę tu od prawie dwóch miesięcy. Robię wszystko, o co mnie prosicie. Miałem nawet atak w bardzo odpowiednim momencie. A pan powtarza, że nie możecie nic dla mnie zrobić. Z całym szacunkiem, doceniam, że większość z tego, co tu robicie, to badania, ale przyjechałem tu, żeby pomóc sobie. Nie czasopismom medycznym.

Lekarz sili się na współczucie i mija chwila, zanim jego twarz na powrót zmienia się w pełną empatii maskę.

– Wiem, że jesteś sfrustrowany, Oliverze. Rozumiem to; naprawdę. Ale musisz wiedzieć, że będąc tu i pozwalając nam przeprowadzać badania, pomagasz również samemu sobie. Nadal daleko nam do zrozumienia KLS. Na tym etapie każda terapia byłaby eksperymentalna.

– Na przykład?

Lekarz ze znużeniem masuje grzbiet nosa.

– Istnieją dowody, że leczenie pacjentów litem może zmniejszyć częstotliwość ataków i sprawić, że są krótsze.

Oliver pochyla się.

– A więc istnieje terapia. Dlaczego pan o niej nie mówił? Dlaczego jeszcze jej nie wypróbowaliśmy?

Lekarz wzdycha. Zamyka teczkę Olivera i odkłada ją na bok, by nic nie leżało między nimi na biurku. Cała troska znika z jego twarzy, a to, co ją zastępuje, nie jest nieprzyjemne, ale równie zmęczone i niezadowolone, jak sam Oliver. Doktor Curls zamierza rozmawiać z nim jak z dorosłym, nie jak z pacjentem, ale jak z człowiekiem, i Oliver wyczuwa okazję, która nieprędko się powtórzy.

– Proszę – mówi. – Proszę. Tylko bez ściemniania.

– Żeby lit zadziałał, musiałbyś przyjmować go cały czas. Niektóre efekty uboczne mogą być...

– Bez ściemniania – powtarza Oliver.

Lekarz kiwa głową i uśmiecha się słabo.

– Przyrost wagi. Drżenie rąk. Drganie powiek. Ciągłe pragnienie. Zawroty głowy. Zaburzenia mowy. Łuszczyca. Wypadanie włosów. Senność. To tylko niektóre z bardzo długiej listy. Kiedy już zaczniesz go przyjmować, kiedy poziom litu we krwi wzrośnie,

nie będziesz mógł przestać, nie bez trwającego kilka miesięcy odwyku. Nie wiemy nawet, czy to coś pomoże. Gdybyś się jednak zdecydował, powinieneś porozmawiać o tym z mamą. Wiem, czego naprawdę ode mnie chcesz, Oliverze; może nawet bardziej niż lekarstwa. Chcesz, żebym zajrzał w głąb twojej głowy i zrozumiał, dlaczego coś takiego przytrafiło się akurat tobie. Ale ja nie wiem. Próbuję, naprawdę się staram. Ale wciąż nie wiem. – Lekarz, który w programie BBC wydawał się taki pewny siebie, jest równie przygnębiony jak chłopiec, którego zawiódł.

Oliver czuje, że ogarnia go wściekłość; kielkuje w jego trzewiach i rozlewa się po całym ciele, sprawiając, że huczy mu w głowie.

– Przebyłem szmat drogi, żeby tu przyjechać. Zostawiłem mamę, przyjaciół i szkołę, bo miałem dość bycia dziwolągiem chorującym na rzadką chorobę, a pan mi mówi, że jedyne wyjście to stać się jeszcze większym dziwakiem?

– Oliverze, wiem, że chcesz być jak inne dzieciaki w twoim wieku...

– Nie chcę być jak inne dzieciaki! Inne dzieciaki to dupki! Ale mam dość udawania, że to wszystko to tylko drobna niedogodność, która rujnuje moje pieprzone życie.

– Moglibyśmy spróbować litu. Możliwe efekty uboczne są... właśnie tak... możliwe.

– Dlaczego mówił pan, żebym nie tracił nadziei, choć już wtedy pan wiedział, że jej nie ma? – krzyczy Oliver i wybiega z gabinetu.

Rozdział 12

Althea śpi teraz w kuchni.

Choć kwiecisty materiał jest wyblakły i poplamiony, a poduszki wytarte i ubite, kuchenna kanapa stała się jej ulubionym miejscem w domu. W nocy ludzie wchodzą i wychodzą, żeby wziąć miskę ryżu albo piwo z lodówki, ale nieustające hałasy z pokoju gościnnego są tu stłumione, dzięki czemu Althea może swobodnie spać. Szum urządzeń i utrzymujący się zapach ostatnio ugotowanych potraw, świecąca godzina na zegarze cyfrowym na piekarniku – wszystko to niesie pociechę.

Wiedziała, że nie może bez końca mieszkać w pokoju Matildy, ale nie miała ochoty szukać sobie innego miejsca. Później, kiedy spędziła kilka nocy, budząc się przy wtórce parzenia kawy, wśród promieni słońca oświetlających statki kosmiczne na prowizorycznej tapecie, obie dziewczyny doszły do milczącego porozumienia. Matilda wprowadziła się z powrotem do swojego pokoju, a Althea zajęła jej miejsce i ułożyła ubrania na półce w spiżarni, pod pudełkami z płatkami śniadaniowymi i puszkami fasoli. W podziękowaniu narysowała przyjaznego pterodaktyla na ścianie pokoju Matildy.

Kilka dni po Święcie Dziękczynienia zadzwoniła do Gartha i oznajmiła, że zamknięcie w głębi lądu na płaskowzgórzu nie jest tak nieznośne, jak się obawiała, że odkryła papryczki chili i pracuje nad poprawą przepisu na *huevos rancheros*, że Alice jest denerwująca, ale pełna dobrych chęci i przez większość czasu pochłonięta różnymi sprawami. Dorzuciła kilka komentarzy na temat czekającej ją długiej podróży i niby przypadkiem zauważyła, że dopiero przyjechała, a już trzeba będzie wracać, na co Garth sam zaproponował, żeby została dłużej, jeśli oczywiście chce i jeśli Alice nie ma nic przeciwko. Althea zapewniła go, że Alice na pewno się zgodzi, i ustalili, że Althea zostanie z nią na święta, a tuż po Nowym Roku pojedzie z Garthem do Meksyku. Wiedziała, że Alice nie zadzwoni do Karoliny Północnej, więc mogła ciągnąć swój podstęp tak długo, jak długo meldowała się Garthowi, może nawet przez całe ferie. Althea nie myśli z wyprzedzeniem – to działka Olivera – dlatego każdego dnia pyta

siebie, co w tej sytuacji zrobiłby Oliver, jak on by to rozegrał. Po tej rozmowie dzwoniła jeszcze kilka razy, żeby opowiedzieć Garthowi, jak to coraz lepiej radzi sobie na raketach śnieżnych, i zachwycać się bajecznymi zachodami słońca w Nowym Meksyku, zmniejszając częstotliwość rozmów, w miarę jak Garth był coraz bardziej pochłonięty końcem semestru i przygotowaniem do wyprawy do Meksyku. Z początku gratulowała sobie tak bystrych machinacji, ale zbliżało się Boże Narodzenie, a jej telefony do szpitala nie przynosiły rezultatów, więc zaczęło ją nękać przeświadczenie, że być może skończy jej się czas.

Ale czas działa inaczej. W pierwszych tygodniach po incydencie z Cobym była to pierwsza rzecz, o jakiej myślała tuż po przebudzeniu – oczy kolegów z klasy, zdumienie na twarzy Coby'ego, ból w ręce. Nie czuła się winna, raczej zaskoczona, że coś takiego w ogóle się wydarzyło, no i upokorzona, bo stało się to na oczach wszystkich. Tygodniami budziła się i zawstydzona krzywiła twarz. Jednak tego ranka już się nie krzywi, ma jedynie ochotę na kawę.

Przeciągając się, kopie kogoś; ciężar przenosi się na drugi koniec kanapy.

– Przepraszam – mówi i siada.

Spod koca widać miedziane włosy Ethana. Chłopak mruczy coś pod nosem. Althea widzi jedno piegowate ramię, a zaraz potem drugie i zaspaną twarz z odcisniętymi śladami poduszki.

– Moje okulary. Widziałaś gdzie moje okulary?

Otulona kołdrą od Alice, podnosi je z kuchennego blatu.

– Co ty tutaj robisz? – pyta.

– Sorry. Gregory jest w łóżku, a Kaleb śpi w moim fotelu. Pokłócił się z Lealą o jakąś głupią grę w ryzyko. Wstałem, żeby umyć zęby, a kiedy wróciłem, już spał. Przepraszam, że tak się wepchnąłem, ale to było jedyne wolne miejsce w domu. – Ethan pieczołowicie wyciera okulary rogiem pasiastej brązowej kołdry.

Althea nalewa im kawy.

– Nawet nie zauważyłam.

– Prędzej czy później człowiek przyzwyczaja się do hałasów i śpi jak suseł. – Chłopak dmucha na kawę i ostrożnie upija pierwszy łyk. Althea opróżnia swój kubek w kilku łykach.

– Chryste – mówi Ethan. – Nie wiedziałem, że można tak szybko wypić kawę.

– Tak robią ludzie, którzy za wszelką cenę chcą dostać zawału – odpowiada Althea, szukając w szafce czystych ubrań.

Na górze Pan Interes wychodzi z łazienki, podążając za drobinkami kociego żwirku, które przykleiły się do stóp Althei. Althea bierze prysznic z zamkniętymi oczami, by nie widzieć poczerwiałych fug między kafelkami i brudnego osadu na dnie brodzika. Gdy szuka po omacku szamponu i mydła, stojących na parapecie, spleśniała zasłona prysznicowa ociera się o jej nogę i dziewczyna odpycha ją, wzdrygając się z obrzydzeniem. Szybko namydla udo w miejscu, gdzie zetknęło się z materiałem, to samo robi z łydką, delikatną kostką i zrogowaciałą skórą stopy. Nagle uświadamia sobie, że skoro to jej stopa, ona ponosi za nią odpowiedzialność; ona jedna odpowiada za te guzowate kolana i obgryzione paznokcie, które wydają się takie delikatne.

– Althea. To ty? Mogę wejść się wysikać? – krzyczy z korytarza Matilda i puka do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, wchodzi do łazienki i siada na sedesie.

Althea zakręca wodę i wyciąga rękę poza budzącą grozę zasłonę.

– Podaj mi ręcznik – prosi.

* * *

Tego wieczoru Gregory, który marzy o karierze komika, upiera się, żeby przeciwżyć swój skecz przed publicznością. Ethan czyta skulony w fotelu, Leala i Kaleb próbują osiągnąć kolejny poziom w *Chrono Trigger*, a Matilda siedzi przy maszynie do szycia i stara się przerobić przydużą koszulkę Metalliki na dopasowany top wiązany na szyi. Reszta domowników – drobny perkusista, który pracuje jako kelner w pobliskiej restauracji i wiecznie żuje laskę cynamonu, koleś, który rzucił Uniwersytet Columbia, mając przy sobie jedynie kartę MetroCard i plecak pełen skarpet, wylewny tatuator z przekłutym językiem i wyszczerbionymi zębami – pałęta się po domu, przeglądając magazyny i gazety wykradzione ze śmietnika sąsiadów w poszukiwaniu ogłoszeń o darmowych wydarzeniach odbywających się w pięciu okręgach Nowego Jorku.

Althea siedzi na podłodze przy kanapie; wyjada z miski brązowy ryż polany olejem sezamowym i sosem sojowym. Siedzący obok kot próbuje uszczknąć coś dla siebie.

Ponieważ Gregory jest zagorzałym fanem powieści fantasy, jego skecze pełne są gryfów i wilkołaków. Kiedy zmierza do puenty, awatar Leali ginie i dziewczyna rzuca padem o podłogę, o mało co nie trafiając Pana Interesa.

– Chodźmy na dwór. Zróbmy coś – mówi.

– Masz ochotę na bzykanko? – pyta Kaleb.

– Byłem w połowie pieprzonego kawału – wtrąca poirytowany Gregory.

– Wstawajcie. Wszyscy. Ty też, Ethan. – Leala pochyla się nad nim i delikatnie wyjmuję mu z dłoni książkę. – Czy to nie piątkowy wieczór?

– Nie chcę – mówi Ethan.

– Słyszałeś, co powiedziała – odzywa się Kaleb. – Wstawaj. Wychodzimy.

– Po co? Nie mamy pieniędzy.

– Pieniądze?! Pieniądze?! – krzyczy Leala. Razem z Kalebem osaczają Ethana na fotelu. – Pieniądze są dla ludzi, którzy je mają! Odkąd to potrzebujemy pieniędzy, żeby się dobrze bawić? Wystarczy dobre nastawienie. Gdzie twoje dobre nastawienie, Ethan?

– Jest zimno...

– Chyba, kurwa, kpisz. – Kaleb kręci głową. – Jest zimno? Poważnie?

– Co robimy? – pyta Matilda, rozpruwając koszulkę nożykiem do przecinania szwów.

– Jeszcze nie postanowiłam – mówi Leala.

Perkusista, koleś, który rzucił studia, i tatuator stoją w drzwiach.

– Wychodzimy? – pyta tatuator.

Jedna połowa osób w pokoju mówi „tak”, druga odpowiada, że nie. Kaleb zaczyna się rozbierać.

– Daj spokój – rzuca Ethan. – Musisz zawsze rozbierać się bez powodu?

Kaleb rozpina pasek spodni.

– Rozbieram się, żebym mógł przywalić ci w pysk kutasem.

Althea wybiera z miski ostatnie ziarenka ryżu.

– Myśleliście kiedyś, żeby pobawić się w wyzwania? – pyta.

Oczy wszystkich zwracają się w jej stronę.

– A niech to – mówi Kaleb, który ma na sobie wyłącznie bokserki. – Ona umie

mówić.

– Wyzwania? – pyta Leala. Ona i Kaleb wymieniają pożądliwe spojrzenia. – Niech ktoś przyniesie mi kawałek papieru.

* * *

Kilka godzin później wstawiona Althea siedzi okrakiem na ogromnym brązowym byku w wymarłej dzielnicy finansowej i żeby nie spaść, trzyma go za róg, podczas gdy Matilda robi jej zdjęcia polaroidem. Oślepią blaskiem flesza Althea mruga wściekle, mroźny zimowy wiatr wyciska łyżę z jej oczu. Tyłek ma skostniały od siedzenia na pomniku przez ostatnie pięć minut i czekania, aż Matilda znajdzie aparat w torbie pełnej zdobyczy. Ze studzienek włazowych unosi się para, ulice są puste, jeśli nie liczyć ich towarzyszy, którzy, wyjąc i wrzeszcząc, pociągają z butelek St. Ides, ukrytych w papierowych torbach – „pijackich sakiewkach”, jak nazywa je Gregory.

– Tu jest naprawdę jak w Gotham City, co nie? – Ethan pomaga jej zsiąść z byka.

Ręce Matildy, podobnie jak jej stopy, są delikatne i drobne. Żeby nie upuścić butelki, trzyma ją oburącz. Kiedy podnosi ją do ust, wygląda jak stuknięty dzieciak.

– Dobra robota, Bliźniaku. Możemy skreślić to z listy.

– Co teraz?

– Jesteśmy przy czwartym przystanku – mówi Dennis, tatuator. – Możemy podjechać do Astor Place i obrócić kostkę ¹.

– Tak – woła Matilda. – Chodźmy, chodźmy, chodźmy! – Rzuca się biegiem w kierunku zielonej kuli nad stacją metra. Wszyscy idą za nią. Kocie łby pod stopami Althei są bezlitosne.

Żadna ilość entuzjazmu nie jest w stanie przyspieszyć przyjazdu metra. Stacja jest równie wyludniona, jak ulice nad ich głowami i mogą jedynie czekać, obsesyjnie zerkać na zegar i pić. Matilda, Gregory i Dennis naradzają się nad pozostałymi wyzwaniem na liście, Althea krąży nerwowo po peronie, a Ethan wychyla się i zagląda do tunelu z nadzieją, że dostrzeże nadjeżdżający pociąg.

– Mógłbyś tego nie robić? – pyta Althea. – Stoisz za blisko krawędzi. Denerwuje mnie to.

Ethan odstawia butelkę i wskazuje na tory.

– Nic nie jedzie. Wielka mi sprawa. – Dla podkreślenia macha rękami jak dyrygent w fosie orkiestrowej.

– Wracaj tu!

– Wszystko w porządku, mówię ci. – Ogromny szczur przebiega przez tory obok stopy Ethana, wlokąc za sobą połówkę bajgla. – Chyba jasno się wyraziłem.

Czując nagłe zawroty głowy, Althea siada na ławce i patrzy, jak Ethan podciąga się i staje na peronie. Z udawanym zainteresowaniem przygląda się porzuconemu numerowi „Daily News”, kiedy siada obok niej. Althea kartkuje gazetę. Choć liga bejsbolowa dawno temu zakończyła już rozgrywki, rubrykę sportową zdobi zdjęcie New York Yankees cieszących się ze zwycięstwa w meczu finałowym MLB. Nieco dalej Matilda zaczyna histeryzować z powodu straty czasu. Gregory trzyma ją za ramiona i próbuje uspokoić.

– Nie chcę przegrać! Nienawidzę, kurwa, przegrywać! – Głos Matildy niesie się echem po pustej stacji.

– Przepraszam, że zachowałem się jak dupek – Ethan zwraca się do Althei.

– Kierowniczka kazała ci to powiedzieć? – Althea kiwa głową w stronę blondynki prowadzącej monolog o zaletach bycia zwycięzcą.

– Ona nie kontroluje wszystkiego, co robię, wiesz?

Althea zastanawia się nad tym, co właśnie usłyszała.

– Długo ją znasz? – pyta.

– Chyba tak długo, jak wszystkich. – Ethan pociąga z butelki i podaje ją Althei. Dziewczyna upija łyk zwietrzałej whisky słodowej i wierzchem dłoni ociera strużkę, która ścieka jej po brodzie. Smakuje jak stacja benzynowa, na której ją kupili.

– To ja założyłem brookliński oddział. Idę o zakład, że nie miałaś o tym pojęcia. Pewnie myślałaś, że to ona. – Althea milczy. – To nie ona. Tylko ja. To ja znalazłem dom. Ja założyłem oddział. Później ona rzuciła Vassar College i się wprowadziła.

– Chcesz powiedzieć, że przejęła władzę?

– Nie – mówi Ethan. – Potrzebowałem pomocy. A ona jest w tym dobra. Pewnie nawet lepsza niż ja. Ale ona... Pamiętasz dzień, kiedy pierwszy raz przyszedłaś do parku? Już wtedy wiedziałem. Od chwili, kiedy podeszłaś do stolika, wiedziałem, że

zamieszkaś z nami. To była z jej strony głupota.

– Wielkie dzięki – mówi Althea, opróżniając butelkę.

– Ludzie to nie koty. Nie można ich tak po prostu przygarniać. Jesteśmy po to, żeby wydawać posiłki. To nie w porządku. Jesteś młodą, ładną, białą dziewczyną, więc wracasz z nami do domu. Wszyscy inni dostają jeść i odchodzą tam, skąd przyszli. –

Bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze. Tusz z gazety pobrudził Althei palce, więc wyciera je o nogawki dżinsów, niemal prześwitujących na kolanach. Ethan czyści okulary rękawem koszulki, a ona patrzy na jego niebieskie oczy, które bez szkielek wydają się niewidzące, i na twarz, dziwnie pustą i niekompletną.

– A wiem – ciągnie Ethan, zakładając okulary na nos i spoglądając na nią – że nie jesteś przybłądą.

Nadjeżdżający pociąg dudni w tunelu niczym nabierający rozpędu pomruk burzy. Althea zaczyna się podnosić, ale Ethan chwyta ją za łokieć.

– Jedzie z przeciwnego kierunku – mówi.

Wydaje się, jakby dźwięk dobiegał zewsząd.

– Skąd wiesz? – woła dziewczyna, kiedy kolejka wjeżdża na stację. Hamulce reagują z metalicznym piskiem; Althea zatyka uszy, ale Ethan dotyka jej ramienia.

– Nie rób tego! – krzyczy. – Wyglądasz jak turystka.

Niemal pusty skład staje, drzwi otwierają się i zamykają. Nikt nie wsiada ani nie wysiada. Chwilę później pociąg odjeżdża z rozdzierającym uszy skrzypieniem.

– Skąd wiedziałeś? – pyta Althea, kiedy peron na powrót pogrąża się w ciszy. – Skąd nadjeżdża?

– Po prostu wiem.

Althea zdziera paznokciem etykietkę St. Ides.

– Dlaczego Matilda przyjęła mnie do domu?

– Kiedy byliśmy w liceum, Matilda postanowiła, że nie będzie należeć do żadnej grupy. Kumplowała się z punkami, ludźmi ze swojego kwartału, miała znajomych, którzy pracowali w teatrze, i takich, którzy zrywali się z zajęć, żeby brać kwas w Washington Square Park. Nie wiem, po prostu lubi kolekcjonować ludzi. Byłaby świetnym politykiem. Ale, wiesz, jest naprawdę super. Nie przygarnęłaby cię, gdyby cię nie lubiła. – Po raz kolejny zerka na gazetę. – Wiesz, dlaczego tak bardzo

nienawidzę Yankees? Bo nawet w grudniu trafiają na pierwsze strony działu sportowego. Jakby ich pieprzony sezon nie miał końca.

– Gadasz jak zgorzkniały fan Metsów.

– Fani Metsów są zawsze zgorzkniali.

– Nie cierpię, gdy fani Metsów narzekają na Yankees – mówi Althea. – Masz w mieście dwie drużyny. Mogłeś wybrać tę, która zawsze wygrywa. Ale tego nie zrobiłeś. Więc przestań jęczeć. To cena, jaką płacisz za kibicowanie słabszemu.

– Pochodzę z Queens. Nie kibicuję Metsom, bo tak chciałem.

– To znaczy, że gdybyś mógł wybierać, wybrałbyś New York Yankees?

– Oczywiście, że nie.

– Więc bądź cicho.

Pachnący stęchlizną wiatr wpada do tunelu i szeleści kartkami „Daily News”. Matilda krzyczy z radości.

– Teraz jedzie nasz pociąg – mówi Ethan. – Chodźmy.

* * *

Po obróceniu kostki na Astor Place, odbiciu techniką frotazu tabliczki przed Eleventh Street Baths – „Łaźnia jako punkt zwrotny w historii?”, spytała Althea, zachęcając Ethana do krótkiego wykładu – i ukończeniu kolejnych zadań, z których każde zostało udokumentowane przez zdeterminowaną Matildę, zmęczona drużyna wraca do domu Wojowników. Docierają na miejsce o brzasku, zanim słońce wzniesie się nad Coney Island.

Druga drużyna – Kaleb, Leala, perkusista i koleś, który rzucił studia – jeszcze nie wróciła. W domu wita ich Pan Interes, który skubie nogawkę dzinsów Gregory’ego, podczas gdy Matilda opróżnia w pokoju gościnnym zawartość torby.

– Kurwa! – krzyczy. – To znaczy, że oni nadal tam są i zdobywają punkty, kiedy my siedzimy tu i czekamy!

– Prawdę mówiąc – odzywa się Ethan – to znaczy, że utknęli w pociągu D.

– Jest coś, co moglibyśmy zrobić przed wschodem słońca? – pyta Dennis. – Coś z listy, co moglibyśmy zrobić w domu?

Matilda przegląda pozostałe przedmioty.

– Jak myślicie, co składa się na „radikalną zmianę wyglądu”?

– Nowy tatuaż? – pyta ochoczo Dennis.

– Nie mamy na to czasu – mówi Matilda, patrząc na Altheę. – Posłuchaj, Bliźniaku. Musimy obciąć ci włosy.

– Słucham? – pyta Althea, chwytając w dłonie czarne kosmyki.

– Zdobędziemy mnóstwo punktów – tłumaczy Matilda. – To da nam prowadzenie. Zapewni zwycięstwo.

– Musisz to zrobić dla drużyny – mówi Althei Dennis.

– To moje pieprzone włosy! – krzyczy Althea, cofając się.

– I tak masz odrosty! Wyglądasz jak skunks. Posłuchaj, czasem trzeba odciąć palec, żeby uratować rękę. – Matilda grzebie w pudełku do szycia, szukając nożyczek.

– Albo, jak w tym przypadku, włosy. Trzeba obciąć włosy, żeby ocalić rękę! – krzyczy Gregory.

– Fakt, odrosty wyglądają fatalnie – przyznaje Ethan.

– Z twoimi kośćmi policzkowymi i długą szyją będzie ci ładnie w krótkich włosach – przekonuje Matilda, zmieniając taktykę. – Dobra, chodźmy na górę! Zaraz wzejdzie słońce. Nie mamy zbyt dużo czasu.

– Skunksowe włosy – mruczy pod nosem Dennis.

Wszyscy czworo stają wokół Althei, Matilda ze szczękiem otwiera i zamyka nożyce, wszyscy syczą jak skunksy – „Psssssss” – i krzyczą, że zwycięzcy muszą być gotowi ponieść ofiarę i zapłacić cenę za zwycięstwo. Zna tych ludzi ledwie od miesiąca, a oni ją osaczają, Matilda złowrogo wymachuje nożyczkami, gotowa ją oskalpować, byle tylko wygrać, i Althea zadaje sobie pytanie, czy powinna się bać. Wyobraża sobie nagłówek na pierwszej stronie „Post” – *Uciekiniarka z domu zamordowana przez brooklińskich obiboków* – i zamieszczony pod spodem krótki artykuł, pełen statystyk dotyczących ucieczek wśród młodzieży i kłopotów, w jakie się pakują, przyjeżdżając do Nowego Jorku. Matilda sięga po pukiel jej włosów.

– Zabierz ode mnie te przekłete nożyczki! – krzyczy Althea. Jej lepkie od potu dłonie zaciskają się w pięści, serce wali jak szalone, gdy krąży wokół niej się zacieśnia.

– Cała ta zabawa to był twój pomysł! – krzyczy Gregory. – Nie możesz nas zawieść na końcowym odcinku!

Dennis, który z początku wydawał się taki groźny, z trzema czarnymi ptakami wytatuowanymi na szyi i grubymi, plastikowymi tunelami w uszach, zanosi się od śmiechu. Dźwięki, jakie wydaje Gregory, próbując naśladować odgłosy skunksa, są tak absurdalne, że nawet Ethan chichocze, zakrywając usta ręką, a determinacja Matildy nie jest posępna, lecz zabawna. Od razu widać, że – w swoich ubraniach z lumpeksów, w zaniedbanym pokoju gościnnym, pod przewodnictwem świętego Kajetana – nie są bandą przyszłych przestępców ani zgrają początkujących indywidualistów, ale paczką dzieciaków, które chcą się zabawić. A jednak Althea czuje, że jej nozdrza się rozszerzają; w ustach ma gorzki, metaliczny smak, który myliła ze smakiem adrenaliny, a który – teraz to wie – zwiastuje podjęcie złej decyzji. Zaciska zęby. Na krótką chwilę ogarnia ją wściekłość na nich wszystkich, jasna, gorąca i kojąca, jak gaszona na skórze zapalka.

– Nie walcz z nami – mówi Matilda. – Będzie łatwiej, jeśli nie będziesz z nami walczyć.

– Utrudniasz tylko sprawę – odzywa się Ethan.

Wyobraź sobie Miętusa, myśli Althea, wyobraź sobie Valerie i ich zazdrość, gdyby mogli zobaczyć cię wśród ludzi, którymi tak bardzo chcieli się stać, ludzi błagających cię, żebyś pomogła im wygrać.

Wyobraża sobie Olivera, który wymyślił „Imprezę na całego” i przekonał ją, żeby przestała walczyć ze wszystkimi naokoło i powiedziała „tak”. Gdyby tu był, zapytałaby go, osobę, która zna ją najlepiej: „Tak myślisz, Ol? Naprawdę myślisz, że to coś da?”. Ale jego tu nie ma i nigdy go tu nie będzie, więc zamiast pytać, Althea podejmuje decyzję.

– Dobra! – krzyczy. – W porządku! Obetnijcie mi te pieprzone włosy!

Wyobrażając sobie Olivera i idąc za jego wymyśloną radą, uświadamia sobie, że pomyślała o nim pierwszy raz od kilku godzin. Przynajmniej odkąd zaczęli zabawę w wyzwania. A wcześniej? Przecież w pewnym momencie musiała o nim myśleć.

Matilda wlecze ją na górę, sadza na sedesie i zarzuca jej na ramiona ręcznik. Gregory stoi w wannie i strzela fotki polaroidem, kiedy Matilda zaczyna ciąć. Ethan

przynosi puszkę piwa Natural Ice, żeby znieczulić pacjentkę. Althea ma nadzieję, że przyjmuje ten akt dobroci z wdzięcznością.

– Przepraszam za to, co powiedziałam – mówi, patrząc jak kosmyki włosów spadają jej na kolana. – O twojej matce.

– Wypij za to – radzi Ethan, a ona posłusznie robi, co jej każe.

1. Alamo – rzeźba na nowojorskim Astor Place. To wielka czarna kostka; każdy jej bok ma prawie 2,5 metra długości. [\[wróć\]](#)

Rozdział 13

Oliver nie jest zainteresowany.

– Dzwoni twoja mama – mówi Kentucky, stając w drzwiach.

– Powiedz jej, że jestem zajęty.

– A niby co miałbyś robić?

– Nie wiem, wymyśl coś – odpowiada Oliver.

Minutę później Kentucky wraca.

– Mówi, że jak nie podejdziesz do telefonu, wsiądzie w samolot i tu przyleci.

– Na litość boską! – Oliver wychodzi na korytarz i podnosi słuchawkę wiszącą na poskręcany srebrnym kablu. – Słucham?

– Ignorujesz moje telefony.

– Nie byłem w nastroju do rozmów. – Minęło kilka dni, odkąd się obudził, i większość czasu spędzał, czytając ten sam rozdział *Hiperprzestrzeni*, gapiąc się w sufit i robiąc wszystko, by pozostać zrędlwym wobec naprzykrzającego się mu Kentucky'ego.

– Manuel mówi, że prawie nie wychodzisz z pokoju. Mówi, że nie bierzesz udziału w grupowej terapii i nawet nie siedzisz z nauczycielem – ciągnie Nicky.

– Powiedział ci resztę? Opowiedział ci o licie?

– Wspomniał, że odbyliście burzliwą dyskusję. Oliverze, to jest właśnie to, przed czym cię ostrzegałam. Nie chciałam, żebyś się rozczarował. Ci ludzie nigdy nie obiecywali, że będą w stanie od razu ci pomóc.

– Ależ potrafią mi pomóc. Mogą nafaszerować mnie lekarstwami, aż zmienię się w powłóczące nogami zombie i nie będę w stanie sklecić prostego zdania. Jak dla mnie, to dość kiepska pomoc.

– Jeśli jesteś aż tak nieszczęśliwy, możesz zawsze wrócić do domu. Manuel wypisze ci receptę i poleci lekarza w Wilmington, który będzie cię prowadził.

– Nie zdecydowałem, czy chcę to zrobić, czy nie. – Słuchawka cuchnie środkiem czyszczącym, którego pracownicy oddziału używają do wszystkiego. Sporządzony

rzekomo ze ściśle tajnej mieszanki ziół, skoncentrowany płyn zapachem i wyglądem przypomina likier ziołowy Jägermeister, z tą różnicą, że według producenta nie zawiera substancji toksycznych. Oliverowi zbiera się na wymioty.

– Wiesz, mógłbyś spróbować – mówi Nicky. – Może nic ci nie będzie. Może nie będzie żadnych efektów ubocznych.

– To miało być to, prawda? Przyjazd tutaj był ostatnią deską ratunku. I co dostałem? Kolejne gówniane „może wolałbyś”. Nie chcę wybierać mniejszego zła. Już i tak dużo straciłem.

Rozłącza się i idzie prosto do pokoju Kentucky’ego; zastaje go w łóżku przy lekturze Noama Chomsky’ego.

– Pozwól, że cię o coś zapytam – mówi Oliver.

Kentucky niechętnie zamyka *World Orders Old and New*.

– Taa?

– Jak naprawdę masz na imię?

– Will.

– Will, co byś powiedział, gdybyśmy zrobili sobie przerwę i wynieśli się stąd w jasną cholere?

* * *

Na dworze sypie śnieg. Oliver jest zaskoczony, choć nie po raz pierwszy przespał zmianę pór roku, i po przebudzeniu nie może się nadziwić. Lekka kurtka, w której chodził w listopadzie, jest żałośnie nieodpowiednia na grudzień w Nowym Jorku i zwodniczo radosną, niemal noworoczną aurę, która sprawiła, że na ulice wyległy tłumy turystów, zmęczonych dzieciaków i niebezpiecznie pięknych kobiet w sięgających kolan kozakach; kobiet, których kości policzkowe przypominają mu Altheę. Jak na wieczór jest tu zadziwiająco jasno, światła ulicznych latarni, światła stopu i neony oświetlające bary, restauracje i sklepy zmieniają drobny śnieg w kalejdoskop migoczących metalicznych kolorów.

Dla dwóch chłopców, którzy przez ostatnie dwa miesiące praktycznie nie wychodzili ze szpitala, to trochę za dużo. Oliver prowadzi Willa ulicą jak ktoś, kto

wie, dokąd idzie. Przed nimi, jak rysunek oglądany z perspektywy, rozciąga się Broadway, zakończony jaskrawą eksplozją kolorowych świateł, tak intensywną, że niebo wydaje się jasne jak za dnia. Oliver zakłada, że to musi być Time Square i tak właśnie mówi swojemu towarzyszowi.

– Nie chcę tam iść – mówi Will. – To rozpuści nam mózgi.

– Jak chcesz – odpowiada Oliver i kieruje się na wschód, a przynajmniej ma taką nadzieję. Znajomość geografii Nowego Jorku opiera w głównej mierze na opowieściach matki i zasłonie prysznicowej z mapą metra, którą mieli przez jakiś czas, zanim spleśniała i została zastąpiona żenującą szkaradą w lamparcie cętki.

– Umieram z głodu – mówi Will, wskazując wózek z hot-dogami. – Zjadłbym jednego. Mamy jakieś pieniądze?

– Możemy prosić o dwa hot-dogi? – pyta Oliver sprzedawcę.

– Z musztardą? Reliszem?

– Niech pan zrobi takie, jakie sam by pan zjadł – prosi Will.

– Ja ich nie jem. – Sprzedawca robi ironiczną minę.

– Jak dojść stąd do Alphabet City? – pyta Oliver.

– To daleko.

– Mamy czas.

Toczący się obok autobus pokrywa reklama *Beavis i Butthead zaliczają Amerykę*. Will wskazuje na kreskówkowe postaci, czując, że spowija go ciężki, gorący koc zmęczenia.

– Którym chcesz być? – pyta Olivera.

* * *

Śnieg topnieje w zetknięciu z ulicami i chodnikami, ale zalega cienką warstwą na opasłych workach ze śmieciami, stojących przy krawężnikach.

– Ciekawe, czy już zauważyli, że nas nie ma – mówi Will. – Mam nadzieję, że nie wpakujemy Stelli w kłopoty.

– Wiesz, co jest dziwne? – pyta Oliver. – Że w ogóle mnie to nie obchodzi.

– Myślisz, że zadzwonią do naszych rodziców?

- Oczywiście, że do nich zadzwonią.
- Wyglądasz, jakbyś się nie przejmował – zauważa Will.
- Moja mama to krzykaczka. To denerwujące, ale konsekwencje są minimalne.
- A twój tata?

Oliver kręci głową.

- Jesteśmy tylko ja i mama.
- Aha.
- Tata zmarł, kiedy byłem mały. Nie odszedł od nas ani nic takiego.
- Nie musisz się tłumaczyć – mówi Will i stawia kołnierz kurtki.

Przejeżdżające pod ziemią metro wypycha przez kratkę w chodniku podmuch powietrza.

– Ludzie zakładają, że nas zostawił. Mama tego nienawidzi. Byli naprawdę szczęśliwi. Nie chce, żeby ludzie jej współczuli. I tak to robią, ale chyba jakoś inaczej.

– Przykro mi, naprawdę.

– Zabawne, matka Althei zostawiła ich mniej więcej w tym samym czasie, ale ludzie zawsze myślą, że umarła.

– Nikt nie lubi myśleć, że ich mama mogłaby ich zostawić. To zbyt denerwujące.

– Al uwielbia sprawiać, że ludzie czują się nieswojo, więc zwykle rzuca jakąś żartobliwą uwagę w stylu: „Moja mama nie umarła, po prostu przestała działać”. –

Oliver przypomina sobie, ile razy Althea wypowiadała te lub podobne słowa, by zrazić do siebie dorosłych, którzy okazywali zainteresowanie jej osobą; sięgała po ten mechanizm obronny równie chętnie, jak sąsiedzi Willa chwyтали za leżącą pod łóżkiem broń, sądząc, że w domu jest intruz.

– Jestem pewien, że twoja przyjaciółka ma wiele zalet, ale wydaje się nieźle popieprzona.

– Bo jest popieprzona – przyznaje Oliver.

– A ty? – pyta Will.

– Co ja?

– Twój tata. Czy jego śmierć też zryła ci beret?

Oliver się śmieje.

– Coś na pewno go zryło. – Przyciska palce do skroni. – Bo coś tu jest nie tak.

W miarę jak wchodzą głębiej do centrum miasta, wieczór przechodzi w noc. Po drodze mijają coraz więcej barów i pijanych ludzi. Jeśli przytłoczył ich widok Midtown, nic nie jest w stanie przygotować ich na szaleństwo sobotniej nocy w East Village. Will trzyma się blisko Olivera i razem przeciskają się wewnętrzną stroną chodnika, uważając, by nie dać się przewrócić.

Śnieg sypie teraz mocniej, a pogoda daje miejscowym imprezowiczom wystarczająco wiele powodów do podkręcania sobie obrotów. Między ludźmi wyczuwa się ekscytację, jak wtedy, gdy umiera znany muzyk, gdy zostaje wybrany nowy prezydent albo ukochana drużyna bejsbolowa zdobywa mistrzostwo. Jest to niemal namacalny przepływ energii, jakby jakieś wieści płynęły Avenue A w stronę Olivera i Willa, i choć są one przytłaczające, Oliver czuje, że lada moment te niewyobrażalne rewelacje osiągną ich i połączą go niewidzialną nicią ze wszystkimi, których mija na ulicy.

Oczywiście wie, że to nieprawda. Nie ma żadnej wieści krążącej po ulicach, tylko ogromne ilości alkoholu konsumowanego ochoczo przez dziesięć tysięcy osób, z których każda ma nadzieję, że tej nocy zaliczy kogoś w tym samym promieniu dwunastu przecznic. To jak impreza w domu u Jasona, tyle że milion razy większa; całe to pokrzykiwanie, nawoływanie i ocieranie się o siebie – wszystko z myślą, że w pewnym momencie natkniesz się na tę właściwą osobę i wówczas, jak mawia Nicky, będzie po wszystkim.

Ale pijany czy też nie, Oliver czuje to; wyczuwa ogrom możliwości i zniecierpliwienie, jak w sylwestra, gdy zegar wskazuje za pięć dwunastą i wszyscy czekają z zapartym tchem na chwilę, która zmieni coś zwyczajnego w coś wyjątkowego i zadziwiającego.

Nawet nie zdaje sobie sprawy, że przestali iść, dopóki drzwi baru karaoke nie otwierają się i pięciu podchmielonych klientów nie wychodzi na chodnik, gdzie on i Will stoją jak wryci. Z wnętrza baru dobiega refren *Build Me Up Buttercup*, entuzjastycznie śpiewany przez dziewczynę w diademie z kryształów górskich, która przyciska mikrofon do piersi. Drzwi pozostają otwarte wystarczająco długo, by Oliver mógł zobaczyć, co dzieje się w środku. Chwilę później dziewczyna w diademie i jej doprawdy koszmarny głos zostają zatrzęsnięci po drugiej stronie.

– Dziwne – mówi Oliver. – Większość tych ludzi wydaje się beznadziejna, a z drugiej strony chciałbym być taki jak oni.

– Pewnie znaleźlibyśmy ci jakiś diadem, skoro to dla ciebie takie ważne.

– Nie to miałem na myśli. – Oliver prowadzi ich obok wyjątkowo hałaśliwego baru o nazwie Doc Holliday's, w którym bawią się Anioły Piekieł ¹.

– Wiem, co miałeś na myśli – prostuje Will. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Ale byłem dziwny, jeszcze zanim zachorowałem. Nie wydaje mi się, żebym miał wiele wspólnego z tą masą ludzi, nawet gdyby mój mózg pracował, jak należy. Zresztą wygląda na to, że ty też.

– Nigdy nie byłem dziwakiem, nawet po tym, jak zacząłem chorować. Althea lubiała robić wokół siebie dużo zamieszania. Wtedy miałem do niej o to pretensje. A może tak naprawdę wyświadczyła mi przysługę. Nigdy nie przestałem być normalny.

– Wygląda na to, że oboje ubiliście główniany interes. Posłuchaj, jestem absolutnie za całą tą przygodą, ale czy moglibyśmy pójść gdzieś, gdzie jest mniej... po prostu mniej? Przez to wszystko zaczyna mi się kręcić w głowie. – Will wskazuje na otaczający ich chaos.

– Jasne. Tak przy okazji, straszny z ciebie maruda.

– Co my tu w ogóle robimy? – pyta Will.

– Sam nie wiem.

Kierują się w stronę parku po drugiej stronie ulicy, jedyne miejsce wolne od tłumów, jeśli nie liczyć bezdomnych, którzy w licznych warstwach ubrań przypominają bezkształtne tobołki.

– Moja mama mieszkała tu kiedyś – mówi Oliver.

– W parku? – pyta Will.

– Po drugiej stronie. – Oliver wskazuje głową Avenue B. – Gdzieś tam.

– Z twoim tatą?

– Najpierw z przyjaciółmi, a później, tak, z moim tatą. Mówi, że wtedy było inaczej. Bardziej niebezpiecznie. Było takie powiedzenie, które tata kazał jej zapamiętać: „Aleja A, bezpiecznie, wszystko gra, Aleja B, ostrożnie! Aleja C, coś się kroi, Aleja D, dopadną cię”. Śpiewał mi to jako piosenkę dla dzieci.

– Dokąd właściwie idziemy?

– To było dwadzieścia lat temu. Chyba nie musisz się martwić. Pewnie jest tu bezpieczniej niż w mieście, gdzie każdy ma broń.

– Nie jesteśmy bandą bezzębnych prostaków. Moja mama jest pomocą dentystyczną. Tata pracuje w firmie elektrycznej. Oboje czytają gazety. Nie hodujemy kurczaków.

Dokładnie tak wyobrażał to sobie Oliver, ale jest wystarczająco uprzejmy, żeby skłamać.

– Bardziej wyobrażałem sobie przedmieścia podobne do tych, gdzie sam mieszkam.

– Idę o zakład, że nie masz pojęcia, jak wielu twoich sąsiadów ma broń.

Oliver wyobraża sobie panią Parker, która w swojej podomce stoi na chodniku z naładowaną strzelbą i strzela do wiewiórek. Dzięki Bogu, Garth kolekcjonuje prastare artefakty; Althea jest jedną z tych osób, które nie powinny mieć dostępu do broni. W filmach dziewczyny zwykle nie potrafią zrobić z niej użytku, mierzą do kogoś, a zaraz potem zaczynają się trząść, płaczą, dają się rozbroić i na powrót stają się bezbronne. Althea... cóż, Althea bez wahania pociągnęłaby za spust.

Chociaż, po zastanowieniu, czy nie dlatego dobrze było mieć ją przy sobie? Nagle nie może sobie przypomnieć, dlaczego wściekł się tak bardzo, kiedy przed Lucky's rzuciła się na Jasona – dupek porysował jej samochód i nazwał Olivera świrem; właśnie ta złośliwa aluzja sprawiła, że chciała spuścić mu łomot. Nie, w ogóle nie pamięta, dlaczego był taki zły – pamięta tylko idealny rzut, którym posłała kluczyki Jasona między drzewa, i perwersyjną euforię, którą czuł, gdy razem z Altheą wyjeżdżali z parkingu.

– A więc jak ona wygląda? – pyta Will.

– Mówiłem ci, jest piękna. Wysoka i ma niebieskie oczy. Kiedyś była blondynką, ale zafarbowała włosy na czarno. Nie podobało mi się to.

Will zatrzymuje się.

– Zaczekaj. Ma czarne włosy? Długie czarne włosy i jasne odrosty, jak skunks?

– Tak.

– Jest wysoka, tak? Mniej więcej twojego wzrostu i wygląda trochę niechlujnie. Chodzi w puchowej kamizelce i znoszonej bluzie z kapturem, z dziurami na kciuki. Zgadłem?

– Skąd to, kurwa, wszystko wiesz?

– Miałeś rację, stary, naprawdę jest piękna.

– Skąd to wiesz? – Oliver staje jak wryty.

– Chyba przyszła cię szukać. Gdyby weszła na oddział jakieś pół godziny wcześniej, zdążyłaby z tobą porozmawiać, zanim zasnąłeś. Nie wiedziałem, kim była, wyglądała, jakby się zgubiła, jakby weszła do niewłaściwej części szpitala. Nie wierzę, że nikt ci nie powiedział.

– Stella wiedziała?

– To ona z nią rozmawiała.

– A niech mnie...

– Wszystko w porządku? – pyta Will.

– Chyba muszę gdzieś usiąść.

Po drugiej stronie ulicy jest sala bilardowa i prowadzące w dół schody.

– Chodź – mówi Will.

Okazuje się, że to centrum rekreacyjne. W rzędzie boksów przy drzwiach grupy kobiet i mężczyzn po dwudziestce grają w rozmaite gry planszowe – scrabble, chińczyka, okręty. Nieco dalej, za barem, w dużej sali widać stoły do gry w cymbergaja, kilka stołów bilardowych i strefę do gry w ping-ponga, odgradzoną od reszty białą siatką, prawdopodobnie po to, żeby zawodnicy nie musieli ganiać po całej sali za małą białą piłeczką za każdym razem, gdy ktoś zdobędzie punkt. W podziemiach nie ma okien, powietrze jest tu duszne i zastępe, jakby wszyscy mieli na sobie wilgotne kurtki. Rząd kanap oddziela stoły do bilarda od wylanej cementem sceny, na której mikrofony i gotowe do użytku instrumenty – w tym organy – czekają na kogoś, kto się nimi zajmie.

– Chcesz zagrać w ósemkę? – pyta Will.

Oliver otwiera usta, żeby powiedzieć „nie”. Samo patrzenie na wolny stół napawa go lękiem – nie dlatego, że jest kiepski, ale że jest bardzo dobry. Althea nie radzi sobie z kijem bilardowym, a do tego nie umie przegrywać. Ale zaraz; przecież jej tu nie ma.

– Jasne.

Will wygrywa walkę o rozbitcie i wbija dwie bile, podczas gdy Oliver kreduje kij i ocenia sytuację na stole. Kiedy za trzecim razem Will pułkuje, Oliver podchodzi do niego i patrzy mu w twarz, jakby chciał się upewnić, że ma przed sobą koleśia, który

godnie zniesie porażkę.

– Co jest? – pyta Will.

– Nie mrugaj, bo ominie cię to, co zaraz się wydarzy – odpowiada Oliver z uśmiechem.

Pochyliła się nad stołem i uderza, posyłając bilę z numerem trzynastym do jednej z narożnych kieszeni. Przyglądając się pozostałym bilom, okrąża stół, szukając najlepszego miejsca do kolejnego zagrania. To prosta geometria, wielokrotnie próbował tłumaczyć to Althei. Nie przeszkadza mu panujący dookoła zgiełk – stukot kul wpadających do kieszeni, plastikowy dźwięk piłeczki pingpongowej, miarowy szum pełnych entuzjazmu, zakrapianych piwem rozmów – gdy skupia się na swoim zadaniu, zdaje się zapominać o hałasie, jakby ktoś celowo ściszył głośność, by mógł się skoncentrować. Jest tylko on i sześć kul, pięć, a chwilę później cztery. Skupia się i wbija kolejne bile, jedną po drugiej.

– Ósemka do bocznej kieszeni – oznajmia. Nie podnosi wzroku znad stołu, aż będzie już po wszystkim, na wypadek, gdyby źle ocenił sytuację. Jeśli Will stoi tam wściekły, ze łzami w oczach, Oliver woli tego nie widzieć; nie chce psuć tej chwili, chciałby przynajmniej skończyć to, co zaczął. Ósemka toczy się dokładnie tam, gdzie zaplanował, z niemal telekinetyczną precyzją i Oliver prawie żałuje, kiedy bila znika w kieszeni, bo to oznacza koniec gry.

Wygrywam, myśli Oliver. Wygrywam i to nic wielkiego.

Will jest normalny, więc nie płacze, ale też nie wydaje się szczególnie zdumiony przedstawieniem Olivera i to jest przykre.

– Pięknie – mówi i zaczyna zbierać kule.

Oliver zastanawia się, czy w ten sposób Will maskuje irytację, kiedy przegrywa – udając nonszalancję. Czy nie tak właśnie robią normalni ludzie? *Jest na to określenie, myśli – zachowania pasywno-agresywne.* To coś nowego dla kogoś, kto zwykle miał do czynienia jedynie z agresją przeciwników.

Oliver grzebie w wyściełanych skórą kieszeniach stołu, wyjmując kolejne bile i toczy je w stronę Willa. Zapomniał już, jak bardzo lubi ich chłodny ciężar i ich połysk w świetle przysłoniętych abażurami lamp. Wśród zgromadzonego pod sceną małego tłumu wybucha radosna wrzawa. Ludzi na kanapach jest dwukrotnie więcej niż jeszcze

chwile temu, a stojący za nimi goście zasłaniają Oliverowi prowizoryczną scenę. Najwyraźniej publiczność doczekała się swoich faworytów.

– Zwycięzca rozbija – mówi Will i zdejmuje trójkąt.

– Jasne – zgadza się Oliver. Opierając kij, myśli o wywołanym litem drzeniu rąk i powiek. Dwa miesiące temu, gdyby lekarz zaproponował mu podobną terapię, zgodziłby się bez wahania, przekonany, że nie ma nic do stracenia. Teraz wygląda na to, że może stracić znacznie więcej, niż się spodziewał.

– Co jest? – pyta Will.

– Co byś dał, żeby to powstrzymać?

– O czym ty mówisz?

– Jest coś, czego byś nie oddał?

– Moich jaj – mówi Will. – I kutasa.

– To wszystko?

– Nie wiem. Może oszczędziłbym jedno jajo. – Will nie ma ochoty być serio, więc Oliver powtarza to, co powiedział mu lekarz.

– To niesamowite – kwituje Will.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem?

– Wiesz, co jest twoim największym problemem?

– Mój pieprzony mózg? – zgaduje Oliver.

– To, że nie sposób cię zadowolić – kończy Will, kręcąc głową. – Naprawdę myślałeś, że machną magiczną różdżką i sprawią, że poczujesz się lepiej? Oczywiście, że to nie jest idealne. To zwykły eksperyment.

– To znaczy, że zamierzasz to zrobić?

– Pewnie, że tak. Jak tylko skończymy grać, wrócę tam i pozwolę im robić, co tylko chcą. Może wypiszą mi receptę i odeślą do domu?

– Ale mogą zrobić z ciebie zombie.

– Wierz mi, byłem już zombie. Jestem gotów zaryzykować i spróbować tego nowego cholerstwa. A teraz rozbijaj, żebyś mógł wygrać i żebyśmy w końcu się stąd wynieśli.

W chwili, gdy Oliver uderza rozgrywającą bilę, w sali rozbrzmiewa dźwięk organów i jeszcze zanim kule przestają obijać się o siebie, wie, że nie poszło mu najlepiej. Nie jest to faul ani ruch podlegający karze, ale traci kolejkę, a tym samym

przewagę.

Nadal jeszcze przetwarza informacje – *Organy?* – kiedy muzyka nabiera kształtu, a głos, który brzmi jak skrzyżowanie Jamesa Browna z kaznodzieją z kościoła baptystów zaczyna śpiewać, wspierany przez trzyosobowy chórek. Oliver i Will spoglądają na siebie ponad stołem.

– Gospel? – pyta bezgłośnie Oliver.

– Tutaj? – odpowiada Will, rozglądając się po sali.

Oliver nachyla się w stronę, skąd dobiega muzyka. Will kiwa głową, po czym zgodnie odstawiają kije i podchodzą bliżej, żeby mieć lepszy widok.

Jak się okazuje, rzeczywiście jest to zespół gospel, prowadzony przez ciemnoskórą kobietę w białym kostiumie i czerwonym, wyszywanym cekinami berecie. Jej towarzyszkę przypominają Oliverowi trzy kardynały, siedzące na linii telefonicznej i słuchające sensacyjnych wieści, które przepływają w drutach pod ich nóżkami. Biedny Will staje na palcach, żeby cokolwiek zobaczyć. Oliver łapie go za nadgarstek i prowadzi na przód, gdzie od razu znajdują miejsce na jednej z kanap. Większość ludzi ogląda występ na stojąco.

Kobieta w berecie śpiewa o miłości, ale nie takiej, o jakiej zwykle słyszy się w piosenkach. W tej miłości nie ma nic ulotnego; mówi o czymś, co nie przemija, kiedy kłócisz się ze swoim najlepszym przyjacielem, kiedy umiera twój ojciec, a matka wyjeżdża z miasta w poszukiwaniu przeznaczenia. Oliver przypuszcza, że kobieta śpiewa o Jezusie i choć nie nazywa Go po imieniu, powołuje się na uczucia wdzięczności, odwagi i współczucia. Chodząc tam i z powrotem przed publicznością, uśmiecha się i wybiera z tłumu pojedyncze osoby, zmieniając swój występ w rozmowę. Chudy Hindus w kapeluszu z szerokim rondem na lśniących czarnych włosach sięgających ramion przybija z nią „piątkę” i przez chwilę patrzą sobie w oczy, jakby dookoła nie było żywej duszy. Oliver domyśla się, że tych dwoje się zna, ale kobieta robi to samo z wytatuowaną dziewczyną z irokezem, która pod koniec ich spotkania ma w oczach łzy radości.

W Wilmington na koncerty punkowe przychodziły zawsze te same dzieciaki i wszystkie wyglądały tak samo, bo musiały, ponieważ tak właśnie rozpoznaje się „swoich”. Tutejsza publiczność nie ma wspólnego mianownika; nic nie wskazuje, że

należą do jakiejś subkultury. Bardziej przypomina to kult, który przyciąga do siebie ludzi, a kobieta z mikrofonem jest jego przywódczynią. Zespół Miętusa miał wprawić publiczność w katartyczne otępienie, sprawić, że głowy słuchaczy staną się jak dynie, z których łyżeczką wybrano nasiona. Tu chodzi o coś zupełnie innego. Ta muzyka ma napełnić słuchających radością. Za plecami publiczności ludzie wciąż grają w dziewiątkę i cymbergaja. Jak to możliwe, że mogą się skupić na czymś innym niż subtelny głos tej kobiety?

Zespół gra przez ponad godzinę. Will zapomniał już, jak bardzo chciał wrócić do szpitala i poddać się nieznanej terapii. Gdy kobieta zapowiada ostatni utwór, Oliver nie czuje nawet żalu; wciąż nie może uwierzyć, jak wielkie spotkało ich szczęście, że w ogóle mieli okazję jej posłuchać.

Kiedy wokalistka po raz ostatni przechadza się przed publicznością, Oliver wyciąga rękę, a ona jej dotyka. Skórę ma ciepłą, suchą i spierzchniętą. Przez kilka sekund śpiewa wyłącznie dla niego i rozbudza w nim nadzieję. „Uczucie beznadziei, tak?” – spytał lekarza i to wrażenie wciąż tu jest, ale wydaje się przezroczyście, więc Oliver widzi, co znajduje się po drugiej stronie; widzi, że ta chwila stanie się początkiem jego opowieści, *Historii Olivera 101*. I wszystko będzie dobrze – nie tu, nie teraz, ale w końcu będzie żył normalnie.

I to będzie cudowne.

Kiedy koncert dobiega końca, a zespół opuszcza scenę, zostawiając publiczność w radosnym uniesieniu, Oliver i Will rozglądają się za swoimi kurtkami.

– Nie wiedziałem, że lubię muzykę gospel – wyznaje Will.

– Dzisiejszy dzień był pełen niespodzianek.

Wychodząc z klubu, mijają parę pochyloną nad grą Candy Land. Oliver przystaje i przez chwilę się im przygląda. Zastanawia się, dlaczego dorośli ludzie grają w tak łatwą grę, która nie wymaga od nich praktycznie żadnego myślenia. Trzeba tylko wyciągać karty z talii i przesuwac pionek we wskazane miejsce, a jeśli przypadkiem przekroczy się linię mety, świadczy to o szczęściu gracza, nie jego umiejętnościach. Tych dwoje nie dba jednak o zwycięstwo; mają to wypisane na twarzach. Gra jest pretekstem, żeby posiedzieć razem, pośmiać się i napić piwa; ich stopy stykają się pod stołem, ciśnięte niedbale kurtki leżą obok na siedzeniu. Przegrany nie wpadnie w szal,

nie rzuci kuflem o podłogę i nie wyjdzie; nie zanosi się na burzliwą pijacką konfrontację, a w ich rozmowie nie ma nieprzyjemnych podtekstów. Sprawiają, że wszystko wydaje się takie proste.

– Chcę z nią porozmawiać – mówi Oliver. – Teraz.

– Więc zrób to – odpowiada Will.

Na zewnątrz wciąż sypie śnieg i ulice zdają się migotać. Oliver niecierpliwie wysłuchuje sygnału w słuchawce i kiedy już wydaje mu się, że nikt nie odbierze, słyszy zaspany głos Gartha.

– Tak?

– To ja – mówi.

– Trochę późno jak na telefon, Oliverze.

– Przepraszam, proszę pana. Nie chciałem pana obudzić.

– W porządku, nie obudziłeś mnie. Wciąż jesteś w Nowym Jorku?

– Taa.

– I co tam słyhać? – Oliver słyszy, jak Garth poprawia się na kanapie w swoim gabinecie, siada, popija drinka i przesuwa stos papierów z miejsca na miejsce.

– Nie lubię szpitali i nie ufam lekarzom.

– Wygląda na to, że wiele się o sobie dowiadujesz.

– Co rusz odkrywam coś nowego. Jak tam książka?

– Świetnie. Niedługo wybieram się na wyprawę badawczą do Meksyku. – Garth wydaje się jakiś dziwny, niezwykle wyluzowany i radosny.

– Będzie pan mieszkał w jednym z tych kurortów z kabinami plażowymi i pływającymi barami?

– Raczej w starożytnych świątyniach pośród zakurzonych manuskryptów.

Jest pijany, myśli zaskoczony Oliver. Garth Carter siedzi sam w swoim gabinecie i upija się szkocką. Garth bez przerwy coś popija, ale Oliver nigdy nie widział go pijanego.

– Czyli w przerwie zimowej znów będzie się pan bawił w Indianę Jonesa?

– Fortuna i chwała, dzieciaku. Fortuna i chwała.

Twarz Olivera wyraża zdumienie. Will macha wściekle rękami, chcąc zwrócić na siebie uwagę i dowiedzieć się, o co chodzi. „To jej ojciec, mówi bezgłośnie Oliver.

Myszę, że coś jest nie tak”.

– Tylko niech pan nie pije wody – ostrzega Gartha.

– Nie martw się, Ol. To dla mnie nie pierwszozna.

– A co w tym czasie będzie robiła Althea? – Oliver patrzy na Willa i kręci głową. Odsuwa słuchawkę od ucha. Will wciska się do budki i nachyla, żeby posłuchać.

– Pojedzie ze mną. Wyjeżdżamy po Nowym Roku, jak tylko wróci z Nowego Meksyku.

– Nowego Meksyku? Przecież nie cierpi Alice.

– Odkąd wyjechałeś, mieliśmy trochę problemów. Althea w dość spektakularnym stylu została wydalona ze szkoły i było jej naprawdę ciężko. Zaufaj mi. Najlepsze, co mogła zrobić, to na jakiś czas wyjechać z Wilmington.

Will zakrywa słuchawkę ręką.

– Może się pomyliłem – szepcze. – Może to nie była ona.

Oliver znowu kręci głową.

– Teraz na pewno wiem, że to ona. Althea nienawidzi swojej matki. – Chwilę później mówi do telefonu: – Chciałbym z nią porozmawiać. Jaki jest numer do Alice?

– Oliverze, pamiętasz tę historię o Cortésie? Jak spalił statki, którymi przypłynął do Nowego Świata, żeby wymusić lojalność na swoich żołnierzach? – Garth przemawia z przejęciem, które ciężko brać poważnie, zważywszy na jego bełkotliwy ton.

– Czy on jest pijany? – pyta bezgłośnie Will.

Oliver kiwa głową, zdumiony.

– Facet był porąbany – odpowiada Garthowi.

– Po prostu uważaj. Lojalność nie zawsze jest cnotą, o której myślimy.

– Gdyby nie Cortés, ci kolesie na dobre utknęliby w Hiszpanii, kładliby bruk albo wypasali świnie. Zamiast tego zginęli w bitwie, z kieszeniami pełnymi złota. I dali panu historię, którą może pan opisać.

– To jedna strona medalu.

– I niech pan nie zapomni kapelusza. – Po tych słowach Oliver się rozłącza. – Nie pojechała do Nowego Meksyku – mówi Willowi. – Przyjechała do Nowego Jorku, bo ja tu jestem. A skoro ja tu jestem, to ona też musi tu być.

– Zadzwoń do niego. Jeśli masz rację, jego córka zaginęła, a on nie ma o tym

bladego pojęcia.

– Nie zaginęła. Jest gdzieś tu.

– To nie skarpetka, którą gdzieś zapodziałeś.

– Znajdę ją. Jeśli znajdę, będzie znaczyło, że wcale nie zaginęła, bo jest ze mną.

– Minał miesiąc. Niby gdzie mamy jej szukać? Myślisz, że powinniśmy wrócić do parku i sprawdzić, czy nie leży pod którąś z ławek? – mówi Will.

– Myślałem, że chcesz wrócić do szpitala i postawić wszystko na jedną kartę.

– Nie wrócę tam sam. Niby co miałbym im powiedzieć? Że usłyszałeś muzykę gospel i wyruszyłeś na misję? Pomyślą, że cię zabiłem i wrzuciłem twoje ciało do rzeki. Co wcale nie byłoby takie głupie.

– Dzięki.

Will zatacza stopą łuk, rysując na śniegu rozmazany przecinek.

– No i? – pyta. – Gdzie zaczynamy?

– Jak to?

Will zapina kurtkę, poprawia czapkę i zaciera zmarznięte ręce.

– Jeśli chcesz ją znaleźć, to lepiej rusz tyłek. Zróbmy to. Chodźmy.

* * *

Oliver próbuje ze wszystkich sił nie myśleć o matce. Ciekawe, czy wie już, że nawiął ze szpitala? Czy nadal byłaby w Karolinie Północnej, gdyby wiedziała? Nicky nie należy do osób, które siedzą przy telefonie i czekają na wieści. Woli działać, choć w tym przypadku działanie oznacza przyjazd do szpitala i nawrzeszczenie na personel. Oliver ma nadzieję, że najbardziej oberwie się temu kutasowi lekarzowi.

– Robisz wszystko nie tak, jak trzeba – mówi Will, pokazując kelnerce, że chce jeszcze jedną kawę. Weszli do pierwszej lepszej taniej restauracji, żeby omówić plan działania. – Znaie się jak łyse konie. Wyobraź sobie, że jesteś w Wilmington. Gdzie najpierw byś jej szukał?

– Nigdy nie musiałem jej szukać. Mieszka na tym samym osiedlu.

– Użyj wyobraźni. Gdyby nie było jej w domu, jak byś ją odnalazł?

– Zapytałbym jej ojca.

– Próbowaleś. Skup się. Użyj wyobraźni – powtarza Will.

Oliver zamyka oczy i wyobraża sobie, że jest w domu. Gdy obudził się po ostatnim ataku, poszedł prosto do domu Althei, a zaraz potem do jedynego miejsca, które przyszło mu do głowy.

– U Coby’ego – mówi niechętnie. – Szukałbym jej u Coby’ego.

– To jej przyjaciel?

– Chyba raczej wróg.

– Ma wrogów? – Will jest wyraźnie pod wrażeniem.

– Miał coś wspólnego z tym, że wywalili ją ze szkoły.

– Zadzwoń do niego.

– Jest w Karolinie Północnej. Niby skąd miałby cokolwiek wiedzieć?

– Wrogowie wiedzą różne rzeczy.

– Ten koleś to nie Keyser Söze ².

– Po prostu zrób to.

Oliver rozgląda się po lokalu, gdzie nietrzeźwi imprezowicze powoli dochodzą do siebie nad goframi, kawą i zupą z kulkami macy. Na zewnątrz ludzie wyprowadzają psy na spacer, kupują poranne gazety i powoli jest ich więcej niż tych, którzy nie poszli jeszcze spać; znak, że kolejna piątkowa noc ustąpiła miejsca sobotniemu porankowi. Płacą rachunek i wychodzą na poszukiwanie budki telefonicznej. Wątle grudniowe słońce zalewa Avenue A perłowym, niebieskoszarym światłem, a w Północnej Karolinie dzwoni telefon Coby’ego.

– Halo? – Coby jest zaspany i wyraźnie poirytowany.

– Tu Oliver.

– McKinley. Co słychać? – mówi przez nos.

– Masz dziwny głos. Przeziębileś się czy co?

– Mam krzywą przegrodę.

– Złamałeś nos?

– Raczej ktoś mi go złamał.

To miła i zaskakująca wiadomość.

– Kto? – pyta Oliver.

– Zgaduj. Do trzech razy sztuka, ale założę się, że zgadniesz już za pierwszym.

– Znam wiele osób, które z chęcią złamałyby ci nos.
– Może, ale obaj znamy tylko jedną, która nie potrafi panować nad gniewem.
– Althea złamała ci nos? – pyta ze śmiechem Oliver. – To wiele tłumaczy.
– Rozwaliła mi wargę i podbiła oczy. Jak myślisz, dlaczego ją wylali? Nie wyrzucają ze szkoły za to, że kilka razy urwiesz się z lekcji.

– Pięknie. Co zrobiłaś, że tak bardzo się wściekła?

– To chyba nie na mnie się wkurzyła. Dalej jesteś w Wielkim Jabłku?

Oliver się krzywi. *Wielkie Jabłko*.

– Taa.

– Więc jak to możliwe, że o niczym nie wiesz? Pojechała przecież, żeby cię odnaleźć i udało jej się, nie? Podjęła żalostną, rozpaczliwą próbę, żebyś został jej chłopakiem?

Przykro się dowiedzieć, że Will miał rację i ktoś tak wstrętny jak Coby posiada potrzebne informacje.

– Powiedziała ci to przed czy po tym, jak spuściła ci łomot?

– Nic mi nie powiedziała. Ale nie sądzę, żeby pojechała do Nowego Jorku uczyć się sztuki nurkowania w śmietnikach i wydawania jedzenia bezdomnym. Zwłaszcza że tu na miejscu ma dwoje guru weganizmu. Pojechała szukać ciebie. To jedyny powód, dla którego w ogóle coś robi.

– A więc właśnie tam jest? W Bread and Roses? – Z jakiegoś powodu jest to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć: że Althea schroniła się u zupełnie obcych ludzi.

– Zaczekaj, nie wiesz nawet, gdzie ona jest?

– Myślałaś, że dzwonię, żeby usłyszeć twój głos? Odwiedziła mnie w szpitalu, kiedy byłem chory. Próbuję ją znaleźć, odkąd się obudziłem. Dzięki. Bardzo mi pomogłeś.

– Pieprzyć wszystko – jęczy Coby. – Ciebie też.

Rozmowa z Cobym przez telefon, dzięki której oszczędzono mu widoku jego zadowolonej z siebie gęby – choć może teraz wygląda nieco inaczej – sprawia, że Oliver zaczyna współczuć temu mówiącemu przez nos nieszczęśliwie zakochanemu dzieciakowi.

– Skąd wiesz, gdzie jest, skoro ci nie powiedziała?

– Dzieciaki z brooklińskiego oddziału Bread and Roses zadzwoniły do Valerie i wypytywały ją, czy zna Al... – Al? Co takiego? Oliver przestaje współczuć Coby'emu – ...i dlaczego wyjechała z miasta. Pytali, czy jest na tyle w porządku, że może z nimi zamieszkać. Valerie powiedziała, że tak, ale pytała mnie, czy jestem innego zdania.

– A ty powiedziałeś: nie?

– Nie chcę, żeby przeze mnie ją wykopali. Wygląda na to, że ją lubią. Że się z nią zaprzyjaźnili. Oczywiście, zaraz pojawisz się ty ze swoimi uroczymi dołeczkami i wszystko rozpieprzysz, ale to już twoja sprawa.

– Przykro mi, że pozbawiono cię przyjemności przebywania w jej rozkosznym towarzystwie – rzuca oschle Oliver.

– Taa, to kurewska przyjemność – warczy Coby. – Wyświadczyć nam wszystkim przysługę i raz na zawsze zostaw ją w spokoju. Niech dziewczyna poukłada sobie życie. Miętus mówił, że kiedy odjeżdżałeś, stali u ciebie na werandzie i prosili o pomoc, ale miałeś gdzieś to, że ona ma kłopoty. Może opowiesz jej o tym, kiedy znów się spotkacie?

– Byłem w drodze na lotnisko, żeby dotrzeć do pieprzonego szpitala. Nie miałem ochoty babrać się w jej gównie.

– Nie, pieprz się! Pieprz się, McKinley. Zawiodłeś ją i złamałeś jej serce, a teraz pojawisz się i będziesz jej bohaterem. To kurewsko fantastyczne. Na pewno dzięki temu się uśmiechnie, bo na pięć minut uwierzy, że wszystko potoczy się tak, jak chciała. Tyle że prędzej czy później skończycie w tym samym miejscu, bo z kimś takim jak ty nigdy nie będzie tak, jak sobie wymarzyła. Powinieneś jej o tym powiedzieć, zanim zrobi się zbyt melodramatycznie.

Oliver przyciska słuchawkę do ucha, jakby wierzył, że dzięki temu wytłumaczy Coby'emu, o co mu chodzi.

– Nie rób tego, nie mów o nas, jakbyś nas znał. I nie zachowuj się, jakby to z mojej winy Althea zrozumiała, że nie jesteś facetem z jej snów, bo nie jesteś. Nie jesteś nierozumianym bohaterem powieści Bukowskiego i jeśli wkurzyła się na tyle, żeby wylecieć ze szkoły, wygląda na to, że w końcu przejrzała na oczy i zobaczyła, jaki

jesteś naprawdę.

– Najlepsze w Althei jest to, czego nie możesz w niej znieść – ciągnie Coby, jakby w ogóle go nie słyszał. – Jesteś jak czysta kartka, którą może pomalować dowolnym kolorem. Wiesz, dlaczego nie odpuścisz? Bo potrzebujesz jej, żeby powiedziała ci, co robić. Potrzebujesz jej, żeby pchała cię do przodu, żebyś wiedział, kiedy pociągnąć. Może nie jestem facetem z jej snów, ale kiedy mnie pcha, ja robię to samo i ze złamanym nosem czy nie, powiem ci o niej jedno: Althea nie zawsze musi wiedzieć, co się wydarzy. Czasami woli nie wiedzieć. Ale proszę bardzo, zadzwoń do Val, ona poda ci adres. A kiedy spotkasz Altheę, powiedz jej, że nie chowam do niej urazy.

Satysfakcja i złość znikają, kiedy Oliver słucha, jak Coby mówi o Althei z przekonaniem i poufałością, które go przerażają. W Halloween, po koncercie w Lucky's, widział ich na parkingu, jak palili papierosy i rozmawiali w taki sposób, że można ich było wziąć za parę. Wtedy dopiero zrozumiał, jak on i Althea musieli wyglądać. Coś się później wydarzyło, coś, co nie miało z nim nic wspólnego, i choć nie jest pewien, czy chce wiedzieć, denerwuje go ta niewiedza.

– Poważnie? – mówi. – Co takiego jej zrobiłeś?

– Nic, o co by mnie nie błagała – mówi Coby i się rozłącza.

– Co powiedział wróg? – pyta Will.

– Miałeś rację. Wrogowie wiedzą dużo więcej.

– W takim razie lepiej się pospieszmy i ją znajdziemy. – Will przestaje się uśmiechać, figlarność znika z jego twarzy. Patrzy na Olivera z bolesną powagą. – Chyba robię się zmęczony.

1. Hell's Angels Motorcycle Club – nazwa międzynarodowego klubu motocyklowego. [\[wróć\]](#)

2. Kultowy antagonistą w 'Podejrzanych' Bryana Singera. [\[wróć\]](#)

Rozdział 14

Matilda budzi Altheę, odrzucając z niej kołdrę i rozsuwając kuchenne zasłony.
– Wstawaj, Bliźniaku! – Klaszcze w dłonie.

– Nie klaszcz na mnie – mruczy Althea.

– Wstawaj, seksowna zdiro. – Althea się nie rusza. – No już! – krzyczy Matilda. – To będzie najwspanialszy dzień naszego życia. – Mówi to codziennie rano. Jeśli nie ma kaca.

Althea nalewa sobie kawy i idzie za Matildą na górę, żeby jak co rano wypalić w łazience papierosa. Ethan jest w drodze z łazienki do swojego pokoju. Wokół bioder ma zawiązany ręcznik i ocieka wodą. Nie jest wychudzony, jak mogłoby się wydawać, choć skórę ma tak bladą, że prawie przezroczystą. Bierze bez pytania kubek Althei i wypija połowę jego zawartości.

– Dzięki – mówi.

Kiedy odchodzi, Althea przygląda się mięśniom jego pleców.

– Wiem – mówi Matilda, kiedy siedzą w łazience przy wtórze szumu wody. – Jego ciało jest jak ukryty skarb. Raz na jakiś czas robię mu pranie, więc mogę sprawić, że wszystkie jego koszulki się skurczą.

– Nie patrzyłam na jego...

– Taa, jasne.

Matilda opiera głowę o wannę; Althea siedzi pod drzwiami, obie wyciągają nogi, a ich bose stopy niemal dotykają się na środku pomieszczenia. Z zapleśniałych listew przypodłogowych emanuje ciepło. Matilda wskazuje stopą Altheę, która robi to samo, aż stykają się brudnymi palcami.

– A więc dziś jest ten wielki dzień, tak? Jesteś podekscytowana? – pyta Althea.

– Tak. Dziś jest ten dzień.

Choć koniec roku dopiero jutro, przyjaciele Wojowników już dziś po południu zaczną zjeżdżać na Szampańskie Derby – coroczną imprezę sylwestrową. Derby zaczynają się wyprawą do sklepu monopolowego i zakupem rozmaitych win

musujących, tańszych niż osiem dolarów. Impreza co roku kończy się rzyganiem i skrajnym nieszczęściem, ale do tego czasu zabawa jest tak przednia i szalona niczym taśmowy przenośnik śmiechu i dobrego samopoczucia, dostarczający rozrywki szybciej, niż może zarejestrować ludzki mózg, że warto wziąć w niej udział nawet za cenę, jaką przyjdzie zapłacić nazajutrz.

Święta upłynęły w spokoju, prawie jakby ich nie było, a mieszkańcy domu niechętnie odwiedzali swoje rodziny. Matilda zaproponowała Althei, żeby pojechała z nią do Queens, ale ta odmówiła, tłumacząc, że miło będzie choć raz mieć cały dom wyłącznie dla siebie. Tymczasem pusty dom okazał się nie do zniesienia – upiornie cichy i klaustrofobiczny, jakby spękane ściany i brud zewsząd na nią napierały; nawet Pan Interes zaszył się w szafie. Zadzwoiła do Gartha, żeby życzyć mu Wesołych Świąt, zmyśliła listę prezentów, które dostała od Alice, i wycieczkę do gorących źródeł. Była tak samotna, że zadzwoniła do Alice, ale w Taos nikt nie odbierał telefonu.

W końcu podjęła decyzję – po raz pierwszy sama pojechała metrem na Manhattan i poszła na koncert dla osób w każdym wieku, w ABC No Rio, z nadzieją, że znajdzie pocieszenie, gdy ściśnięta pod sceną, mokra od potu obcych ludzi, będzie robiła uniki przed ich pięściami i łokciami. Show przyniósł jednak rozczarowanie, publiczność nie dopisała, przez co nie było szans na porządny młyn pod sceną – ot, garstka straight edge’owców z ogolonymi głowami, stanowiących zagrożenie dla reszty publiczności.

Zapewniono ją, że sylwester to będzie dopiero coś.

– Odbijesz sobie święta – obiecał jej Gregory.

– Dziwnie się czuję – mówi Althea.

– Dlaczego?

– Nie będę nikogo znała.

– Nie bądź idiotką. Miesiąc temu nas też nie znałaś.

– Dziwnie brzmi, kiedy tak mówisz.

– Jak to jest? Pierwszy sylwester z dala od domu? Z dala od Olivera? – pyta

Matilda.

– Nie wiem.

– Założę się, że znajdziemy ci kogoś, z kim będziesz mogła pocałować się

o północy. Jeśli jesteś zainteresowana.

– Nie jestem. – Althea odchyła głowę, zamyka oczy i wsłuchuje się w szum wody ściekającej do brudnej wanny. – Możemy przejść się na promenadę?

– Chciałabym, ale muszę przygotować wegańską zapiekankę makaronową dla dwunastu osób, które przyjadą tu za kilka godzin.

– Wiesz, że to kochasz.

– Tak.

– Więc dlaczego się nie cieszysz?

Matilda wzdycha.

– Nowy Rok to nasze święto. To jak Boże Narodzenie, które obchodzisz z wybranymi przyjaciółmi i rodziną. Raz w roku zjeżdżają się ludzie spoza miasta, spędzamy ze sobą kilka dni i czujemy się... czujemy się jak rodzina, jakbyśmy byli ze sobą związani. Jednak to, na co czekałam cały rok, też dobiega końca, zostaje tylko zima i wyglądanie wiosny. Ale wiesz, przez te kilka dni jest naprawdę świetnie. –

Matilda odgarnia włosy z oczu. – Chociaż mam nadzieję, że pogoda się zmieni. Wschód słońca w Nowy Rok jest kurewsko ciężki. Człowiek lepiej się czuje, kiedy jest pochmurno.

Althea podciąga kolana pod brodę i obejmuje je rękami.

– Rozchmurz się – mówi. – To będzie najlepszy dzień naszego życia.

* * *

W kuchni Ethan kartkuje z uwagą jej szkicownik, który ukryła przezornie między kanapą a ścianą. Althea nalewa sobie drugi kubek kawy i jak gdyby nigdy nic, zjada nad zlewem garść płatków śniadaniowych, patrząc, jak pozostali mieszkańcy wznoszą w ogrodzie za domem konstrukcję z puszek po piwie.

– Wiesz, że piszę opowiadania – mówi Ethan. Jest to stwierdzenie faktu, jakby ktoś rzeczywiście powinien o tym wiedzieć. Althea czeka. – To nie są prawdziwe historie. To coś jak szkice. Do komiksów. Albo powieści graficznych. Ja i Dennis mieliśmy razem nad tym pracować, ale on się wycofał. – Althea zagląda do zlewu. W otworze odpływowym leży samotna wilgotna marchewka. – Sam wymyśliłem większość

bohaterów i fabułę.

– Nie powinieneś być dzisiaj w parku? – pyta w końcu.

– Tak. A ty idziesz ze mną.

– Poważnie?

– Chyba że jesteś zajęta. Masz inne plany?

Tak więc Althea zakłada kolejne warstwy ubrań – koszulkę, na nią brudną bluzę termoaktywną, a na to znoszoną bluzę z kapturem i puchową kamizelkę. Naciąga dwie pary skarpet i w korytarzu spotyka się z Ethanem, który stojąc w jednym trampku, szuka drugiego w stosie butów.

– Powinieneś związywać sznurowadła, kiedy je zdejmujesz – radzi Althea, sięgając po glany. – Dzięki temu się nie pogubią.

– W czymś takim będzie ci za zimno.

– To wszystko, co mam.

– Oczywiście. – Ethan przewraca oczami.

– Nie patrz tak na mnie, dobrze? Nie skarżę się.

– Chodź. – Chłopak bierze ją za łokieć i prowadzi w stronę schodów.

Althea idzie za nim i zatrzymuje się w drzwiach pokoju, który Ethan dzieli z Gregorym. Pełno tu książek, które piętrzą się pod ścianami, tworząc chybotliwe wieże, leżą na komodzie i parapecie. Pachnie cytrynami i czystym praniem, a nie przeпоconymi skarpetami, jak się spodziewała, choć stojący na szafce nocnej odświeżacz powietrza sugeruje, że nie jest to naturalny zapach. Pan Interes, zwinięty na poduszce w mały kudłaty przecinek, mruży zielone oczy i miauczy na intruzów. Ciało Ethana zostawiło odcisk w zmiętej pościeli. Jest w tym coś intymnego i Althea odwraca wzrok.

Ethan grzebie w stojącym na dnie szafy plastikowym koszu, aż znajduje robioną na drutach zieloną czapkę z nausznikami i pasującą do niej rękawiczki z jednym palcem, z których można zrobić mitenki. Zarówno czapka, jak i rękawiczki mają naszyte oczy.

– To miała być żaba? – pyta Althea.

– Dostałem je od Matildy w ramach żartu.

Althea zakłada komplet, a Ethan wraca do grzebania w szafie. Chwilę później wyciąga znoszony czarny trencz.

– To nie jest prawdziwa skóra – mówi. – Tylko jakiś szajs, który znalazłem w lumpeksie, ale Matilda podszyła go polarem.

Wkładając go, Althea czuje zapach sztucznej skóry, który tak bardzo przywodzi na myśl zapach jej własnej kanapy, że nie może mówić, bo się rozplacze. Nie jest to tęsknota za domem, raczej bolesne wspomnienie, że to naprawdę się wydarzyło – że siłowała się z Oliverem na tej głupiej kanapie, spała na niej, kiedy wyjechał, i jadła na niej z ojcem, oglądając *Park Jurajski* i starając się zapomnieć o bałaganie, którego narobiła. Zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się wcześniej. To ją dobija. Kiedyś miała jakieś „przed”, teraz zostało jej tylko „po” i serce pęka jej na myśl, że w jej życiu powstała taka wyrwa, a ona nie ma nawet ochoty wrócić.

– Wszystko w porządku?

Okazanie słabości przed Ethanem byłoby błędem taktycznym, więc zbiera się w sobie i mruczy pod nosem:

– Założę się, że wyglądam śmiesznie.

– Ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Park jest pusty. Rozkładają stół pośrodku morza bieli, na którym hula mroźny wiatr. Althea staje za garnkiem jarmużu, tupiąc nogami, by nie stracić czucia w palcach u stóp. Ethan czyta *V jak vendetta* i kompletnie nie zwraca na nią uwagi.

– Nikt dzisiaj nie przyjdzie – mówi Althea po półgodzinie. – Może spakujemy się i wrócimy do domu?

– To tak nie działa.

– Po co mamy sterczeć na tym zimnie, skoro i tak nikt nie przyjdzie?

– Chodzi o konsekwencję. Dzięki temu ludzie wiedzą, że jesteśmy tu, kiedy nas potrzebują.

Althea kuca i zaczyna lepić śnieżną kulę.

– Opowiedz mi o swoim komiksie – mówi.

– Co wiesz o brylantach?

– Wiem, że znajdują się w skarbcu De Beers i tak naprawdę nie są nic warte.

– Poważnie? – pyta Ethan. – Skąd wiesz?

Altheę drażni nuta zaskoczenia w jego głosie.

– Nie chcę cię zaszokować, ale w Karolinie Północnej też mamy książki.

Ethan otwiera usta, żeby się odgryźć, ale zmienia zdanie i zaczyna od początku.

– A więc wpadłem na pomysł, żeby napisać opowiadanie o skoku. O grupie złodziei, którzy kradną wszystkie diamenty ze skarbca De Beers. Nie dlatego, że chcą je upłynnić; chcą je rozdać. Obniżyć ich wartość i zniszczyć monopol.

– Niby jak zamierzają to zrobić?

– To musi być robota kogoś z wewnątrz.

Althea zgadza się z nim, ale nawet na niego nie patrzy.

– Będziesz potrzebował przestępców z zasadami, żeby ukraść brylanty i tak po prostu je rozdać. – Rozpina rękawiczki, żeby uwolnić palce. Lepi najpierw tylne nogi i zgarnia śnieg po bokach kuli, żeby przypominał brzuch żaby.

– Właśnie o to chodzi – tłumaczy Ethan. – Wszystkich ich będzie kusiło. Na tym polega problem. To zwykli ludzie. Ale w końcu uświadamiają sobie, że mają okazję zrobić coś dobrego, a nie tylko roztyć się i wzbogacić.

– Kiedy pierwszy raz usłyszałam o De Beers, nie sądziłam, że szef wszystkich szefów jest gruby i zadowolony z siebie. Wyobrażałam sobie... – Przerzywa i wraca wspomnieniami do rozmowy z Valerie na szkolnym korytarzu – ...wyobrażałam sobie, że jest wysoki. Że ma zegarek kieszonkowy. I jest samotny. Nocami zakrada się do skarbca, żeby popatrzeć na swoje brylanty.

– Błagam cię. – Ethan parska szyderczo.

– Czytasz za dużo komiksów – mówi Althea, wygładzając żabi grzbiet i podkreślając krzywiznę głowy. – Diaboliczny czarny charakter, facet, który zaciera ręce, który uwielbia być zły? Tacy kolesie nie istnieją. Nikt nie uważa się za złego człowieka. Wiem, że historia o Robin Hoodzie przemawia do ludzi, ale to trochę za proste, nie sądzisz?

– Czyli twoim zdaniem to kiepski pomysł – mówi Ethan.

– Po prostu uważam, że nie powinno to być takie oczywiste. A gdyby ten szef był twoim kretem? Gdyby to on zdecydował, żeby pozbyć się brylantów? Może coś się wydarzyło i stwierdził, że nie zasługuje na nie. Ale wie, że nie może tak po prostu roztrwonić majątku. Musi sprawić, żeby wyglądało to na napad.

– Historyjka o odkupieniu? Ciekawe. To żaba?

Althea lepi ze śniegu dwie kulki, które mają być oczami, i umieszcza je po bokach

głowy.

– Nie wygląda tak, jak trzeba – oświadcza.

– Zaczekaj. – Kucając obok niej, Ethan ściąga zębami rękawiczkę. – Będzie potrzebowała palców.

Althea patrzy, jak oddech Ethana ulatuje w obłoczkach pary, gdy dodaje do tylnych nóg błoniaste palce. Spod zrobionej na drutach czarnej czapki wystaje płatek ucha. Tuż nad szalikiem jego zwykle blada szyja ma wściekle czerwony kolor. W szklach jego okularów Althea widzi zaśniewony park; ukryte za nimi niebieskie oczy uparcie patrzą w ziemię.

– Tylnie nogi mają pięć palców, nie trzy – poprawia go. – Przednie mają cztery.

– Jesteś pewna?

– W zeszłym roku na biologii przeprowadzaliśmy sekcje żab.

– Że jak? – słyszą za plecami czyjś głos.

Podchodzi do nich mężczyzna z długimi włosami splecionymi w dwa lśniące warkocze. Ma na sobie meksykańskie ponczo. Na ramieniu mężczyzny siedzi wypchany kruk.

Ethan zrywa się na równe nogi.

– Przepraszam za to – mówi.

Althea nakłada na talerz jarmuż; Ethan dodaje marchewkę i coś, co ma udawać indyka.

– Uważaj na niego – mówi mężczyzna, wskazując na ptaka. – Kiedyś żył.

O dziwo, Ethan przysiadła się do niego i pozwala mężczyźnie – który sam siebie nazywa Szarym Wilkiem – wygłosić długą mowę o byłej żonie i karierze muzyka studyjnego. Facet zaczyna opowiadać o Aniołach Piekieł – Jak raz przystaniesz do Aniołów Piekieł, zostaniesz z nimi na zawsze, uwierz mi, nie chciałbyś zginąć z mojej ręki – i nagle urywa. – Ale to temat na inną rozmowę – dodaje i kiwa głową w stronę Althei. – O czymś takim nie przystoi mówić w obecności damy.

– A więc kiedy indziej – rzuca Ethan.

– Masz to jak w banku – odpowiada z uśmiechem Szary Wilk.

Kiedy odchodzi, Ethan odwraca się do Althei.

– Właśnie dlatego zostajemy, nawet kiedy jest mróz i wydaje się nam, że nikt nie

przyjdzie.

Skarcona, w milczeniu kiwa głową.

– Teraz możemy iść. – Ethan przykrywa aluminiowe tace i zabezpiecza je po bokach.

Althea ściąga przymocowany do stołu baner.

– Mogłabym ją narysować – mówi. – Tę historię o brylantach. Gdybyś chciał ją opisać, mogłabym zrobić rysunki.

– Nie sądzę. – Ethan kwituje pomysł, kręcąc głową.

– Czemu nie? Przeglądałeś mój szkicownik. Jestem dobra.

Chłopak chwyta drugi koniec baneru, składa go i spotyka się z Altheą w połowie stołu.

– Wiesz ile czasu potrzeba, żeby zrobić coś takiego? Ile pracy trzeba włożyć, żeby opisać historię i zrobić rysunki?

– Nie powiem, żebyś cierpiała na brak wolnego czasu. – Althea szarpnięciem wrywa mu baner z dłoni i sama kończy go składać.

– A jak wyjedziesz? Co wtedy?

– A kto mówi o wyjeżdżaniu? Posłuchaj, rozmawiałam z Matildą. Wiem, że dzwoniłeś do ludzi z Wilmington i wypytywałeś o mnie...

– I co z tego? To nie jest program ochrony świadków.

– Chcesz, żebyś wyjechała, prawda? Byłeś wkurzony od chwili, kiedy weszłam do domu, i nie możesz się doczekać, aż się mnie pozbędziesz. Przeszkadzam ci? Przysporzyłam ci kłopotu? Próbuję się na coś przydać, ale ty nie możesz znieść mojej obecności.

– Mówię tylko, że nie zostaniesz. Wkurzy cię w końcu, że nie masz własnego pokoju i że musisz wystawać ze mną w parku...

– Tego akurat już mam dość...

– To kwestia czasu, zanim zadzwonisz do mamy i powiesz, że chcesz wrócić do domu. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej. Zdarzają się ciągle. Będziesz chciała, żeby wszystko wróciło do normy.

Nawet w środku tej bezsensownej, pieprzonej kłótni, kiedy najchętniej zacisnęłaby ręce na jego chudej, czerwonej szyi, Althea czuje w brzuchu przyjemne ciepło

i zaczyna się śmiać.

– Co cię tak bawi? – pyta Ethan. Nagle traci pewność siebie, jakby myślał, że śmieje się z niego.

– Nic – odpowiada Althea. Nie może mu powiedzieć, bo wie, jak dziwnie to zabrzmiałoby. Po prostu dobrze znów mieć kogoś, z kim można się pokłócić.

Rozdział 15

W tym miejscu kończy się plan Olivera. Stoi na ganku domu, w którym mieszka Althea, ale Will chwieje się na nogach, walcząc z opadającymi powiekami.

– Musimy zabrać cię z powrotem do St. Victor’s – mówi Oliver.

– Nie wrócę, dopóki nie będę pewien, że ją znalazłeś.

– Obaj wiemy, że tu jest. Odwiozę cię i później wrócę.

– Nie wiadomo, co czeka na nas w szpitalu. Jeśli mnie odstawisz, być może nie będziesz mógł tu wrócić. Nie możesz tak po prostu mnie odwieźć i oznajmić, że masz do załatwienia pewne sprawy. W dodatku twoja matka może już tam być. No, dalej, zapukaj. Zobaczmy, co się wydarzy.

– Niech to szlag.

– Mówiłem ci, że ja jeden nie miałem ataku. Cholerstwo czekało do chwili, aż zacznę się dobrze bawić.

– Przykro mi.

– Jakoś przeżyję. No już, pukaj.

Oliver ostrożnie podchodzi do drzwi. W głębi domu ktoś niepewnie trąca struny kiepsko nastrojonej gitary elektrycznej.

– Och, Panie Interesie, jeśli będziesz moim dzieckiem, obiecuję, nie zarazę cię świerzem – deklaruje śpiewak, a chwilę później pyta: – Hej, kto jest patronem chorych na świerz?

– Święta Radegunda – słysząc odpowiedź. – Powodzenia w znajdowaniu rymu.

Oliver spogląda na Willa stojącego na zaśnieżonym trawniku.

– Co? – pyta Will.

– Właśnie dotarło do mnie, że nie wiem, co jej powiedzieć.

Will wchodzi po schodach i trzykrotnie naciska dzwonek.

– To lepiej coś wymyśl – mówi.

Oliver niemal słyszy, jak dom wstrzymuje oddech: „Ktoś jest przy drzwiach”, „Zobacz, kto to”. Żaden z głosów nie brzmi jak głos Althei.

– Może to wcale nie był taki dobry pomysł – mówi.

– Za późno.

Drzwi otwiera dziewczyna, niska blondynka w workowatej koszulce The Replacements, która służy jej za sukienkę. Na oko jest kilka lat starsza od Olivera i mimo niewielkiego wzrostu roztacza wokół siebie aurę władzy, przez co przypomina mu Nicky. Sposób, w jaki taksuje go spojrzeniem zielonych oczu, mówi, że to jej dom, a Oliver stoi nieproszony na jej ganku. Dziewczyna nie mówi „cześć” ani nie pyta, jak może mu pomóc, po prostu patrzy na niego i czeka, aż się odezwie.

– Cześć – mówi Oliver.

– Cześć – odpowiada. Nawet nie patrzy na Willa, całą uwagę skupia na Oliverze.

– Szukam Althei.

– Przepraszam, kogo?

– Althei Carter.

Dziewczyna rozciąga usta w uśmiechu i kręci głową.

– Przykro mi, ale chyba pomyliłeś adres.

Wąski korytarz za jej plecami pełen jest butów i gazet, a na przymocowanych do ściany wieszakach wisi rząd kurtek i płaszczy. Jest wśród nich puchowa kamizelka Althei.

– Myślę, że nie – mówi Oliver.

– Posłuchaj, nie ma tu żadnej Althei – dziewczyna kończy rozmowę i zaczyna zamykać drzwi.

Oliver zatrzymuje je ręką. Pochyliła się i spogląda na nią z góry.

– Wiem, że tu jest. Wiem, bo jej samochód stoi zaparkowany po drugiej stronie ulicy, a za twoimi plecami wisi jej ulubiona kamizelka. Chcę tylko z nią porozmawiać. I wiem, że ona chce porozmawiać ze mną.

Z pomieszczenia na końcu korytarza wychodzi dziewczyna z kręconymi brązowymi włosami i soczyście czerwonymi ustami. Tuż za nią pojawia się dwóch chłopaków, a za nimi wyraźnie wkurzony kot.

– Co jest, Matildo? – pyta dziewczyna, patrząc na blokującego drzwi Olivera. – Kim ty, kurwa, jesteś?

– Oliver?

Oliver odwraca się i widzi Altheę, która stoi na chodniku w towarzystwie jakiegoś okularnika. W ręce niczym walizkę trzyma składany stół. Ma na sobie znoszony skórzany płaszcz i kretyńską zieloną czapkę, a jej policzki są czerwone z zimna. Wygląda tak samo, a jednak zupełnie inaczej.

Stoją tak i patrzą na siebie. Oliver zapomina, że mają publiczność, zapomina nawet, że chciał jej coś powiedzieć. Chce tylko na nią patrzeć. Jest taka piękna i choć to pogmatwane, jest tu, a on ją odnalazł i ta świadomość napawa go dumą.

– Cześć – mówi.

– Jak mnie znalazłeś? – pyta Althea.

– Pamiętasz, jak w Halloween staliśmy przed Lucky's? Kiedy powiedziałem, że chciałbym rozwiązać jakąś zagadkę?

– Tak.

– Nie żartowałem.

Althea zdejmuje czapkę-żabę. Czarne włosy zniknęły; znowu jest blondynką, a na jej kościstej twarzy maluje się zaskoczenie. Wygląda cudownie nawet z tą dziwną fryzurą. Sprawia wrażenie, jakby urosła o kilka centymetrów, i dopiero po chwili Oliver uświadamia sobie, że się wyprostowała. Powoli zdumienie znika z jej twarzy i dziewczyna uśmiecha się półgębkiem. Oliver spogląda na nią, próbując odgadnąć, czy jest zakłopotana z powodu tych ludzi, czy zaskoczona jego widokiem. Z każdą kolejną sekundą, kiedy tak stoją naprzeciw siebie, są coraz bardziej świadomi, że wciąż nie padli sobie w ramiona.

– Co ci się stało z włosami? – pyta Oliver.

Althea krzywi się i udaje, że boli ją ta uwaga.

– A co? – pyta, przeczesując palcami krótko przystrzyżone loki. – Nie podobają ci się?

Flirtuje z nim. Na oczach ludzi. Tym razem to on jest zdumiony, elektryzujące uczucie, którego doświadczył ubiegłej nocy na ulicy, wraca – otwarcie możliwości, osiągalnych wyłącznie wtedy, gdy odrzuci się to, co znane. Althea i Oliver tkwią pośrodku spontanicznego ulicznego zgromadzenia i jest w tym jakaś dziwna magia. Ludzie, których nie zna, obserwują rozwój wydarzeń, jakby byli w nie zaangażowani, przez co on i Althea stoją jak sparaliżowani. Najbardziej liczy się to, co wydarzy się

za chwilę. Dlatego Oliver jako pierwszy wyciąga do niej rękę.

– Jezu Chryste – mówi okularnik, wrywa Althei stół i rusza w kierunku drzwi. – Matildo, wypuścisz z domu całe ciepło. I co to za jeden, do jasnej cholery?! – krzyczy, spoglądając na Willa, który trzęsąc się jak galareta, śpi w kącie ganku.

Althea posyła Oliverowi śmiertelnie poważne spojrzenie, którym tak bardzo przypomina Gartha, że Oliver niemal słyszy kostki lodu grzechoczące w szklaneczce.

– Niech no zgadnę – mówi Althea. – On jest z tobą.

* * *

Kiedy Oliver wyobrażał sobie, jak spełnia się jego marzenie, że odzyska swoje miejsce na świecie i usiądzie obok Althei na fotelu pasażera, myślał raczej o czymś innym.

– Will! No, dalej! – krzyczy, przeginając się przez oparcie fotela i potrząsając bezwładnym ramieniem przyjaciela. – Obudź się!

– Za późno – stwierdza Althea. – Facet nie kontaktuje. Uwierz mi, znam się na tym.

– Nie może zasnąć, dopóki nie zawieziemy go do szpitala.

– Co za różnica?

– Sam nie zaniosę go do kliniki. Nie wiem nawet, co mnie tam czeka.

– Więc ja go zaprowadzę.

– Nie! – krzyczy Oliver. – Powinnaś być w Nowym Meksyku. Will i ja wyszliśmy wczoraj, nie mówiąc nikomu ani słowa. Na pewno zadzwonili do naszych rodziców. Jeśli Nicky przyleciała, może być na oddziale. A jeśli cię zobaczy...

– Po co uciekliście ze szpitala?

– Skup się, Altheo!

– Dobrze już, dobrze, rozumiem, musimy podzucić go tak, żeby nikt nie zauważył. – Wciska pedał gazu i zmienia pas bez ostrzeżenia. Jadący obok kierowca pokazuje jej środkowy palec, na co Althea odpowiada tym samym. – Więc włącz na tylne siedzenie i go obudź.

– Jeździsz gorzej niż kiedyś.

– Nieprawda, po prostu w tym mieście wszyscy jeżdżą tak samo – tłumaczy się

Althea i wciska klakson. – To zadziwiające. A teraz włącz na tył.

Oliver przeciska się między fotelami i siada na podłodze obok Willa. Klepie go po twarzy i próbuje obudzić.

– Hej, Will, obudź się, Stella tu jest, zupełnie naga.

Will jęczy, ale nie otwiera oczu.

– Jesteś za delikatny – rzuca niecierpliwie Althea.

– Masz inny pomysł?

– Spróbuj go uszczyplić. Na ciebie to zawsze działało.

Oliver podwija rękaw Willa i szczyplie delikatną, miękką skórę w zagłębieniu łokcia. Will wciąż nie otwiera oczu, macha tylko ręką, uderzając Olivera w twarz.

– Kurwa! – krzyczy Oliver.

– Przestań! – mruczy Will i przewraca się na drugi bok.

– Nic ci nie jest, Ol? Wygląda na to, że nieźle oberwałeś. – Althea zerka w lusterko.

Samochód podskakuje i Oliver obija się o drzwi. – Przepraszam. Wybój.

– Nieważne.

– Próbuj dalej.

– Może masz rację, może jest za późno – mówi.

– Mam zjechać, żebyśmy mogli się zamienić? Bo idę o każdy zakład, że dam radę go obudzić.

– Nic, tylko się zakładasz – mruczy pod nosem Oliver.

– Mówię poważnie, obudzę go. Ciebie też obudziłam, pamiętasz?

– Nie, dzięki. Wiesz, jakim jestem kierowcą, a zależy mi, żeby dowieźć go na miejsce. – Oliver opiera się o drzwi. – Może zostawimy go przed szpitalem z wiadomością przypiętą do piersi. Albo damy dziesięć dolców bezdomnemu, żeby odniósł go do kliniki.

Patrzy z zazdrością na śpiącego Willa. Althea prowadzi jak ośmiolatka za kierownicą wyścigówki w salonie gier.

– Możesz zwolnić, nie ma pośpiechu – mówi Oliver. Koniec przejażdżki oznacza, że albo będzie musiał stawić czoła wkurzonej matce, albo zostanie sam na sam z Altheą, co – nie wiedzieć czemu – przeraża go równie mocno, jak jej zachowanie za kółkiem.

– Może mnie się spieszy – odpowiada Althea.

- Dokąd?
- Do miejsca, gdzie mieszkam?
- Masz na myśli Wilmington w Karolinie Północnej?

Przez chwilę w samochodzie panuje cisza i Oliver cieszy się w duchu, że właśnie zdobył punkt.

- Dobrze wiesz, że nie to miałam na myśli – odzywa się w końcu Althea.

Stopa Willa drga przez sen. To podsuwa Oliverowi pewien pomysł. Rozsznurowuje tenisówkę Willa, zdejmując ją i ściga przepoconą skarpetę.

- Chryste Panie, co to za smród? – Althea otwiera okno.

– Po prostu jedź – rzuca Oliver. Wstrzymuje oddech i delikatnie łaskocze podeszwę stopy Willa.

Efekt jest natychmiastowy. Will otwiera oczy i zaczyna się drzeć. Macha rękami i nogami. Bosa stopa uderza Olivera prosto w twarz, odrzucając go na drzwi. Althea niemal traci panowanie nad samochodem, zjeżdża gwałtownie na sąsiedni pas, czym wywołuje wściekłość wszystkich kierowców na Brooklyn-Queens Expressway. Pospiesznie podkręca szybę, żeby nie słyszeć trąbienia i soczystych przekleństw.

- O, Boże! O, Boże! – Will siada i łapie się za pierś.

- Co to miało być, do cholery? – wrzeszczy Althea. – Koleś ma zawał czy co?

– Nic ci nie jest, Will? – krzyczy Oliver. Łzy napływają mu do oczu i twarz Willa jest zbyt rozmazana, by mógł z niej cokolwiek wyczytać.

- Zabiję cię, McKinley – dyszy Will.

- Przepraszam, musiałem cię obudzić.

Will uspokaja oddech i odchyła się na kanapie.

- Nie pozwól mu zasnąć, Ol – mówi Althea.

Oliver ciągnie go za ramię.

– Posłuchaj mnie, Will. Jesteśmy prawie na miejscu. Zabieramy cię z powrotem do szpitala. Tylko... proszę. Nie możesz zasnąć, dopóki nie odstawimy cię na miejsce. Proszę.

- Jasna cholera – odzywa się Will, siadając ostrożnie. – Znaleźliśmy ją.

- Tak – przyznaje Oliver. – Znaleźliśmy ją.

- Krew leci ci z nosa.

Oliver ociera twarz wierzchem dłoni i rzeczywiście widać na niej czerwone smugi.

– Fakt – stwierdza.

– To przeze mnie? – pyta przepaszająco Will.

– Nie przejmuj się. – Oliver poklepuje go po kostce. – Przeżyję.

Kiedy podjeżdżają pod St. Victor's, Will jest ledwie przytomny. Oliver otwiera drzwi i staje na chodniku zdziwiony, że dotarli na miejsce cali i zdrowi. Althea zostawia włączony silnik oraz światła i wyskakuje z samochodu. Nieopodal stoją dwie kobiety i palą papierosy. Jedna z nich ma różowe włosy i kolczyk w nosie, druga, obcięta na pazia, ściska w dłoni stojak kroplówki. Gapią się na nich z ciekawością i rozbawieniem. Oliver pozdrawia je skinieniem głowy.

– Dobry wieczór – mówi i odwraca się w stronę samochodu. – No chodź, Will – rzuca do przyjaciela.

– Dodała mi do hot-doga za dużo dodatków i teraz nie mogę go zjeść – mówi żałośnie Will.

– Śni mu się – tłumaczy Althea. – Musimy postawić go na nogi.

Oliver sięga na tylne siedzenie i delikatnie chwyta Willa w pasie.

– Wiem, ale to nic, kupimy ci drugiego hot-doga. Tylko wstań.

– Ciasteczka?

– Tak, hot-dogi i ciasteczka. Wszystko, co tylko będziesz chciał.

Wspólnymi siłami nakłaniają Willa do wyjścia z samochodu i podtrzymują go, bo chwieje się na nogach.

– Wiesz, dokąd masz pójść, Will? – pyta Oliver. – Pamiętasz, jak wrócić do kliniki?

– Nie chcę żadnej posypki! – krzyczy Will.

– Zarzuć sobie jego ramię na szyję – radzi Althea. – Sama nie dam rady.

– Nie wejdę tam. – Oliver kręci głową.

– Nie możemy go tu zostawić.

– W porządku. W takim razie wsadzimy go do windy.

– Chcesz go zostawić w windzie?

– Wsadzimy go do windy i wyślemy na ósme piętro. To najlepsze, co możemy zrobić.

Dziewczyna z różowymi włosami kończy papierosa i gasi niedopałek pod podeszwą

glana.

– Dokąd go zabieracie? – pyta, wskazując na Willa.

– Do kliniki snu – odpowiada Oliver. – Na ósme piętro.

Różowowłosa patrzy na przyjaciółkę i wzrusza ramionami.

– Możemy go tam zabrać – mówi.

– Poważnie?

– Jasne. Wyglądacie, jakbyście mieli za sobą ciężką noc. – Dotyka palcem górnej wargi i Oliver przypomina sobie, że ma na ustach krew.

– Dzięki.

Chwilę później przekazują Willa dziewczynom.

– Zaczekajcie – odzywa się Will, kiedy nieznajome zarzucają sobie na szyje jego bezwładne ramiona.

Zapada cisza. Will patrzy na Olivera; powieki mu ciążą, ale wzrok ma przytomny.

– Powiedz jej o licie – mówi. – Zapytaj, co ona o tym sądzi.

Althea i Oliver patrzą, jak dziewczyny prowadzą go przez hol, w stronę wind. Kiedy dziwaczne trio znika, jedyne, co im pozostaje, to spojrzeć sobie w oczy. Althea niezdarnie poprawia zieloną czapkę.

– Lepiej się zbierajmy – mówi.

– Tak – przytakuje Oliver. – Lepiej się zbierajmy.

* * *

Wracają już po zmroku. Zdaniem Olivera wewnątrz domu wygląda, jakby ktoś wziął kuchnię Nicky, przeniósł ją do piwnicy w domu Gartha, podpalił i zorganizował imprezę. Chochlikowaty koleś ze sterczącymi włosami, ubrany w kraciatą koszulę i żujący laskę cynamonu, wita ciepło Altheę i pyta, jakiej muzyki chciałaby posłuchać; ponętna brunetka z czerwonymi ustami pyta ją, czy ma ochotę na drinka. Ktoś wręcza Oliverowi puszkę piwa Natural Ice, którą odruchowo podnosi do ust. Althea bierze go za rękę i prowadzi przez brudną kuchnię – całe to miejsce cuchnie curry, mokrą kocią sierścią i przypaloną kawą – do ogrodu za domem.

Ogród to w rzeczywistości wąski prostokąt, połowa ogródków za ich domami

w Wilmington. Pod wypaczonym drewnianym płotem stoją stare, zardzewiałe rowery, a resztki tyrolki łączą okno na drugim piętrze z samotnym drzewem rosnącym w kącie na końcu ogrodu. Wśród rozwieszonych na płocie białych lampek bożonarodzeniowych wiele jest przepalonych, a w miejscach gdzie śnieg stopniał, widać, że próżno tu szukać trawy. Na samym środku ogrodu stoi ogromna konstrukcja z puszek po piwie Natural Ice, podziwiana przez Matildę i jakieś trzydzieści innych osób.

– Kim są ci ludzie? – pyta Oliver. – Mieszkają tu?

– Oczywiście, że nie. Matilda mówiła, że spodziewają się przyjaciół spoza miasta. Jutro organizują wielką imprezę sylwestrową.

– To w końcu kto tu mieszka?

– Wojownicy. Zobaczmy. – Althea drży i Oliver otacza ją ramieniem. Jest nieco zaskoczony, gdy zamiast go odepchnąć, przytula się do niego.

– Poznałeś Matildę. Ta druga dziewczyna to Leala, znają się jak łyse konie.

– Jak my?

Althea się śmieje.

– Niezupełnie jak my, nie. A Kaleb jest naprawdę hałaśliwy. Założę się, że w pewnym momencie tak po prostu zdejmie spodnie. On i Leala są razem. Koleś z włosami i kotem to Gregory; jest słodki i bywa głośny, ale zabawny. Naprawdę kocha tego pieprzonego kota.

Oliver wskazuje głową chudego okularnika, który wcześniej darł się na ganku.

– A ten rudy?

– To Ethan. Jest w porządku – kwituje Althea i przenosi wzrok na wytatuowanego chłopaka z czarnymi tunelami w uszach, który pochyła się w stronę Matildy i zapala jej papierosa. – To Dennis, jest tatuatorem. Jest naprawdę dobry. Myślę, że podkochuje się w Matildzie. Często tu nocuje. Tak samo jak tamten koleś w kraciastej koszuli, jest perkusistą, właśnie szuka kapeli i nowego mieszkania.

– W życiu tego nie zapamiętam.

– Mnie też to trochę zajęło.

– Więc kogo lubisz najbardziej? – pyta Oliver.

– Najbardziej?

– Tak.

Althea dopija piwo i się uśmiecha.

– Ciebie. To oczywiste. – Podnosi pustą puszkę. – Znajdę dla niej miejsce i wezmę sobie kolejną.

Oliver patrzy, jak podchodzi do grupy i szuka dla puszki miejsca w idiotycznej aluminiowej konstrukcji. Ludzie rozstępują się, żeby zrobić jej miejsce, i zaraz krąg się zamyka. Althea stoi ramię w ramię z Kalebem, podziwia jego dzieło i rozmawia z nim z łatwością, której brakowało jej w kontaktach z innymi ludźmi. Lubią ją. Oliverowi wstyd, że coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy – oczywiście, że ją lubią. Dlaczego mieliby jej nie lubić? Jeśli dotąd nie przyjaźniła się z nikim oprócz niego, to dlatego, że drwiła z innych. Jeśli miała jakichś przyjaciół, to dzięki niemu, bo nigdy nie chodził do miejsc, gdzie była niemile widziana. Dziwnie jest widzieć ją w otoczeniu ludzi, z którymi nic go nie łączy. Jego ciągłe narzekania – na rozdrażnienie Althei i nagłe huśtawki nastrojów – działały na korzyść Olivera. Nigdy nie musiał się nią dzielić. Z nikim, tak naprawdę. Przychodzi mu do głowy coś jeszcze i może właśnie to jest najbardziej zaskakujące: ona ich lubi.

– Przepraszam za wtedy. – Matilda wymknęła się przyjaciołom i zaszła go od tyłu. – Zwykle nie bywam taka nieprzyjazna.

– Nie szkodzi. To ja przepraszam, że pojawiłem się bez zapowiedzi.

– Wszystko w porządku z twoim przyjacielem?

– Z Willem? Tak, odwieźliśmy go do szpitala. Nic mu nie będzie.

– Posłuchaj, nie wiem, jakie masz plany, ale mam nadzieję, że zostaniesz z nami przynajmniej do Nowego Roku. W sylwestra lubimy zaszaleć.

– Althea wspominała, że organizujecie jakąś szaloną imprezę.

– Tak, Szampańskie Derby. Mam nadzieję, że zostaniesz. Będzie fajnie.

Oliver patrzy, jak obłoczki, które z każdym oddechem wylatują mu z ust, rozplývają się w powietrzu.

– Dzięki za zaproszenie.

– Dobra, idę dorzucić swoją cegielkę do puszkowej góry lodowej. Powiedz Althei, że możecie spać dzisiaj w moim pokoju. Ludzie się wściekają, w kuchni nie będziecie mieli ani chwili spokoju. – Po tych słowach Matilda wraca do grupy i szepcze coś Althei, która spogląda na Olivera, jakby na chwilę o nim zapomniała, i podchodzi do

niego z wyraźnym ociąganiem.

– Kiepsko wyglądasz – mówi.

– Żartujesz – odgryza się Oliver. – Posłuchaj, muszę zadzwonić.

– Do Nicky? – pyta.

– Nie chcę, żeby się martwiła.

– Jasne. Zaczekaj. – Wchodzi do domu i chwilę później wraca z telefonem bezprzewodowym. – Dzwoni na koszt rozmówcy.

Oliver kuca na ganku i wybiera numer.

– Cześć, mamó.

– Oliver, zabiję cię, do cholery.

– Nie rób tego, proszę. – Oliver siada na schodach; na dźwięk matczynego głosu czuje, jak opuszczają go siły.

– Gdzie ty się podziewasz, do diabła?! – krzyczy Nicki.

– Przestań krzyczeć, dobrze? Jestem w Nowym Jorku. Nic mi nie jest. A ty gdzie jesteś?

– W drodze na pieprzone lotnisko. Mam nadzieję, że zdążę na jakiś lot.

– Nie kłopotz się. Nie musisz przyjeżdżać i tratować miasta jak Godzilla. Jestem w domu jakichś punkowców, w Brooklynie, z przyjaciółmi Valerie. Jutro stąd spadam.

– Rozpiera go duma, że wymyślił coś takiego na poczekaniu.

– Wracasz do domu? Czy do szpitala?

– Tego jeszcze nie wiem.

– A kiedy będziesz wiedział?

– Jutro o północy rzucę monetą.

– Nie wymądrzaj się, Oliverze.

– Mówię poważnie, naprawdę nie wiem. Jak mam być szczery, żadna z tych opcji mi się nie uśmiecha.

Nicky zapala papierosa; Oliver słyszy trzask zapalniczki Bic.

– Dlaczego uciekłeś? Napędziłeś mi niezłego stracha.

– Czuję się, jakbym utknął w windzie. Chciałem się wydostać. Wystarczyło, że przespałem święta. Gdybym musiał witać Nowy Rok w towarzystwie tych goryli, chyba bym się pociął. – Mówiąc to, skubie gumową podeszwę trampka. – No to jak,

masz już tego chłopaka czy nie?

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Kiedy byłem w szpitalu, przed atakiem, powiedziałaś, że idziesz na randkę. Jak poszło? Jest już twoim chłopakiem?

Nicky się śmieje.

– Aaa, tamten koleś. Boże, mam wrażenie, że to było milion lat temu. Nie, nic z tego nie wyszło.

– Co się stało? Nie zapłacił za kolację? Nie wysunął krzesła, żebyś mogła usiąść przy stole?

– Akurat w tej kwestii się postarał – odpowiada Nicky.

Ulicą jedzie samotny dostawca pizzy, z czerwoną torbą przymocowaną do kierownicy.

– Więc w czym problem? – pyta Oliver.

– Nie wiem, Ol. Wysiłek wymagany na tym etapie wcale nie jest tego wart. Czasami jest łatwiej. Udawać, że zawsze tak było. Że zawsze byliśmy tylko ty i ja, my dwoje.

– Ale dlaczego...

– Nie chcę, żebyś myślał, że jestem smutna. Rozumiesz? Bo nie jestem, nie jestem smutną mamą. Ale kiedy żył twój tata, byłam... Posłuchaj, może po prostu nie mieliśmy okazji zestarzeć się i zmarnieć jak inni ludzie. Dobrze sobie radziliśmy. Zbyt dobrze. Może dlatego nie potrzebuję nikogo innego.

– Zaczęłaś już szukać podomki? – pyta Oliver. – Wymieniacie się opowieściami z panią Parker?

– Posłuchaj mnie, ty niewdzięczny gnojku, jeśli nie wrócisz do szpitala albo z samego rana nie pojedziesz na lotnisko, wyduszę z Valerie ten adres, a wtedy naprawdę będę jak Godzilla.

Godzilla vs Góra lodowa z puszek, myśli Oliver i się uśmiecha.

– Co robisz w sylwestra?

– Jaja sobie robisz? – parska Nicky.

– Myślałem, że masz jakieś plany.

– Prawdę mówiąc, Garth zaprosił mnie na jakiś uniwersytecki bankiet. Powiedział, że przedstawi mnie profesorom kontraktowym z historii.

– Powinnaś iść.

– Sylwester w towarzystwie nauczycieli akademickich? Nie sędzę.

– Daj spokój, mam, ogol nogi, załóż coś ekstra i idź.

– Możemy porozmawiać o ważniejszych sprawach? Wciąż zastanawiasz się nad litem?

– Chcesz zdecydować za mnie? Brać lit czy nie, wracać do domu czy do szpitala...

– Nie chcę, żebyś winił mnie za rezultat, zwłaszcza jeśli nie będziesz zadowolony.

W tej kwestii wszystko zależy od ciebie.

– To skomplikowane – tłumaczy Oliver.

– Jak wszystko inne.

Kiedy rozmowa dobiega końca, Oliver nie wraca do ogrodu. Zostaje na ganku i pogrąża się w pełnych złościwości myślach. Przede wszystkim zastanawia się, ile czasu minie, zanim Althea opuści rozbawione towarzystwo i zacznie go szukać.

Drzwi otwierają się dwanaście minut później.

– Chodź – mówi Althea.

Bierze go za rękę i prowadzi schodami na drugie piętro.

– Niech nikt się nie zmywa! – krzyczy ktoś na dole. Poręcz pod palcami Olivera zaczyna wściekle drzeć.

Althea zamyka za nimi drzwi. Siadają na łóżku i zdejmują buty. Światło ulicznych latarni zmienia okno w zamglone lustro; poza tym w pokoju panuje mrok.

– Śpisz w kuchni?

– Zwykle. Tak przy okazji, jak twój nos? Will nieźle cię urządził. Masz szczęście, że ci go nie złamał.

– Skoro mowa o złamanych nosach, rozmawiałem dziś z Cobym. Mówi, że...

Słyszając wzmiankę o Cobym, Althea się krzywi.

– Po to tutaj przyszedłeś? Żeby przekazać mi wiadomość od Coby'ego?

– Przyleciałem do Nowego Jorku, żeby pójść do szpitala. Po co ty tutaj przyjechałaś?

– Teraz to i tak nie ma znaczenia.

– Właśnie, że ma. Nie zamierzasz powiedzieć ojcu, gdzie jesteś?

– Chyba będę musiała.

– Mieszkasz tu od miesiąca? W tym domu? Z tymi ludźmi?

– To moi przyjaciele, Ol.

Ostatnie zdanie uderza Olivera niczym pocisk. Ma ochotę ją udusić. Przyjaciele? Przyjaciele? Nic o niej nie wiedzą – nie mają pojęcia o jej wybuchowym charakterze ani o tym, że śni o dinozaurach. Czy wiedzą, co potrafi zrobić z mazakiem i papierową chusteczką? Czy kiedykolwiek widzieli, jak pędzi ulicą na wrotkach albo zeskakuje w środku nocy ze sznurkowej huśtawki? Jak w ogóle może myśleć, że ci ludzie są jej przyjaciółmi?

– Wiem, co sobie myślisz – odzywa się Althea.

– Czyżby?

– Myślisz, że jestem jak twój wyimaginowany przyjaciel. Myślisz, że tylko ty jeden możesz mnie zobaczyć. Myślisz, że jestem trudna i rozpieszczona, i nie możesz pojąć, jak ktoś inny mógłby chcieć przebywać w moim towarzystwie. Ale nie jestem wytworem twojej wyobraźni. Nie stworzyłeś mnie. Oni też mnie widzą.

– A co z Coby? On też może cię zobaczyć? Jak dużo siebie mu pokazałaś?

– Wiesz – mówi w zamyśleniu Althea – tylko kiedy jesteś chory, mamy ze sobą coś wspólnego.

– Bzdura – protestuje Oliver.

– Nie mówię o przeszłości, anegdotkach ani tym, co wspólnie przeżyliśmy. Nie chodzi mi o wzrost ani kolor oczu. Mówię o tym, jacy jesteśmy. Nie jestem taka jak ty. Ale kiedy jesteś chory, rozumiem cię. Widzę w tobie siebie. Spojrzenie tłustej myszy... Pamiętasz je? Tę rozpacz? Pewnego dnia otworzyłeś oczy i popatrzyłeś na mnie w ten sposób. Jakbyś choć raz potrzebował mnie, nie żadnej pieprzonej kanapki. Ale przykro mi, Ol, przepraszam, nie mogłam czekać, aż naprawdę się obudzisz i będziesz gotów tak na mnie spojrzeć. Chyba się bałam, że nigdy tego nie zrobisz.

– Myślisz, że jesteś bardziej podobna do Coby’ego niż do mnie?

– Nie wiem. Ale nie chcę, żeby mój wybór ograniczał się do tych dwóch opcji. Rozumiesz? Czy na skali od jeden do Olivera jestem Coby? Po prostu chcę być Altheą.

Umiejętnie unika odpowiedzi na pytanie o Coby’ego, ale Oliver już jej nie potrzebuje. Jak zwykle gdy chodzi o Altheę, mając pewne informacje, potrafi

wyciągnąć wnioski i nagle wszystko zaczyna układać się w logiczną całość. Przespała się z Cobym, to pewne; zaraz po tym, jak Oliver powiedział jej na podjeździe, że jest koszmarną osobą. Po wszystkim było jej przykro, bardziej przykro, niż Oliver jest sobie w stanie wyobrazić, chciała cofnąć czas, chciała to odkręcić, ale nie mogła, więc zrobiła jedyną słuszną rzecz i złamała Coby'emu nos, żeby wiedział, że zmieniła zdanie. Z perspektywy Althei miało to sens.

– Przejechałam taki szmat drogi wyłącznie dla ciebie. Przyjechałam, żeby cię przeprosić i zapytać, czy mówiłeś poważnie, że tak naprawdę wcale mnie nie lubisz. A teraz jesteś tu, więc powiem to jeszcze raz: przepraszam. Wiesz, że gdyby to ode mnie zależało, to ja byłabym chora, nie ty, więc, nawiasem mówiąc, pieprz się za to, że rzuciłeś mi to prosto w twarz.

– Z tym nielubieniem nie mówiłem poważnie. Wiesz o tym.

– Podoba ci się, że jestem, jaka jestem, bo w porównaniu ze mną wydajesz się normalny. Zachowujesz się, jakbyś był wściekły, że skupiłam na sobie całą uwagę, ale przecież tego właśnie chciałeś. Chciałeś być tym normalnym i dzięki mnie nadal nim jesteś. W skali od jednego do Althei, jesteś Oliverem.

– To głupie.

– Daj spokój, Oliver, bądź szczerzy. Co byś wolał? Wolałbyś być szaleńcem czy najlepszym przyjacielem szalonej osoby? Wolałbyś być kierowcą autobusu pełnego pojebów czy pojebanym pasażerem? No, dalej, Ol, nie myśl nad tym za długo.

– Kierowcą, dobra? Wolałbym być kierowcą.

– W porządku.

– A ty wolałabyś być pasażerem?

– Właśnie to próbuję ci powiedzieć. Dosyć mam gier. Nie chcę dłużej wybierać. Wycofuję się. Koniec gry.

– Nie możesz tak po prostu uciec.

– Nie uciekam – mówi Althea. – Odchodzę.

– Zawsze myślałaś, że z nas dwojga to ja poradzę sobie lepiej bez ciebie; że to ty bardziej potrzebujesz mnie. Myliłaś się. Bez ciebie nie potrafię zrobić kroku. Jesteś przywódczynią, zawsze nią byłaś, ja tylko brałem udział w zabawie. I po dziesięciu latach okazuje się, że można mnie zastąpić bandą brudasów, którzy rzucili college,

i kilkoma puszkami Natty Ice.

– Przecież wiesz, że nie mogą cię zastąpić...

– Ale jesteś tu z nimi, a ja co...? Od czasu do czasu porozmawiam z tobą przez telefon? – warczy Oliver. – Nie rozumiem. Spraw, żebym zrozumiał. Spraw, żebym zrozumiał, jak to możliwe, że tak łatwo ci to przyszło.

Althea przeczesuje włosy palcami.

– To nie takie proste. Wcale nie było mi łatwo. Tak bardzo za tobą tęsknię, przez cały czas. Są dni, które pamiętam, zwykłe dni, kiedy byłam szczęśliwa, jeżdżąc z tobą samochodem, mając cię przy sobie. Wszystko, co mówiłeś, było zabawne, wszystko, co ja mówiłam, było mądre, a każda piosenka, którą puszczała w radiu, była dokładnie tą, którą chciałam usłyszeć. W takie dni czułam się jak cholerna szczęściara, bo był ze mną ktoś, przy kim mogłam się tak czuć; nie miało znaczenia, czy ty czujesz to samo. Nie jest mi łatwo. Nie masz pojęcia, jak mi ciężko. I właśnie dlatego wiem, że postępuję właściwie.

– A gdybyśmy byli razem? Czy wtedy byś wróciła?

– Razem razem?

– Tak.

– Nie pogrywaj ze mną w ten sposób. W końcu przestałam się oszukiwać. Teraz ty nie oszukuj siebie.

Oliver wie, że Althea ma rację. To nie w porządku przekupywać ją taką obietnicą, ale, Boże, chciałby, żeby zabrzmiało to poważnie. Kładzie się i zapraszająco poklepuje się po piersi. Althea przytula się do niego, a on otacza ją ramionami i głaszcze to, co zostało z jej włosów.

– Jesteśmy jak dwie strony tej samej monety, tyle że nie wiem, którą stroną jestem. – Althea nie odpowiada. – Ja też pamiętam tamte dni – szepcze Oliver.

Althea delikatnie kładzie palec w zagłębieniu jego szyi i bawi się kilkoma włoskami, które tam rosną, drugą ręką opierając na jego piersi. Oliver wodzi palcem po jej kręgosłupie, najpierw przez materiał koszulki, a chwilę później wsuwa rękę pod spód i całuje ją w usta. Tym razem będzie inaczej. Nie tak, jak mówiła. Po wszystkim ona nie będzie miała siniaków, a on będzie wszystko pamiętał.

Kiedy się rozbierają, nie ma przebłysku wspomnień, choć Oliver czeka, aż pamięć

ciała podpowie mu, co ma robić. Cokolwiek zrobił jej wcześniej, cokolwiek podobało się Althei, on nie potrafi tego odtworzyć. Kładzie rękę na jej wklęsłym brzuchu i głaszczce kości biodrowe. Tak wiele razy spali w jednym łóżku, pływali razem w oceanie i kąpali się w rzece Cape Fear w samej bieliźnie; tak wiele razy oglądał jej ciało i nie zdawał sobie sprawy, jak wiele potrafią zmienić ostatnie cztery cale materiału. Ona tymczasem знаła dwóch różnych Oliverów, prawdziwego i oszusta, tak więc Oliver rozumie, że to, co widzi teraz, jest autentyczne. Oto ona, prawdziwa Althea, bez workowatych spodni i glanów, papierosów, torby, kubka gorącej kawy, plątaniny czarnych włosów i wyćwiczonego do perfekcji grymasu niezadowolenia. Jest naga, jeśli nie liczyć jego ręki. I nieśmiałego uśmiechu. Co z tego, że nie pierwszy raz ogląda ją taką, skoro czuje, jakby nigdy wcześniej tego nie robił.

– Altheo...

– Ćśśś.

– Nie uciszaj mnie – mówi.

Nawet w ciemności jej uśmiech jest olśniewający.

– Przecież lubisz, kiedy cię uciszam.

Pochyliła się nad nią, klęka między jej nogami i przywiera ustami do jej szyi.

– Uwielbiam, kiedy mnie uciszasz.

W blasku reflektorów przejeżdżającego samochodu jej ciało emanuje niebieskobiałym światłem.

– Nie przejmuj się – uspokaja go. – To ma być przyjemne.

I ma rację. Ona zawsze ma rację.

Rozdział 16

Althea budzi się obok Olivera, który wciąż jeszcze śpi. W pokoju jest zimno, ale on jest ciepły, jak zawsze; jest jak szczeniak, z twarzą wciśniętą w poduszkę i pięścią pod brodą. Wtula nos w jego szyję i zamyka oczy, ale nie może już zasnąć. Policzki ma obtarte od zarostu Olivera, a wargi nabrzmięte i przyjemnie obolałe. Na dole w domu toczy się życie, coś skwierczy na patelni w kuchni, Matilda zbiera pieniądze na wypad po alkohol, ktoś brzdąka na gitarze, wymyślając piosenkę o Panu Interesie. Althea przewraca się na drugi bok i czyta zapiski na ścianach. Numery telefonów, listy zakupów i teksty piosenek, chaotyczny indeks małego, cennego życia Matildy.

Kierowniczka stoi w korytarzu w sięgającej do pasa stercie gazet i przelicza banknoty, głównie jednodolarówki. Rozpuszczone jasne włosy okalają jej drobną twarz, kciuki wystają z otworów wyciętych w rękawach bluzy. Na przedniej kieszeni widnieje naszywka „Módl się o jedzenie”. Ethan po omacku snuje się po domu w samych bokserkach.

– Przepraszam, że tak wczoraj zniknęłam – mówi Althea.

– Wybaczamy ci – odpowiada Ethan.

– Ten półgłówek znowu nie może znaleźć okularów. – Matilda spogląda na niego z udawaną pogardą.

– Leżą na lodówce – przypomina Althea.

Jęcząc, Ethan wlecze się do kuchni.

Althea idzie za nim. W salonie goście zaczynają dochodzić do siebie; Althea słyszy, jak kaszlą, zapalają papierosy i skarżą się na kaca. Guma w bokserkach Ethana odcisnęła na jego krzyżu cienką czerwoną linię. Jego twarz rozpromienia się, kiedy zakłada okulary i rozgląda się po kuchni; Althea odwraca wzrok, widząc, jak narzuca na ramiona swój brązowy koc.

– A jak twoja noc? – pyta Ethan.

– Nie twój przeklęty interes.

– Dobrze się bawiłaś? – Opiera się o zlew i patrzy na nią jak lizus. – Szczęśliwe spotkanie?

– Przestań.

– Czy to znaczy, że razem pójdziecie na bal maturalny?

Matilda wchodzi do kuchni z plikiem banknotów.

– Przestań z niej kpić, Ethanie. Altheo, możemy podjechać twoim samochodem do monopolowego, żebyśmy nie musieli taszczyć tego wszystkiego?

Althea odruchowo zerka na schody i myśli o Oliverze.

– Nic mu nie będzie – uspokaja ją Matilda.

– Zaczekaj. – Althea biegnie z powrotem do sypialni Matildy i sięga po leżący na komodzie kawałek kredy. Znajduje na ścianie wolne miejsce, w pośpiechu bazgrze krótką wiadomość dla Olivera: „Pojechałam kupić alkohol, niedługo wrócę” i rysuje wokół niej grubą ramkę, by mieć pewność, że ją zauważy. Okrywa kocem jego nagie ramię. Przez chwilę ma ochotę go obudzić, tylko po to, by przekonać się, że może, ale zmienia zdanie i po cichu wymyka się z pokoju.

* * *

Oliver budzi się jakiś czas później i czeka, nagi i zziębnięty, na powrót Althei. Nie ma pojęcia, jak długo jej nie ma, ale boi się wychodzić bez niej z pokoju. Skraj łóżka jest wychłodzony, więc kuli się na środku, w miejscu ogrzonym przez ich ciała. Mijają kolejne minuty i pośród zgiełku na dole nie słyszy jej głosu; drzwi nie otwierają się, Althea nie wchodzi do pokoju z dwoma kubkami gorącej kawy i łagodnym uśmiechem, gotowa wrócić do łóżka. Boli go głowa i musi się wysikać, ale nie licząc względnego bezpieczeństwa tych czterech ścian, dom pełen jest obcych ludzi, którzy trzaskają drzwiami i krzyczą na siebie w przedpokoju. Powietrze przesiąknięte jest słodkim zapachem trawki i piżmową wonią tytoniu, a on nie pamięta żadnych imion. W końcu pęcherz bierze górę nad niepewnością. Ubrania leżą porozrzucane po podłodze; podnosi je i ubiera się.

Drzwi do łazienki są zamknięte. Oliver przywiera do ściany i czeka, nasłuchując głosu Althei.

Rudowłosy chłopak wychodzi spowity gorącą chmurą pary, przeciera szkła okularów rogiem zawiązanego na biodrach wyblakłego fioletowego ręcznika. Woda kapie mu z włosów na nagie ramiona i gromadzi się w obojczyku. Dopiero gdy zakłada okulary, dostrzega Olivera.

– A więc ty jesteś tym koleś z Karoliny Północnej – zagaja.

– Oliver. – Mówiąc to, Oliver się prostuje.

– Ethan. Chyba poznaliśmy się wczoraj wieczorem. Przelotnie.

W sypialni obok jęczy dziewczyna. Zakłopotany Oliver odchrząkuje.

– Chyba tak – mówi. – Czy ty... to twój dom?

– To dom Matildy. Ja tu tylko mieszkam. Jeśli szukasz Althei, pojechała po alkohol.

– Ethan zerka na drzwi do sypialni Matildy. – Długo zostaniesz?

Dziewczyna znowu jęczy, tym razem głośniej. Sprężyny łóżka uginają się pod jej ciężarem. Pęcherz Olivera boleśnie daje o sobie znać.

– Nie sędę.

– Czy ona wyjedzie z tobą?

Choć z nich dwóch to Ethan ma na sobie wyłącznie ręcznik, Oliver czuje się dziwnie obnażony. I choć jest przekonany, że ci ludzie nie wiedzą nic o Althei, nagle wydaje mu się, że wiedzą całkiem sporo o nim. W jaki sposób Althea przedstawiła ich historię? Może ci wszyscy Wojownicy go nienawidzą? Nawet jeśli ubiegłej nocy wydawali się w porządku. Stosunek za drzwiami osiąga apogeum, pojękiwania chłopaka mieszają się z coraz bardziej gwałtownymi wrzaskami dziewczyny i skrzypieniem sprężyn. Prerażony Oliver zastanawia się, czy oni też narobili tyle hałasu. Czy ktoś wtedy czekał, żeby wejść do łazienki, i podsłuchiwał ich przez cały czas? A nawet jeśli nikt ich nie słyszał, wszyscy wiedzą, co robili; ten dom pozbawiony jest tajemnic. Wszyscy wiedzieli. Matilda wiedziała. Para w sypialni wiedziała. Ten cały Ethan, który teraz go przesłuchuje, wiedział. Czy wyobrażał to sobie? Czy wyobrażał sobie, jak Althea wygląda nago, albo wątpił w umiejętności Olivera? Czy kpił z niego, bo uważał, że poradziłby sobie lepiej? Jęk sprężyn i krzyki urywają się nagle; następuje krótka chwila ciszy, a zaraz potem słychać stłumiony chichot i szepty. Oliver nie rozumie, dlaczego rozmawiają ściszymi głosami.

– Nigdy nie wiadomo, co robi – rzuca.

– Taa, bez jaj. – Ethan wraca do swojej sypialni, podeszwy jego stóp zdążyły się już ubrudzić.

Drzwi do drugiej sypialni otwierają się i na korytarz wychodzi para – owinięta białym prześcieradłem dziewczyna z kręconymi włosami i chłopak w bokserkach, który ściska w dłoni zmiętą chusteczkę. Nie przestając chichotać, wbiegają do łazienki i zanim Oliver zdąży zaprotestować, zamykają drzwi i zaczynają brać prysznic. Oliver stara się ignorować szum wody. Myśli o czymś suchym.

* * *

Matilda pcha wózek alejką w sklepie monopolowym.

– Myślałam o tym, żeby dać się wytatuować Dennisowi – mówi. – Wiem, że od jakiegoś czasu ma na to ochotę. Sama nie wiem. Co o tym myślisz?

Althea sięga po ciemnozieloną butelkę szampana z fantazyjną pomarańczową etykietką.

– Myślę, że ma ochotę na dużo więcej, niż tylko cię tatuować.

– Nie, nie, nie, odłóż to. Oszalałaś? To gównno kosztuje dwadzieścia pięć dolców. Magiczna liczba to osiem. – Idzie dalej i zatrzymuje się dopiero przy Boone's Farm. –

Proszę bardzo. Bierzemy po jednej butelce wszystkiego, co tanie i musujące. – Przerzywa. – Naprawdę? Tak sądzisz?

Sprawdzając metki z cenami, Althea wkłada do wózka kolejne butelki.

– Tak trudno w to uwierzyć?

– Zwykle wszyscy lecą na Lealę. Jest jak chodzący seksapil. Wszystko, co robi. Kiedy gra w gry wideo, równie dobrze mogłaby zdjąć ubrania. Ale jeśli jest coś, co nie jest sexy, to bycie jak Wendy dla Zagubionych Chłopców z Brooklynu. Nikt nie chce pieprzyć laski, która czyści toaletę. – Matilda chwyta za szyjkę mlecznobiałą butelkę i mrużąc oczy, patrzy na etykietkę. – Co to? – Zawartość butelki ma kolor płynnego żółtka.

– Myślę, że to mus owocowy – mówi Althea, zerkając ponad jej ramieniem.

– Na sam widok robi mi się niedobrze. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybyśmy to wypily?

– Kosztuje tylko cztery dolary.

– To będzie nasze śniadanie. – Matilda wkłada butelkę do wózka i kręci głową.

– Myślisz, że chciałabyś... no wiesz, żeby Dennis zrobił ci tatuaż? – Althea bezmyślnie gapi się na butelkę wina jeżynowego.

– Dawno nikt mnie nie tatuował. Mogłoby być miło. Oczywiście, najpierw będę musiała zmienić pościel.

Althea wbija wzrok w czubki butów.

– Nie wstydz się. W sylwestra każdy powinien dać się wytatuować. Lepiej opowiedz, jak było.

Na początku czekała, aż Oliver odwróci ją i wciśnie jej głowę w materac. Albo rzuci ją na podłogę. Później patrzyła mu w oczy, zastanawiając się, czy w pewnej chwili dostrzeże w nich pustkę, znak, że go straciła. A co, jeśli reagował tak na jej dotyk, jeśli to ona budziła w nim grubą mysz? Jeśli to ona go zepsuła? Ale widziała w jego spojrzeniu, że był tam z nią. Przez cały czas.

– Myślę, że było tak, jak powinno być.

– Było, no wiesz, lepiej? – pyta Matilda ściszone głosem. – Czy gorzej?

– Chyba lepiej. To znaczy, gdybym miała wybierać między byciem z Oliverem i nie-Oliverem, wybrałabym Olivera. Ale to nic nie zmienia. Znaczy tylko, że mi wybaczył.

– Nic? – pyta Matilda, posyłając jej nieśmiałe, ukradkowe spojrzenie. – Kompletnie nic?

– Wiesz, jak bacznie przyglądałam mu się ostatnie kilka lat, licząc, że nagle spojrzy na mnie zupełnie innym okiem? Wiedziałabym, gdyby coś się zmieniło. Wiesz dlaczego? Bo poczułby ulgę. Poczułby ulgę, że w końcu mnie uszczęśliwił, zamiast codziennie mnie rozczarowywać. Przestałby się tym zamartwiać i miałby to wypisane na twarzy. Tatuowanie było nieuniknione, ale nic nie zmieniło.

– Czy to znaczy, że wciąż jesteś rozczarowana?

Althea wodzi palcem po rzędach liter na etykiecie wina.

– Oczywiście, że jestem rozczarowana. Ale wcześniej czułam się tak, jakbym miała być nieszczęśliwa, póki on się nie zbudzi. Jakby wszystko zależało od tego, czy dostanę odpowiedź, jakiej się spodziewałam.

– Kiepsko to brzmi.

– Tak, wiem. I kiepsko się z tym czuję. Ale przynajmniej wygląda na to, że nie zawsze tak będzie.

– Masz rację. – Matilda patrzy na butelkę w dłoni Althei i wzdycha. – Boże, kiedyś je uwielbiałam. W college’u piłam je bez przerwy. Chodź, idziemy.

Matilda podchodzi do kasy i wyjmuję zwitek banknotów spięty grubą fioletową gumką, jakimi zwykle wiąże się szparagi i brokuły.

– Tyle kasy, a i tak rano wszystko wyrzygam – mówi.

– To twoje ulubione święto. Okaż trochę radości.

– Chyba masz rację. To takie żalosne. Już boję się tego, co będzie jutro, kiedy wszyscy się rozjadą.

Althea nie odpowiada od razu, czeka, aż wsiądą do samochodu.

– Nie wszyscy wyjadą jutro – mówi.

– Nie? – Matilda unosi brwi.

Althea wzrusza ramionami, siląc się na swobodę.

– To znaczy, właśnie załapałam, o co chodzi z parkowaniem naprzemiennym. Szkoda byłoby teraz wyjeżdżać.

Matilda rozważa jej słowa.

– Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? – pyta. – Spać w kuchni?

– Chcę, żeby Oliver obudził się dziś i zrozumiał, że mnie kocha. Ale tak się nie stanie, więc... tak, chcę spać w kuchni. Lubię tam spać. To lepsze niż spać w piwnicy.

– No cóż, robisz dobre babeczki. I nie palisz towaru Ethana. Pogadam z ludźmi. No i będziesz musiała dorzucać się do czynszu. Myślałaś już, jak zarobisz na utrzymanie?

– Myślałam, że pieniądze są dla ludzi, którzy je mają...

– Coś pewnie wymyślimy. – Matilda patrzy na Altheę i w zamyśleniu mruży zielone oczy. Nagle wybucha śmiechem.

– Co? – pyta Althea.

– Zabawne. Miesiąc temu bałaś się poprosić o nocleg.

– Spójrz na mnie. Dorastam.

Wkładają torby do bagażnika, między koce plażowe, sztywne od soli i piasku.

– Twój samochód pachnie latem – zauważa Matilda.

Althea czule poklepuje wgniecenie w zderzaku.

– „Karolina Północna. Najlepszy ze stanów”. Ciesz się, że mam samochód. Inaczej nie wiem, jak zawłokłabyś to do domu.

– Mówiłam ci. Mam szczęście, odkąd na chodniku pojawiła się ta ćwierćdolarówka.

* * *

Kiedy Oliver wchodzi pod prysznic, okazuje się, że nie ma ciepłej wody. Letni strumień po chwili robi się nieznośnie lodowaty i Oliver zakręca kurek, nie zdążywszy nawet splukać dobrze włosów. Gdy wychodzi na korytarz, widzi szarego kota, który uparcie drapie w drzwi, chcąc dostać się do kuwety. Czy w tym domu bywają chwile, kiedy nikt nie czeka w kolejce do łazienki?

Schodzi do kuchni i robi sobie kubek kawy. Większość Wojowników i ich gości zwinęła się i wyniosła do ogrodu, żeby dołożyć swoją cegiełkę do puszkowej konstrukcji. Z pokoju gościnnego wychodzi dziewczyna z kręconymi włosami, ubrana w koszulkę Sex Pistols i skarpety, które sięgają jej do połowy ud. Dolewa sobie kawy i patrzy, jak Oliver przygląda się reszcie domowników.

– Pojechała z Matildą do sklepu monopolowego – mówi, stając obok niego przy oknie. – Gdybyś się zastanawiał, gdzie się podziewa.

– Dzięki. Wiem, gdzie jest.

– Wygląda na to, że trochę im tam zejdzie – ciągnie dziewczyna. – Zagrasz w *Tomb Ridera*?

Siadają na podłodze w salonie i opierają się o kanapę; splątane kable leżą u ich stóp. Dziewczyna podaje mu pada i Oliver uspokaja się, słysząc nastrojową ścieżkę dźwiękową i odruchowo wciskając znajome sekwencje przycisków. Minęło trochę czasu, odkąd grał ostatni raz. Dziewczyna gromi go raz za razem, ale Althea nauczyła go przegrywać, bo sama nie potrafiła.

– Jak długo tu mieszkasz? – pyta Oliver.

– Około pół roku. Mieszkałam z facetem... No dobra, nie musisz znać szczegółów. Matilda powiedziała, że mogę tu zostać, dopóki nie zrobię porządku z własnym życiem.

– Wygląda na to, że trwa to dłużej, niż się spodziewałaś.

– Spotkałam Kaleba, no i zostałam. Ale kto wie, może i tak bym została. – Nie wypuszczając kontrolera, zatacza ręką łuk. – Wiem, że to niewiele. Brudno tu i tłoczno. Raz wybiła woda w toalecie i lała się z sufitu, i, przysięgam na Boga, Matilda spuściła głowę i się rozplakała. Powiedziała, że wszyscy żyjemy na skażonej ziemi. Ale tu zawsze jest z kim pogadać, a jeśli masz ochotę побыć sam, możesz iść na plażę. No i jest tanio. To lepsze niż utrzymywanie się z pracy.

– Nie pracujesz? – pyta zaskoczony Oliver.

– Większość z nas nie ma pracy. To znaczy takiej prawdziwej. Zarabiamy pieniądze tu i tam.

– Ale z czego żyjecie?

– Opływamy w dostatki – odpowiada dziewczyna, a w drzwiach rozlega się chrobot klucza.

* * *

Ulubiony kubek Althei suszy się na ociekaczu, na kuchennym blacie. To ten sam kubek, który pierwszego dnia wręczyła jej Matilda. „Nic nie jest dobre ani złe, to myśl czyni je takim”. Na dnie dzbanka widać centymetr przypalonej kawy; Althea nalewa ją i parzy kolejną. Może podstawowa zasada domu brzmi: nie spal go, ale Althea poznała też inne. Zdejmij buty w przedpokoju. Jeśli opróżnisz dzbanek z kawą albo garnek do gotowania ryżu, uzupełnij je. Jeśli worek ze śmieciami śmierdzi, wynieś go i nie czekaj, aż zrobi to Matilda.

Wychodzi z kawą i telefonem bezprzewodowym na ganek. Szczęśliwa ćwierćdolarówka Matildy nadal tkwi przyklejona do chodnika. Po ulicy hula zimny, przenikliwy wiatr, kłusząc jej kark i szczypiąc w palce, kiedy wybiera numer.

– Cześć, tato.

– Althea! Jak leci? Szykujesz się do powrotu?

Niemal widzi, jak Garth siedzi przy kuchennym stole, w cichym domu, w którym jedynym dźwiękiem jest tykanie starego zegara szafkowego i ciche posykiwanie ciepłych rur.

– Wiesz, jest dużo lepiej, niż się spodziewałam.

– Mówisz poważnie?

Althea słyszy głosy w ogrodzie z tyłu, gdzie mieszkańcy domu toczą wojnę na śnieżki i obrzucają się przekleństwami. Upija łyk kawy i bierze głęboki oddech.

– Tato, nie jestem w Nowym Meksyku.

– Słucham?

– Nie jestem w Nowym Meksyku. Nie pojechałam do Nowego Meksyku. Jestem w Nowym Jorku.

– Z Alice? – pyta zdezorientowany Garth.

– Nie. Nie z Alice. Przyjechałam tu sama.

– Aha. Żeby zobaczyć się z Oliverem?

– Tak. – Przyciska ucho do słuchawki, a drugie zakrywa dłonią, żeby stłumić uliczny zgiełk, i z niecierpliwością czeka na jego reakcję.

Garth potrzebuje chwili, żeby ochłonąć. Kiedy się odzywa, głos ma spięty, urywany.

– Altheo, nie wiem nawet, co powiedzieć. Naprawdę myślałaś, że rozsądniej będzie wymyślić historyjkę o wizycie u matki, niż powiedzieć otwarcie, że chcesz odwiedzić w szpitalu najlepszego przyjaciela? Poza tym, wyjechałaś przeszło miesiąc temu. Co robiłaś przez cały ten czas? Mieszkałaś w samochodzie, w jakimś schronisku?

Althea z trudem zachowuje spokój; słowa wylewają jej się z ust wartkim potokiem.

– Kiedy tu przyjechałam, Oliver już spał, ale zamieszkałam z dziećmi na Brooklynie i prawdę mówiąc, dobrze mi tu. Zaprzyjaźniliśmy się. To nie schronisko. To prawdziwy dom, z kotem, kuchnią i ekspressem do kawy.

Krzesełko drapie podłogę, gdy Garth wstaje od stołu; rusza się, prawdopodobnie krąży po kuchni.

– Altheo, mam gdzieś, skąd bierzesz świeżą kawę. Chcę wiedzieć, kiedy wsiądziesz w samochód i wrócisz do domu.

Althea odruchowo sięga po kosmyk, by włożyć go do ust, zanim przypomina sobie, że Matilda ścięła jej włosy.

– Myślę, że trochę to potrwa.

– O czym ty mówisz? – W głosie Gartha słychać rozdrażnienie. – Jesteś tam od miesiąca. Nie możesz tam siedzieć i czekać, aż Oliver się obudzi.

– Już się obudził. Jest tu, razem ze mną.

– Nie jest w szpitalu? Czy Nicky o tym wie?

– Rozmawiał z nią wczoraj.

Garth próbuje przetrwać natłok informacji.

– Nie rozumiem – mówi. – Skoro pojechałaś tam, żeby zobaczyć się z Oliverem, i spotkałaś się z nim, dlaczego nie chcesz wrócić do domu?

– Posłuchaj, tato, wiem, że miałaś nadzieję, że skończę szkołę i pójdę do college’u, i nie wiem, może w końcu to zrobię. – Althea stara się, by to, co mówi, brzmiało rozsądnie, jakby wszystko było przemyślane i totalnie logiczne. – Ale na razie chcę zostać tu, gdzie wyrządzam najmniej szkód. Sam mówiłaś, że mam prawie osiemnaście lat i mogę decydować o sobie.

– Mówiłem o Karolinie Północnej albo Nowym Meksyku – tłumaczy Garth. Nie krzyczy, ale pierwszy raz od dawna mówi podniesionym głosem. – Mieszkanie w Nowym Jorku z grupą zupełnie obcych ludzi nie wchodziło w grę.

– Nikt nie jest mi tak obcy jak Alice – odcina się Althea. – Jest tylko DNA i głosem, który słyszę przez telefon raz na pół roku. Czy kiedykolwiek zrobiła coś, byś mógł pomyśleć, że u niej będzie mi lepiej?

– Czyli wszystko, co mówiłaś o rakietach śnieżnych i papryczkach chili...

– Przepraszam, tato. Nie było żadnych rakiet. Przepraszam, że musiałam cię okłamać...

– Nie musiałaś kłamać. To był twój wybór. Przez cały miesiąc karmiłaś mnie kłamstwami. Co cię opętało... Bierzesz narkotyki, Altheo?

– Daj spokój, tato – mówi uspokajająco. – Przysięgam. Żadnych prochów. Praktycznie nie jem mięsa.

– Chcesz, żebym uwierzył, że prowadzisz ascetyczny tryb życia gdzieś w Nowym Jorku? – pyta sarkastycznie Garth. – Powiedz, poznałaś tam kogoś?

– Dlaczego myślisz, że chodzi o chłopaka? Okaż mi trochę zaufania.

– A co z Oliverem?

– Nie mogę wiecznie rozdrapywać tej rany. Tato, jeśli tu zostanę, będę miała szansę.

– Szansę na co?

– Żeby o nim zapomnieć. Jeśli dalej będę mieszkała cztery domy dalej, w życiu się z niego nie wyleczę.

– A więc chodzi o chłopaka.

Althea bierze głęboki wdech, bo sama nie do końca wie, o co jej chodzi.

– To nie takie proste. Nie chodzi o Olivera. I nie chodzi o ciebie, jeśli o to się martwisz. Ty nic nie zrobiłaś. – Słowa wiszą w powietrzu. Poniekąd jest to najprawdziwsza prawda. Sęk w tym, że Garth nic nie zrobił.

– Wiem, że ostatnie miesiące nie były dla ciebie łatwe – mówi Garth. – Może teraz wydaje ci się, że to dobry pomysł: zmiana otoczenia, nowe twarze. Przygoda. Ale czy myślałaś, skąd weźmiesz pieniądze? Gdzie znajdziesz pracę, skoro nawet nie ukończysz liceum? Jak dobrze znasz ludzi, z którymi mieszkasz? Wydaje ci się, że robisz coś odważnego i ekscytującego, ale istnieje różnica między odwagą a głupotą.

– Powiedziałaś, że chcesz, żebym się wyniosła, pamiętasz?

– Dobrze wiesz, do cholery, że nie to miałem na myśli. I nie udawaj, że dzwonisz poprosić, bym pozwolił ci zostać w Nowym Jorku, czy gdzie tam się podziewasz. Dobrze wiemy, że tak nie jest. – W słuchawce słychać trzaśnięcie, prawdopodobnie to drzwi szafki. Garth jak nic sięga po szkocką.

– Masz rację, nie jest tak – przyznaje Althea. – Jesteś zły?

– Kiedy ostatnio widziałaś, żebym był zły? – pyta Garth.

– Po imprezie z galaretką – przypomina mu.

Garth milczy przez chwilę.

– W ubiegłym tygodniu doprowadziłem do płaczu dorosłego faceta – mówi w końcu.

– Co zrobiłaś? – pyta zaskoczona Althea. Sięga po kubek, ale kawa zdążyła już wystygnąć.

– Chociaż bardziej przypominał dzieciaka – ciągnie Garth. – Student ostatniego roku. Odkryłem, że pisząc pracę zaliczeniową, popełnił plagiat. Przyszedł do mojego gabinetu, a ja doprowadziłem go do płaczu. Nie podniosłem głosu. Nawet go nie oblałem. Byłem rozczarowany, wyrozumiały i zaproponowałem, żeby napisał ją jeszcze raz, choć dostanie niższą ocenę. Im byłem miłszy, tym bardziej płakał. Kiedy skończyłem, czuł się trzy razy gorzej, niż gdybym na niego nakrzyczał. Nie lubię dramaturgii, Altheo. Tę zostawiam Grekom. Ale co mam teraz zrobić? Zadzwoić na policję? Pojechać tam, złapać cię za włosy i siłą zaciągnąć do domu?

Althea zastanawia się, czy powiedzieć mu, że ścięła włosy, więc nie będzie miał za co złapać, ale dochodzi do wniosku, że to kiepski czas na żarty.

– Mogę skończyć liceum tutaj albo zdać GED ¹. W Nowym Jorku jest milion szkół plastycznych.

– Możesz wrócić do Karoliny Północnej i skończyć szkołę w Laney. Jeśli tak bardzo chcesz być w Nowym Jorku, będziesz mogła wrócić tam jesienią.

Althea próbuje przemawiać językiem Gartha.

– To jak z Cortésem, tato. Kiedy dopływasz do brzegu, spal statki. Żebyś nie mógł wrócić.

– Nie wierzę, że mnie okłamywałaś. Tygodniami. – Mimo zapewnień, że nie jest na nią zły, Althea słyszy w jego głosie gniew. Nie tylko gniew, coś więcej. Ukryte między słowami bolesne przygnębienie, które powoli wypływa na powierzchnię. – Na litość boską, kupiłem ci bilet lotniczy. Chciałem pokazać ci ruiny Tenochtitlan. Umówiłem się z kolegami, zaplanowałem dwa tygodnie badań. Jeśli teraz to odwołam...

– Nie ma powodu, żebyś cokolwiek odwoływał. Chcę, żebyś jechał. Zresztą i tak będzie lepiej, jeśli pojedziesz sam. Beze mnie zrobisz więcej. Oliver jutro wraca do domu. Będziesz mógł z nim porozmawiać. Zapytaj go, jak sobie radzę, czy wszystko u mnie w porządku i czy kiedykolwiek widział mnie bardziej szczęśliwą. Zapytaj go, czy jestem bezpieczna. Czy to dla mnie odpowiednie miejsce. On ci powie.

– A gdybyśmy pojechali gdzieś indziej, nie do Meksyku? – pyta Garth spokojnym, niemal błagalnym głosem. – Mogę odwołać wycieczkę i zamiast tego pojedziemy na Krete. Albo w jakieś inne miejsce. Gdziekolwiek będziesz chciała.

Althea słucha go z zamkniętymi oczami, koncentrując się na uspokajającej barwie jego głosu i akcencie z Georgii, który przywołuje na myśl młode damy w białych rękawiczkach i lepsze, łatwiejsze czasy. Althea, która uważa siebie za buntowniczkę, uświadamia sobie, że nie nawykła otwarcie sprzeciwiać się własnemu ojcu; że robiła, co chciała, nie dzięki temu, że walczyła z nim i wygrywała, ale dlatego, że Garth nie zwracał na to uwagi. Czuje się jak wtedy, gdy wypija za dużo kawy na pusty żołądek albo jak po tabletkach Olivera – poci się, ma mdłości i ogarnia ją dziwna euforia. Może Garth ma rację. Może nic z tego nie wyjdzie, w końcu wróci do domu, a on zaserwuje jej największe „A nie mówiłem?” w życiu. Ale teraz, w tym momencie, nie

ma miejsca na wątpliwości.

– Nie chcę nigdzie jechać – mówi. – Chcę zostać tu i odkrywać nowy świat.

– Dobrze wiesz, że Cortés był dupkiem. – W głosie Gartha próżno szukać łagodności. – Nie był przykładem do naśladowania. Był chciwym megalomanem, a ty jesteś nastolatką, która próbuje poradzić sobie z pierwszym zawodem miłosnym. Sprawa pozostaje otwarta, więc na twoim miejscu nie podpalałbym samochodu. Zyskałaś kilka tygodni, ale to nie koniec tej rozmowy.

Althea rozważa jego słowa. Może kiedy ojciec wróci z Meksyku, będzie tak pochłonięty pisaniem książki i nowym semestrem, że jeszcze przez jakiś czas będzie miała go z głowy. Garth jest poważnym przeciwnikiem, ale ona za kilka miesięcy skończy osiemnaście lat; musi jedynie przez jakiś czas nie dopuszczać go do gry. Wystarczająco wiele ryzykowała i wie, jak prowadzić wojnę pozycyjną.

– Mogę skorzystać z oferty na Kretę w późniejszym terminie? – pyta.

– Powiniennem być zamknąć cię w piwnicy, kiedy miałem okazję – mówi Garth i Althea ma pewność, że mówi poważnie.

– Bez względu na to, jak kiepsko czułam się w Wilmington, nigdy nie zamieszkałabym z Alice – odpowiada, jakby wierzyła, że jej słowa przyniosą mu pociechę. – Nigdy w życiu nie zmieniałabym drużyny w ostatniej rundzie.

– Mam być wzruszony twoją lojalnością? – pyta Garth. Althea jest pewna, że właśnie tym tonem przemawiał do studenta plagiatora, łagodnym i lodowatym. Przeraza ją jego pewność siebie, przekonanie, że to, co mówi, trafi w cel.

– Zważywszy na to, jak bardzo nienawidzisz swojej matki, łączy cię z nią więcej, niż się spodziewałem.

Althea otwiera usta, żeby się odciąć czymś równie okrutnym, ale w porę gryzie się w język. Dość tych złościwości jak na jeden dzień.

– Szczęśliwego Nowego Roku, tato.

– Do widzenia, Altheo.

Kończy rozmowę. W ogrodzie za domem słychać szcęk setek puszek po piwie, kiedy góra lodowa się rozsypuje, a zaraz potem jednogłośnie okrzyk rozpacz.

* * *

Oliver stara się nie gapić na Altheę, gdy obierają ziemniaki w pokoju gościnnym. W szczególności interesuje go jej szyja. Nigdy dotąd nie zwracał uwagi, jaka jest długa.

Althea zręcznie operuje nożykiem i do wiadra wpadają kolejne obierki. Oliver nie ma szans dotrzymać jej kroku. Na nadgarstku dziewczyny dostrzega różową bliznę, której wcześniej nie widział. Przeciąga palcem po zgrubieniu.

– To coś nowego – mówi.

– Nic wielkiego. – Althea wzrusza ramionami, nie zagłębiając się w szczegóły. Ubiegłej nocy w końcu zobaczył ją nagą; odkrył resztę sekretów jej ciała. A teraz pojawił się nowy i Oliverowi nie podoba się ten mały kawałek historii, którym nie chce się z nim podzielić.

– Opowiedz mi o licie – prosi Althea.

– Licie?

– Will prosił, żebyś powiedział mi o licie. Więc słucham.

Oliver powtarza to, co usłyszał od lekarza o ewentualnej pomocy i możliwych efektach ubocznych.

– I nie wiesz, co zrobić?

– Tak.

– Rzuć monetą – mówi Althea.

Oliver kręci głową.

– Żałuję, że ci powiedziałem.

– Poczekaj, bo nie wiem, czy dobrze rozumiem. Lekarz powiedział, że może ci pomóc, więc uciekłeś ze szpitala? Jesteś pewien, że naprawdę chcesz poczuć się lepiej?

– To przecież żadna pomoc! Teraz nie jestem chory. Teraz siedzę tu z tobą, obieram ziemniaki i czuję się dobrze. Będę czuł się dobrze, dopóki mi się nie pogorszy, a wtedy pójdę spać i stanę się kimś innym, aż atak minie i znowu będę sobą. Ale jeśli spróbuję litu, być może przez cały czas będę się czuł jak ktoś inny. Może będę jak ten koleś z tikiem twarzy, który stoi pod 7-Eleven i szuka na ziemi drobnych, żeby kupić sobie snickersa? A jeśli zacznę dziwnie chodzić? Albo mówić?

Althea nie przestaje obierać ziemniaków, wyraźnie unikając jego wzroku.

– Wydaje ci się, że KLS wcale nie jest takie złe, bo przynajmniej wiesz, czego się spodziewać. Do pewnego stopnia. Myślisz, że może dasz radę, jak przestaniesz jęczeć. Tyle że już tego próbowałeś. Nie przyjechałeś do Nowego Jorku, bo nie było tak źle; przyjechałeś, bo było źle. Myślisz, że między atakami czujesz się dobrze, ale to złudzenie, jesteś przerażony. Cały czas. Martwisz się, że lekarstwa mogą cię zmienić. Myślisz, że ten ostatni rok cię nie zmienił?

– Ty też wydajesz się inna. Ale to nie znaczy, że trzeba poddać cię lobotomii.

Ziemniak wypada jej z ręki i ląduje na dywanie wśród kociej sierści. Althea podnosi go i próbuje wyczyścić. Oliver wyrywa jej go z rąk i odkłada na stół.

– Nie jemy rzeczy pokrytych sierścią.

– Jaki masz wybór? Życ w ciągłym strachu? – pyta Althea. – No już, Ol, daj sobie szansę. Powinieneś pójść do college’u. Masz w cholerę roboty. Musisz znaleźć tajemne przejście.

Pracują w ciszy, jakby byli w pokoju Olivera, a nie tu, w tym dziwnym domu na nowojorskim Brooklynie, obierając ziemniaki wyciągnięte z kubła na śmieci. Cuchnące dymem zasłony, prujący się dywan i wiszący nad sofą, zakurzony obrazek świętego Kajetana – dziwne, że to wszystko nie wygląda bardziej surrealistycznie. Oliver jest zdumiony, jak szybko przyzwyczał się do tej rzeczywistości, zwłaszcza, że tak bał się wszystkiego, co nieznanego. Nawet krótkie włosy Althei wydają się czymś naturalnym; widzi je kątem oka. Jej kolano dotyka jego kolana. W kuchni słychać salsę.

To sprawa Althei. Nie siedziała w piwnicy i nie czekała na niego; nie rozglądała się z nadzieją na jakiś znak, który przekona ją, że wszystko wróci do normy albo ułoży się po jej myśli. Wiedziała, że tak nie będzie. Postawiła wszystko na jedną kartę i znalazła tych ludzi; wygrała coś, coś realnego. Może on mógłby zrobić to samo. Może czas przekonać się, co go czeka.

– Wiesz – zaczyna. – Naprawdę podoba mi się twoja nowa fryzura.

* * *

W kuchni Kaleb wyklada jedzenie na dzielone papierowe talerze i podaje ludziom,

którzy kolejno wracają z ogrodu i kierują się do salonu, gdzie dwadzieścia pięć osób je wspólną kolację. Althea i Oliver stoją w drzwiach z talerzami w dłoniach. Widząc to, Ethan wstaje i robi im miejsce na fotelu.

– Proszę – mówi. – Siadajcie.

Gregory i kot, perkusista, koleś, który rzucił college, gość z Filadelfii i inny z Cambridge jedzą ściśnięci na kanapie; u ich stóp, na podłodze, siedzą Matilda i Dennis. Leala zajmuje kolana Kaleba, który rozparł się w jednym z foteli. Reszta tłoczy się na podłodze jak szczenięta. Althea i Oliver kulą się w fotelu i słuchają opowieści o przygodach i nieszczęśliwych wypadkach.

– Opowiedz im o grze w wyzwania – mówi Dennis, szturchając Matildę. – Powiedz, jak myślałaś, że przegracie, i zaczęłaś się zachowywać jak pieprzona wariatka.

– Graliście w wyzwania? – cieszy się brunet z Cambridge. – Zajebicie.

– To był pomysł Althei – tłumaczy pospiesznie Matilda.

– Kto wygrał? – pyta ktoś inny.

– My – mówi Ethan.

– Dzięki mnie – wtrąca Althea. – Bo dałam sobie obciąć palec, żeby ocalić rękę.

– Co zrobiłaś? – pyta koleś z Cambridge. – Opowiadaj.

Althea kładzie talerz na podłodze; Pan Interes zeskakuje z kanapy, podbiega do niego i jak pies rzuca się na marchewkę. W ogrodzie za domem czeka kubeł na śmieci pełen lodu i szampana; wskazówki zegara zbliżają się do dwunastej. Oliver, który pachnie jabłkami, otacza Altheę ramieniem. Dziewczyna czuje w środku lekkie ukłucie, ale nie jest to euforia. Może zadowolenie, ale nawet tego nie jest pewna.

* * *

Po kolacji Leala i Matilda zabierają ją na górę, żeby się ubrać.

– Ale ja jestem ubrana – protestuje Althea.

– Nie na sylwestra – tłumaczy Leala.

Starsze dziewczyny przebierają się w ponętne czarne sukienki; Althea jest za wysoka, żeby wbić się w ubrania Matildy, ale Leala znajduje na dnie szafy szafirową

sukienkę, krótką i obcisłą.

– W życiu tego nie założę – upiera się Althea.

– W tej sukience będziesz miała nogi do samej ziemi – obiecuje Matilda.

Leala nakłada na usta Althei czerwoną szminkę.

– Masz piękne nogi, dzieciaku. To grzech je zakrywać. A tak przy okazji, słyszałam plotkę.

– O Ethanie i syfilisie? – pyta Matilda. – Też ją słyszałam. To bzdura.

– Chodzi o coś innego. – Leala uśmiecha się do lustra i rozczesuje włosy. – Słyszałam plotkę... A, pieprzyć to. Nie mam ochoty na gadki szmatki. To prawda, Altheo? Zamierzasz zostać tu na dłużej?

Althea obciąga sukienkę.

– Jeśli nie macie nic przeciwko.

– Jasne, że nie – mówi Leala. – W końcu. Kolejna dziewczyna.

– A co z Oliverem? – pyta Matilda. – Odeślesz go do domu samego?

– Wiecie co? – mówi Althea. – Nie chcę rozmawiać o Oliverze. Mam dość wrażenia, że cały czas gadam wyłącznie o Oliverze.

Dziewczyny wracają na dół przy wtórze gwizdów. Kaleb rozdaje butelki szampana, każdemu po jednej, wystrzały korków wypełniają dom niczym odgłosy fajerwerków, piana leje się po rękach. Telewizor nie odbiera żadnych kanałów, więc nie oglądają opuszczenia kuli ² i zamiast tego odliczają sekundy, patrząc na zegar ścienny. Kiedy wszyscy krzyczą „Szczęśliwego Nowego Roku!”, Oliver przyciąga Altheę i całuje ją. Ludzie gromadzą się w pokoju gościnnym i kuchni na potańcówce, zorganizowanej naprędce przez Lealę i Matildę, a zrozpaczony Gregory szuka kota, który przycupnął na lodówce.

Przymocowane do sufitu, kolorowe migające lampki stanowią jedyne źródło światła. Althei, która tańczy z Matildą do muzyki The Replacements, wijące się w półmroku ciała przywodzą na myśl imprezy w Lucky's. Czuje się dziwnie obnażona bez falujących wokół twarzy długich czarnych włosów, ale jest wystarczająco pijana, by się tym nie przejmować, i zamiast tego wiruje wokół swojej nowej przyjaciółki – teraz już także współlokatorki. Okna w salonie parują od ciepła ludzkich ciał. Kiedy Matilda się rusza, kosmyki jasnych włosów wysuwają się ze starannie upiętego koka;

dziewczyny krążą wokół siebie, wykrzykując słowa tekstu i tupiąc.

Leala podchodzi do nich z polaroidem i każe się im uśmiechnąć. Matilda obejmuje Altheę w pasie i obie spoglądają w obiektyw; strzela lampa błyskowa, zdjęcie wysuwa się i Leala macha nim energicznie.

– To trafi na lodówkę – oznajmia.

Kaleb wchodzi nagi do pokoju, witany przez gromkie buczenie.

– No i proszę – mówi Leala. – Nie mam pojęcia, dlaczego zawsze rozbiera się na imprezach.

– Koles! Zakryj wacka! – krzyczy Ethan.

– Obciągnij mi, sukinsynu! – wrzeszczy Kaleb, chwytając się dłonią za krocze.

W obawie, że zacznie chichotać albo gapić się jak podłotek, Althea wymyka się na ganek, żeby skręcić papierosa i zaczerpnąć świeżego powietrza. Wpada na Dennisa i parę innych osób, więc ściąga kilka machów i ośmielona przez alkohol oświadcza, że dużo rysuje, szkicuje i maluje. Rozmawiają przez chwilę o tym, jak zostać tatuatorem i Dennis opowiada jej o praktykach i jak to dobrze mieć w ręku fach, bo jeśli człowiek jest dobry w tym, co robi, nigdy nie chodzi głodny. Pyta Altheę, czy ma jakieś tatuaże, i w rezultacie rozmowa przenosi się do łazienki; Althea siedzi na sedesie, Dennis tatuuje jej na karku zodiakalny symbol Bliźniąt, Matilda robi zdjęcia, a stojący w drzwiach Kaleb – który do tej pory zdążył już założyć bokserki – zapewnia Altheę, że już nigdy nie zwątpi w jej oddanie dobrej zabawie.

Kiedy w środku robi się za gorąco, wszyscy wkładają buty i z butelkami szampana w dłoniach wychodzą do ogrodu, gdzie lawirują między tym, co zostało z puszkowej konstrukcji. Ethan przynosi kij bejsbolowy, a Kaleb lepi ze śniegu podwyższenie dla miotacza. Niebawem wszyscy machają kijem, próbując wstrzelić na dach puste puszki. Althea zdobywa trzy punkty z rzędu, zanim przekazuje pałkę Oliverowi.

– Spróbuj – mówi.

Kaleb sięga po kolejną puszkę i podrzuca ją w dłoń.

– Gotowy? – krzyczy.

– No, dalej, Ollie – zachęca go Althea. – Wybij ją za park.

Oliver mierzy kijem w stronę dachu, w stylu Babe Rutha³, i puszcza do niej oko; Kaleb wyrzuca puszkę w powietrze i Oliver bierze zamach.

Ethan podchodzi do Althei.

– Ładna z was para – mówi. – Rodem z *Kwiatów na poddaszu*.

Althea dopija piwo i zgniata puszkę w dłoni.

– Idź się powieś. Poważnie – warczy Althea.

Ethan zdejmuje okulary, składa je i wsuwa do kieszeni kurtki. Nachyla się do niej tak blisko, że Althea widzi wszystkie pory i piegi na jego twarzy, dostrzega zielone drobinki wokół tęczówek i czuje bijący od niego zapach whisky. Stojący za jej plecami Oliver nieruchomieje. Wszyscy patrzą i czekają, dziesiątki ludzi, których prawie nie zna, trącają się łokciami, szepczą i wstrzymują oddech. Althea niemal wyczuwa ich konsternację i podniecenie. Zupełnie jakby została podłączona do prądu ich myśli i słyszała, jak każdy zadaje sobie to samo pytanie, czy Ethan naprawdę pocałuje Altheę?

– No, dalej – szepcze Ethan, jednak w panującej dokoła ciszy słysząc każde jego słowo. – Chcę, żebyś to zrobiła. No już, uderz mnie. Tak mocno, jak potrafisz.

– Co?

– Walnij mnie. W twarz. Najmocniej, jak umiesz.

– Nie. – Althea drży.

– Chcę, żebyś to zrobiła. No, dalej. Od razu poczujesz się lepiej.

Althea nie ma co do tego wątpliwości. Byłoby to cudowne uczucie. Ale nie po to wspinała się na szczyt, żeby cieszyć się jazdą w dół. Jest renegatką, bez wątpienia; coś w niej sprawia, że uwielbia tracić nad sobą kontrolę i prędzej czy później historia się powtórzy. Matilda miała rację, mówiąc, że ciągłe panowanie nad sobą jest męczące, i w końcu Althea da za wygraną. Ale nie dziś i nie na życzenie Ethana.

– Odpuść sobie, Ethan – mówi, odprawiając go. – Robisz z siebie pieprzonego głupka.

– Chryste Panie – mruczy Matilda – to jak oglądanie droczących się z sobą dwunastolatków.

Ku zaskoczeniu Althei determinacja znika z twarzy Ethana i chłopak wybucha śmiechem. Nie złośliwym. Szczerym. Althea cofa się, zdumiona tą nagłą wesołością, i patrzy, jak Kaleb podchodzi do Ethana, żeby zdzielić go w głowę.

– Dupek.

Chwilę później jest już po wszystkim. Ludzie kręcą głowami, wzduszają ramionami i sięgają po kolejne puste puszkę. Nie przestając się uśmiechać, Ethan zakłada okulary.

– Przepraszam za to – mówi. – Czasami mnie ponosi.

* * *

W końcu wszystkie puszkę lądują na dachu domu, zaściewają rynnę i walają się po spękanych i łuszczących się gontach. Goście Wojowników kręcą się bez celu, zawiedzeni, że zabawa dobiegła końca. Pijana Matilda, mrużąc oczy, spogląda na dach.

– To źle, że je tam wrzuciliśmy? – pyta. – Czy powinny tam być?

– Tworzą ładną muzykę – mówi Leala. – Jak dzwoneczki wietrzne. Albo coś w tym stylu.

– Musimy je zdjąć, żeby odebrać pieniądze za kaucję – oświadcza Ethan. – Kto ma ochotę wyjść przez okno?

– Kto jest na tyle trzeźwy, żeby wyjść przez okno? – pyta ktoś inny.

– Nikt – stwierdza Matilda. – Nikt w tym cholernym mieście nie jest na tyle trzeźwy, żeby wyjść przez okno.

– Ja mogę – zgłasza się Oliver, który marzy, by choć przez chwilę zostać samemu, z dala od tych ludzi, w ciszy i spokoju. Ucieczka na dach wydaje się wręcz idealnym rozwiązaniem.

– Jesteś pewien? – pyta Matilda.

– Tak.

– Uważaj. Nie stać nas na procesy.

– Pójdę z nim – deklaruje się Althea.

Idą na górę do pokoju, w którym jeszcze nie był – sypialni Kaleba i Leali. Znad łóżka patrzy wyliniała, wypchana głowa jelenia; z jednego z rogów zwisają damskie stringi. Materac jest goły i poplamiony, brudna pościel leży zmięta na podłodze. Althea przedziera się przez bałagan, z trudem otwiera okno, spogląda przez ramię i posyła Oliverowi szelmowski uśmiech.

– Czy mi się zdaje, czy wygląda to znajomo? – pyta, wychodząc na drabinkę pożarową.

– Mam wrażenie, że „Impreza na całego” zatoczyła koło.

Zrzucają puszki do ogrodu. Oliver stara się nie celować w głowę Ethana. Kiedy ostatnia puszka ląduje na ziemi, zamiast wracać do domu, siadają na skraju dachu i machają nogami. Althea wyciąga z kieszeni dwa piwa i wręcza jedno Oliverowi.

– Skąd je wytrzasnęłaś? – pyta Oliver.

– Ukryłam w spluczce.

Oliver zastanawia się i uznaje, że jest zbyt pijany, by się przejmować.

– Pamiętasz, jak kiedyś wyciągałem cię na imprezy? Teraz nie przestajesz imprezować.

– Założę się, że też mógłbyś tu zostać. Przyjmują każdego, kto obieca, że nie spali domu.

– Nie jestem pewien, czy dotrzymałbym obietnicy.

– Nie musisz ich lubić...

– Nie martw się, nie lubię.

– Chcesz usłyszeć coś dziwnego?

– Co?

– Pewnego dnia będę miała chłopaka. Pewnego dnia będę miała chłopaka i to nie będziesz ty. – Althea rozmarzonym wzrokiem spogląda w niebo.

– Założę się, że będzie wyglądał jak ja. – Oliver wypija łyk piwa. – Może niezupełnie, ale na tyle, żebyś miała gęsią skórkę. Oczywiście, nie będzie aż tak przystojny; coś jak niskobudżetowa wersja mnie, no i, rzecz jasna, będzie starszy, będzie miał tatuaże i doświadczenia z narkotykami. Będzie grał na gitarze, ale niezbyt dobrze. No i będzie miał twój charakter. Typ faceta, w którego będziesz rzucała talerzami.

– Będziecie się nienawidzić – mówi Althea. – Kiedy go spotkasz, będziesz miły, ale oszczędny w słowach. A on nie będzie potrafił ukryć wrogości do ciebie.

– Będziesz miała z nas niezły ubaw,

– Tak, McKinley, chyba masz rację. A ty będziesz miał obrzydliwie idealną dziewczynę, która będzie grała w softball, studiowała chemię i wiązała włosy w koński ogon na czubku głowy. Taką, jakie spotyka się w bibliotece. Nasza czwórka umówi się na kolację, jeden jedyny raz, ale będzie tak drętwo, że upijesz się i zrobisz

scenę w restauracji.

– Ja zrobię scenę? Jesteś pewna?

– Jasne. Jeszcze nie wiesz, ale już się do niej szykujesz. To będzie prawdziwa popisówka.

– Wyrzucą nas z restauracji?

– Nie, ty wyjdiesz, a twoja głupia dziewczyna i ja zostaniemy przy stoliku, nie wiedząc, która z nas powinna cię gonić. W końcu ja wybiegnę za tobą, a ona zostanie z niezapłaconym rachunkiem.

– A twój obleśny chłopak?

– Żartujesz? Ten klaun będzie wiecznie bez pieniędzy.

– Mam nadzieję, że skończymy lepiej.

– Nie chodzi o to, że wyjdę za tego kolesia.

– Nie to miałem na myśli. Brzmi to jak kiepska komedia romantyczna. Nie chcę być aż tak przewidywalny.

– Nie będziesz, Ollie. Nie jesteś.

Imprezowicze wrócili do domu, nie z powodu zimna, ale ze strachu, że na dworze szybciej wytrzeźwieją. Althea i Oliver siedzą na dachu i spoglądają na pusty ogród. Cały kwartał pogrążony jest w ciszy. Lada chwila któreś z nich będzie chciało wrócić do środka, ogrzać się, wysikać albo napić. Oliver czuje, że powinien uczynić tę chwilę wyjątkową jak dziecinna kartka walentynkowa, by Althea mogła patrzeć na nią bez końca, kiedy jego nie będzie.

– Co odpowiesz na pytanie, kim dla ciebie byłem? – pyta. – Kiedy wspomnisz o mnie swojemu knajpiarzowi, a on zapyta: „Kim jest Oliver?”. Co wtedy powiesz?

Althea już otwiera usta, ale uświadamia sobie, że żadna odpowiedź nie jest wystarczająco dobra. Nazwanie go najlepszym przyjacielem to zdecydowanie za mało. Nigdy nie był jej chłopakiem; owszem, wymieniali się kartkami walentynkowymi, ale to zaledwie drobny epizod spośród wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Marszczy czoło, szukając odpowiednich słów, a kiedy je znajduje, kiwa głową, jakby to było coś oczywistego.

– Powiem – odzywa się w końcu – że byłeś moim ulubionym.

– Ulubionym kim?

– Nic więcej – mówi. – Po prostu moim ulubionym.

Oliver bierze ją za rękę i razem spoglądają na zaciągnięte chmurami, bezgwiezdne niebo. Wypaczone gonty wbijają mu się w plecy, a zimny styczniowy wiatr kąsa szyję, ale Oliver nie chce być tym, który powie, że czas wracać do środka. Nie chce, żeby tak to zapamiętała.

– A ty? – pyta Althea. – Co powiesz dziewczynie, kiedy przed wakacjami zaczniesz świrować, bo będziesz wiedział, że wracam do domu?

Szkopuł tkwił gdzieś w ostatnich dwunastu miesiącach i gdyby Oliver potrafił spruć je jak stary sweter, z pewnością by go znalazł. Może wszystko zaczęło się w jego mózgu, a może w mózgu Althei, teraz to bez znaczenia. W każdym razie – stało się i wszystko, co wydarzyło się później, zostało skażone uczuciem niesprawiedliwości. Uczucie to nie zniknęło, lecz zmieniło się w ciągłą, wszechobecną obcość, która – musi to przyznać – ma w sobie coś pociągającego. Rok temu każdy dzień wyglądał tak samo, był wariacją na ten sam temat, temat Althei i Olivera. Teraz nie wie nawet, kiedy znów ją zobaczy. Składa na jej ustach cikliwy pocałunek, wręcz idealny na sylwestrową noc, i zastanawia się, ile czasu minie, zanim ich saga dobiegnie końca.

– Powiem dziewczynie od softballu, że byłaś moim prawie – mówi.

Althea siada prosto i dopija piwo, zgniata puszkę, jakby mięła w dłoni nieudany szkic i wrzuca do stojącego w dole kubła.

– Z pewnością jej się to spodoba – mówi, ześlizgując się na krawędź dachu.

– Trudno. To moja historia – odpowiada Oliver – i zamierzam się jej trzymać. Nie wracasz przez okno?

– Okna są po to, żeby przez nie wychodzić, nie wchodzić. Dachy są po to, żeby z nich skakać. – I skacze.

* * *

Przez resztę nocy bawią się w najlepsze. Ganiają się po schodach, siłują na ręce, kłócą się i godzą. Trzymają się blisko. Salwy śmiechu przetaczają się przez dom, zagłuszając brzęk tłuczonego szkła i niskie, głębokie pulsowanie basów. Gdy Matilda i Dennis znikają na górze, Althea i Leala wymieniają porozumiewawcze uśmiechy. W końcu ktoś

wyłącza muzykę i imprezowicze po raz kolejny zbierają się w salonie, przekazują sobie gitarę i ożywiają wciśnięty w kąt, stary werbel. Althea klaszcze, aż swędzą ją dłonie. O świcie niebo jest tak zaciągnięte chmurami, że nie wiedzą nawet, iż robi się widno. Gdy więc ktoś krzyczy: „Chodźmy na plażę!”, opuszczają dom bez lęku, że ostre noworoczne słońce przemieni ich w kurz i pył, i idą grupą na nabrzeże Coney Island. Większość z nich wciąż niesie puste w połowie butelki ciepłego szampana. Althea i Oliver zamykają pochód, idąc pustymi ulicami Brooklynu w stronę oceanu.

Gdyby to był film, myśli Althea, *powinien się tu skończyć*. Z szampanem, nad wodą, kiedy ludzie świętują, a ona wciąż ma wszystko, czego potrzebuje. Zanim słońce przedrze się przez chmury, zanim kac obudzi się do życia, zanim nowy tatuaż pokryje się swędzącym strupem i zanim trzeba będzie pomóc w sprzątaniu domu. Wtedy nie musiałyby patrzeć, jak Oliver odchodzi, ani budzić się, kiedy go nie będzie, przerażona, że postąpiła niewłaściwie. Wszystko powinno zakończyć się tu i teraz, zanim wybory, których dokonała, staną się rzeczywistością i będzie musiała udowodnić, że jest wystarczająco silna, by z tym żyć; dopóki Oliver wciąż delectuje się poczuciem, że w końcu ma jakiś wybór, i zanim sparaliżuje go myśl, że cokolwiek się wydarzy, będzie jego winą. Patrzy, jak Dennis zarzuca sobie na ramię Matildę, która krzyczy i wierzga nogami. Althea podnosi do ust butelkę, uderza zębami w grube zielone szkło i wyciąga ją w stronę Olivera.

– Teraz ty pijesz połowę – mówi.

Przekazują sobie butelkę, próbując podzielić równo ostatnią kroplę zwietrzałego szampana. Oliver naprawdę wygląda bosko, kiedy tak stoi na plaży o poranku, pijany, z wiatrem w potarganych jasnych włosach. *Jakże łatwo byłoby dojść do siebie*, myśli Althea, *wsiąść z nim w samochód i odjechać*. Ale jeśli wróci z nim do Wilmington, wszystko będzie takie jak kiedyś – może niezupełnie, ale jednak. Show zatytułowane *Althea i Oliver* znów będzie nadawane dwadzieścia cztery godziny na dobę. Althea przypomina sobie rozmowę z Matildą i co powiedziała o rodzinie, którą wybieramy. Mając przy sobie Olivera, z nim stworzy rodzinę, bo Althea nie wyobraża sobie, jak mogłoby być inaczej. Matilda i pozostali Wojownicy tańczą wokół siebie na piasku. Może dla niej, Althei, nie będą tym, kim są dla Matildy, może nie znaczą dla Matildy tak wiele, jak jej się wydaje. Ale dla Althei jest już za późno. Ziarno zostało zasiane.

Świat ma do zaoferowania dużo więcej niż jedyną osobę, która zna cię, odkąd mieliście sześć lat. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Oliver kochał ją tak, jak ona jego; gdyby tak było, cały wszechświat wciąż składałby się z jednej konstelacji – Kastora i Polluksa, wiszących pośród gwiazd i związanych ze sobą. Ale tak nie jest.

Wie, że on tego nie rozumie, i żałuje, że nie może mu pokazać, co się wydarzy, gdy zniknie z jej życia. Rysowania komiksu z Ethanem, uczenia się fachu od Dennisa, odkrywania tego dziwnego miasta, aż będzie znała je na pamięć. Nauczy się gotować jak Matilda, szyć tak jak ona, pozna, co to znaczy być dobrą przyjaciółką. Myśli o rzeczach, które trudno jej sobie wyobrazić – własnym ekspresie do kawy w mieszkaniu należącym wyłącznie do niej, doniczkach z kwiatami na drabince pożarowej, sztaludze stojącej przy oknie, wiszących na lodówce zdjęciach ludzi, których jeszcze nie poznała. Gdzieś na świecie istnieje miejsce, które czeka, aż wyciągnie po nie rękę. Pozwala, by butelka z resztką szampana upadła na piasek.

- Muszę wracać do szpitala – mówi Oliver.
- Podwiozę cię.
- Minie kilka dni, zanim będziesz na tyle trzeźwa, żeby prowadzić.
- Sam też trochę wypileś.
- Możliwe.
- A więc jednak to zrobisz?

Zrobi to. Weźmie te pieprzone tabletki, a jeśli zaczną trząść mu się ręce, jeśli nie będzie potrafił rozwiązywać równań tak jak kiedyś i jeśli spojrzy w niebo i będzie miał problem z odnalezieniem gwiazdozbioru Kasjopei, wówczas przestanie. Ale spróbuje. Chce wrócić do domu i skończyć szkołę, zobaczyć kapelę Miętusa grającą w Lucky's, popływać w rzece Cape Fear i w wiosenne popołudnie otrzymać kopertę z MIT; chce podziwiać jesień w Massachusetts i przekonać się na własne oczy, czy liście są tam tak piękne, jak pokazują w katalogach. Chce mieć wkurzającego współlokatora, spotkać dziewczynę, o której mówiła Althea, i wysłać matce pocztówki z Nowej Anglii. Chce się przekonać, jak to jest nie być najlepszym uczniem w klasie. Chce zainstalować swój teleskop w zupełnie nowym miejscu. Zobaczyć, co ma do zaoferowania wszechświat.

Kiedy wyobrażał sobie koniec świata i tajemne przejście, które ocali ich od

zagłady, myślał, że tamta strona niczym nie będzie się różniła od tej. Nawet w obliczu Armagedonu marzył o rozwiązaniu, które nie będzie wymagało żadnych zmian, gdzie nawet w równoległym wymiarze nie będzie żadnych niewiadomych, gdzie ludzie przekroczą próg i cali i zdrowi wyjdą po drugiej stronie. Ale prawda jest taka, że gdy układ słoneczny zacznie się rozpadać, nikogo nie będzie obchodzić, co jest po drugiej stronie.

To właśnie jest kres nadziei. Jej nadziei na to, że Oliver odwzajemni jej miłość; jego nadziei, że wszystko wróci do normy. To, czego oboje tak bardzo pragnęli, nie wydarzyło się, a próby odwrócenia losu przywiodły ich aż tutaj, na plażę Coney Island, gdzie stoją, jakby chwilę temu przybyli do nowego świata, a szanse na powrót do starego spłonęły wraz z całą flotą. Mogą zrobić tylko jedno – ruszyć naprzód, ku nieznanemu. Witajcie w dżungli.

Nieco dalej członkowie klubu morsa biegną w kierunku oceanu. Althea spogląda na Matildę, uśmiecha się i rozpina guziki. Matilda robi to samo i obie jednocześnie zrzucają kurtki.

– Chodźcie! – Matilda krzyczy do przyjaciół.

Ci ochoczo wypełniają jej rozkaz. Althea i Oliver patrzą, jak kolejne osoby się rozbierają, rozwiązują glany, zrzucają kurtki kupione w lumpeksach, zaśmiecają plażę stosami ubrań, odsłaniają bladą skórę, która od dawna nie widziała słońca, i stają na piasku w samej bieliźnie, a Kaleb – jak zwykle – nagi. Althea ściąga buty.

– Oszalałaś? – pyta Oliver.

– Nie, jestem tylko pijana – odpowiada. – Kurwa! Ależ tu zimno! Rozepniesz mi sukienkę?

– Będzie zimno.

– I tak jest ci zimno.

– Będzie bolało.

– Poczujesz się lepiej, jak wejdziemy do wody – przekonuje go.

Matilda i pozostali biegną w stronę oceanu. Oliver daje za wygraną i zrzuca ubranie. Althea chwytą go za rękę i ciągnie za sobą. Palce u nóg ma zdrętwiałe, jeszcze zanim wchodzi do wody, mokry piasek kłuje podeszwy jej stóp, woda zamyka się wokół kostek, odciąga ich coraz dalej od brzegu. Kiedy sięga jej ud, Althea puszcza

rękę Olivera, zanurza się i uderza wściekle stopami. Lodowata woda parzy niczym gaszone na skórze miliony zapalek, jednak Althea wie, że jest w stanie znieść ten ból. Wynurzając się, myśli, że Oliver zawróci do brzegu, ale on płynie w jej stronę. Usta ma bladonie, pozbawione koloru. Widząc to, Althea czeka. Patrzy, jak chłopak pokonuje połowę dzielącego ich dystansu i połowę połowy, a kiedy podpływa do niej, udowadnia, że paradoks Zenona z Elei jest właśnie tym, czym jest – paradoksem. Oczy ma otwarte ze zdumienia i śmieje się z niedowierzaniem, że zdobył się na coś takiego. Wszyscy taplają się w wodzie i szczękając zębami, krzyczą na tyle głośno, by zwrócić na siebie uwagę morsów. Oliver rozgarnia wodę rękami i nogami, przerażony i zachwycony. Uczucie to oczyszcza mu umysł ze wszystkich myśli i przynosi nieopisaną ulgę. Jego tu i teraz ogranicza się do lodowato zimnej wody, leniwego kołysania fal i pierwszego pęknięcia w pancerzu chmur.

Okazuje się, że oboje mieli rację – to miłe, choć bolesne uczucie.

1. General Education Development – amerykański egzamin powszechnie uznawany za odpowiednik dyplomu ukończenia szkoły średniej. [\[wróć\]](#)
2. Kulminacyjnym punktem sylwestra na Times Square w Nowym Jorku jest tzw. *ball drop*, czyli opuszczenie na jednym z wieżowców wielkiej kuli z numerem kolejnego rozpoczynającego się roku. [\[wróć\]](#)
3. George Herman Ruth Jr. – amerykański zawodowy baseballista, znany jako Babe. [\[wróć\]](#)

Podziękowania

Pragnę podziękować moim agentkom, Michele Rubin i Brianne Johnson, za to, że bezwarunkowo wierzą w dzieci i za wszystkie kojące dźwięki; oraz Sharyn November, redaktorze z moich snów, że zadbała o to, by ta książka była najlepszym, na co mnie stać.

Jestem niezmiernie wdzięczna wszystkim z Brooklyn College, którzy zachęcali mnie do pisania, szczególnie Michaelowi Cunninghamowi, Ernesto Mestre'owi-Reedowi, Joshui Henkinowi i Francisco Goldmanowi. Specjalne podziękowania dla Fundacji Carole i Irwina Leinoffów za ich wsparcie i szczodrość, oraz dla niezrównanego Jima Shepada za serce, które mi okazał; a także dla Andy'ego Huntera, który wiedział, dlaczego Althea chciała otworzyć apteczkę.

Dziękuję mojej rodzinie za wiarę i słowa wsparcia – Mamo, Tato, przepraszam za młodzińcze lata.

Dziękuję wszystkim przyjaciółom – tu, na tych kartkach, jest odrobina każdego z Was. Wyjątkowe podziękowania dla Caitlin Meister, która opowiedziała mi o zespole Kleinego-Levina; Sakiego Knafa za jego tacos i cierpliwość; Wojowników 30K, którzy stali się dla mnie prawdziwą inspiracją. Szczególne podziękowania dla Ryana Hanlona, przyjaciela, który ma zbawienny wpływ na moją duszę i zgubny wpływ na moją wątrobę. Wyrazy miłości i podziękowania dla Sarah McCarry – to bez znaczenia, że napisałam tę książkę, zanim Cię poznałam; i tak napisałam ją dla Ciebie.

Cristina Moracho mieszka w Red Hook, na Brooklynie. *Althea i Oliver* to jej debiutancka powieść.